

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

*Nazywa się Sammy Went.
Fotografię zrobiono w dniu jej drugich urodzin.
Trzy dni później zniknęła.*

DZIECKO ZNIKAŁ



Christian White

Christian White

**DZIECKO
ZNIKAŁ**

Przełożył Tomasz Wyżyński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *The Nowhere Child*

Redakcja: Jacek Ring

Projekt okładki: Magdalena Palej

Zdjęcia na okładce: © Jake Olson / Trevillion Images

Zdjęcie autora: © Lupco Veljanovski

Korekta: Słowne babki, Beata Wójcik

Copyright © 2018 by Christian White

First published by Affirm Press

This edition arranged with Kaplan/DeFiore Rights through GRAAL

Copyright for the Polish translation by Tomasz Wyżyński, 2019

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8015-929-7

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Wspólna 35 lok. 5, 00-519 Warszawa www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 2519; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[MELBOURNE, AUSTRALIA](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MELBOURNE, AUSTRALIA](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MELBOURNE, AUSTRALIA](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MELBOURNE, AUSTRALIA](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[OKRĘG HARTFORD, CONNECTICUT](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[GDZIEŚ W PENSYLVANII](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MARTHA, WIRGINIA ZACHODNIA](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[REDWATER, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[MANSON, KENTUCKY](#)

[GDZIEŚ NAD OCEANEM ATLANTYCKIM](#)

[Od autora](#)

[Podziękowania](#)

Przypisy

Moim rodzicom, Ivanowi i Keerze White'om

MELBOURNE, AUSTRALIA

TERAZ

– Mogę się przysiąc? – spytał z amerykańskim akcentem przystojny nieznajomy. Miał około czterdziestu lat i wydawał się nieśmiały. Był ubrany w lśniąca moką parkę i jasnożółte buty sportowe, najwyraźniej nowe, bo skrzypiały przy każdym kroku. Usiadł przy moim stoliku, nie czekając na odpowiedź. – Nazywa się pani Kimberly Leamy?

Działo się to w przerwie między zajęciami w Northampton Community College, gdzie trzy razy w tygodniu prowadziłam wieczorami warsztaty z fotografii artystycznej. W bufecie zwykle roiło się od studentów, jednak tego dnia panowała w nim dziwaczna pustka, jakby po apokalipsie. Padało od sześciu dni bez przerwy, ale podwójne szyby tłumiły plusk deszczu.

– Po prostu Kim – odparłam z lekkim niezadowoleniem. Zbliżał się koniec przerwy, a przebywanie w samotności sprawiało mi przyjemność. Na początku tygodnia znalazłam w pokoju wykładowców stary, zniszczony egzemplarz *Smętarza dla zwierzaków* Stephena Kinga podpierający nogę jednego ze stołów i od tamtej pory nie mogłam się od niego oderwać. Zawsze dużo czytałam, najbardziej lubiłam horrory. Czytałam książki trzy razy szybciej od swojej młodszej siostry Amy, co często wywoływało w niej frustrację. Kiedyś powiedziałam Amy, że klucz do szybkiego czytania to nudne życie. Siostra miała narzeczonego i trzyletnią córkę, a ja Stephena Kinga.

– Nazywam się James Finn – powiedział mężczyzna. Położył na stole szarą papierową teczkę i zamknął oczy jak pływak koncentrujący się przed skokiem z wieży.

– Jest pan nauczycielem czy studentem?

– Ani jednym, ani drugim.

Otworzył teczkę, wyjął fotografię o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i przesunął ją w moją stronę. Jego ruchy miały w sobie coś mechanicznego. Każdy gest był spokojny i wyważony.

Zdjęcie przedstawiało małą dziewczynkę o ciemnobłękitnych oczach i rozczochranych czarnych włosach. Siedziała na bujnym, zielonym trawniku i uśmiechała się do obiektywu, jednak bez przekonania, jakby nie podobało jej się, że ktoś ją fotografuje.

– Poznaje pani tę dziewczynkę? – spytał.

– Nie, nie sędzę. A powinnam?

– Mogłaby pani zerknąć jeszcze raz?

Odchylił się do tyłu i uważnie mnie obserwował. Spełniłam prośbę i znowu popatrzyłam na zdjęcie. Niebieskie oczy, wyraziste rysy, uśmiech, który w gruncie rzeczy nie jest uśmiechem. Może jednak miała w sobie coś znajomego?

– Sama nie wiem. Przykro mi. Kto to?

– Nazywa się Sammy Went. Fotografię zrobiono w dniu jej drugich urodzin. Trzy dni później zniknęła.

– Zniknęła?

– Porwano ją z jej domu w Manson w stanie Kentucky. Prosto z sypialni na pierwszym piętrze. Policja nie znalazła żadnych śladów pozostawionych przez porywacza. Nie było świadków, nikt nie żądał okupu. Przepadła jak kamień w wodę.

– Myślę, że szuka pan Edny, nie mnie – powiedziałam. – Prowadzi zajęcia z kryminologii. Ja zajmuję się fotografią artystyczną, ale Edna fascynuje się przestępczością.

– Przyjechałem się zobaczyć z panią – odparł. Odchrząknął i kontynuował: – Niektórzy przypuszczali, że zabłądziła w lesie, została pożarta przez kojota albo pumę, ale lasy znajdowały się sześć kilometrów od jej domu. Za daleko, by dwulatka dotarła tam sama. Najbardziej prawdopodobny scenariusz to porwanie.

– Rozumiem. Więc prowadzi pan śledztwo w tej sprawie?

– W gruncie rzeczy jestem księgowym. – Odetchnął głęboko i poczułam zapach mięty. – Ale wychowałem się w Manson i dość dobrze znam rodzinę Wentów.

Warsztat miał się zacząć za pięć minut, więc ostentacyjnie zerknęłam na zegarek.

– Przykro mi z powodu tej dziewczynki, ale obawiam się, że zaraz zacznym wykład. Oczywiście chętnie pomogę. O jakiej kwocie pan myśli?

– Kwocie?

– Zbiera pan pieniądze dla rodziny, prawda? Czy nie o to chodzi?

– Nie chcę od pani pieniędzy – odrzekł chłodno. Patrzył na mnie ze zdziwieniem, a twarz jakby mu się skurczyła. – Jestem tutaj, bo uważam, że jest pani... związana z tą sprawą.

– Związana z porwaniem dwuletniej dziewczynki?! – Roześmiałam się. – Niech pan nie mówi, że przyjechał pan ze Stanów do Australii, by mnie oskarżyć o porwanie!

– Źle mnie pani zrozumiała – powiedział. – Sammy Went zniknęła trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, dwadzieścia osiem lat temu. Nie uważam, że ją pani porwała. Myślę, że Sammy Went to pani.

W moim warsztacie z fotografii uczestniczyło siedemnaście osób – w różnym wieku, różnych ras i różnej płci. Na jednym końcu znajdowała się Lucy Cho, która niedawno skończyła szkołę średnią i w dalszym ciągu nosiła bluzę z kapturem z napisem *Mornington Secondary* na plecach. Na drugim krańcu był Murray Palfrey, siedemdziesięcioczeroletni emeryt, który miał zwyczaj wyłamywać sobie palce, nim uniósł rękę. Rozlegało się wtedy głośnie chrupanie.

Tego wieczoru odbywały się prezentacje cykli zdjęć: uczestnicy warsztatu stawali przed grupą i pokazywali zdjęcia wykonane w tym semestrze, po czym następowała dyskusja. Większość fotografii niczym się nie wyróżniała, choć była dobra pod względem technicznym – oznaczało to, że robię coś sensownego. Tematy były prawie takie same jak w poprzednim semestrze i jeszcze wcześniej. Widziałam te same graffiti na odrapanym ceglany murze, ten sam obrośnięty bluszczem dom w dzielnicy Carlton Gardens, ten sam ciemny, tajemniczy wylot kanału ściekowego, z którego ciurkała do rzeki Egan brudna, brązowa woda.

Prowadziłam zajęcia prawie jak automat.

Spotkanie z amerykańskim księgowym wytrąciło mnie z równowagi, ale nie dlatego,

że uwierzyłam w jego słowa. O mojej matce, Carol Leamy, mogłabym powiedzieć wiele rzeczy – zmarła przed czterema laty – ale z pewnością nie była porywaczką dzieci. Wystarczała minuta rozmowy z matką, by się zorientować, że w ogóle nie potrafi kłamać, a cóż dopiero uprowadzać dzieci i przewozić je z kraju do kraju.

James Finn się pomylił. Byłam prawie pewna, że nigdy nie odnajdzie tej małej dziewczynki, jednak przypomniał mi o przykrej prawdzie: łudzimy się, że nad czymś panujemy. Rodzice Sammy Went nauczyli się tego w brutalny sposób, tracąc dziecko. Ja też nauczyłam się tego w brutalny sposób, tracąc matkę. Zmarła dość szybko: miałam dwadzieścia cztery lata, gdy rozpoznano u niej raka, i dwadzieścia sześć, kiedy odeszła.

Z moich doświadczeń wynika, że większość ludzi wyciąga z takich przeżyć jeden z dwóch wniosków: „Nic nie dzieje się bez przyczyny” albo „Świat to chaos”. Oczywiście istnieją odmiany podobnych refleksji: „Bóg działa w tajemniczy sposób” i „Życie jest podłe”. Ja przyjąłam drugą wersję. Matka nie paliła i przez całe życie pracowała w fabryce tekstylnej. Dobrze się odżywiała, ćwiczyła i w końcu niczego to nie zmieniło.

No właśnie: łudzimy się, że nad czymś panujemy.

Zdałam sobie sprawę, że zamiast słuchać prezentacji, myślę o niebieskich migdałach, więc odstawiłam kubek zimnej kawy i próbowałam się skupić.

Następny miał zaprezentować swoje prace Simon Daumier-Smith. Był nieśmiałym dwudziestokilkulatkiem. Kiedy zabierał głos, najczęściej wpatrywał się w podłogę. Jeśli unosił wzrok, jego oczy leniwie poruszały się za grubymi soczewkami okularów i wyglądał trochę jak ryba.

Przez kilka minut niezgrabnie rozkładał fotografie na sztalugach przed uczestnikami warsztatu. Zaczęli się niecierpliwić, więc poprosiłam Simona, by opowiedział o projekcie, kończąc ustawianie zdjęć.

– Eee... jasne... okej – rzekł, zmagając się z jednym z wydruków. Wypadł mu z ręki i podniósł go z podłogi. – Wiem, że mieliśmy szukać... eee... kontrastów i... eee... nie jestem zupełnie pewny, czy mi się udało, próbowałam je uchwycić. – Ustawił na sztalugach ostatnią fotografię i cofnął się, by uczestnicy zajęć mogli obejrzyć zdjęcia. –

Chyba można powiedzieć, że ten cykl przedstawia kontrast między brzydotą a pięknem.

Ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu okazało się, że zdjęcia Simona Daumiera-Smitha... dosłownie zapierają dech w piersiach.

Cykl składał się z sześciu fotografii w identycznych oprawach. Simon musiał umieścić aparat na statywie i robić je co kilka godzin. Były surowe i proste: łóżko, kobieta i mała dziewczynka. Kobieta była w wieku Simona, z dziobatą, ale ładną twarzą. Dziewczynka miała około trzech lat, nienaturalnie zaczerwienione policzki i zmarszczone brwi.

– Zrobiłem te zdjęcia w ciągu jednej nocy – wyjaśnił Simon. – Dziewczyna to moja żona, Joanie, a to nasza córeczka, Simone. Jej imię nie ma żadnego związku z moim. Wielu ludzi myśli, że nosi żeńską wersję mojego imienia, ale Joanie ma babcię o imieniu Simone.

– Powiedz nam coś więcej o cyklu, Simon – poprosiłam.

– Dobrze. Eee... Simone zachorowała na koklusz i nie spała przez całą noc. Trochę marudziła, więc Joanie położyła się razem z nią.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało matkę karmiącą dziewczynkę; podawała jej jedzenie łyżeczką. Na drugim dziewczynka płakała, odpychając matkę. Na trzecim żona Simona wyglądała, jakby miała dość robienia zdjęć. Dwie pozostałe fotografie były podobne, a szósta przedstawiała matkę i dziecko we śnie.

– Na czym polega brzydota? – spytałam.

– No cóż, na tym zdjęciu małej Simone z ust cieknie ślina. Moja żona strasznie wtedy chrapała, choć oczywiście nie można tego zobaczyć na fotografii.

– Nie widzę w tym brzydoty – powiedziałam. – Widzę coś... zwyczajnego. Ale pięknego.

Simon Daumier-Smith nigdy nie zostanie zawodowym fotografikiem. Byłam tego prawie pewna. Jednak jego banalnie zatytułowany cykl *Chora dziewczynka* przedstawiał coś prawdziwego i rzeczowego.

– Nic pani nie jest, panno Leamy? – spytał.

– Kim – przypomniałam. – Wszystko w porządku. Dlaczego pytasz?

– Przecież... przecież pani płacze.

Po dziesiątej pojechałam do domu przez ponure przedmieście Coburg. W dach subaru bębniły strugi deszczu. Dziesięć minut później dotarłam do domu, zaparkowałam samochód i pobiegłam w stronę swojego bloku, trzymając nad głową torbę zamiast parasolki.

Na trzecim piętrze unosił się zapach czosnku i przypraw, dziwnie uspokajająca woń z mieszkania sąsiadów, których w ogóle nie znałam. Kiedy szłam w stronę swoich drzwi, Georgia Evvie wystawiła głowę na korytarz.

– Pomyślałam, że to ty, Kimberly. – Była tęgą kobietą po sześćdziesiątce i miała przekrwione, mętne oczy. Raz słyszałam, jak jedna z sąsiadek nazwała ją za plecami: „Gruba Evvie”. – Usłyszałam windę, popatrzyłam na zegarek i pomyślałam: „Kto inny mógłby wracać do domu przed północą?”.

Było wpół do jedenastej.

– Przepraszam, pani Evvie. Obudziłam panią?

– Nie, nie, jestem nocnym markiem. Bill położył się do łóżka przed dziewiątą, więc mógł coś usłyszeć, ale się nie skarżył. – Machnęła lekceważąco ręką. – Nawet gdyby się poskarżył, przypomniabym mu, że jest pani młoda. Młodzi ludzie wracają dziś późno do domu, zdaje się, że nie tylko w weekendy.

– Aha.

Nikt nigdy nie widział męża Georgii i nie istniały żadne dowody, że naprawdę istnieje. Oczywiście mógł zostać pochowany pod górami śmieci zgromadzonych przez Georgię. Kiedy otwierała drzwi, widziałam przez moment wnętrze jej mieszkania, wypełnione niestabilnymi stosami rupieci: książek, rachunków, teczek i wypchanych pudeł. Jedyne okno, jakie widziałam z korytarza, zaklejono gazetą i byłam pewna, że gdzieś w tym chaosie znajduje się również kilka czapek z folii aluminiowej chroniących przed promieniowaniem elektromagnetycznym, choć nigdy żadnej nie dostrzegłam.

– No cóż, zauważyłam, że pani nie śpi... – zaczęła. Georgia zamierzała się wprosić na kieliszek wina przed snem. Ja miałam ochotę podkreślić ogrzewanie, położyć się na kanapie ze Stephenem Kingiem i słuchać uspokajających, przewidywalnych dźwięków rozlegających się w mieszkaniu – buczenia lodówki, szumu centralnego ogrzewania, cichego brzęczenia zasilacza laptopa. – A może kieliszeczek na dobranoc?

– Jasne – odparłam z westchnieniem. Od śmierci matki prawie nigdy nie potrafiłam

odmówić samotnej kobiecie.

Moja kawalerka była umeblowana po spartańsku, dzięki czemu sprawiała wrażenie ogromnej. Nawet gruba Evvie wydawała się mała w zielonym fotelu obok okna, z szybami pokrytymi strugami deszczu w tle. Skubała spodnie od dresu i rzucała nitki na drewnianą podłogę.

Przyniosłam z kuchni butelkę wina i napełniłam dwa kieliszki. Pojawienie się Georgii miało jedną zaletę: nie musiałam pić sama.

– Jak pani myśli, Kim, co oni tam szykują? – spytała.

– Kto?

– Kto? Ci z 3C. Słyszę, jak przez cały dzień trajkoczą po iracku czy jakoś tam.

– Och, 3C. Zapach przypomina curry. – Zaburczało mi w brzuchu. Szukałam w kuchni czegoś do zjedzenia, ale znalazłam tylko przyprawy. Musiałam się zadowolić winem.

– Nie mówię o ich kolacji, tylko planach – zniżyła głos do szeptu.

Georgia była przekonana, że lokatorzy spod 3C to terroryści. Opierała się na dwóch przesłankach: pochodzili z Bliskiego Wschodu i na skrzynce pocztowej znajdowało się imię Mohamed. Kilka razy tłumaczyłam jej, że nie wszyscy ludzie o ciemnej karnacji to terroryści, a poza tym wątpiłam, żeby Coburg w Australii znajdowało się wysoko na liście potencjalnych celów ataku. Ale za każdym razem Georgia po prostu kiwała głową i mówiła: „Jeszcze się pani przekona”.

– Dlaczego wróciła pani tak późno do domu, Kim? Pewnie była pani w jakimś klubie.

– Pracuję wieczorami, pani Evvie. Dobrze pani o tym wie.

Wypiła łyk wina i skrzywiła się lekko z powodu jego smaku.

– Nie rozumiem was, młodych. Włóczycie się po nocy i robicie Bóg wie co.

Szybko wypiałam pierwszy kieliszek wina i nalałam sobie drugi. Tym razem starałam się pić wolniej, w zamyśleniu. Chciałam się wprowadzić w stan lekkiego rauszu, który ułatwi zaśnięcie.

– Przytrafiło mi się dziś wieczorem coś dziwnego, pani Evvie – powiedziałam. – W pracy zaczepił mnie mężczyzna.

– W końcu – odparła i dołała sobie wina. – Najwyższa pora, Kim. Kobieta ma

niewiele czasu, by złapać mężczyznę. Między piętnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, to wszystko. Poznałam Billa w wieku siedemnastu lat i rok później wyszłam za niego za mąż.

Georgia znalazła pilota wepchniętego między zielone poduszki leżące na fotelu i włączyła telewizor. Była dość dziwaczna i miała skłonność do lekkiego rasizmu, lecz w gruncie rzeczy zależało jej na czyimś towarzystwie.

Usiadłam z podwiniętymi nogami na kanapie i otworzyłam laptopa, a tymczasem Georgia nastawiła telewizor na pełny regulator i przeglądała kanały.

Zamierzałam od niechcienia surfować po internecie, może poszukać informacji o jednej z koleżanek ze szkoły średniej albo oczyścić swoją skrzynkę pocztową, jednak ciekawość szybko wzięła górę. Otworzyłam nową kartę i wpisałam do wyszukiwarki słowa „Sammy Went Manson Kentucky”; miałam przy tym wrażenie, że moje palce działają poza kontrolą umysłu. Przypomniał mi się mechaniczny sposób, w jaki James Finn otwierał teczkę z szarego papieru.

Pierwszy link prowadził do zarchiwizowanego artykułu z gazety z siódmego kwietnia 1990 roku. Artykuł zeskanowano wraz z zagięciami papieru i plamami. Słowa niekiedy się zlewały i czułam się jak dawny naukowiec ślęczący nad mikrofilmem.

POLICJA POSZUKUJE ZAGINIONEJ DZIEWCZYNKI

Ochotnicy i funkcjonariusze policji wznowili w piątek poszukiwania dwuletniej dziewczynki zaginionej w rejonie Manson.

We wtorek po południu Sammy Went zniknęła ze swojego domu w Manson i jak dotychczas nie została odnaleziona mimo przeszukania miasta i jego okolic.

„Wierzmy, że znajdziemy Sammy i odwieziemy ją bezpiecznie do domu – powiedział Chester Ellis, szeryf Manson. – W tej chwili zakładamy, że dziewczynka zabłądziła w okolicy”.

Policja nie przypuszcza, że zniknięcie dziecka jest wynikiem przestępstwa, ale nie może niczego wykluczyć. W piątek setki mieszkańców Manson przeszukiwało zalesione obszary otaczające dom rodziny Wentów.

Karen Peady, ochotniczka uczestnicząca w akcji poszukiwawczej, wieloletnia mieszkanka Manson, wyraziła swoje obawy: „Noce są zimne i w okolicy żyje wiele dzikich zwierząt, ale najbardziej przeraża mnie to, że mógł ją porwać mężczyzna.

Dobrze jest wierzyć, że niegodziwości współczesnej Ameryki nie dotarły jeszcze do Manson, ale na świecie jest wielu chorych ludzi, nawet w tak małym mieście”.

Ostatnio Sammy miała na sobie żółtą bluzkę z długimi rękawami i niebieskie szorty do spania. Policja prosi o wszelkie informacje mogące pomóc w śledztwie.

Artykułowi towarzyszyła ta sama fotografia, którą pokazał mi James Finn, tylko czarno-biała. Głębokie błękitne oczy Sammy wydawały się czarne, a prześwietlona twarz była biała jak śmierć i prawie pozbawiona wyrazu.

Po krótkim wyszukiwaniu znalazłam w internecie fotografię Jacka i Molly Wentów, rodziców Sammy. Zdjęcie zrobiono kilka dni po zniknięciu dziewczynki przed biurem szeryfa Manson.

Wyglądali na straszliwie zmęczonych, mieli napięte twarze i strach w oczach. Zwłaszcza Molly Went wydawała się zdruzgotana, jakby dusza opuściła jej ciało, które zaczęło funkcjonować niczym automat. Skrzywione wargi sugerowały histerię.

Przyjrzałam się rysom Molly Went, porównując je ze swoimi. Miałyśmy podobne, wydłużone, ostre nosy i ciężkie powieki. Molly wydawała się znacznie niższa ode mnie, ale Jack Went musiał mieć przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu. Im dłużej się przyglądałam, tym bardziej dostrzegałam w nich siebie. Patrzyłam na małe, blade uszy Jacka Wenta, sylwetkę Molly Went, szerokie ramiona Jacka, spiczasty podbródek Molly. Trochę DNA z próbki A, trochę z próbki B.

Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia. Kiedy czytam horoskopy, czuję się podobnie – są pisane w taki sposób, by każdy znalazł w nich to, co chce.

„Czy pragnę ujrzeć swój obraz w Jacku i Molly Wentach?” – pomyślałam. To pytanie mnie zaskoczyło i wkrótce w moim umyśle pojawiły się następne. Czy oczy Sammy nie mają tego samego głębokiego błękitnego odcienia jak moje i czy te pulchne nóżki nie mogły się zmienić w długie kościste nogi? Gdyby Sammy żyła, byłybyśmy teraz mniej więcej w tym samym wieku.

Czy Jack i Molly Wentowie w dalszym ciągu czekają na rozwiązanie zagadki? Czy każdy telefon albo pukanie do drzwi budzi w nich nadzieję, przerażenie albo gorzkie połączenie jednego i drugiego? Czy widzą twarz Sammy w każdej kobiecie mijanej na ulicy? A może znaleźli sposób, by zapomnieć o stracie córki?

Najważniejsze pytanie ze wszystkich tkwiło na dnie mojej świadomości jak odłamek

szkła. Czy Carol Leamy, początkowo pracownica socjalna, a później przez większość swojego życia zawodowego pracująca w dziale kadr firmy sprzedającej i produkującej haczyki do wieszania obrazków, naprawdę byłaby zdolna do...

Powstrzymałam się od snucia dalszych rozważań. Implikacje były zbyt dalekosiężne i, szczerze mówiąc, zbyt absurdalne.

Oderwałam wzrok od laptopa, słysząc głośnie chrapanie. Georgia głęboko zasnęła w zielonym fotelu, trzymając kieliszek wina kciukiem i palcem wskazującym. Wzięłam kieliszek, wyłączyłam telewizor i okryłam jej nogi grubą, mechatą narzutą. Z doświadczenia wiedziałam, że prześpi kilka godzin. Obudzi się około trzeciej, skorzysta z toalety i wróci do swojego mieszkania po drugiej stronie korytarza.

Kiedy tej nocy zasnęłam, przyśnił mi się wysoki mężczyzna utkany z cieni. Pojawił się za oknem mojej sypialni i wyciągnął przerażająco długie ręce. Niósł mnie długą, wąską ścieżką wśród wysokich drzew.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

We wtorek trzeciego kwietnia 1990 roku Jack Went opróżnił pęcherz w łazience na piętrze domu. W odległości półtora metra od niego brała prysznic jego żona. Obserwowanie jej przez matową szybę miało w sobie coś symbolicznego. Niewyraźna sylwetka kobiety, którą kiedyś znał. Tak, chyba można tak to określić.

Molly zakręciła wodę, ale została w kabinie.

– Skończyłeś, Jack?

– Prawie. – Umył ręce. – Nie musisz się chować. Wszystko już widziałem.

– W porządku, zaczekam.

Stała w kabinie, lekko przygarbiona. Jej sylwetka kojarzyła się Jackowi z książkami o drugiej wojnie światowej – załamana kobieta ocalała z Holocaustu albo prosta wiejska dziewczyna stojąca na polu pokrytym zwłokami.

Ubranie Molly wisiało na drzwiach łazienki: sweter w odcieniu pastelowego różu i gruba dzinsowa spódnica sięgająca prawie do kostek. M o d a z i e l o n o ś w i ą t k o w c ó w.

Dawniej, przed narodzinami Sammy, Molly była ciepła i pełna energii, ale teraz wydawała się jakby rozwodniona. Snuła się po domu jak widmo, zamiast żyć. Jack nic z tego nie rozumiał. Nie musiała pracować, bo apteka przynosiła spore zyski; miała troje pięknych dzieci i wsparcie swojego Kościoła, a jednak z jakiegoś powodu dręczył ją smutek.

Molly odsunęła zasłonę prysznicza o kilka centymetrów i wyjrzała. Jej barki pokrywała gęsia skórka.

– Idź już, kochany. Zimno mi.

– Idę, idę – odpowiedział, po czym wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

Dwójka dzieci Wentów gapiła się na parterze w telewizor, oglądając jeden z odcinków *Wojowniczych żółwi ninja*. Żadne nie pozdrowiło Jacka. Stu, barczysty dziewięcioletek, dostał kataru. Siedział z pudełkiem chusteczek higienicznych przykryty wełnianym kocem i z nieszczęśliwą miną gapił się w ekran.

– Lepiej się czujesz, chłopcze? – spytał Jack i dotknął wierzchem dłoni czoła syna. Stu nie odpowiedział. Patrzył jak zahipnotyzowany na żółwie.

Sammy, dwulatka o wyglądzie aniołka, również obserwowała film, ale wydawała się także zainteresowana starszym bratem. Zerknęła to na kreskówkę, to na Stu. Kiedy Michelangelo zażartował i Stu się roześmiał, ona również się roześmiała, naśladując ton i rytm jego głosu. Kiedy Shredder wymyślił jakiś złośliwy plan i Stu jęknął, Sammy także jęknęła.

Jack cicho wyszedł z pokoju, nie chcąc mącić domowego szczęścia.

Jego najstarsza córka, Emma, jadła w kuchni płatki zbożowe. Trzymała rękę wokół miski; wyobrażała sobie, że tak spożywają posiłki więźniowie.

„Tak wyobraża sobie nasz dom? – pomyślał Jack. – Jako więzienie, w którym odsiaduje wyrok?” Sam miał czasem podobne wrażenie.

– Dzień dobry, kochanie – powiedział i zaczął przygotowywać kawę. – Wczoraj wpadł do apteki trener Harris. Powiedział, że znowu miałaś okres i nie mogłaś uczestniczyć w zajęciach z wychowania fizycznego. Przynieść ci naproksen?

Emma prychnęła.

– Moim zdaniem to niestosowne, by dwaj dorośli mężczyźni rozmawiali o moim okresie.

– Zwalnianie się z wufu z tego powodu to przecież banał, prawda?

– Nie banał, tylko klasyka, tato. Poza tym Harris to zboczeniec. Zawsze każe nam się wspinać na liny, żeby zaglądać nam do majtek. Ach, coś mi się przypomniało, musisz to podpisać.

Wsunęła rękę do tornistra i wyjęła kartkę papieru.

– „Zgoda na uczestnictwo w zajęciach na temat ewolucji” – przeczytał Jack. – Trzeba mieć teraz zgodę rodziców na udział w lekcjach biologii?

– Tak, kiedy połowa uczniów to zaszranie zielonaki.

– Widziała to twoja matka? – spytał, zniżając głos.

– Nie.

Wyjął długopis z kieszeni na piersi i szybko podpisał zgodę.

– Nie musimy jej mówić. I niech matka cię nie przyłapie na używaniu słów na literę Z.

– Zastrane?

– Zielonaki.

Emma złożyła kartkę i schowała do tornistra.

Teoretycznie Jack i Molly byli członkami Kościoła Wewnętrznej Światłości – Molly się nawróciła, a rodzice Jacka należeli do Kościoła – jednak Molly traktowała religię znacznie poważniej od męża. Uczestniczyła we wszystkich trzech nabożeństwach w tygodniu. Było to typowe dla wyznawców, którzy odnaleźli wiarę w drugiej połowie życia: zwykle starali się wypełnić pustkę.

Jack odsunął się od Kościoła jako nastolatek i przestał uczestniczyć w nabożeństwach po narodzinach Emmy. Twierdził, że ze względów bezpieczeństwa: członkowie Kościoła Wewnętrznej Światłości, podobnie jak wielu innych fundamentalistycznych zielonoświątkowców, w czasie ceremonii religijnych brali do rąk jadowite węże i połykali trucizny – nie jest to zdrowe dla dzieci. Jack zostawał w domu i opiekował się Emmą, a na nabożeństwa chodziła Molly. W dalszym ciągu twierdził, że jest członkiem Kościoła, by Molly go nie opuściła, a rodzice nie wydziedziczyli – choć czasem obie te możliwości nie wydawały się takie złe – jednak w gruncie rzeczy już dawno stracił wiarę.

Molly zeszła na parter ubrana w różowy sweter o pastelowym odcieniu.

– Dzień dobry, Em.

Emma mruknęła coś w odpowiedzi.

– Trener Harris mówił ojcu, że wymigujesz się od wufu pod pozorem okresu.

– Tata wygłosił mi już kazanie na ten temat, więc możesz dać spokój.

– Mam nadzieję, że ci powiedział, że kłamstwo to grzech i w tej chwili nauka to najważniejsza rzecz w twoim życiu.

– Jezu, znowu zaczynasz.

– Em! – Molly uderzyła pięścią w blat kuchenny. – „Każde bowiem drzewo poznaje

się po jego owocu”¹. „Z obfitości serca mówią usta jego”². „Nie nadużywaj imienia Pana, Boga twojego”³.

– Nie szanujesz wiary – dokończyła Emma zmęczonym, monotonnym głosem. – Słowa świadczą o naszej miłości do Boga i o tym, kim jesteśmy. Rozumiem, dziękuję. – Wstawiła talerz do zlewu. – Muszę iść. Umówiłam się z Shelley.

Wzięła tornister, przebiegła z tupotem przez kuchnię w brudnych trampkach marki Converse i zniknęła za drzwiami.

– Szkoda, że mnie nie wsparłeś – rzekła Molly do Jacka.

– Uważałem, że dobrze sobie radzisz. – Objął ją ramieniem i próbował nie zwracać uwagi na to, że zeszywniała, gdy poczuła dotyk jego ręki.

– Martwię się o nią, Jack.

– Nie jest jeszcze zagubioną owieczką – odparł. – Najwyżej trochę zagubioną. Pamiętasz, jaka byłaś w jej wieku? Poza tym wkrótce przestanie mnie lubić. Czytałem gdzieś, że kiedy dziewczęta wchodzi w okres dojrzewania, coś się zmienia w ich mózgu i instynktownie nienawidzą zapachu ojca. To podobno coś związanego z ewolucją, co zapobiega kazirodztwu.

Molly zrobiła kwaśną minę.

– Kolejny powód, by nie wierzyć w ewolucję.

Sammy szarpnęła Jacka za nogawkę spodni. Weszła do kuchni, kolebiąc się i ciągnąc za sobą pluszową małpkę.

– Tato – wysepleniła. – Kadzirodztwo?

Molly się roześmiała. Dobrze było słyszeć jej śmiech.

– Zabawne. Muszę sprawdzić, co robi Stu.

Kiedy Molly opuściła kuchnię, Jack wziął córkę na ręce i przysunął jej twarz do swojej twarzy. Pachniała świeżym talkiem.

– Kadzirodztwo? – powtórzyła Sammy.

– Kadzidło – odparł Jack. – No wiesz, jak w kościele.

Apteka Wentów, źródło utrzymania rodziny, znajdowała się na rogu Main Street i Barkly Street, w środku dzielnicy handlowej Manson. Obok można było przejść na skróty między dużym parkingiem a Main Street, co oznaczało, że zawsze mijają ją wielu

ludzi. Wszyscy chorowali i interes świetnie prosperował.

Kiedy pojawił się Jack, za ladą stała Deborah Shoshlefski i pakowała zakupy jednego z klientów. Deborah była najmłodszą i najbardziej godną zaufania ekspedientką Jacka, zaniedbaną dziewczyną z szeroko rozstawionymi oczami, które sprawiały, że wydawała się nieustannie zdziwiona.

– Dzień dobry, szefie. Jest mnóstwo recept do realizacji. Są na pańskim szpikulcu.

– Dzięki, Debbie.

Przewróciła oczami, roześmiała się i zwróciła się do klienta:

– Wie, że nie znoszę, gdy ktoś nazywa mnie Debbie, więc przy każdej okazji tak się do mnie zwraca.

Jack uśmiechnął się do niej grzecznie i wszedł za ladę. Ledwie zapiął biały fartuch, gdy chwyciła go za ramię koścista ręka.

– Okropnie bolą mnie stawy, Jack – zaświszczał starczy głos. Graham Kasey mieszkał w Manson od wieków i wydawał się stary nawet w czasach, gdy Jack był podrostkiem. Miał luźną sztuczną szczękę i straszliwie rzeził, podobnie jak dziadek Jacka w ostatnich latach życia. – Nie mam pojęcia, za co przeżywam te męki. Twoje lekarstwa nie działają, Jack. Daj mi coś mocniejszego niż to gówno. – Uniósł puste opakowanie po Pain-Away, maści mającej zapobiegać bólom reumatycznym.

– Byłeś u lekarza, Graham?

– Spodziewasz się, że pojadę aż do Coleman tylko po to, żeby doktor Arter wysłał mnie tutaj z kawałkiem papieru? Wiem, że masz to, czego mi potrzeba.

– Nie handluję narkotykami. Kto mówi, że musisz jeździć aż do Coleman? W Manson jest doktor Redmond.

– Doktor Redmond i ja się nie dogadujemy.

Jack dyskretnie mrugnął do Deborah, która zaśmiała się w odpowiedzi. Graham Kasey z pewnością wolałby przejechać trzydzieści kilometrów do Coleman swoim starym statesmanem, zużywającym mnóstwo benzyny, niż iść do doktor Redmond, kobiety, a do tego Murzynki.

– Przykro mi, Graham. Nie wypisuję recept, tylko je realizuję.

W trakcie całej rozmowy Graham nie puszczał ramienia Jacka. Jego zimne, kościste palce przypominały martwe białe gąsienice.

- Nie wiesz, że starszym należy się szacunek?
- To niezgodne z prawem.
- Och, gadaj zdrów. Wiem, jak to się robi, Jack. Możesz spisać na straty wszystko, co masz za ladą. Leki bez przerwy się gubią. Nie można ich znaleźć, zjadają je szczury, upływa termin ważności...
- Skąd możesz to wiedzieć?
- No cóż, powiedzmy, że Sandy nie była taka cholernie skrupulatna, gdy prowadziła interes.

Kiedy Jack usłyszał imię matki, poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie. Aptekę Wentów otwarto dwa lata przed jego urodzeniem, o czym codziennie przypominał mu szyld nad wejściem: „APTEKA WENTÓW, ZAŁOŻONA W 1949 ROKU”. Zaczął w niej pracować na pełny etat cztery lata po ukończeniu college’u, ale nigdy nie czuł, że naprawdę należy do niego.

Nie pomagało to, że matka – również farmaceutka, oficjalnie na emeryturze – wpadała co drugi tydzień pod pretekstem konieczności zakupu fiolki aspiryny albo ogromnego opakowania papieru toaletowego. Chodziła między regałami i mówiła rzeczy w rodzaju: „Och, dlaczego postawiłeś leki antyhistaminowe właśnie tutaj?!”. Pewnego razu przeciągnęła nawet palcem po jednej z tylnych półek w poszukiwaniu kurzu niczym sztywna brytyjska niania mająca manię na punkcie czystości.

Graham musiał zauważyć groźne błyski w oczach Jacka, bo zmiękł i w końcu puścił jego ramię. Na skórze pozostały blade ślady palców.

- Och, cholera, wezmę jeszcze jedno opakowanie tego kociego gówna.
- Jack się uśmiechnął i poklepał Grahama po plecach. Mógłby przysiąc, że ze swetra staruszka uniósł się kurz.

– Słyszałaś, Debbie – powiedział. – Jedno opakowanie kociego gówna dla pana Grahama. Włóż je do torebki.

- Już się robi, szefie.
- Jack wrócił do swojego maleńkiego gabinetu, by realizować recepty, ale ciągle nie mógł się uspokoić. Graham Kasey dotknął starej rany i teraz Jack był zirytowany.

„Dorosły mężczyzna z problemami związanymi z matką – pomyślał. – Czy to nie banał?”

„Nie banał, tylko klasyka” – usłyszał głos córki.

Usiłował się skupić na pracy, ale kiedy zdjął ze szpikulca pierwszą receptę, rozdarł ją prawie na pół. Na szczęście najważniejsze słowa były w dalszym ciągu czytelne: „Andrea Albee, fluoksetyna, dawka podtrzymująca”.

Wziął niewielki plastikowy kubeczek, ruszył wśród wysokich regałów z lekarstwami, po czym wrócił do biurka z prozakiem Andrei Albee i uruchomił ogromny komputer stojący na blacie. Maszyna brzęczała, wyraźnie się męcząc. Kilka minut później pojawił się czarny ekran z zieloną listą folderów. Jack znalazł fluoksetynę i kazał wydrukować działania uboczne, by przykleić je do buteleczki.

Drukarka dygotała i rzeziła, wyrzucając z siebie listę. „Pokrzywka, niepokój, dreszcze, gorączka, senność, arytmia, konwulsje, przesuszona skóra, suchość w ustach”. Czy Andrea Albee jest naprawdę aż tak smutna? Czy te ogłupiające tabletki są naprawdę warte tych wszystkich działań ubocznych (właśnie o to chodzi: wbrew obiegowej opinii prozak nie czyni nikogo szczęśliwym ani lepszym)?

W drzwiach gabinetu Jacka pojawiła się głowa Deborah.

– Telefon do pana, szefie. Chce go pan odebrać u siebie?

– Dziękuję, Deborah.

Jej oczy stały się większe niż zwykle.

– Nie nazwał mnie pan Debbie!

Jack uśmiechnął się w ten sam sposób jak do Grahama Kaseya, a Deborah przełączyła rozmowę na aparat na jego biurku.

– Jack Went, słucham?

– Cześć, Jack. – Natychmiast rozpoznał głos. – Masz ochotę na lunch?

O drugiej po południu Jack zatrzymał się na parkingu na wschodnim krańcu jeziora Merri i czekał oparty o swojego buicka reattę w wersji kabriolet – Emma czule nazywała samochód ojca mobilnym kryzysem wieku średniego. Parking, oddzielony od autostrady czterystumetrowym pasem gęstych krzewów, był prawie zawsze pusty, nawet gdy wiosną ludzie znowu pojawiali się nad wodą.

Dziesięć minut później przyjechał furgonetką firmy sprzątającej Travis Eckles. Wysiadł w luźnym białym kombinezonie roboczym, przejrzał się w przedniej szybie

i poprawił zmierzwione włosy. Miał pod okiem wielkiego fioletowego siniaka.

– Co ci się stało, do licha?! – spytał Jack.

Travis delikatnie dotknął zranionego miejsca i natychmiast się skrzywił.

– Nie jest tak źle, jak wygląda.

Jack ujął głowę Trávisa i obejrzał siniaka. Opuchlizna sprawiła, że Travis wyglądał jak bandyta. Jego starszy brat został skazany za pobicie.

– Boli cię? Chcesz trochę ibuprofenu?

Travis wzruszył ramionami.

– Nie, wszystko w porządku.

– Zrobiła ci to Ava?

Travis zignorował pytanie, co sugerowało, że to prawda.

Ava Eckles była matką Trávisa, zwariowaną alkoholiczką, która od czasu do czasu miewała napady szału. Jeśli wierzyć plotkom, w dawnych czasach spała z połową mężczyzn w Manson.

Ojciec Trávisa służył jako szeregowiec w Siłach Powietrznych i znajdował się na pokładzie helikoptera CH-53 Sea Stallion, który w 1983 roku rozbił się w czasie ćwiczeń na południowo-wschodnim wybrzeżu Karoliny Północnej. Wszyscy obecni na pokładzie zginęli.

Travis miał starszego brata Patricka, który w tej chwili odsiadywał w więzieniu w Greenwood wyrok za pobicie. Kuzyni Ecklesów nie kończyli studiów, handlowali narkotykami i miewali konflikty z prawem.

„Ładna rodzinka”, pomyślał Jack. Jednak Travis był w porządku. Miał dwadzieścia dwa lata i w dalszym ciągu mógł się wyrwać z Manson. Chociaż posada sprzątacza nie jest niczym marzeniem, uczciwie pracował za przyzwoite pieniądze. Bywał szorstki i niemiły, jednak czasem był serdeczny i zabawny. Znało go od tej strony niewielu ludzi.

Travis odsunął boczne drzwi furgonetki. Duży czerwony napis „SPRZĄTANIE Z PASJĄ” zmienił się w „SPSJA”. Odstąpił na bok.

– Ty pierwszy.

Jack spojrzał na jezioro. Wiecznie zielone krzaki od strony Coleman kołysały się w silnym wietrze, ale woda była nieruchoma i pusta. Byli sami. Wszedł do furgonetki;

Travis podążył za nim i zasunął drzwi. We wnętrzu samochodu było ciepło. Travis opuścił do pasa kombinezon, a Jack rozpiął spodnie.

MELBOURNE, AUSTRALIA

TERAZ

Dom mojej siostry znajdował się w labiryncie identycznych budynków na przedmieściu Caroline Springs. Byłam tam już co najmniej kilkanaście razy, ale nie miałam pewności, czy jestem we właściwym miejscu, dopóki Amy nie wybiegła mi na spotkanie.

– Co się stało?! – zawołała. – Co się dzieje?! Wszystko w porządku?!

– O czym ty gadasz? Nic się nie stało. Kto mówi, że coś się stało?

– Kiedy zobaczyłam cię przed drzwiami... Nie wiedziałam, że przyjedziesz... Przepraszam... Chyba zawsze spodziewam się najgorszego.

– Oj, nie mogę po prostu odwiedzić siostry?

– Nie ty, Kim. Nigdy po prostu nie wpadasz z wizytą.

Teatralnie przewróciłam oczami, bo nie chciałam przyznać, że Amy ma rację – choć oczywiście miała. Jestem z natury samotniczką. Bardzo dobrze czuję się sama, siedząc w domu i czytając książki albo spacerując przez godzinę po supermarkecie, by odnaleźć idealny makaron w formie wstążek.

Siostra była pięć lat młodsza ode mnie, miała sympatyczną, owalną buzię i pulchne ciało. „Zaokrąglenia we wszystkich właściwych miejscach”, jak mawiała nasza matka. Wydawało się, że nasze geny postanowiły nadać nam zupełnie inne kształty. Nikt nie zatrzymywał jej w szkole na korytarzu i nie rzucał: „Przepraszam, ale chyba założyłaś cycki do tyłu”.

Z formalnego punktu widzenia Amy i ja byłyśmy jedynie siostrami przyrodnimi. Jej ojciec (a mój ojczym) poznał moją matkę, gdy miałam dwa lata. Amy przyszła na świat, kiedy skończyłam pięć lat. Jednak niezależnie od kwestii genetycznych nie uważałyśmy się za siostry przyrodnie. Amy była moją prawdziwą siostrą, na dobre i na złe.

Dean mieszkał z nami tak długo, że stał się prawdziwym ojcem. Nigdy nie poznałam swojego biologicznego ojca, więc oczywiście nie miałam żadnego materiału do porównań.

– Ciocia Kim! – Przez otwarte drzwi frontowe wybiegła na trawnik moja trzyletnia siostrzenica, trzymając dwa palce w buzi. Trawa była mokra i natychmiast przemoczyła sobie skarpetki, ale nie zwolniła. Chwyciłam ją pod pachy, uniosłam i odwróciłam do góry nogami. Piszcziała z zachwytu i chichotała, aż z nosa pociekły jej smarki.

Postawiłam Lisę na schodach, ona zaś wbiegła do domu, zostawiając mokre ślady na drewnianej podłodze. W domu jak zwykle panował straszliwy bałagan. W zlewie stały stosy brudnych naczyń. W całym holu walały się zabawki mojej siostrzenicy, na kanapie w salonie leżały kolorowe kredki, a w zagnieceniach materiału było pełno resztek kredy i okruchów jedzenia.

Nowiutki pięćdziesięciodwucalowy telewizor był nastawiony na pełny regulator. Lisa wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Stała niespełna trzydzieści centymetrów od ekranu i patrzyła z otwartymi ustami, jakby postacie z kreskówki zdradzały wszystkie tajemnice wszechświata.

Na środku salonu zauważyłam rozdarte opakowanie z Ikei. Widać w nim było zwariowaną płataninę płyt z taniego sosnowego drewna i plastikowych kątowników.

Gdybym przeżyła choćby jeden dzień tak jak Amy, nadmiar bodźców zniszczyłby mi umysł, ale wydawało się, że moja siostra lubi bałagan.

– To ta przeklęta skrzynia na zabawki do pokoju Lisy – wyjaśniła, unosząc metalowy kątownik i obracając go w dłoniach, jakby było to jakieś tajemnicze znalezisko archeologiczne. – To znaczy kiedyś będzie skrzynią na zabawki... w bardzo odległej przyszłości.

– Pomóc ci ją zmontować?

– Nie, poproszę Wayne'a, żeby skończył. Nie obchodzi mnie, że uważa mnie za idiotkę. Kawy?

– Jasne.

Amy parzyła kawę w przyległej do salonu kuchni i przez całe pięć minut opowiadała o skrzyni na zabawki. Przekrzykując ekspres, mówiła, ile kosztowała, w którym dziale Ikei ją znalazła i jak powinna wyglądać po zmontowaniu; opisała skomplikowany ciąg

decyzji, które doprowadziły do zakupu. Nie przestawała gadać, a ja czekałam w salonie. Mogłabym wyjść z pokoju, skorzystać z toalety i wrócić; nawet by tego nie zauważyła. Wykorzystałam czas na oglądanie półek z książkami, szukając albumów fotograficznych.

Szczególnie interesował mnie gruby różowy album z dużym fioletowym napisem „NAJWCZEŚNIEJSZE WSPOMNIENIA” na okładce. Należał do matki i powinien zostać w mieszkaniu Deana, jednak po śmierci mamy Amy dostała hopla na punkcie zdjęć z dzieciństwa.

Fotografie były główną przyczyną mojej wizyty. Zeszłego wieczoru prawie uwierzyłam, że mogę być dzieckiem na zdjęciu Jamesa Finna, i miałam wielką ochotę obalić jego hipotezę.

Na półce stały płyty DVD, czasopisma, oprawiony w ramki odlew dwóch maleńkich stópek z podpisem: „Lisa, 6 miesięcy”... ale nie było albumów.

– Czego szukasz? – spytała za moimi plecami Amy. Podała mi filiżankę czarnej kawy. – Mleko się skończyło.

– Mogę wypić bez mleka. Niczego nie szukam. Po prostu patrzę.

– Kłamiesz.

„Niech to diabli”, pomyślałam. Amy od dzieciństwa potrafiła wyczuć, że coś ukrywam. Miała do tego talent graniczący z jasnowidzeniem. Rankiem, gdy wróciłam do domu po utracie dziewictwa z Rowanem Kiplingiem, powiedziałam rodzicom, że spędziłam noc w domu mojej przyjaciółki Charlotte. Jedenastoletnia Amy spojrzała na mnie znad miski płatków zbożowych i rzekła: „Kłamie”.

Mama i Dean przyjęli, że Amy wie coś, o czym nie mają pojęcia, po czym zaczęli mnie wypytywać, aż cała ta przekłeta historia wyszła na jaw. Nie chodziło o to, że nie umiem łączyć – Amy była po prostu chodzącym wykrywaczem kłamstw.

Westchnęłam i powiedziałam prawdę:

– Szukam albumu z fotografiami z dzieciństwa.

Amy wydała klaskający dźwięk; robiła to już jako mała dziewczynka, kiedy się nad czymś zastanawiała. Wilgotny dźwięk na chwilę przeniósł mnie do mojej sypialni przy Greenlaw Street numer czternaście. Wspomnienie było mgliste i fragmentaryczne, brakowało mu kontekstu jak blaknącemu snowi. Jednak wyraźnie widziałam Amy

w wieku czterech albo pięciu lat w różowej piżamie w zielone paski. Wchodziła do mojego łóżka, a ja unosiłam kołdrę, by ją wpuścić.

Kiedy wspomnienie odpłynęło, pozostał ciężki smutek.

– Albumy z fotografiami prawdopodobnie są gdzieś w garażu – powiedziała. – Jeszcze nie rozpakowaliśmy do końca rzeczy, które tam trzymamy, jeśli możesz w to uwierzyć. Pół roku po przeprowadzce. Powinien się tym zająć Wayne, ale kiedy o tym mówię, tylko wzdycha. Znasz ten dźwięk – przypomina odgłos powietrza uchodzącego z przedziurawionej opony. Jakbym go prosiła o nerkę.

– Masz ten album?

– Dlaczego jest ci potrzebny?

– Może to zabrzmieć dziwnie, ale to tajemnica.

Amy popijała kawę i szukała w mojej twarzy ukrytych wskazówek albo nadnaturalnego sygnału, który zwykle pozwalał jej przyłapać mnie na kłamstwie. W końcu rozbłyśły jej oczy.

– Ma to coś wspólnego z moimi urodzinami? Wayne wspominał ci o kolażach fotograficznych, które widzieliśmy w centrum handlowym? Zapomnij o tym. Nic mi nie mów. Chcę, żeby to była niespodzianka. Chodź za mną.

Garaż pachniał starą farbą i alkoholem metylowym. Amy znalazła w mroku sznur lampy i w górze rozbłyśła świetlówka. Popatrzyłam na zagracone pomieszczenie z niskim sufitem.

Pod najdalszą ścianą, obok małej czerwonej hondy jazz Amy, stało kilka rzędów pudeł. Przez następne czterdzieści minut po kolei je wyciągałyśmy; stawialiśmy na niewielkim wolnym skrawku betonowej podłogi i przeglądaliśmy zawartość.

Większość pudeł zawierała zbieraninę przypadkowych rzeczy: rachunki za elektryczność sprzed roku, zwitek przeterminowanych talonów, postrzępiony fartuch, obtłuczoną ceramiczną popielniczkę z angielską monetą jednopensową w środku, reklamówkę wypełnioną magnesami, którą Amy radośnie wyrwała mi z rąk i powiedziała: „Właśnie ich szukałam”.

W jednym z pudeł znajdowały się moje stare fotografie. Wiele było żenująco podobnych do tych, które poprzedniego dnia prezentowali moi studenci. Znalazłam cykl zdjęć z pierwszego roku na uniwersytecie zatytułowany *Blizny: fizyczne i emocjonalne*.

Amy umieściła wszystko w jednym folderze. Przejrzałam fotografie i zachnęłam się – bardziej przypominały projekt gimnazjalistki niż studentki.

Jedno ze zdjęć przedstawiało niewielką bliznę na małym palcu mojej nogi, gdzie zraniłam się pewnego lata, wychodząc z basenu przyjaciółki, a inne – nierówną szramę na udzie Amy, która skaleczyła się w czasie upadku z roweru górskiego. Kolejne przedstawiało brzydkie oparzenie na dłoni mojej matki i przybladły ślad po zajęczej wardze mojej dawnej współlokatorce. Dalej następowało kilka fotografii osób, które wydawały się smutne, odrzucone albo rozgniewane. Był to pretensjonalny, całkowicie pozbawiony oryginalności projekt mający zmusić widzów do oglądania blizn psychicznych i fizycznych.

- Och, a jak tam z Frankiem? – spytała Amy, przeglądając stare świadectwo szkolne.
- E tam.
- Co masz na myśli?
- Przestaliśmy się spotykać.
- Dlaczego? – spytała cienkim, jęklwym głosem.
- Tak po prostu, no wiesz. Nie kochaliśmy się.
- Jesteś zbyt wybredna, Kim, sama dobrze o tym wiesz. I masz coraz mniej czasu, żeby urodzić dziecko.

Amy bardzo ceniła macierzyństwo. Rodzenie dzieci było jedynym celem jej życia. Wraz ze swoim narzeczonym Wayne'em natychmiast postarali się o Lisę i już planowali drugie dziecko. Jednak ja nigdy nie miałam ochoty na rodzenie dzieci.

W końcu, w dziewiątym albo dziesiątym pudle, znalazłyśmy albumy z fotografiami rodzinnymi i usiadłyśmy po turecku na podłodze, żeby je przejrzeć. Każdy miał tytuł wypisany dużymi literami w kolorze, który w jakiś sposób pasował do tematu zdjęć. „WAKACJE W PERTH '93” były czarno-żółte podobnie jak czarny łabędź na żółtym tle przedstawiony na fladze stanu Australia Zachodnia. „NOWY DOM”, kronika przeprowadzki mamy i Deana ze starego domu przy Osborne Avenue do mniejszego, lecz nowszego domu na Benjamin Street, napisano niebieskimi i zielonymi literami: niebieskimi na pamiątkę schodków na werandę domu na Osborne Avenue, a zielonymi na cześć ścian sypialni w domu przy Benjamin Street. Humorystyczny tytuł „NASZE PIERWSZE WESELE” wykaligrafowano jasnopomarańczowym kolorem – o barwie

sukni noszonej przez matkę w tym wielkim dniu.

Można by przyjąć, że to moja matka starannie dobierała kolory i podpisywała każde zdjęcie, jednak robił to Dean. Nawet przed jej śmiercią miał obsesję na punkcie fotografii, katalogował i opisywał każde wspomnienie, by je zachować dla potomności.

Amy natychmiast chwyciła album ze zdjęciami z wesela. Przewracała strony ze smutnym uśmiechem, przyglądając się twarzy Carol.

Na dnie pudła znalazłam gruby różowy album „NAJWCZEŚNIEJSZE WSPOMNIENIA” z tytułem napisanym tym samym odcieniem fioletu, jaki miał mój zagłówek w dzieciństwie. W środku znajdowały się zdjęcia z moich przyjęć urodzinowych, wakacji, świąt Bożego Narodzenia, wszystko zagubione w czasie. Była tam moja fotografia w starym mieszkaniu sprzed narodzin Amy: uśmiechałam się szeroko na tle brzydkiej żółtej tapety pokrywającej ściany we wszystkich pokojach. Inna ukazywała mój pierwszy dzień w przedszkolu; matka trzymała mnie za rękę i uśmiechała się.

Po przejrzaniu jednej trzeciej albumu natrafiłam na zdjęcie pogodnej, pulchnej dziewczynki, która patrzyła na mnie przez plastikową koszulkę fotografii. Stała na płytkim końcu basenu hotelowego, ubrana w luźny strój kąpielowy. Wydawała się nieco zamyślona i mądra. Pod zdjęciem znajdował się schludny, czarny podpis: „Kim, 2 lata”. Niewyraźnie pamiętałam tamten dzień na basenie, kiedy Dean zaniósł mnie na barana na głęboką wodę.

Reszta stron była pusta. Nie było żadnych fotografii z okresu mojego niemowlęctwa ani innych sprzed ukończenia trzech lat. Nie spodziewałam się niczego innego. Mój biologiczny ojciec nie był miłym człowiekiem – tak to określiła matka w czasie jednej z nielicznych rozmów na jego temat. Opuściła go w pośpiechu z dzieckiem pod pachą i z torbą na ramieniu, nie miała czasu ani miejsca na zabieranie fotografii z dzieciństwa. Ta opowieść brzmiała teraz jak podejrzana wymówka.

– Nic ci nie jest? – spytała Amy. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

W istocie tak się stało. Każdą z moich fotografii z dzieciństwa zaczął nagle nawiedzać duch Sammy Went. Nawet przed wyświetleniem w komórce fotografii Sammy wiedziałam, że nie jest to tylko przypadkowe podobieństwo. Głębokie błękitne oczy, ciemne włosy, wargi zaciśnięte w uśmiechu, okrągły podbródek, duży nos, małe

białe uszy... Nie był to dziwaczny zbieg okoliczności – albo Sammy była moim sobowtórem, albo patrzyłam na fotografii tego samego dziecka.

Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam? Czy po prostu nie pamiętałam swojego wyglądu w dzieciństwie, czy nie byłam gotowa dostrzec podobieństwa? Czy teraz jestem gotowa?

– Jezu, Kim, o co właściwie chodzi?!

– Amy, przyjechałam do ciebie, żeby porównać swoje fotografie z dzieciństwa ze zdjęciem dziewczynki, która zaginęła w Ameryce w latach dziewięćdziesiątych.

– Zaczekaj. Więc nie robisz kolażu fotograficznego na moje urodziny?

Zamknęłam oczy, zaczerpnęłam tchu i zaczęłam od początku. Siedząc po turecku na podłodze garażu, otoczona kartonowymi pudłami, czując zapach starej farby i metanolu, otworzyłam drzwi do świata Sammy Went i zaprosiłam Amy do środka.

Słuchała w milczeniu z chłodnym wyrazem twarzy, który nie zdradzał jej uczuć. Kiedy skończyłam, zamrugała jak sowa, zastanawiając się nad moimi słowami. Później się roześmiała. Nie był to krótki śmieшек albo chichot, tylko głośny wybuch śmiechu. Przyłożyła dłoń do brzucha, odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiewała się, parskała, rżała.

– Więc powiedz jasno: uważasz, że mama – kobieta, która beczała jak małe dziecko po śmierci konia w *Niekończącej się opowieści* – była porywaczką?! A ty jesteś dziewczynką, którą porwała?! Uprowadziła cię gdzieś w Ameryce i wychowała jako własne dziecko? I nigdy nie zdradziła prawdy, nawet na łożu śmierci.

– Nie wiem...

– Może kupiła cię na czarnym rynku? Brzmi to sensownie, jeśli się nad tym zastanowić. Och, a może opuściła się do twojej kołyski w uprzęży jak Tom Cruise albo wyszkoliła psa dingo, żeby...

Pokazałam jej komórkę. Urwała, patrząc na fotografię Sammy Went. Wzięła ode mnie telefon i przez długą minutę wpatrywała się w ekran. Jej uśmiech szybko zbladł.

– Cholera, Kim...

– Tak, cholera.

– Co dokładnie powiedział ten facet? – Ścisnęła komórkę tak mocno, że myślałam, że ją zmiażdży. – Jak cię znalazł? Jakie ma dowody?

– Nie wiem. Nie dałam mu czasu, żeby cokolwiek wytłumaczył. Myślałam, że to

wariat.

Amy wyrzuciła z siebie kilka kolejnych przekleństw, mówiąc coraz bardziej nerwowym tonem, po czym spytała:

– Masz ochotę na jointa?

Zostawiłyśmy Lisę przed telewizorem i usiadłyśmy na schodkach na tyłach domu. Podwórko Amy było małe i wypielęgnowane. Niebieską plastikową piaskownicę wypełniała woda deszczowa, a piasek zmienił się w błoto. Szare, pozbawione okien ściany domów sąsiadów po obu stronach ogrodzenia zasłaniały połowę nieba.

Amy zapaliła jointa, zaciągnęła się głęboko i podała mnie.

– To oszustwo. Właśnie o to chodzi.

– Na czym miałyby polegać oszustwo? – spytałam. – Nie prosił mnie o pieniądze, dane osobowe ani...

– Jeszcze się przekonasz. Prawdopodobnie ukradł tę fotografię.

– Nigdy wcześniej jej nie widziałyśmy.

– Może sam ją zrobił, sama nie wiem.

– Dwadzieścia osiem lat temu? Kiedy miałam dwa lata? W jakim był wtedy wieku? A potem czekał wiele lat, by dokonać najbardziej rozciągniętego w czasie przekrętu w historii?

– Bardziej prawdopodobne wydaje ci się to, że mama porwała cię w Ameryce? Gdyby okazało się to prawdą, Jezu, Kim... Wszystko stanęłoby na głowie. Nie byłybyśmy już siostrami.

Przez chwilę krztusiłam się dymem, ale joint nieco mnie uspokoił.

– Nie bądź śmieszna.

– Kim, gdybyśmy nie były spokrewnione, nigdy nie mieszkałybyśmy razem. Kiedy podjechałaś dziś pod dom, o mało nie dostałam zawału. Pomyślałam, że coś się stało. –

Wzięła ode mnie jointa. – I, cholera, mimo wszystko miałam rację. Nie przyjechałaś z normalną wizytą, prawda? Zbierasz dowody.

– Proszę, nie rób mi wymówek – odrzekłam. – Nie teraz.

Amy westchnęła. Wirujący dym sprawił, że zaczęły mi łzawić oczy.

– Wayne wyczuje zapach, wiesz – powiedziałam.

– Jeśli kiedykolwiek miałam dobry powód, by zapalić jointa, to właśnie dzisiaj. – Otarła powieki. Nie byłam pewna, czy oczy łzawią jej od dymu, czy płacze z powodu obecnej sytuacji. Popatrzyła nad ogrodzeniem na tyłach podwórka. Stał za nim inny dom, a jeszcze dalej kolejny.

Przekręciła się na schodkach i zerknęła na odprysk lakieru na paznokciu.

– Co mam według ciebie zrobić?

– Nic, Kim. Nic nie rób. Skasuj fotografię w komórce. Skasuj numer tego mężczyzny. Zapomnij o całej sprawie.

– Myślę, że to niemożliwe.

– Uważam, że musisz, Kim. Jeśli zajmiesz się tą sprawą, wszystko się zmieni.

– Dobrze – powiedziałam.

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam.

Po wyjściu z domu Amy zatrzymałam samochód na poboczu szosy i znalazłam numer podany przez Jamesa Finna. Miałam cichą nadzieję, że nie odbierze połączenia, ale odezwał się po pierwszym dzwonku.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

Emma Went szukała w lesie grzybów zawierających psylocybinę. Powinny być młode i mieć białe kapelusze z różowobrazowymi czubkami. Z czasem poczernieją i pomarszczą się na krawędziach. Mówiła o tym kuzynka Shelley Falkner.

Las był mokry po ulewie, która spadła wczesnym popołudniem. Pachniał pleśnią i kalmią szerokolistną.

Piętnaście metrów na lewo od Emmy przedzierała się przez krzaki Shelley Falkner. Poruszała się jak Wielka Stopa, depcząc suche liście i łamiąc nisko wiszące gałęzie.

Emma szybko się znudziła poszukiwaniem grzybów, usiadła na pniu przewróconego ambrowca i znalazła w tornistrze papierosa. Musiała w tym celu odsunąć podręcznik algebry, co przypomniało jej o szkole i wypełniło umysł znajomym lękiem. Była bardzo zadowolona, że postanowiła iść dziś z Shelley na wagary.

Zapaliła papierosa i pogłośniła walkmana, aż głębokie, żałobne dźwięki *Every Day is Like Sunday* Morriseya sprawiły, że zieleń lasu zmieniła się w szarość. Piosenki Morriseya idealnie pasowały do miasta, w którym mieszkała Emma. Kiedy myślała o Manson, wyobrażała sobie żuka leżącego na grzbiecie i bezradnie poruszającego odnóżami.

Oczywiście dla przybyszów z zewnątrz Manson wydawało się oryginalnym, przyjaznym miastem. To prawda, że nie cierpiało takiej biedy jak sąsiednie miejscowości w Appalachach. Emma domyślała się, że jest tu mniej prostaków niż w okolicy, ale z pewnością nie był to „Kawałek Nieba”, jak dumnie głosił napis na wieży ciśnień. Nieliczni turyści odwiedzający Manson dostrzegali tylko część obrazu. Wędrowali po górach, cieszyli się staroświecką południową gościnnością i podziwiali

Hunt House, imponujący dwór sprzed kilkuset lat stojący na końcu Main Street.

Ale Emma wiedziała to, czego nie wiedzieli turyści: że mieszkańcy miasta czują sympatię tylko do sąsiadów, że jeśli czegoś nie ma w Biblii, nie warto się tym interesować, i że Hunt House powstał dzięki morderczej pracy niewolników (i podobno straszą w nim ich duchy).

– Ja cię kręcę! – zawołała Shelley na tyle głośno, że Emma usłyszała ją przez słuchawki. – Spójrz na to, Em.

Emma zeszła z przewróconego ambrowca. Shelley przedzierała się hałaśliwie przez krzaki, idąc z dłońmi złożonymi przed sobą, jakby niosła pisklę.

Wyciągnęła ręce i pokazała Emmie dwie kępki małych białych grzybków.

– Trafiłam na żyłę złota.

Shelley była wysoka, nie gruba, tylko masywna, z szerokimi barkami. Garbiła się i nosiła okulary, które nieustannie poprawiała palcem wskazującym.

– To one, prawda? Tak mówił Vince.

Podaa Emmie jeden z grzybków halucynogennych, a ona go wzięła i uniosła do światła. Miał kremowy kolor, a na kapeluszu brązowe kółko przypominające obwódkę wokół sutka.

– Tak przypuszczam – odpowiedziała. – To zabawne, zawsze wyobrażałam sobie, że są czerwone, pokryte białymi kropkami, jak w Super Mario. Skąd mamy wiedzieć, że mają magiczne właściwości?

– Jest tylko jeden sposób, by się przekonać: zjeść je. Jeśli zobaczymy jednorożce albo coś w tym rodzaju, będziemy wiedzieć, że to prawda i że Vince nie zawsze gada głupoty. Jeśli stracimy głos i oślepnjemy, wtedy, no cóż...

– Zjedzmy je w czasie weekendu – rzekła Emma i zdjęła słuchawki. Nie przepadała za narkotykami – choć raz próbowała palić marihuanę w domu Rolanda Butchera i o mało nie wykasłała płuc – ale wiedziała, że niedawno coś się w niej zmieniło, i rozpaczliwie chciała to cofnąć.

Latem zeszłego roku Emma i Shelley pływały w jeziorze Merri, wiosną wybrały się na pieszą wycieczkę do kanionu Elkfish, jesienią krążyły po Manson na rowerach górskich, a zimą szusowały na nartach na ośnieżonych stokach Appalachów.

Teraz świat stał się szary. Może grzybki Shelley przywrócą mu część blasku?

– Powiedz rodzicom, że przenocujesz u mnie – rzekła Emma. – A ja powiem rodzicom, że przenocuję u ciebie. Podwędzę kości do gry taty i możemy iść razem do młyna, zrobić wywar z grzybków, a potem...

Shelley wsadziła grzybek do ust, kończąc rozmowę. Żuła go przez chwilę z kwaśną miną, miała ściągnięte policzki i czoło. Później przełknęła głośno i wyszczerzyła zęby.

Emma wybałuszyła oczy.

– Podziwiam cię. Jak smakują?

– Jak ziemia. Twoja kolej, moja panno.

Shelley ujęła jeden z kapeluszy kciukiem i palcem wskazującym, a następnie wyciągnęła rękę w stronę ust Emmy jak matka usiłująca przekonać córkę, że powinna jeść warzywa.

Emma odsunęła dłoń Shelley.

– Och, chyba zaczekam kilka minut, żeby zobaczyć, czy nie oślepniesz albo coś w tym stylu.

Uśmiech Shelley stał się jeszcze szerszy.

– Dobry pomysł.

Czekały na pojawienie się objawów działania grzybków, chodząc głębokim betonowym kanałem oddzielającym lasy od przedmieść Manson. Kanał był prawie wyschnięty; płynął nim tylko wąski strumyk błotnistej, brązowej wody, najczęściej tak wąski, że dawało się go pokonać jednym krokiem. Walały się w nim niedopałki, puste butelki po tanim piwie i winie, czasem otwarta puszka po fasolce po bretońsku. Według matki Shelley w okolicy kanału krążyli włóczędzy, którzy obozowali pod wiaduktem półtora kilometra dalej.

Po lewej stronie znajdowały się nierówne czarne płoty domów przy Grattan Street. Był to zapomniany kraniec Manson; trawniki były żółte, a nie zielone; mieszkańcy mieli ściągnięte, zmęczone twarze. W miejscach, gdzie w płotach brakowało sztachet, Emma mogła zajrzeć na podwórka – widziała wysoką trawę, szczekającego psa, dwóch chłopców z umorusanymi twarzami siedzących po turecku na batucie.

Po drugiej stronie betonowego kanału, po prawej, rósł gęsty las. Przez korony ambrowców przeświecało popołudniowe słońce, rzucając pajęczynę cieni na twarz Shelley.

– Czujesz coś? – spytała Emma.

– Nie. Jeszcze nie.

– Ja też nie.

Dotarły do dużego okrągłego przepustu, którym żaloszny brązowy strumień płynął pod autostradą. Betonowy tunel był na tyle wysoki, że Emma mogła wejść do niego wyprostowana – choć opuszczała głowę z obawy przed pajakami i robakami – ale Shelley musiała się skulić, by nie uderzyć się w ciemię.

Emma wstrzymała oddech i wpatrywała się w jasny krąg światła na końcu kanału. Wyobrażała sobie sekretne tunele odchodzące w bok po obu stronach. Jeden niewłaściwy zakręt i po omacku chodziłaby kanałami ściekowymi Manson do końca swojego krótkiego...

Shelley chwyciła ją za ramię. Emma wrzasnęła tak głośno, że okrzyk odbijał się echem w kolistym betonowym kanale przez całe pięć sekund.

– Ale z ciebie tchórz – powiedziała Shelley i popchnęła Emmę do przodu, w światło popołudnia. Emma nie zamierzała się sprzeczać. Kiedy znowu usłyszała dźwięki Manson i poczuła na szyi chłodny wiatr, ogarnęła ją ogromna ulga, że wyszła z mroku.

Szły dalej kanałem.

– Muszę spędzić lato z tatą w Kalifornii – powiedziała Shelley po kilku minutach miłego milczenia. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego postanowił się przeprowadzić tak daleko. Chce, żebym przyjechała, tylko po to, żeby dokuczyć mamie. Od chwili rozwodu prowadzą długą, bardzo długą wojnę. Oni są generałami, a ja walczę w okopach.

– Mhm. Mimo to masz szczęście – odparła Emma. – Oczywiście to przykre, że twoi rodzice się rozwiedli, ale przynajmniej starają się robić coś pozytywnego. Ich małżeństwo się rozpadło, więc postanowili je zakończyć. To mądra decyzja.

Shelley stanęła jak wryta.

– To trochę tak, jakby mówić sparaliżowanemu, że ma szczęście, bo może cały dzień siedzieć.

– Małżeństwo moich rodziców od dwóch lat powoli umiera. Matka i ojciec nie potrafią się uwolnić od cierpienia. Nie jesteś zadowolona, że twoi rodzice żyją osobno, ale są szczęśliwi? Gdyby żyli razem, byłiby nieszczęśliwi.

– Ach, zapominasz, że mogą być nieszczęśliwi, żyjąc osobno – odpowiedziała Shelley i wybuchnęła śmiechem. – Nigdy nie słyszałam, by twoi rodzice się kłócili.

– Nie kłócą się. Właśnie na tym polega część problemu. Gdyby się kłócili, może to głównie wreszcie by odpłynęło. Zamiast tego nigdy nie kończą zdań. Kiedy do siebie mówią, na końcu zdania zawsze są trzy kropki, nigdy kropka.

– Wielokropek – odezwała się Shelley.

– Co takiego?

– Te trzy kropki na końcu zdania. To się nazywa wielokropek.

Emma przewróciła oczami.

– Może masz rację – powiedziała Shelley. – Może powinni się rozwieść?

Emma poczuła przyływ dokuczliwego smutku. Gdyby rodzice naprawdę się rozwiedli, ojciec znowu by się ożenił – wiedziała o tym. Jego związek z Kościołem stałby się jeszcze luźniejszy; odnalazłby szczęście i mówił z goryczą o byłej żonie, fanatycze religijnej. Co stałoby się z matką? Bez kotwicy duchowej w postaci Jacka Wenta utonąłaby w Kościele Wewnętrznej Światłości. Kobieta, którą znała Emma, mogłaby w końcu się zmienić w zupełnie obcą osobę.

– Czujesz już coś? – spytała.

– N-nie.

Weszły czterysta metrów w głąb lasu i dotarły do młyna, zrujnowanego budynku otoczonego przez krzaki. Skryło się za nim słońce i na ziemię padał prostokątny cień przypominający trupa wstającego z grobu.

Młyn działał jeszcze przed kilku laty. Sklepik z pamiątkami i oprowadzanie turystów przynosiły wtedy większe zyski niż sprzedaż mąki pszennej i kukurydzianej.

Emma odwiedziła kiedyś młyn z matką. Ojciec pojechał do krewnych w Coleman i zabrał na cały dzień Stu. Matka spytała Emmę, jak chce spędzić dzień, a ona wybrała młyn.

W tamtych czasach od autostrady odchodziła szeroka, brukowana droga biegnąca przez las. Przejechały z turkotem przez most nad płytkim strumieniem zasilanym przez górskie źródła. Emma pamiętała, że otworzyła okno samochodu, gdy jechały nad potokiem; wystawiła głowę na zewnątrz i słuchała plusku wody w dole.

W młynie oglądały wielkie koła i pasy transmisyjne, które zmieniały ziarno w mąkę

pszenną i kukurydzianą. Kiedy już się napatrzyły, Molly kupiła Emmie colę w sklepiku dla turystów, po czym usiadły na łące obok południowej ściany budynku, gdzie turyści urządzali pikniki.

Emma pamiętała, że siedziały w milczeniu. Nie było ono niezręczne, miało w sobie coś naturalnego.

W tej chwili młyn przestał być miejscem, gdzie matki zabierają córki, by oglądać z podziwem ogromne koła i pić colę na trawie. Kryzys ekonomiczny – Emma знаła to określenie, choć nie było ono dla niej całkowicie jasne – sprawił, że młyn przestał na siebie zarabiać i szybko popadł w ruinę. Ogromne koła przestały się obracać, pasy transmisyjne znieruchomiały, okna pokryła gruba warstwa kurzu. Ściana od wschodu się pochyliła i mogła się zawalić przy każdym silniejszym podmuchu wiatru.

Shelley otworzyła drzwi i Emma weszła za nią do młyna. Panował w nim półmrok, choć przez brudne, żółtawe okna wpadało do środka trochę światła. W powietrzu unosił się kwaśny odór stęchlizny. Przeciek w dachu sprawił, że część pierwszego piętra się zawaliła: widać było płataninę drewnianych belek i poskręcanych metalowych prętów.

Wewnętrzną ścianę młyna pokrywały nazwiska nagryzmołone długopisami i markerami w różnych kolorach. Emma poznała niektóre z nich: politycy i gwiazdy pop, a także Rich Witherford, kompletny dupek ze szkoły średniej w Manson. Inne nazwiska nic jej nie mówiły: Summer DeRoche, Jonathon Asquith, Chris Dignum, Sophie Lane, Angie Sperling-Bruch. Emma wiedziała tylko, że ktoś życzy im śmierci.

Legenda głosiła, że gdy na ścianie młyna napisze się nazwisko wroga, dana osoba umrze w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Łatwo było udowodnić, że legenda jest fałszywa. Emma wiedziała, że żadna z osób, których nazwiska widnieją na ścianie, jak dotąd nie umarła – przynajmniej w czasie dwudziestu czterech godzin. Jednak wątpiła, czy tak naprawdę o to chodzi. Napisanie na ścianie nazwiska wroga miało w sobie coś dziwnie terapeutycznego. Sama umieściła kilka w tym miejscu.

Swego czasu nagryzmołiła na ścianie „Henry Micket”. Był przystojnym mistrzem lekkoatletyki w szkole średniej w Manson, a Emma popełniła błąd i kochała się w nim przez półtora roku. Nie zrobił jej krzywdy – w gruncie rzeczy wątpiła, czy była dla niego czymś więcej niż jedną z twarzy widywanych na korytarzu – ale złamał jej serce,

gdy zaczął chodzić z piękną Cindy Kites, również mistrzynią lekkoatletyki.

Napisała na ścianie jego nazwisko, gdy była kompletnie załamana, ale później wróciła i wykreśliła je grubym niebieskim markerem. W tej chwili na ścianie był widoczny przekreślony napis „Henry Micket”.

Poczuła się lepiej, kiedy umieściła tu jego nazwisko, a jeszcze lepiej, gdy je skreśliła. Kilka pociągnięć pisakiem symbolizowało gniew, a następnie przebaczenie. Teraz czuła pokusę, by napisać na ścianie inne nazwisko i wyrazić swoją złość, a może nawet wybaczyć.

„To tylko terapia”, pomyślała. Ale jeśli to prawda, dlaczego drżą jej ręce?

– Muszę się wysikać – powiedziała Shelley i wyszła frontowymi drzwiami.

Czekając na nią, Emma wspięła się skrzypiącymi schodami na pierwsze piętro. Wszystko pokrywał kurz. Wczesnym popołudniem spadła krótka ulewa i z kilkunastu dziur w dachu kapały krople wody; na podłodze znajdowały się brązowe kałuże.

Oczyściła stopą jedno z miejsc, usiadła po turecku i zapaliła papierosa.

Kiedy jej wzrok powoli przyzwyczaił się do ciemności, zauważyła długi szereg mrówek gmachówek, które maszerowały po szerokich drewnianych deskach i znikwały w otworze pod oknem. Prawdopodobnie zmierzały do gniazda w spróchniałych ścianach budynku. Mijały odłamki szkła, śmieci, zużytą prezerwatywę – fuj! – i w najważniejszym miejscu niebezpiecznie zbliżały się do pajęczyny. Emma wyobraziła sobie tłustego czarnego pająka z groźnymi żółtymi ślepiami czającego się w ciemności, choć nie mogła go widzieć.

Wstała nagle i pokręciła z niedowierzaniem głową. Musi pomóc mrówkom. Usunęła przeszkody blokujące im drogę. Odgarnęła nogą śmieci. Znalazła ciężki żelazny pręt, po czym usunęła prezerwatywę i zniszczyła pajęczynę, posyłając niewidzialnego pająka, którego sobie wyobraziła, w głąb jednej ze szczelin w podłodze.

Przygryzła wargę i czekała, aż dobry uczynek przyniesie efekty.

– O kurwa, nie! – syknęła.

Mrówki zaczęły się rozpraszać. Brak odłamków szkła, zużytej prezerwatywy i pajęczyny sprawił, że nie mogły odnaleźć drogi. Emma usunęła punkty orientacyjne i w tej chwili błądziły po korytarzu.

Zabolało ją to bardziej niż powinno, niż miało prawo, i nagle poczuła, że ma ochotę

się rozpląkać. Nie, łkać i szlochać!

Po chwili doznała olśnienia. Magiczne grzyby zaczęły działać. Nie miała halucynacji, nie widziała dziwnych kolorów ani świateł – kuzynka Shelley mówiła, że to się zdarza – ale jej zmysły niezwykle się wyostrzyły. Czuła się trochę tak, jakby wiatr rozproszył mgłę, i nagle zdała sobie sprawę z otoczenia: własnego ciała, gmachówek, młyna, lasu, Manson, świata, wszechświata.

Działanie psylocybiny nie przypominało niczego, co sobie wcześniej wyobrażała – z pewnością nie obrazy z filmów. I nie było podobne do haju po marihuanie. Przeżywała coś subtelnego i cudownego; przez wiele następnych lat będzie szukać tego niezwykłego uczucia. Dzień, gdy jadła z Shelley grzybki w lesie, stanie się dla niej ostatnim prawdziwym dniem dzieciństwa.

Rozpięła suwak plecaka i znalazła w środku czarny marker.

Kiedy schodziła powoli po schodach, patrzyła na brudne deski pod stopami. Słyszała chrzęst potłuczonego szkła, plusk kropel spadających do kałuży, zauważyła nasiąkniętą wodą stronę starego czasopisma pornograficznego. Zagrzechotała wyrzucona przez kogoś puszka po zielonym spreju.

Znalazła się na parterze i napisała nazwisko na wewnętrznej ścianie młyna.

– Emma, słyszysz mnie? Czy...

Cofnęła się i przyglądała swojemu dziełu.

– ...słyszałaś, co powiedziałam? Musimy...

Między dziesiątkami, może setkami nazwisk Emma napisała ładnymi dużymi literami: „Sammy Went”.

„Przykro mi – pomyślała. – To nic osobistego. Tylko terapia, nic więcej”.

– ...Chryste, musimy uciekać...

Shelley Falkner chwyciła masywnymi dłońmi ramiona Emmy i obróciła ją ku sobie.

– Słyszałaś mnie, Em?! Słyszałaś, co powiedziałam?!

Emma wyciągnęła rękę i puknęła palcem w lewą soczewkę okularów Shelley.

– Jesteś piękna. Wiesz o tym, Shell, prawda? Mogę przymierzyć twoje okulary?

– O cholera. Odlatujesz? Ach, cudownie, po prostu cudownie!

Emma przeniosła wzrok z okularów na znajdującą się za nimi twarz i zauważyła, że Shelley zbladła. Miała zmartwioną minę, a jej oczy były rozszerzone i pełne lęku. Nie

przypominała zwykłej Shelley.

– Posłuchaj, Em. Musimy uciekać.

– Co się stało?

– Ktoś tu jest.

– Co takiego? Kto?

– Nie wiem – odpowiedziała poważnie Shelley. – Słyszałam kroki koło centrum turystycznego.

Emma się uśmiechnęła.

– To ty odleciałaś.

– Nie, przysięgam.

– Przywidziało ci się – rzekła Emma. – To grzybki. Są naprawdę...

Zamarła, gdy za oknem w przeciwległej ścianie przesunął się cień. Szkło było popękane, brudne i zasłonięte dzikim winem, ale przez krótki, niepokojący moment widziała ludzką sylwetkę. Ktokolwiek to był, odsunął się od okna, nim Shelley zdążyła się odwrócić i popatrzeć.

– Co się stało? – spytała Shelley.

– Chyba kogoś dostrzegłam.

Otworzyły drzwi młyna i wybiegły na zewnątrz, zataczając się. Emma szybko obejrzała się za siebie i popatrzyła na miejsce, gdzie ujrzała cień. Nikogo tam nie było.

Mogły mieć halucynacje po grzybkach, ale Emma czuła przerażenie.

– Chyba chcę wracać do domu – powiedziała Shelley.

– Tak, ja też.

Ruszyły naprzód. Suche liście pod stopami stopniowo zmieniły się w suchą ziemię, a następnie gęstą trawę, płaski szary chodnik i pokryty dziurami asfalt Cromdale Street.

Emma natychmiast się zorientowała, że coś się stało. Zbyt wielu sąsiadów stało na trawnikach i siedziało na werandach, patrząc na nią. Roy Filly gapił się z otwartego garażu; stał przy bramie i palił jedno ze swoich śmierdzących cygar. Loraine Voorhees huśtała się na werandzie w fotelu bujanym; w jednej ręce trzymała filiżankę herbaty, a w drugiej miniaturowego foksteriera. Pam Grady, znana miłośniczka teorii spiskowych, o której od dawna krążyły plotki, że jest lesbijką, stała wsparta pod boki na krawężniku i patrzyła na Emmę z wyrazem... Ciekawości? Nie, raczej troski.

Czyżby wiedzieli, że jest na haju?

Kiedy Emma zbliżała się do domu, spostrzegła inne dziwne oznaki. Dotarłszy do szczytu wzgórza, skąd widziała swój dom, zauważyła kabriolet ojca zaparkowany w połowie na podjeździe, w połowie na trawniku. Drzwi od strony kierowcy były szeroko otwarte.

Przyśpieszyła kroku. Coś było nie tak. Stało się coś złego.

Shelley wypowiedziała kilka słów, ale Emma ich nie usłyszała. Zaczęła biec. Przeszkadzał jej szkolny plecak, więc go zrzuciła i zostawiła na chodniku.

S t a ł o s i ę c o ś z ł e g o .

Kiedy zbliżyła się do domu, wyrzuciła z pamięci wspomnienie słów, które napisała na ścianie młyna. Przypominało to szybko cofający się odpływ.

MELBOURNE, AUSTRALIA

TERAZ

W burzliwych okresach mojego życia zawsze ciągnęło mnie do wody. Kiedy zdechła moja suka o imieniu Cień, pojechałam rowerem nad jezioro Orel i siedziałam na brzegu całe trzy godziny. Wróciłam do domu, dopiero gdy się wypłakałam; dygotałam z zimna. Po śmierci matki przez całe popołudnie siedziałam w samochodzie i patrzyłam na cieśninę Bassa.

Kiedy w końcu wróciłam do szpitala, Amy była na mnie wściekła, ale Dean mnie rozumiał. Wiedział równie dobrze jak ja, że woda ma dziwną moc – że im większy problem życiowy, tym większego zbiornika wodnego potrzeba.

Zakończenie związku trwającego trzy miesiące można złagodzić wanną wody. Brak twórczych pomysłów da się wyleczyć krótkim prysznicem. Ale poważne, wielkie sprawy, jak śmierć matki albo podejrzenie, że całe nasze dotychczasowe życie to kłamstwo, potrzebują czegoś ogromnego, kipiącego energią. Dlatego pojechałam do kaskady Dights, hałaśliwego progu na rzece Yarra.

Zaparkowałam samochód i poszłam wąską ścieżką w głąb lasu. Pod moimi stopami skrzypiały sosnowe igły. Chociaż rzekę zasłaniały drzewa, w lesie słychać było huk spadającej wody, a w powietrzu unosiła się wilgotna mgiełka.

W pobliżu rzeki drzewa się przerzedziły i w końcu ujrzałam olśniewający pejzaż rozciągający się na wiele kilometrów. Spoglądałam na kaskady dłużej, niż zamierzałam, i zastanawiałam się, co się wydarzy, kiedy spotkam się znowu z Jamesem Finnem. Zgodził się zjeść ze mną lunch i byłam na to zupełnie nieprzygotowana: jedno słowo dziwnego amerykańskiego księgowego mogło sprawić, że runę w przepaść. Jednak czy miałam jakiś wybór? Musiałam go wysłuchać.

Na przeciwległym brzegu siedział na skale samotny wędkarz. Wstał nagle i zaczął w podnieceniu kręcić kołowrotkiem. Kiedy zobaczył, że na końcu żyłki nie ma ryby, stracił zainteresowanie, znowu zarzucił wędkę, usiadł i czekał.

James czekał przy stoliku na tyłach kawiarni, trzymając filiżankę herbaty i wpatrując się w czytnik Kindle. Wydawał się równie chłodny i drętwy jak w czasie pierwszego spotkania.

– Ciszę się, że przysłaś – odezwał się na mój widok.

„Właśnie to powiedziała”, odparłby Dean. Nie mógłby się powstrzymać, by nie skorzystać z okazji. Myśl o ojczymie sprawiała mi ból. Zastanawiałam się, co by o mnie pomyślał, gdyby wiedział, że podejrzewam jego ukochaną, zmarłą żonę o porwanie dziecka.

Zamówiłam kawę. Spojrzeliśmy na menu z zakłopotanymi minami; zupełnie nie miałam apetytu.

– Claire nie pozwala mi pić kawy – odezwał się James. – To moja żona. Wie, że strasznie mnie nakręca. Stąd herbata.

– Nie przyjechała z tobą do Australii?

– Pilnuje ogniska domowego.

Otworzyłam menu, udałam, że je czytam, po czym znowu zamknęłam.

– Myślę, że powinnam ci coś powiedzieć. To, że tu jestem, nie znaczy, że ci wierzę.

– Rozumiem.

– W mojej metryce urodzenia figuruje nazwisko mojej matki. Myślę, że bym zauważyła, gdyby mówiła z amerykańskim akcentem.

– A jednak tu przysłaś – odparł beznamiętnie. – Pamiętaj, że akcent można zmienić równie łatwo jak metrykę urodzenia.

– Właściwie dlaczego zajmujesz się tą sprawą?

– Już ci mówiłem. Uważam, że jesteś...

– Sammy Went, wiem. Ale czemu tak się nią interesujesz? O co ci chodzi? Dorabiasz na boku jako prywatny detektyw?

– Raczej detektyw teoretyk, który siedzi w fotelu i rozwiązuje zagadki – rzekł. – Tak byłoby ściśle. – Niespokojnie bębnił palcami w blat stołu. Do tej chwili był pewny siebie i spokojny, zachowywał się trochę jak robot. Teraz wydawał się zmieszany,

zdenerwowany, nieco przypominał człowieka. – Jak powiedziałem, znam rodzinę Wentów. Byłem w Manson, kiedy to się stało. Zniknięcie Sammy po prostu... zapadło mi w pamięć.

Kelnerka podała mi kawę.

– Jak mnie znalazłeś? – spytałam.

– Pokażę ci. – Wziął z sąsiedniego krzesła niewielki plecak i wyjął z niego kartonową teczkę. Widniał na niej napis: „Leamy, Kimberly”.

Otworzył ją i podał mi fotografię kobiety o widmowych, pustych oczach i dość znajomym wyrazie twarzy. Nie była to fotografia ani rysunek, lecz coś pośredniego: trójwymiarowy szkic przedstawiający kobietę z ciemnymi włosami, długim nosem i ustami pozbawionymi wyrazu. Na dole strony znajdował się wydrukowany podpis: „Sammy Went, przewidywany wygląd w wieku 25–30 lat”.

– Zleciłem rysownikowi policyjnemu przygotowanie twojego portretu – powiedział James. – Przystudiował zdjęcia Sammy i członków jej rodziny, po czym uznał, że w tej chwili powinnaś tak wyglądać.

Kobieta z portretu nieco mnie przypominała, ale gdybym popełniła przestępstwo i poszukiwała mnie policja, na pewno zdążyłabym uciec do Nowej Zelandii.

– Przepuściłem ten portret przez kilkanaście programów do rozpoznawania twarzy i porównałem z milionami fotografii w internecie. Pojawiło się przeszło siedem tysięcy trafień. Przejrzałem wszystkie, zawęziłem listę do około dziewięciuset, a później sprawdziłem każde z osobna.

– Musiało to zająć mnóstwo czasu.

– Moja matka mówiła, że jestem cierpliwy jak Hiob. Portret pasował do twojego zdjęcia na Facebooku, skąd dowiedziałem się, gdzie prowadzisz warsztaty z fotografii artystycznej. Zastanawiałem się, czy nie wysłać ci mejla, ale... coś mnie tknęło. Miałem przecucie.

– Dość daleka podróż jak na przecucie – odparłam. – Ten portret nie jest żadnym dowodem. Sam powiedziałaś, że miałaś listę złożoną z dziewięciuset nazwisk. Nawet jeśli mówisz prawdę, uważasz, że niczego bym nie pamiętała?

– Może pamiętasz – powiedział. – Słyszałaś kiedyś o teorii upływu czasu w zapominaniu?

– Nie.

– Według teorii upływu czasu w chwili zapamiętywania w mózgu powstaje ślad neurochemiczny, do którego docieramy, kiedy chcemy coś sobie przypomnieć. Wyobraź go sobie jako długą czerwoną nić, która zaczyna się w świadomości i tonie w głębi umysłu. Jeśli chcesz coś sobie przypomnieć, chwytasz nić, ciągniesz i wydobywasz wspomnienie na powierzchnię.

Uniósł i opuścił torebkę herbaty w filiżance, ilustrując swoje słowa.

– To proste. Brzmi rozsądnie. Jednak teoria rozkładu sugeruje, że jeśli jakieś wspomnienie nie jest wydobywane z mózgu przez dostatecznie długi czas, nić blaknie i słabnie, aż w końcu... – Wyjął torebkę z filiżanki i przerwał nitkę. Torebka zniknęła pod powierzchnią herbaty z mlekiem. – Po przerwaniu nici wspomnienie unosi się bezwładnie w twoim mózgu, nie jest z niczym związane. Możesz uważać, że nie pamiętasz, że byłaś małą dziewczynką w Kentucky, ale ta dziewczynka ciągle tkwi w twoim mózgu. Może wymyśli sposób, żeby do ciebie dotrzeć. Może dlatego tu przysłaś.

Wyobraziłam sobie Sammy Went siedzącą w środku ogromnej, czarnej pustki, gdzie trafiają wszystkie zagubione wspomnienia. Była obwiązana w pasie czerwoną nicią, ale jej koniec pozostawał luźny. Wiele razy szarpała nić, jednak nie mogła niczego wyciągnąć, podobnie jak wędkarz przy kaskadzie Dights.

– To nie dlatego tu przysłałam – powiedziałam.

Skinął głową i dwa razy stuknął palcem w kartonową teczkę.

– Wiem. Przysłaś, żeby zobaczyć dowody. Niepodważalne dowody. Mógłbym najpierw skorzystać z toalety?

Wyszedł, a ja popatrzyłam na swoje nazwisko na teczce. Ostentacyjnie zostawił ją na stole. Czy chce, żebym przeczytała jej zawartość? Jeśli ma rację, jeśli teczka rzeczywiście zawiera niepodważalne dowody, nie mogłabym dłużej zaprzeczać.

Zignorowałam na razie teczkę i ukradkiem przejrzałam czytnik Kindle należący do Jamesa. Z moich doświadczeń wynika, że półka z książkami – cyfrowymi albo papierowymi – pozwala człowiekowi wyrobić sobie zdanie o jej właścicielu.

Większość książek na cyfrowej półce Jamesa należała do literatury faktu: trochę historii, tematyka wojenna, lecz głównie zagadnienia związane z przestępczością.

Znałam niektóre tytuły – *The Stranger Beside Me* Ann Rule, *Północ w ogrodzie dobra i zła* Johna Berendta i *Z zimną krwią* Trumana Capote’a – jednak wiele widziałam po raz pierwszy. Zauważyłam książki o zamachach politycznych, przestępczości mafijnej, zabójstwach celebrytów, niewyjaśnionych morderstwach, seryjnych zabójcach i – cóż za niespodzianka! – o porwaniach dzieci.

Co najdziwniejsze, mroczna tematyka książek sprawiła, że się uspokoiłam. Cyfrowa półka Jamesa świadczyła, że jest detektywem amatorem zainteresowanym przestępczością, z lekką skłonnością do makabry.

C h y ba że...

Szukałam nazwiska Sammy Went i zastanawiałam się, czy James sam w sekrecie nie pisze książki o przestępczości. Jego niezgrabny, dziwaczny wygląd z pewnością pasowałby do autora takich tekstów. Może pisze książkę o Sammy Went i chce przeprowadzić ze mną wywiad?

Wrócił z toalety, odetchnął głęboko i usiadł przy stoliku.

– Gotowa?

Otworzył plecak. W środku znajdowały się raporty policyjne, mapy, teczki. Wygrzebał stos dokumentów, by zrobić w plecaku trochę miejsca. Na wierzchu znajdowała się lista nazwisk zatytułowana „Przestępcy seksualni w Manson i sąsiednich okręgach”. Mniej więcej jedną trzecią nazwisk wykreślono, co, jak przypuszczałam, oznaczało, że James wyeliminował ich jako podejrzanych. Inne były podkreślone albo otoczone kółkami.

Widok plecaka sprawił, że poczułam się nieswojo. Mimo wszystko nie była to makabryczna ciekawość detektywa, który analizuje sprawy, siedząc w fotelu; nie wyglądało to też na materiały do książki na temat przestępczości. Było w tym coś obsesyjnego.

Wyjął z teczki jednostronicowy oficjalny dokument i wręczył mi go. Na górze znajdowało się niewielkie niebieskie logo, a poniżej nazwa „Me-Genes”.

– Me-Genes? Co to znaczy?

– To firma z Melbourne zajmująca się genetyką i biotechnologią. Przekazuje im się próbkę DNA, uiszcza niewielką opłatę, po czym przesyłają wynik badania. Jeśli zapłaci się trochę więcej, mogą je wykonać ekspresowo.

Większa część dokumentu składała się z trzech kolumn oznaczonych jako „Marker”, „Próbka A” i „Próbka B”. W każdej kolumnie znajdowały się liczne kombinacje liter i cyfr; wiele z nich się pokrywało. Uznałam, że trzeba mieć dyplom z genetyki, by coś z tego zrozumieć.

Jednak najważniejsza informacja znajdowała się w prawym dolnym rogu, wydrukowana dużymi, pogrubionymi literami. Poczułam ściskanie w żołądku. „Prawdopodobieństwo, że chodzi o rodzeństwo, wynosi 98,4%”.

– Ty jesteś próbką B – powiedział James.

Kiedy zrozumiałam, na co patrzę, poczułam, że robi mi się gorąco. Zadygotałam z wściekłości.

– Kazaleś... Kazaleś przebadać moje DNA?! Jak zdobyłeś próbkę?

– Piłaś wodę sodową, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

– Boże, to niezgodne z prawem!

– Niezupełnie – odparł. – Musiałem się upewnić. Właśnie dlatego tu przyszedłem.

Zerwałam się z miejsca i wybiegłam z kawiarni. Czułam się jak robak na haczyku wędki, który wije się w wodzie i czeka na pojawienie się paszczy głodnej ryby.

Przebiegłam przez ulicę, wsiadłam do samochodu, uruchomiłam silnik i popatrzyłam na kierownicę. Zerknęłam w lusterko wsteczne i zobaczyłam Jamesa. Wyszedł na ulicę i patrzył na mnie z rękami w kieszeniach dżinsów. Jasnożółte buty sportowe rzucały się w oczy w szarym otoczeniu. Na niebie rozległy się grzmoty.

– Niech to diabli! – Wyłączyłam silnik, wysiadłam i wróciłam do niego. – Do kogo należała próbka A?

– Kim, posłuchaj...

– Wynika z tego, że jestem siostrą osoby, od której pobrano próbkę A – powiedziałam. – Kim jest ta osoba?

– Moja żona ostrzegła mnie, żebym nie szarżował. Nie chciałem cię wystraszyć.

– Od kogo pobrano próbkę A?

– Ode mnie – odpowiedział. – Naprawdę nazywam się Stuart Went. Jestem twoim bratem.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

Chester Ellis, sześćdziesięcioletni szeryf Manson, siedział przy swoim biurku i czytał egzemplarz „Manson Leader”. Brukowiec wydawany w jego rodzinnym mieście zawierał reportaż z pokazu traktorów, fotoreportaż z uroczystości wmurowania kamienia węgielnego pod nowe muzeum historii chrześcijaństwa i szczegółową relację z meczu futbolowego Wojowników z Manson z Niedźwiedziami z Coleman – Wojownicy jak zwykle przegrali z kretelem.

Zapowiadał się kolejny spokojny dzień w Manson. Spokojny dzień w spokojnym miesiącu i spokojnym roku.

Ellis powoli przewrócił stronicę, szukając wśród nagłówków czegoś interesującego. „Projekt ograniczenia wyłączeń prądu: nowy plan redukcji zużycia energii w godzinach szczytu”. „Klub sportowy z Manson ma nową siedzibę”. „Nowe podejście do starych narkotyków: pogadanki pomagają seniorom rozpoznać objawy uzależnienia”.

Dotarł do działu ogłoszeń drobnych i zobaczył na dole drugiej szpalty własny anons: „Wysportowany Afroamerykanin wyznający chrześcijańskie wartości i mający dobry zawód szuka towarzyszkę życia i/lub partnerki”.

Żona Chestera zmarła przed dwudziestu dwu laty na raka mózgu, ale zajmował się wychowaniem dwóch synów, więc nie myślał o randkach. Jednak teraz synowie byli już dorośli i mieli własne partnerki, a Chester potrzebował... czego? Nie poszukiwał namiętnego romansu. Nie poszukiwał nawet miłości, choć gdyby się pojawiła, nie miałby nic przeciwko. Po prostu szukał kobiety, z którą mógłby dzielić życie.

Oczywiście prawie całe ogłoszenie było lipne. Można go było nazwać „wysportowanym”, gdy uczęszczał do college’u, ale teraz większość mięśni zmieniła

się w tłuszczy. „Chrześcijańskie wartości” były również tylko częściowo zgodne z prawdą. Namówiła go do dodania tego zwrotu Amelia Turner, która zajmowała się w „Leaderze” ogłoszeniami drobnymi i nekrologami, a w piątki pracowała w recepcji.

Jasne, Ellis wierzył w Boga, starał się za często nie kląć i nie czuć do nikogo nienawiści, ale w Manson chrześcijaństwo mogło oznaczać wiele różnych rzeczy. Chester traktował religię swobodnie i konserwatywnie, a jego poglądy sprowadzały się do przestrzegania zasady „kochaj bliźniego swego”. Na drugim końcu spektrum znajdowali się ludzie, z którymi nie chciał mieć do czynienia: wierni Kościoła Wewnętrznej Światłości.

Grupa zielonoświątkowców – przekonał się na własnej skórze, że nie wolno ich nazywać kultem ani, broń Boże, sektą – czciła Boga, biorąc do rąk jadowite węże i skorpiony. Jeśli wierzyć plotkom, członkowie Kościoła Wewnętrznej Światłości łykali strychninę i mówili obcymi językami. Tom Kirker powiedział kiedyś po wypiciu zbyt wielu kolejek whisky w Barze Cubby, że piją krew i czczą Szatana.

Do drzwi zastukał jeden z zastępców Ellisa.

– Przepraszam, że zawracam panu głowę, szeryfie. Ma pan chwilę?

– Wejdz, Beech. Co się stało?

Było jeszcze za wcześnie, by nazywać Johna Beechera mężczyzną. Ellis nie miał wątpliwości, że chłopak kiedyś się nim stanie, jednak w tej chwili był bladym, prawie pozbawionym zarostu dziewiętnastolatkiem, który rumienił się jak panna, gdy czymś się denerwował – zdarzało się to często.

– Przed chwilą telefonował Jack Went. Z apteki Wentów. Jego córka zniknęła.

– Emma? – Ellis zerknął na zegarek. Było tuż po czwartej po południu. – Pewnie trochę się spóźnia ze szkoły.

– Nie, nie Emma. Chodzi o tę małą. – Beecher zajrzał do notesu. – Sammy Went. Dwa lata. Ostatnio widziano ją jakieś dwie godziny temu.

– Jezu! Wyślij tam Herma i Louisa.

– Już tam jadą, szeryfie. Pomyślałem, że chce pan wiedzieć. – Popatrzył na rozłożoną gazetę. – Są już jakieś odpowiedzi na pana ogłoszenie?

Ellis wepchnął „Leadera” do górnej szuflady biurka.

– Pamiętasz, gdzie schowaliśmy tę książkę, Beech? Podręcznik badania miejsc

przestępstwa? Herm i Louis mogą jej potrzebować.

Beecher pokręcił głową.

– W tytule jest coś o miejscu przestępstwa. *Badanie miejsca przestępstwa* albo *Dedukcja na miejscu przestępstwa...* – ciągnął Ellis. – Jest tam rozdział o zaginionych: jakie pytania zadawać, rady, sugestie, takie rzeczy.

– O tak, konkretne wskazówki, prawda? Jestem prawie pewien, że widziałem ją w toalecie, szeryfie.

Brzmiało to dość prawdopodobnie.

Synowie Ellisa byli już dorosłymi mężczyznami, ale pamiętał, jacy mali i bezbronni wydawali się w dzieciństwie. Jack i Molly Wentowie na pewno odchodzą od zmysłów.

– Zmieniłem zdanie, zapomnij o książce. Po prostu podaj mi adres Wentów. Sam się tym zajmę.

Po obu stronach szerokiej Cromdale Street rosły drzewa. Wszystkie domy z wyjątkiem jednego były duże, w stylu kolonialnym. Wyjątek stanowił numer dziewięć: dom Ecklesów. Mijając go, Ellis zdjął nogę z gazu. Dobrze go pamiętał – przekrzywiona skrzynka pocztowa, tabliczka z napisem „ZAKAZ WSTĘPU” wisząca na płocie – co wydawało się śmieszne i niepotrzebne, bo kto przy zdrowych zmysłach chciałby wstępować do takiej rudery?

Podwórko było starannie utrzymane – zajmował się tym Travis, najmłodszy syn Ecklesów – ale dom był zrujnowany i tandetnie zbudowany. Wyobraźmy sobie, że na podwórko Ecklesów wszedłby włamywacz i kopnął rozklekotane drzwi z siatki – co wtedy? Jedynymi wartościowymi przedmiotami znajdującymi się w środku były czeki z emeryturą wojskową nadchodzące raz w miesiącu po śmierci Jeffa Ecklesa i mosiężna urna z jego prochami.

Ellis pojechał dalej.

Zastępcy przybyli wcześniej i nie wyłączyli migających świateł wozu patrolowego, więc na ścianach domu Jacka i Molly Wentów przesuwwały się czerwono-niebieskie odbłaski oświetlone bladym popołudniowym słońcem. Ellis zatrzymał się obok kabrioletu Jacka i ruszył ścieżką w stronę drzwi frontowych.

– Szeryfie – dobiegł z werandy cichy głos. Pojawiła się smukła dziewczyna. Była to

Emma Went; miała poważną minę. – Zniknęła, szeryfie. Za kilka godzin zajdzie słońce, zrobi się zimno, a mama nawet nie pamięta, czy Sammy miała na sobie sweter.

Mówiła poważniej niż trzynastolatka. Jej ruchy były sztywne, przypominała zombie. „Szok”, domyślił się Ellis.

Położył jej rękę na ramieniu.

– Porozmawiajmy w środku.

Emma wprowadziła Ellisa do salonu, gdzie na dużej czerwonej kanapie siedziała bezwładnie Molly Went. Nawet teraz była przystojną kobietą, włosy miała niedbale związane w kucyk, a oczy opuchnięte i wilgotne od łez. Na jej kolanach siedział gruby chłopiec w wieku ośmiu albo dziewięciu lat. Molly obejmowała go rękami i co kilka sekund ścisnęła, jakby chciała wyładować na nim napięcie. Chłopiec nie wydawał się zadowolony, ale miał dość rozsądku, by pozwalać matce dalej się ścisnąć.

W pobliżu czekali speszeni zastępcy szeryfa, Herm i Louis. Młodszy, atletyczny Herm spacerował tam i z powrotem po pokoju, a starszy, spokojniejszy Louis lekko przestępował z nogi na nogę. Obaj mężczyźni spojrzeli z ulgą na szeryfa.

– Herm, zacznij przesłuchiwać sąsiadów z ulicy – powiedział Ellis, próbując mówić rozkazującym tonem. – Dowiedz się, czy ktoś widział albo słyszał coś niezwykłego. Cokolwiek. Żaden szczegół nie jest zbyt banalny. Obejrzyj podwórka, jeśli się zgodzą, i powiedz mi, jeśli ktoś się nie zgodzi. Ty, Louis, zbierz grupę poszukiwawczą. Trzeba sprawdzić ulice, kanały ściekowe, lasy...

– Jezu, lasy... – jęknął Jack Went. Stał przy oknie na końcu pokoju, odsunął białą koronkową firankę i wyjrzał na zewnątrz. – Chyba nie uważacie, że mogła pójść tak daleko, prawda?

– Nigdzie nie poszła, Jack – odparła Molly. Ścisnęła chłopca siedzącego na jej kolanach, aż wydał krótki, ostry pisk. – Ktoś ją porwał. Ktoś wszedł do naszego domu i porwał Sammy.

– Nie mamy pewności, Molly. Proszę, nie wpadaj w histerię. To najgorsza rzecz w obecnej sytuacji. Powinniśmy zachować spokój. To tylko...

– Histerię, Jack?! Mówisz poważnie? Nasza córeczka zniknęła.

Ellis wyszedł z Hermem i Louisem do holu, by zamienić z nimi kilka słów, nim zaczną przesłuchiwać sąsiadów.

– Zostawcie na razie dom Ecklesów. Zajrzę tam, kiedy skończę z Wentami.

– Niech pan nie idzie sam, szeryfie – powiedział Herm.

– Nic mi się nie stanie. Bierzcie się do roboty.

Zastępcy wyszli zdecydowanym krokiem, a Ellis wrócił do Molly i Jacka.

– Dlaczego pani uważa, że Sammy porwano, Molly?

– Okno jej pokoju było otwarte. Na oścież.

– To nic nie znaczy – wtrącił Jack. – Stale zostawiasz je otwarte.

– Nie tym razem. Jestem tego pewna.

– Mają państwo na myśli okno sypialni córki? – spytał Ellis.

– Czasem zostawiam je otwarte, żeby przewietrzyć. Nie ma w nim siatki, ale jest za wysoko, żeby Sammy mogła go dosięgnąć. Poza tym nigdy... Tak czy inaczej, tym razem je zamknęłam. Doskonale to pamiętam.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Sammy?

– Około pierwszej – odparła Molly. – Zwykle nie pozwalam jej drzemać w środku dnia, bo potem nie śpi w nocy, ale marudziła, była w złym humorze i po prostu pomyślałam... Zamknęłam okno. Pamiętam, że zamknęłam okno.

– Ma zamek? – spytał Ellis.

Pokręciła głową.

– Zasuwka się popsuła – dodał Jack. – Już jakiś czas temu, ale nie śpieszyłem się z naprawą, bo to pierwsze piętro, a poza tym... cóż, wie pan, mieszkamy w Manson. Nie roi się tu od włamywaczy.

Szeryf skinął głową.

– Kiedy pani do niej zajrzała i zobaczyła, że zniknęła, pani Went?

– Przyszłam około wpół do trzeciej. Łóżeczko Sammy było puste, a okno szeroko otwarte.

Jack spacerował po pokoju.

– Proszę posłuchać, szeryfie, nie chcę się zachowywać jak dureń, ale żona stale zostawia otwarte okno w sypialni córki.

– Jack, na litość...

– Przykro mi, Molly, ale to prawda. Nie chcę sugerować, że to przeklęte okno to coś ważnego, jednak są duże szanse, że sama zostawiłaś je otwarte. Okno znajduje się na

pierwszym piętrze, więc musiały ją porwać prawdziwy gigant.

– Słyszałeś kiedyś o drabinach, Jack?

Jack uniósł ręce.

– Posłuchaj, prawdopodobnie Sammy zeszła po schodach, a potem znalazła się na podwórku. Może, sam nie wiem, zobaczyła ptaka albo kota Grace King, ruszyła za nim, straciła orientację...

Molly przewróciła oczami. Mały chłopiec siedzący na jej kolanach przytulił się mocniej do matki.

Ellis uśmiechnął się do niego.

– A ty jak się nazywasz, synku?

– Stuart Alexander Went, proszę pana – odparł mały.

– Nazywamy go Stu – powiedziała Molly.

– No cóż, Stu, domyślasz się, gdzie może się ukrywać twoja siostrzyczka? Jest w pobliżu jakiegoś miejsca, gdzie lubi się bawić?

Stu pokręcił głową.

– Nie wiem. Przepraszam.

– Nigdzie się nie bawi – powiedziała chłodno Molly. – Nie zauważyła ptaka ani kota Grace King i nie oddaliła się od domu. Ktoś wszedł przez okno i ją porwał.

– Kiedy wróciłeś do domu ze szkoły, Stu? – spytał Ellis.

– Nie był w szkole – wtrąciła Molly. – Jest przeziębiony. Pomyślałam, że dobrze mu zrobi dzień w domu.

– Widziałeś dziś coś dziwnego, Stu? – spytał Ellis. – A może coś słyszałeś? Jakiś hałas? Cokolwiek?

Chłopiec zerknął na matkę i pokręcił głową.

– Przez większość dnia grałem w *Zeldę*.

– Co to jest *Zelda*?

– Jedna z gier Nintendo – wyjaśnił Jack.

Ellis czuł na plecach spojrzenie Emmy, ale kiedy się odwrócił, patrzyła na swoje stopy.

– A ty, Emmo? Domyślasz się, gdzie może być twoja siostra?

Pokręciła głową.

– Zauważyłaś dziś coś niezwykłego w drodze ze szkoły do domu? Cokolwiek?

– Nie... ja... chyba nie.

Wydawało się, że chciałyby coś powiedzieć.

– Jesteś pewna? Najdrobniejszy szczegół może pomóc.

– Już mówiłam, nic nie widziałam.

Ellis skinął głową i odwrócił się z powrotem w stronę rodziców Sammy.

– Mógłbym obejrzeć jej pokój?

Sypialnia Sammy, jasnoróżowa i ciemnofioletowa, miała w sobie coś magicznego i chaotycznego. W jednym z rogów stała duża skrzynia wypełniona pluszakami. Na ścianach wisiały oprawione fotografie członków rodziny Wentów, kilka dziecięcych rysunków, ogromna różowa litera S pokryta srebrnym brokatem i dwa plakaty filmowe: *Kochanie, zmniejszyłem dzieciaki* i *Mała syrenka*.

Na łóżku leżały kolejne zabawki – dwie lalki i pluszaki. Na skotłowanej pościeli widać było niewyraźny ślad dziecięcego ciała. Ellis poczuł mdłości.

Podszedł do okna. Było dostatecznie duże, by wyszło przez nie dziecko, ale znajdowało się za wysoko, żeby mogła go dosięgnąć dwuletnia dziewczynka. Nawet gdyby Sammy zdołała chwycić parapet, nigdy nie zdołałaby się na niego wspiąć. Poza tym okno znajdowało się na wysokości trzech i pół metra od ziemi. Skoro na rabacie nie leżało bezwładne ciało dziewczynki, można było przyjąć, że Sammy nie wyszła przez okno – a przynajmniej nie sama.

– Okno było otwarte, gdy weszła pani do pokoju?

– Szeroko otwarte – odparła Molly. – Szukałam na zewnątrz śladów butów albo drabiny, ale niczego nie znalazłam.

Jack zerknął na Molly. Ellis stanął tyłem do okna i rozejrzał się po pokoju. Popatrzył przez drzwi na hol.

– Kiedy położyła pani Sammy spać, te drzwi były zamknięte?

– Nie – zaprzeczył Jack. – Nigdy nie zamykamy drzwi. Sammy nie może dosięgnąć klamki i nie lubi być zamknięta, prawda, Molly?

Molly wpatrywała się w szeryfa.

– Była wyjątkowo marudna, więc ja...

– Zamknęłaś drzwi?! – spytał Jack. – Sammy tego nie znosi, Molly.

- Nie byłeś z nami. Nigdy nie jesteś.
- O co ci chodzi?
- Co robiłeś, kiedy zadzwoniłam do apteki?
- Nie możemy porozmawiać o tym później?

Ellis podszedł z powrotem do okna i wyjrzał na zewnątrz. Widział stąd wyraźnie dom Ecklesów. Popołudnie powoli zmieniało się w wieczór. Zmrok zapadający nad Manson wydawał się ciężki.

Klamki nie było; zastępował ją kawałek brudnego sznurka. Ellis go rozwiązał i otworzył furtkę, która wydała niesamowity pisk jak z horroru. Zagrzechotała tabliczka z napisem „ZAKAZ WSTĘPU”. Popatrzył na dom Ecklesów, położony w głębi podwórka, i ruszył w jego stronę.

Szedł przez to podwórko siedem lat wcześniej w otoczeniu siedmiu uzbrojonych zastępców szeryfa. Mieli aresztować Patricka Ecklesa za napaść i ciężkie pobicie. Patrick rozbił głowę Rogerowi Albomowi kijem bilardowym w Barze Cubby i nikt nie wiedział, dlaczego to zrobił.

Werandę oświetlała brzęcząca lampa, która wydobywała z mroku dziurawe drzwi z siatki i starą, podniszczoną kanapę. Kiedy otworzyły się drzwi frontowe, jakiś głęboko zakorzeniony, pierwotny instynkt kazał Ellisowi dotknąć dłonią kolby czterdziestkiptki tkwiącej w kaburze. Nie musiał wyjmować pistoletu; chciał po prostu przypomnieć sobie, że go ma. Nie zaszkodzi również przypomnieć o tym temu, kto otworzy drzwi.

Ellis spojrzał do wnętrza ciemnego domu. Wyszła z niego drobna kobieta z puszką piwa w jednej ręce i papierosem w drugiej.

- Dobry wieczór, pani Eckles. Mógłbym zamienić z panią kilka słów?

Ava Eckles była niczym niewyróżniającą się kobietą z rozczochranymi jasnymi włosami, żylastymi ramionami i wydatnym brzuchem. Miała na sobie czarne legginsy i stary, luźny, różowy T-shirt, na którym Ellis z trudem odczytał słowa: „2% anioła, 98% diabła”.

- Domyślałam się, że ktoś w końcu przyjdzie – powiedziała Ava, zaciągając się dymem. – Widziałam pańskich ludzi chodzących od drzwi do drzwi. Nie odwiedzili

tylko naszego domu.

– Muszę panią spytać o Sammy Went. Córkę Jacka i Molly Wentów z tej ulicy. Zna ich pani?

Nie odpowiedziała. Cisnęła niedopałek na podwórko i zapaliła następnego papierosa.

– Sammy zniknęła, pani Eckles. Widziała pani albo słyszała dziś po południu coś dziwnego?

Splotła ramiona na piersi.

– Widzę ciekawe rzeczy tylko w telewizji, szeryfie.

– Zauważyła pani jakieś nieznajome samochody albo obcych ludzi?

Zaciągnęła się papierosem i pokręciła głową.

– Spędziła pani cały dzień w domu?

– Czy wyglądam jak kobieta, która się szwenda po mieście?

– A pani syn, Travis?

– Co Travis?

– Czy dziś po południu widział albo słyszał coś dziwnego?

– Niech pan go spyta.

– Chętnie – odparł Ellis. – Jest w domu?

– Pracuje.

– Ciągle w Sprzątaniu z Pasją?

– To uczciwa robota.

– Nie zamierzam się z panią sprzeczać.

Ava zrobiła krok w kierunku Ellisa. Była trzydzieści centymetrów niższa od szeryfa, ale miała w sobie coś nieprzewidywalnego i szalonego, co budziło w nim niepokój.

– Zawziął się pan na naszą rodzinę, prawda, szeryfie?

– Ja...

– Zaginęła mała dziewczynka, a pan zakłada, że ma z tym coś wspólnego jeden z Ecklesów. Nie wystarczy panu, że wsadził pan do więzienia jednego z moich synów; teraz chce pan zamknąć drugiego.

– Przesłuchujemy każdego mieszkańca ulicy...

– Myślę, że powinien pan dać sobie spokój na ten wieczór. Jeśli dalej będzie się pan tu kręcił, mogę powiedzieć coś, czego lepiej nie mówić w kulturalnym towarzystwie.

– Co takiego, pani Eckles?

Uśmiechnęła się. Miała drobne, żółte zęby.

– Cóż, na przykład mogłabym powiedzieć, że sama nie wiem, co bardziej mnie denerwuje: otworzyć drzwi i zobaczyć na werandzie policjanta, czy otworzyć drzwi i zobaczyć czarnucha.

Ellis odetchnął głęboko. Poczł gwałtowny przypływ gniewu i wstydu, ale nad nimi zapanował.

– Jeszcze jedno pytanie, pani Eckles. Pani syn jeździ w pracy furgonetką. Czy jest w niej drabina?

MELBOURNE, AUSTRALIA

TERAZ

Na podjeździe domu Deana było wolne miejsce za jego jeepem i hondą jazz Amy, ale zaparkowałam samochód na ulicy, na wypadek gdybym musiała szybko odjechać. Dean w dalszym ciągu mieszkał w obszernej willi z trzema sypialniami, którą dzielił z matką. Dom był pomalowany na ciemny brąz i czerwień, ale dziś mżawka i mgła sprawiły, że wszystko stało się szare.

Przyjechałam na tradycyjną niedzielną kolację i zamierzałam postawić sprawę jasno – nie widziałam innego sposobu, by ruszyć do przodu. Dean prawdopodobnie nie miał pojęcia o Sammy Went i moje rewelacje mogły zniszczyć jego wspomnienie matki. Jednak w czasie jazdy doszłam do wniosku, że to nie mój problem: nie ponosiłam winy za to, co mnie spotkało.

Dean powitał mnie przy drzwiach frontowych i mocno uścisnął. Jak zwykle uścisk trwał trzy sekundy za długo.

– Boże, Kimmy, jesteś strasznie chuda. Dobrze się odżywasz? Wejdz z tego śmiertelnego zimna.

Był wysoki, szczupły i ubrany jak typowy ojciec z sitcomu z lat dziewięćdziesiątych: biała koszula z krótkimi rękawami wpuszczona w džinsy, białe buty sportowe i brązowy blezer z łatami naszytymi na łokciach (zgadzał się nawet ten szczegół). Wprowadził mnie do holu. Wszedł mi na spotkanie Zuch, trzynastoletni kot Deana i jego najbliższy towarzysz. A może chciał mnie ocenić? Trudno było się zorientować.

W salonie przy ogniu płonącym na kominku siedziały trzy osoby: Amy, jej partner Wayne i moja siostrzenica Lisa. Amy zerwała się na mój widok z kanapy. Podeszła do mnie ze smutnym uśmiechem i ujęła mnie za ramiona.

- Wszystko w porządku?
- Najzupełniej – odpowiedziałam.
- Żadnych wiadomości o sprawie?

Zachnęłam się.

– Nie.

– Jakiej sprawie? – spytał Dean. Przyniósł dwa kieliszki czerwonego wina i wręczył mi jeden.

– Och, to nic ważnego. – Wypiłam jednym haustem pół kieliszka. – Cześć, Wayne!

– Cześć, Kimberly! – narzeczony Amy był jedynym człowiekiem na świecie, który posługiwał się moim pełnym imieniem. Nie wyglądał źle – można by go nawet uznać za przystojnego, gdyby miał choć trochę osobowości. Jednak odzywał się tak rzadko i tak cicho, że wydawał się częścią umeblowania domu, bibelotem wypatrzonym w czasie niedzielnej wyprzedaży, dla którego Dean nie znalazł jeszcze miejsca.

Dean usiadł na kanapie, wypił łyk wina, wygładził nogawki dżinsów i znowu wstał, żeby poprawić ogień. Nie znosił bezruchu.

– Jesz orzechy laskowe, Kimmy? – spytał. – Zawierają substancje powstrzymujące rozwój komórek rakowych. Chcę, żebyś jadła kilogram orzechów dziennie. Wcale nie żartuję.

– Kilogram?

Znowu zniknął i po chwili wrócił z gigantycznym workiem orzechów. Wręczył mi go, mrugnął i powiedział:

– Z targu, gdzie rolnicy sprzedają swoje produkty.

Wszyscy obawiają się raka, ale strach Deana miał w sobie coś irracjonalnego. Po śmierci żony uznał, że wszyscy możemy umrzeć na raka. Nie bał się, że zachoruje – pił trochę za dużo i jego ubranie czasem pachniało papierosami, choć nigdy by się nie przyznał, że pali – jednak czuł trwogę na myśl, że raka mogłaby dostać jedna z jego córek.

Odsunął na bok osłonę kominka i szturchnął pogrzebaczem płonące polano. Pękło na pół, żarząc się wiśniowo.

– Hej, Wayne, mógłbyś przynieść jeszcze jeden kawałek drewna? Jest w małej drewnianej skrzynce na tyłach werandy.

Wayne wstał, skinął sztywno głową i wyszedł z salonu.

– Jak ci się żyje, Kimmy? – spytał Dean.

– Tak samo jak zawsze – skłamałam.

Amy obrzuciła mnie zmartwionym spojrzeniem. Na szczęście Dean był zbyt zajęty kominkiem, by to zauważyć.

– Wiesz, byłem wczoraj w centrum handlowym, gdzie jakaś kobieta fotografowała psy i koty – rzekł. – Miała mnóstwo klientów i pomyślałem o tobie. Chciałem, żeby zrobiła zdjęcie Zucha, ale zobaczyłem jej cennik. Czterdzieści dolarów za trzy wydruki, do tego bez oprawy. Możesz w to uwierzyć?

– Kim nie będzie fotografować psów i kotów – wtrąciła Amy. – Jest na to za bardzo utalentowana.

– Nie twierdzę, że powinna robić zdjęcia psów i kotów. Byłoby dobrze, gdyby zarobiła trochę pieniędzy na fotografii, to wszystko. Ma aparat za pięć tysięcy dolarów, który stoi na półce i pokrywa się kurzem. Wiesz, kochanie, naprawdę chciałbym, żebyś nie pozwalała Lisie pić tyle coli – zwrócił się do Amy. – Wiesz, jak wpływa aspartam na organizm dziecka?

Lisa stała przy stoliku do kawy. Zanurzała palce w dietetycznej coli Wayne'a, a później je oblizywała. Spojrzała na dorosłych wytrzeszczonymi oczyma.

Wayne wrócił do salonu, trzymając długą drewnianą szczapę.

– Gdzie mam to położyć, Dean?

– Zgadnij, Wayne.

Dean przygotował zapiekankę z tuńczykiem, której zapach i smak budził nostalgiczne wspomnienia. Dolał mi wina, a ja z trudem się powstrzymałam, by natychmiast go nie wypić. Lisa oglądała w salonie telewizję, bo nie chciała jeść z dorosłymi. Amy i Wayne siedzieli naprzeciwko mnie. Siostra spoglądała na mnie ponuro, a Wayne sprawdzał w smartfonie wyniki meczów krykieta.

– Wolelibyście znaleźć się na bezludnej wyspie sami czy ze swoim najgorszym wrogiem? – spytał Dean. Była to jego specjalność. Zadawał przy posiłkach prowokujące pytania, aby „prowadzić ciekawe rozmowy, mówić o filozofii i wznieść się ponad przeciętność”.

„Gdyby twoje życie było filmem, jaki nosiłby tytuł?” – mógłby spytać. – „Jakie prawo złamałbyś, żeby ocalić ukochaną osobę? Jakie są twoje trzy najciekawsze cechy i dlaczego?”.

Rzadko powtarzał pytania i zawsze miał dobrze przemyślaną odpowiedź. Lubiłam to dziwactwo Deana, ale Amy za nim nie przepadała.

– Daj spokój, tato – rzekła. – Wiesz, że kiedy muszę myśleć, jedzenie mniej mi smakuje.

Coś mi się przypomniało: siedzieliśmy w pokoju matki w hospicjum, z żółtymi tapetami i unoszącym się lekkim zapachem ekskrementów, który wszyscy w milczeniu postanowiliśmy ignorować. Amy przywiozła kanapki i jedliśmy je wokół łóżka. Dean przyniósł kubek kawy rozpuszczalnej z automatu na korytarzu, wyłączył telewizor – nikt i tak go nie oglądał – a następnie spytał:

– Gdybyście mogli wysłać wiadomość każdemu człowiekowi na Ziemi, co byście napisali?

– Robi to każdego wieczoru – powiedziała matka. Dzieliła kanapkę na kawałki, zamiast ją jeść. – Wczoraj zamówiliśmy dużą pizzę pepperoni, a kiedy otworzył pudełko, spytał: „Co zmieniłabyś w swoim życiu, gdybyś wiedziała, że nigdy nie umrzesz?”. Jak mam odpowiadać na takie pytania?

Zanim matka zachorowała, była mocną, umięśnioną kobietą o przenikliwych błękitnych oczach. Tamtego wieczoru w hospicjum wydawała się skurczona i pożółkła, z wyjątkiem oczu. Były do końca tak samo błękitne.

„Czy miała ochotę powiedzieć prawdę?” – zastanawiałam się. – „Czy ostatnie miesiące stały się dla niej nieznośnie męczące? Może zabiła ją konieczność utrzymywania tajemnicy? Może ten wielki, zły sekret doprowadził do tego, że”...

– No cóż, gdybym miał się znaleźć na bezludnej wyspie, wolałbym, żeby mi towarzyszył najgorszy wróg – powiedział Dean, a wspomnienie zniknęło. – Złe towarzystwo jest lepsze niż brak towarzystwa. Gdyby sytuacja stała się zbyt napięta, przynajmniej miałbym co jeść.

Amy spojrzała na mnie nad stołem.

– Pamiętasz, jak byliśmy dziećmi? Tata był wtedy silnym, milczącym mężczyzną. Tęsknię za tamtymi czasami.

– Co się z tobą dzieje? – spytał Dean. – Źle się czujesz w naszym towarzystwie?

Amy była przez cały wieczór w złym humorze. Prawie się nie odzywała, mówiła szorstko, odpowiadała monosylabami. Gdybym to ja zachowywała się w ten sposób, nikt by tego nie zauważył, ale u Amy stanowiło to poważny sygnał alarmowy.

– Słucham? Och, nic mi nie jest – odpowiedziała.

– Jest taka od tygodnia – mruknął Wayne, ciągle wpatrując się w komórkę.

Dean oparł łokcie na stole i popatrzył na Amy.

– Co się dzieje, kochanie?

Amy zerknęła na mnie z takim wyrazem twarzy, że nie wiedziałam, czy chce, bym mu powiedziała, czy żebym nic nie mówiła.

– W porządku – rzekł Dean. – Zapomnijmy o zaproponowanym przeze mnie temacie rozmowy prowokującym do myślenia. Mówmy o pogodzie, dobrze? Albo o cenach benzyny i polityce.

– Mówmy o Esmé Durand – wtrąciła Amy.

– Kim jest Esmé Durand? – spytał Dean.

– Pamiętasz Fionę Durand, moją koleżankę ze szkoły średniej?

Dean zastanawiał się przez chwilę.

– To Fiona moczyła się w nocy?

– Nie, Michelle. Fiona była ruda, drobna, bardzo ładna. Przyszła na pogrzeb mamy.

– To ona wróciła późno do domu po twoim pierwszym balu i zjadła resztę mojego sera jarlsberg?

– Nie, mówisz o Natalie. Rzecz w tym, że jej matka, Esmé, jest teraz samotna. Jej mąż uciekł z koleżanką z pracy – pracuje w finansach albo czymś podobnym, zakochał się w dziesięć lat starszej szefowej.

– Skandal – zauważył Dean i dolał sobie wina.

– Tak czy inaczej, Esmé jest teraz samotna.

– No i?

– Jest samotna i ładna, więc naprawdę myślę, że powinniście się dogadać.

– Och, dziękuję za propozycję, Amy, ale nie chcę, żeby moja córka znajdowała mi partnerki, z którymi mógłbym się umawiać na randki.

– Ktoś musi to robić.

Milczał przez chwilę.

– Nie myślę jeszcze o takich rzeczach.

– Minęły cztery lata, tato. Chcesz być zawsze samotny?

Mówiła gniewnym, poważnym tonem. Dean wyglądał jak przestraszona mysz próbująca uciec z pułapki.

– Czuję się dobrze, naprawdę. Muszę po prostu... Nie jest łatwo w ten sposób...

– Mama chciałaby, żebyś kogoś sobie znalazł.

– Spokojnie, Amy – wtrąciłam. – Dean powiedział, że nie jest jeszcze na to gotowy.

Miała zaczerwienione, wilgotne oczy.

– Co cię naszło? – spytał Dean nieco poważniejszym tonem. Wyczuwałam w nim cień złości. – Dlaczego płaczesz?

– Nic mnie nie naszło – odpowiedziała ostro, ocierając oczy chusteczką. – Po prostu nie chcę, żebyś był samotny.

– Nie jestem samotny. Mam was, Lisę i Zucha.

Amy się rozplakała. Wayne siedział i wstrząśnięty patrzył na nią z przerażoną miną.

– Kochanie... – Dean zaczął wstawać z krzesła, ale Amy machnęła ręką.

– Nic mi nie jest.

– Wręcz przeciwnie. O co chodzi? To z mojego powodu? Porozmawiajmy.

– To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Więc o co chodzi?

Oderwała serwetkę od oczu i zerknęła na mnie. Później desperacko, z pogardą i goryczą rzuciła:

– Chodzi o tę pieprzoną Sammy Went.

– Sammy Went?!

Amy spojrzała na mnie. Dean również. Nawet Wayne mrugający z głupawą miną. Teraz albo nigdy.

– Sammy Went to... – Umilkłam na chwilę, by się uspokoić. – Zaczepił mnie mężczyzna... Prowadzi śledztwo...

– Zaczekaj, co ty właściwie... – Dean w dalszym ciągu niczego nie rozumiał. – Przyszedł do ciebie policjant?

– Nie, nie policjant. Księgowy. Prowadzi śledztwo w sprawie zaginięcia małej

dziewczynki. Zdarzyło się to dawno temu. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Nazywała się...

Zamarłam na widok twarzy Deana. Była napięta i blada. Ścisnął serwetkę tak mocno, że zbieleły mu knykcie. Zrozumiałam coś z przerażającą jasnością: W ie.

Słyszał wcześniej nazwisko Sammy Went. Może nie ostatnio, może przed wielu laty, ale długo czekał, aż znowu je usłyszy. Powiedziała mu. Powiedziała Deanowi, ale nie mnie.

Poczułam, jakby ktoś mocno kopnął mnie w brzuch. Przez chwilę byłam pewna, że zwymiotuję niestrawiony makaron na całą jadalnię. Jak w *Egzorcystach*. Wstałam gwałtownie i oparłam się dłońmi o blat.

Dean rzucił serwetkę i obiegł stół.

– Nie – powiedziałam. – Nie zbliżaj się do mnie.

Amy spoglądała na przemian na mnie i na Deana.

– Kim...

Kręciło mi się w głowie. Próbowałam się uspokoić i straciłam ze stołu do połowy wypełniony kieliszek. Ugięły się pod mną kolana. Upadłabym na podłogę, gdyby nie Wayne. Szybko ujął mnie pod rękę i pomógł mi utrzymać równowagę.

– Co wiesz? – spytałam Deana.

Amy spoglądała to na mnie, to na niego, jakby obserwowała najsmutniejszy na świecie mecz ping-ponga.

– O czym ty mówisz, Kim? On nic nie...

– Spokojnie, Kim, proszę – przerwał Dean. – Musimy się uspokoić i po prostu porozmawiać.

– Od jak dawna?

Ale nie dałam mu czasu na odpowiedź. Byłam pewna, że zwymiotuję. Oderwałam się od stołu i popędziłam do łazienki.

Kiedy klęczałam przed muszlą klozetową i patrzyłam na resztki zapiekanki Deana, zastanawiałam się, czy będzie to ostatnia niedzielna kolacja rodziny Leamych. Usiłowałam wstać, ale musiałam się oprzeć o kafelki, czując zawroty głowy. Ktoś zapukał do drzwi łazienki. Był to Dean.

– Wchodzę, dobrze?

Mdłości były silniejsze od pragnienia powiedzenia mu, żeby został za drzwiami. Po kilku sekundach poczułam na plecach jego wielką dłoń.

– Wypij to. – Wsunął mi do ręki szklanę coli. Wypiłam łyk, a później oddałam mu szklanę. Straszliwie bolała mnie głowa. – Kiedy twoja matka zachorowała, rozmawialiśmy tylko o tym, jak pokonamy chorobę – powiedział. Oparł się plecami o ścianę i usiadł obok mnie na podłodze. – Kiedy stało się oczywiste, że jej nie pokonamy, zastanawialiśmy się, co będzie później.

Wytarłam usta kilkoma kawałkami papieru toaletowego i spuściłam wodę.

– Musisz zrozumieć, Kimmy – zabrzmiało to dość ponuro – że chciałem umrzeć razem z nią i jej to powiedziałem. Kazała mi przyrzec, że postaram się żyć jak najdłużej i że nie umrę z żalu kilka miesięcy po śmierci żony, jak to się czasem zdarza mężczyznom. Przywiązywała do tego ogromną wagę. Wiesz dlaczego?

– Myślała o mnie i Amy – szepnęłam. – Chciała mieć pewność, że się nami zaopiekujesz.

– Bingo. Przede wszystkim pragnęła, żeby jej córki były bezpieczne, zdrowe i szczęśliwe. W ostatnich dniach, kiedy personel hospicjum po trochu zwiększał jej dawki lekarstw i widzieliśmy, że nadchodzi koniec, rozmawialiśmy o...

– Sammy Went?

– Kazała mi przysiąc, Kimmy. Chciała, żeby tajemnica umarła razem z nią.

Łzy napłynęły mu do oczu i na chwilę opuścił mnie gniew. Tylko raz widziałam Deana płaczącego, kiedy umarła moja suka, Cień. Nosila imię owczarka z mojej ulubionej książki Enid Blyton i miała tak zwane serce płucne. Weterynarz powiedział, że najlepsza rzecz, jaką możemy zrobić, to ją uśpić. Dean zabrał ją w ostatnią podróż swoim datsunem. Kiedy wrócił do domu z obrozą w ręku, ciekły mu po policzkach łzy.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Patrzyłam na bladozielone kafelki. Fugi były szare i nierówne. Wyobraziłam sobie klęczącego Deana, kładącego kafelki rząd po rzędzie. Matka przynosiła mu kanapki i mówiła, że powinien zrobić przerwę na lunch.

– Wiesz, co widzę, gdy myślę o przeszłości? – spytał. – Głęboki, ogromny ocean. Wspomnienia są jak ryby. Kiedy chodzę po płyciźnie, mogę je łapać rękami. Trzymam wspomnienie w dłoni, patrzę na nie, a potem wrzucam z powrotem do wody, by

odpłynęło.

Wpatrywał się w ścianę łazienki; po jego policzkach spływały łzy.

– Ale im głębiej wchodzisz, tym ciemniejsza staje się woda. Wkrótce nie widać stóp. Nie widać też ryb, ale czujemy, jak pływają wokół, dotykają naszych nóg. Żyją w głębinach. To... rekiny. Kimmy. Rekiny i potwory. Trzeba je zostawić w spokoju. Rozumiesz, co mam na myśli?

Jeszcze raz wstałam w milczeniu i z ulgą spostrzegłam, że odzyskałam równowagę. Przeszłam nad długimi nogami Deana i zostawiłam go na podłodze łazienki. Zamknęłam za sobą drzwi, zeszłam po schodach i ruszyłam w chłodny mrok.

„W głąb oceanu”, pomyślałam.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

– Sammy! Sammy! Sammy!

Setki ludzi wołały po imieniu córkę Wentów. Linia ochotników prowadzących poszukiwania rozciągała się od betonowego kanału aż do przesieki przeciwpożarowej. Szli powoli przez las, w nierównej linii, w odległości metra, wpatrując się w poszycie i wołając:

– Sammy! Sammy!

Co dziesiąty z uczestników poszukiwań był policjantem. Travis wiedział, że w Manson nie ma tylu gliniarzy – znał się na tym jako członek rodziny Ecklesów – więc przyjął, że przywieziono autobusami dodatkowych policjantów z Coleman albo Redwater.

Poszukiwania prowadzono również w wodzie. Travis odłączył się na chwilę od ochotników, stanął na wzgórzu i popatrzył na jezioro. Zobaczył siedem pontonów i jeszcze więcej nurków. Każdy z nich holował małą, kolorową boję.

Ludzie przeczesujący las modlili się, by odnaleźć dziewczynkę. Travis przypuszczał, że nurkowie modlą się, żeby jej nie odnaleźć.

Przyszła mu do głowy ponura myśl: Sammy nie żyje.

Jeśli wyciągną z jeziora małe ciało, złamie to serce Jacka, a to z kolei złamie serce Trávisa.

Udział w poszukiwaniach był dobrym pretekstem – wydawało się, że uczestniczy w nich połowa mieszkańców miasta – jednak Travis miał tylko jeden cel: chciał porozmawiać z Jackiem. Apteka była zamknięta i Travis wątpił, czy szybko zostanie otwarta, ale nie ośmielał się zadzwonić do domu Wentów. Nie ośmieliłby się

zatelefonować do Jacka do domu nawet w najbardziej przyziemnej sprawie, bo ryzykowałby, że dowie się o nim jego żona. I na pewno nie ośmieliłby się zrobić tego w tej chwili.

Ruszył wzdłuż linii ochotników, wypatrując kogoś znajomego. Zbliżało się południe, ale w ciągu nocy pojawiła się dziwna mgła i nie chciała się rozejść.

Spostrzegł Fran Hapscomb, grubą kobietę pracującą na stacji benzynowej Canning Gas & Go. Raz w tygodniu przyjeżdżał zatankować furgonetkę, a Fran zawsze lubiła pogawędzić. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Manson wiedziała, że Travis to członek rodziny Ecklesów, ale uważała go za dobrego Ecklesa. Oczywiście oznaczało to, że uważa jego brata, matkę i licznych kuzynów za złych Ecklesów, ale cóż, była tylko człowiekiem.

Travis pomachał do niej. Odwzajemniła gest i uśmiechnęła się. Później, przypomniawszy sobie, że szukają w lesie zaginionej dwulatki, zrobiła bardziej odpowiednią, strapioną minę.

– Cześć, Travis – powiedziała ponurym tonem pasującym do wyrazu swojej twarzy.
– To tragedia, prawda? Słyszysz się, że takie rzeczy zdarzają się w wielkich miastach, ale w Manson... – Pokręciła głową i spojrzała w stronę lasu. Oboje nasłuchiwali nawoływań ochotników.

– Widziałś Jacka? – spytał Travis.

– Jacka? Masz na myśli Jacka Listi ze sklepu z artykułami żelaznymi? Och, nie może chodzić po takim terenie ze swoją kulawą nogą, choć na pewno chciałby pomóc. Mówi, że kuleje po dawnej kontuzji na meczu futbolowym, ale moim zdaniem to po prostu artretyzm. Wiem z dobrego źródła, że kupuje dwa kartony piwa Rolling Rock na tydzień. Jest sam na farmie, więc albo poi nim krowy, albo...

– Nie szukam Jacka Listi, tylko Jacka Wenta. Ojca Sammy.

Zaczerwieniła się lekko.

– Och, Jacka Wenta, oczywiście. Wcześniej rozdawał jedzenie ochotnikom na parkingu nad jeziorem. Dał mi to. – Wyciągnęła w stronę Tralisa butelkę wody mineralnej, a później przycisnęła ją do piersi, jakby była tajemnym skarbem. – Znasz Jacka Wenta? – spytała tonem, który uznał za lekko podejrzany.

– Nie – odparł. – To znaczy i tak, i nie. Jesteśmy sąsiadami. w cudzysłowie,

pomyślał i lekko się uśmiechnął.

Nagle się rozpromieniła.

– Mieszkaś na ulicy, gdzie porwano Sammy, prawda? Widziałeś coś? Później musiał tam być prawdziwy cyrk. – Pochyliła się do przodu w oczekiwaniu na plotki.

– Niedaleko Wentów mieszka Pam Grady – odparł Travis, dramatycznie zniżając głos. – Mówi, że tamtego popołudnia widziała wysokiego, jasnowłosego mężczyznę w ciemnym sedanie. Parkował przed domem Jacka i Molly. Obserwował go.

– O mój Boże!

– Pam mówi, że nosił ciemne okulary, a co najdziwniejsze, zupełnie nie wyglądał na porywacza małych dziewczynek. Miał na sobie drogi garnitur.

– Garnitur?

– Pam uważa – ale to tylko między nami – że pracował dla rządu.

– Nie!

Travis skinął głową i dotknął czubka nosa palcem wskazującym.

Jasne, żartował z Fran, ale wszystko, co jej powiedział, było zgodne z prawdą – teoretycznie. Pam Grady twierdziła, że w dniu, kiedy zaginęła Sammy, po południu naprawdę widziała naprzeciwko domu Wentów wysokiego, jasnowłosego mężczyznę w ciemnym sedanie. Ale Pam Grady uważała również, że lądowanie na Księżycu to oszustwo i że długie, białe smugi kondensacyjne pozostawiane przez samoloty to szkodliwe chemikalia, którymi w tajemnicy spryskuje Manson George Bush. Poza tym skąd Pam mogła wiedzieć, że blondyn był wysoki, skoro przez cały czas siedział w aucie?

Mimo to Fran zachowywała się tak, jakby Travis przekazał jej wspaniały podarunek; czuł, że będzie przeżuwać tę plotkę przez resztę dnia.

Pożegnał się z nią i ruszył z powrotem ścieżką, oddalając się od miejsca poszukiwań. Ścieżka była zdeptana, wilgotna i błotnista.

– Sammy... Sammy... Sammy! – zewsząd dobiegały głosy wołających ochotników. Travis pomyślał, że zaledwie wczoraj o istnieniu dziewczynki wiedziało tylko kilka osób.

– Sammy... Sammy!

W trakcie marszu spoglądał na krzaki, jakby się spodziewał, że za chwilę zobaczy

małą, zakrwawioną dłoń wystającą zza drewnianej kłody albo martwą Sammy spoglądającą szeroko otwartymi oczami.

„Prawdziwy koszmar – pomyślał. – Boże, proszę, spraw, żebym to nie ja ją znalazł”.

Gdyby zwłoki odkrył Travis Eckles... Boże, o Boże, Fran Hapscomb rzeczywiście miałyby temat do myślenia.

„Wcale nie jest dobrym Eckelsem”, powiedziałyby. I nie tylko ona. Już wyobrażał sobie nagłówek w „Manson Leader”: „Zwłoki znajduje syn Ecklesów: czy to przypadek?”.

Na północnym skraju parkingu ustawiono ruchomy punkt koordynacji poszukiwań. Stała tam długa srebrzysta przyczepa z wielkim białym napisem „Kościół Wewnętrznej Światłości”; dwie litery T miały kształt krucyfików. Travis wątpił, czy zielonoświątkowcy prosili Jacka o zgodę na udział w poszukiwaniach.

Obok przyczepy rozpięto dużą markizę, pod którą ustawiono składany stół. Kręciło się przy nim kilku zielonoświątkowców ubranych w koszule z długimi rękawami. Na stole stały trzy rzędy butelek z wodą mineralną, torebki z chrupkami ziemniaczanymi, kilkanaście kanapek z marketu PB&J (każda oddzielnie zapakowana) oraz stos kolorowych wydruków fotografii Sammy Went.

Sammy, ubrana na biało, wyglądała na zdjęciu jak anioł. Miała oczy Jacka: błękitne i głębokie, przypominające małe planety.

W dolnej części każdego wydruku znajdowało się małe, zielono-niebieskie logo punktu kserograficznego Copy Hut. Jerry Lawson z pewnością udzielił im rabatu w zamian za zamieszczenie logo. „Każda reklama jest dobra”, pomyślał cynicznie Travis.

Cynizm cynizmem, ale pomysł wręczania ochotnikom fotografii Sammy miał w sobie coś groteskowego i absurdalnego. Czy w lasach zagubiło się więcej dzieci? Wyobraził sobie, jak jeden z ochotników odsuwa gałąź przewróconego drzewa i widzi pod nią drżącą, przerażoną dziewczynkę. Unosi do oczu fotografię Sammy wydrukowaną w Copy Hut, porównuje ją z dziewczynką leżącą w lesie i woła: „Fałszywy alarm, to nie ona!”.

Od grupki ludzi stojących pod markizą odłączyła się nieśmiała kobieta i podeszła do Trávisa. W jednej ręce trzymała plastikową butelkę, a w drugiej plastikowy pojemnik

z kanapkami. Poznał Becky Creech. Jej starszy brat był najważniejszą szycią Kościoła Wewnętrznej Światłości.

– Witaj! – powiedziała. – Nazywasz się Travis Eckles, prawda?

Jasnoniebieska spódnica Becky tak go rozproszyła, że nie zdziwił się, skąd go zna. Nie wyglądała źle jak na zielonoświątkowca, choć obszerny strój zasłaniał prawie całe ciało. Włosy, związane z tyłu, odsłaniały śliczne uszy – Travis zawsze zwracał uwagę na ładne uszy kobiet i mężczyzn – jednak jej uśmiech wydawał się wymuszony.

– Jeśli chciałbyś pomóc, potrzebujemy kogoś, kto rozdałby kanapki ochotnikom – powiedziała. – Wkrótce będą mieli przerwę na lunch i najlepiej, żeby zostali na swoich miejscach.

Uniosła pojemnik z kanapkami i Travis zauważył małą, brzydką bliznę między kciukiem a palcem wskazującym. Ugryzienie węża. Członkowie Kościoła Wewnętrznej Światłości brali do rąk grzechotniki w trakcie nabożeństw. Jeśli na ulicy Manson zauważyło się zielonoświątkowca, można było się założyć, że ma kilka śladów po ukąszeniach węży.

– Wszystko w porządku? – rozległ się donośny głos. Z przyczepy wyszedł wielebny Dale Creech i zmierzał w ich stronę. Był wysoki i przystojny, z wydatnym podbródkiem i gęstymi ciemnymi włosami. Travis wiedział, że jest szalony – wszyscy zielonoświątkowcy byli szaleni – ale uśmiech pastora podziałał na niego uspokajająco.

– Travis Eckles – powiedziała Becky. – To mój brat Dale.

Uścisnęli sobie ręce. Creech miał wiotką dłoń.

– Miło mi pana poznać, panie Eckles – rzekł. – Chociaż wolałbym, żebyśmy się spotkali w przyjemniejszych okolicznościach. Oby Bóg pomógł nam znaleźć tę dziewczynkę.

– Amen – dodała Becky.

Po parkingu krążyli ochotnicy i gapie – Travis przypuszczał, że obie te grupy częściowo się pokrywają – i prowadzili szeptem poważne rozmowy. Travis spodziewał się dojrzeć wśród nich Jacka, ale go nie zauważył, choć spostrzegł czerwony kabriolet zaparkowany w pobliżu jeziora.

Podszedł do samochodu. Dach był opuszczony. Na tylnym siedzeniu siedział Stuart, dziewięcioletni syn Jacka, i grał na konsoli Game Boy Nintendo.

– Cześć, Stuart! – odezwał się Travis.

Chłopiec spojrzał na niego smutnymi, uduchowionymi oczami i znów pojawiła się makabryczna myśl: Jego siostra nie żyje.

– Mam na imię Travis, mieszkam na tej samej ulicy. Pamiętasz mnie?

Chłopiec skinął głową.

– Wszyscy szukają mojej siostry, wiem.

– Tak.

– Chciałem pomóc, ale tata mówi, że jestem za mały.

– Cóż, twój tata to bystry facet – odparł Travis.

– Travis? – Znad jeziora nadszedł Jack.

Wyglądał strasznie. Miał wychudzoną, kredowobiałą twarz i chociaż było to niemożliwe, wyglądał, jakby w ciągu ostatniej doby schudł o dziesięć kilogramów. Jego żółta koszula była zapięta na niewłaściwe guziki, co sprawiło, że na piersi pojawił się otwór przypominający dziwne, rozchylone usta.

– Jack, cześć! O Boże! – powiedział Travis. Poczł nieprzeparłe pragnienie pocałowania przyjaciela, bez zwracania uwagi na świadków. Chciał ująć jego głowę i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Zamiast tego stał sztywno z rękami opuszczonymi wzdłuż boków.

– Co tu robisz? – spytał Jack.

– Martwiłem się o ciebie.

Jack zerknął na Stuarta, który znowu skupił uwagę na Game Boyu. Went dotknął dłonią włosów i westchnął.

– Najlepiej wracaj do domu, Travis.

– Chcę pomóc.

– Pomożesz, jeśli stąd znikniesz.

– Mogę się spotkać z tobą później? Po prostu porozmawiamy. Zrobię, co zechcesz.

Travis wyciągnął rękę i dotknął przedramienia Jacka. W tej samej chwili spojrzała na nich Kathryn Goodman, reporterka „Manson Leader”. Stała w grupce ochotników, notując ich wypowiedzi i nazwiska. Gryzła koniec ołówka, spoglądając na przemian na Jacka i Trvisa.

Travis wyobraził sobie inny nagłówek: „Burzliwy romans młodego Ecklesa z ojcem

zaginionej dziewczynki”.

Jack uwolnił rękę i cofnął się o krok.

– Muszę wracać.

Travis zauważył, że Kathryn Goodman zajęła się znowu ochotnikami.

– Chcę ci pomóc, Jack – powiedział.

Went się zachnął, machnął lekceważąco ręką i odwrócił się w stronę syna.

– Chodźmy coś zjeść, Stu.

Pomógł Stuartowi wyjść z samochodu i odeszli bez słowa.

Mgła zaczęła się rozpraszać. Mimo to warunki poszukiwań się nie poprawiły. Na horyzoncie płynęły szare chmury burzowe; po południu spadnie ulewa. Travis wrócił do furgonetki, którą zaparkował na poboczu autostrady nad jeziorem.

Kiedy dotarł do samochodu, zastał przy nim Chestera Ellisa próbującego zajrzeć do środka. Szeryf przycisnął twarz do tylnej szyby, a ręce przyłożył do oczu. W samochodzie nie było niczego oprócz akcesoriów do sprzątanania, jednak Travis się zdenerwował. Policjanci zawsze tak na niego działali, ale podejrzewał, że nawet najbardziej praworządny obywatel Manson byłby zaniepokojony, gdyby zastał szeryfa – nie zastępcę ani zwykłego policjanta, tylko samego szeryfa – usiłującego zajrzeć mu do auta.

– Mogę panu w czymś pomóc, szeryfie? – spytał Travis, gdy znalazł się dostatecznie blisko.

Zaskoczony Ellis się odwrócił.

– Travis... – odpowiedział. – Witaj, Travis!

– Wygląda na to, że podziwiał pan odkurzacz Dyson Cyclonic. Nie taki dobry jak stara SuckDuck, jeśli chce pan znać moje zdanie. Robiła wszystko sama.

– Och, ach...

– A może oglądał pan zestaw do przepychania rur Lager Max? Ma zoptymalizowaną hydromechaniczną dyszę i chociaż nie wiem, jak działa zoptymalizowana hydromechaniczna dysza, jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby nie odetkała rury odpływowej. Na pewno niewiele pan widział przez tylną szybę. Pomogę panu. – Podszedł do bocznych drzwi i rozsunął je.

„Nie mam nic do ukrycia, staruszk”, pomyślał, ale przez straszliwą chwilę wyobrażał sobie martwe ciało Sammy Went wypadające z samochodu na ziemię. Na szczęście na podłodze furgonetki stały tylko akcesoria do sprzątanania – odkurzacze, zestawy do przepychania rur, szczotki, środki czystości – i nie było zwłok.

Twarz Ellisa, oświetlona przez błyskawice widoczne na horyzoncie, była poważna.

– Przepraszam, synu. Chyba byłem zanadto wścibski.

– Wszystko w porządku, szeryfie – rzekł Travis. – Jestem przyzwyczajony. I wiem, że w Manson panuje w tej chwili cholernie napięta atmosfera.

– Delikatnie mówiąc – odparł Ellis. – Twoja matka wspominała, że odwiedziłem wasz dom?

Travis skinął głową.

– I chyba nie powitała pana bardzo serdecznie.

Ellis wzruszył ramionami.

– Tak sędzę.

– Szeryfie, nie chcę być niegrzeczny, ale dlaczego czekał pan na mnie przy furgonetce?

– Zauważyłem ją, gdy wracałem do biura, i przyszło mi do głowy, że pogadam z tobą, jeśli jesteś w pobliżu. – Ellis podciągnął mundurowe spodnie w sraczkowatym kolorze i odetchnął głęboko, z namysłem. – Chciałem ci zadać kilka pytań i uznałem, że najlepiej to zrobić od razu, prawda?

– Chodzi o Sammy Went?

Szeryf szybko skinął głową.

– Tak, synu, obawiam się, że tak. Wiesz, przesłuchujemy wszystkich sąsiadów, prawda?

Młody człowiek wzruszył ramionami.

– Kiedy dochodzi do takiego przestępstwa, policja zwykle wypytuje sąsiadów, by zdobyć jak najwięcej informacji. Może ktoś widział coś dziwnego, usłyszał krzyk, coś w tym rodzaju, rozumiesz?

Travis kiwnął głową.

– Kazałem zastępcom przesłuchać sąsiadów Wentów wieczorem w dniu zniknięcia Sammy. Pytali, czy ktoś zauważył coś niezwykłego. Kilku z nich – cóż, prawie wszyscy

– wymienili twoje nazwisko.

„Cóż za niespodzianka! – pomyślał Travis. – W Manson dzieje się coś złego i natychmiast oskarżają jednego z Ecklesów”.

– Podobno ciągle wystajesz przed domem Wentów – ciągnął Ellis. – Sąsiedzi mówią, że o najdziwniejszych porach, że zaglądasz do okien w środku nocy. Twierdzą, że podkradasz się do ich domu.

– Podkradam się? – Travisowi zupełnie zaschło w ustach. Oczywiście, że wystawał przed domem Wentów o różnych porach, oczywiście, że się podkradał. Ale nie miało to nic wspólnego z Sammy, tylko z jej ojcem. – Wie pan, że Pam Grady mówi, że widziała wysokiego blondyna w ciemnym sedanie zaparkowanym naprzeciwko posesji...

Ellis uniósł dłoń, uciszając Trávisa.

– Będę z tobą szczery, synu. Przywiązuje taką samą wagę do tego, co sąsiedzi mówią o tobie, jak do teorii Pam Grady o facetach w czerni – to znaczy żadną. Chodzi o to, że ludzie szybko znajdują kozła ofiarnego... Do licha, myślę, że wręcz potrzebują kozła ofiarnego. A jeśli to ktoś z twojej rodziny, tym lepiej.

– Tak, zauważyłem – odparł Travis.

– Problem polega na tym, że muszę wykonać swoją robotę i zbadać każdy trop, niezależnie od tego, jak nieprawdopodobny się wydaje. Więc przychodzę i pytam: Gdzie byłeś we wtorek po południu między pierwszą a drugą trzydzieści, gdy zniknęła Sammy?

„Robiłem loda jej ojcu”, pomyślał Travis.

– W pracy – odparł.

Ellis zanotował odpowiedź w kieszonkowym notesie.

– Sprzątałeś, tak? Gdzie?

– Firma, w której pracuję, ma klientów w całym Manson.

– Gdzie byłeś we wtorek?

– We wtorek? W Manson Business Park – odparł Travis.

– Pomieszczenia której firmy sprzątałeś?

– Sprzątanie z Pasją ma tam wielu klientów.

– Gdzie pracowałeś we wtorek?

– Eee...

– Jestem pewien, że Sprzątanie z Pasją prowadzi dokumentację, prawda? Sprawdzę, jeśli nie potrafisz sobie przypomnieć.

– Nie, pamiętam – odparł Travis. – Chyba u Millera.

– Millera?

– W firmie Miller i Wspólnicy. Zajmują się księgowością.

– I byłeś tam między pierwszą trzydzieści a drugą. Świetnie. Zadzwoń do nich.

– Chwileczkę, przepraszam, między pierwszą trzydzieści a drugą wyszedłem.

– Gdzie?

– Na lunch.

– Przywozisz gotowy lunch czy jesz w barze?

– Nie pamiętam.

– Nie pamiętasz?

Travis z trudem przełknął ślinę. Ellis jeszcze raz podciągnął spodnie i powtórzył:

– Już mówiłem, po prostu wykonuję swoją robotę.

– Chyba zjadłem burgera.

– Gdzie?

– Słucham?

– Gdzie kupiłeś burgera?

– W sklepie sieci Wendy's.

– Wendy's. Dobrze. Wpadnę tam, żeby to potwierdzić, i może przy okazji kupię sobie deser Frosty. – Nabazgrał coś w notatniku i uniósł wzrok. – Kto ci to zrobił?

Travis zorientował się, o co chodzi, dopiero po chwili.

– Och, podbite oko. Wpadłem na drzwi. Wiem, że to głupie.

Ellis spoglądał na Travisa przez dłuższy czas – przynajmniej tak się wydawało.

– To wszystko, czego potrzebowałem, synu. Dzięki za pomoc.

– Tak, oczywiście. Zawsze chętnie pomogę. Mogę już jechać?

– Dlaczego nie?

Travis zasunął boczne drzwi, wsiadł do furgonetki i skręcił na autostradę. Jechał powoli, z dozwoloną prędkością.

Matka Travisa siedziała rozwalona na kanapie i oglądała telewizję. Jeszcze nie była

nieprzytomna, ale niewiele brakowało. Dochodziła dopiero druga po południu, ale rolety były już opuszczone. Travis ich nie podnosił. W tym domu powinien panować półmrok.

– Co nowego, słodziutki? – spytała matka.

Travis ze zdziwieniem spostrzegł, że jeszcze nie jest kompletnie pijana. Czarująca, roześmiana Ava Eckles o drugiej zawsze była urżnięta w trupa i zmieniała się w smutną, pełną żalu Awę Eckles, która powtarzała: „Jak twój tata mógł nas zostawić?!”. Jakby ojciec Trávisa miał na swoją śmierć większy wpływ niż John Lennon, któremu strzelono w plecy.

– Cześć, mamó!

– Już ją znaleźli?

– Kogo?

– Tę małą – odpowiedziała. – Nie pomagałeś szukać?

– Nie, jeszcze nie, nie ma żadnych wiadomości.

– Nigdy nie znajdą jej żywej. To już trzy dni, prawda? Wyobrażasz sobie, jak teraz wygląda, zabłocona, blada i pogryziona przez robaki? Jutro będzie jeszcze gorzej, a potem przyjdzie następny dzień. Ciało odpadnie od kości, nawet ubranie zgnije. Jeśli zostawił jej ubranie.

– Kto? – spytał Travis.

– No wiesz, ktokolwiek. Wariat, który ją porwał. – Umilkła i zaciągnęła się papierosem, nie odrywając oczu od telewizora. Nadawano operę mydlaną. *Modę na sukces*, *Dni naszego życia* albo *Żar młodości*. Wszystkie wydawały się Travisowi takie same. – Była to tylko kwestia czasu.

– Kwestia czasu?

– Nim Manson dogoni resztę świata pod względem liczby morderstw i gwałtów. – Znowu się zaciągnęła i rozkasłała gwałtownie. – A jeśli znajdą ją dopiero po roku? Zostaną tylko kości i próchno.

Pochyliła się i wyjęła z pojemnika kolejną puszkę piwa. Jeśli Ava Eckles była w czymś dobra, to w picciu. W ciągu kilku trzeźwych godzin dnia chodziła po pokojach ze zmrużonymi oczami i pękającą głową, przygotowując się na następne popołudnie. Opróżniała popielniczkę, kładła kilka czasopism na stoliku do kawy, a obok nich

kanapkę, chipsy ziemniaczane oraz świeżą paczkę papierosów. I, co najważniejsze, stawiała obok fotela pełny pojemnik ze schłodzonym piwem. Lodówka znajdowała się zaledwie cztery metry od kanapy, ale po szóstym albo siódmym piwie cztery metry przypominały piętnaście, a po trzynastym i czternastym trzydzieści metrów. Mając obok siebie pojemnik, Ava mogła wyłączyć telefon, położyć się na kanapie, głędzić do woli i upić się do nieprzytomności.

„Jest mistrzynią w chlaniu”, pomyślał Travis. Zresztą nic dziwnego: ma wieloletnią praktykę.

Ava nie zawsze była żywym symbolem zdegenerowanego białego mieszkańca południa Stanów. Odznaczała się dzikim temperamentem już w młodości, ale zaczęła się posuwać do rękoczynów dopiero wtedy, gdy się rozpiła, co nastąpiło po śmierci ojca Trávisa. W chwili katastrofy helikoptera syn miał trzynaście lat. Później fundamentem życia Avey stała się emerytura po zmarłym mężu.

Travis jakoś się pogodził ze śmiercią ojca, ale Patrick nigdy do końca nie doszedł do siebie. Wydawało się, że Ava chce jak najszybciej umrzeć i spotkać się z mężem.

– Dlaczego nie jesteś w pracy? – spytała. – Wylali cię? Jeśli nie dostanę czynszu na początku miesiąca, musisz sam sobie radzić.

– Nie wylali mnie – odpowiedział. – Po prostu nie miałem ochoty dziś sprzątać. – Usiadł na kanapie obok matki. – Mogę się poczęstować? – Był zdenerwowany po rozmowie z Ellisem i piwo by go uspokoiło.

– To zależy. Zapłacisz?

– Daj spokój, mamó.

– Nie pożyczaj, dobry zwyczaj – rzuciła. Było to jedno z jej ulubionych przysłów. – Poza tym i tak nic bym na tym nie zarobiła. To tylko zwrot kosztów.

Travis znalazł w portfelu banknot dolarowy i rzucił go na stolik do kawy.

– Nie mam drobnych – powiedziała Ava.

– Nieważne. Zatrzymaj resztę. – Otworzył puszkę piwa i wypił ją jednym haustem. Natychmiast poczuł szum w głowie. Znalazł w portfelu następnego dolara, położył go na stoliku i wyciągnął z pojemnika drugą puszkę. Popijał ją małymi łykami.

Głowę wypełniła mu przyjemna mgiełka i zaczął zapominać o swoich zmartwieniach. Nagle rozległ się znajomy skrzyp otwieranej furtki.

– Idź zobaczyć kto to! – warknęła Ava.

Travis westchnął, wstał z kanapy i podszedł do okna. Uniósł roletę i wyjrzał. Był jasny, szary dzień. Kiedy poznał mężczyznę wchodzącego na werandę, o mało nie uderzył głową w szybę.

– O kurwa! – powiedział.

– Nie klnij! – rzuciła matka i otworzyła nową puszkę piwa. – Kto to?

– Patrick – odparł z niedowierzaniem. – Patrick wrócił do domu.

OKRĘG HARTFORD, CONNECTICUT

TERAZ

Boeing 787 zniżył lot na czystym błękitnym niebie, gładko wylądował i zaczął powoli kołować w stronę terminala. Na maszcie obok pasa startowego powiewała flaga Stanów Zjednoczonych.

Kiedy dotarłam do strefy odbioru bagażu, włączyłam komórkę. Miałam sześć nieodebranych połączeń od Amy i esemesa od Deana. „Gdzie jesteś?” Nie mieli pojęcia, że opuściłam Australię. W mojej głowie ciągle rozlegały się słowa Deana: „Im głębiej wchodzisz, tym ciemniejsza staje się woda”. Nawet jeśli Dean zna całą historię – wątpiłam w to – nigdy nie wypłynie ze mną na ten ocean. Mogłoby to zniszczyć pamięć o matce.

Zmęczona i zła, znowu wyłączyłam komórkę.

Przed wyjściem z komory celnej czekał na mnie Stuart z żoną. Claire była drobną, ładną kobietą. Niemal rzuciła się na mnie, gdy się pojawiłam: otoczyła mnie ramionami i mocno przytuliła. Ten szczególny rodzaj nieobliczalnej zażyłości zwykle budzi we mnie popłoch, jednak Claire miała w sobie coś ciepłego i autentycznego. Natychmiast poczułam do niej sympatię. A może po prostu potrzebowałam przytulenia?

– Bardzo się cieszę, że wreszcie cię poznałam – rzekła. – Ta cała sprawa jest taka, no wiesz, wow... Nie masz nic przeciwko temu, że przyjechałam bez zaproszenia, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Strasznie mi się podoba twój akcent – powiedziała.

Stuart oficjalnie uściśnął mi rękę i wziął moją walizkę.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś w Stanach – odezwał się.

– Ja też.

– Nie byłem zadowolony ze sposobu, w jaki się rozstaliśmy – dodał. – Takt nie jest moją mocną stroną.

– Mogę za to ręczyć – wtrąciła Claire.

Stuart i Claire mieszkali w Grundy, godzinę jazdy od lotniska. Claire powiedziała, że Grundy to miasto sypialnia położone między Nowym Jorkiem a Stamford; mieszka tam mnóstwo studentów. Poza tym w czasie jazdy prawie nie rozmawialiśmy. Była to moja pierwsza wizyta w Stanach, ale krajobrazy, fast foody, a nawet zapachy budziły dziwną nostalgię. Domyślałam się, że to skutek oglądania amerykańskiej telewizji w okresie dorastania.

Pojechaliśmy do Grundy malowniczą drogą, z której rozciągały się piękne widoki, i minęliśmy źródło rzeki Pequannock. Stuart wyjaśnił, że *pequannock* – ściśle biorąc, rzeka powinna się nazywać Pauguseet – to indiańskie słowo oznaczające „zniszczonej ziemi” albo „miejsce rzezi”.

Stuart i Claire mieszkali w niewielkim bungalowie w stylu kalifornijskim tuż za granicą miasta. Kojarzył mi się z pocztówką bożonarodzeniową. Zapasowa sypialnia okazała się przytulna i ciepła. Byłam zmęczona po długim locie i marzyłam, by się położyć do łóżka i zapaść w głęboki sen, jednak koniecznie chciałam się przystosować do nowej strefy czasowej, więc starałam się nie zasnąć.

Stuart kupił na kolację jakąś chińską potrawę. Jedliśmy przy niewielkim okrągłym stole w kuchni. Przez chwilę rozmawialiśmy na banalne tematy, po czym wypaliłam:

– Rozmawiałam ze swoim ojczymem.

– O Sammy? – spytał Stuart, odkładając pałeczki.

– O wszystkim.

– Co mówił?

– Wiedział.

Wydawało się, że Stuart za chwilę zerwie się z krzesła.

– Wiedział?! Co masz na myśli?! Co wiedział?! Chcesz powiedzieć, że wszystko potwierdził, Kim?!

– Spokojnie, Stu – powiedziała Claire.

– Nie potwierdził, ale nie zaprzeczył – wyjaśniłam. – Myślę, że niewiele wie, a jeśli wie, to mi nie powie.

Claire wzięła mnie za rękę.

– Boże, Kim, to musiało być trudne.

Skinęłam głową.

– Było trudne. Właśnie dlatego przyjechałam do Stanów. – Spojrzałam Stuartowi prosto w oczy, co nie przychodziło mi łatwo nawet w najlepszych chwilach. – Muszę się dowiedzieć, dlaczego kobieta, która mnie wychowała, weszła przed dwudziestu ośmiu laty do twojego domu i porwała twoją siostrę.

– Ja też chcę się tego dowiedzieć, Kim. – Przez chwilę wydawało się, że się rozpłacze. – Najpierw zatrzymamy się u Marthy w Wirginii Zachodniej. To nasza – przepraszam – moja siostra. Mieszkała w Wirginii, kiedy ostatnio z nią rozmawiałem. Nie widzimy się często, ale na pewno będzie chciała cię poznać.

– Nie wiedziałam, że masz siostrę.

– Mam dwie siostry – odparł, unosząc brew.

Pomyślałam o Amy.

– Od Marthy pojedziemy prosto do Kentucky – ciągnął Stuart. – Przyjedziemy do Manson, pojawimy się na progu mieszkania matki i niewątpliwie przyprawimy ją o zawał.

– A twój ojciec? – spytałam.

Stuart i Claire wymienili zażenowane spojrzenia. Później Stuart wbił wzrok w kluski.

– Tata mieszka w tej chwili w Wyoming. Zatelefonowałem, zostawiłem wiadomość, ale nie jestem nawet pewien, czy to ciągle jego numer. Wiesz, tragedia sprawia, że niektóre rodziny się cementują. W naszym przypadku było odwrotnie.

Spojrzałam mu w oczy. Była w nich nadzieja, co mnie zmartwiło. Czy liczy na to, że stanę się klejem, który z powrotem połączy jego rodzinę?

– Czeka was około piętnastu godzin jazdy – powiedziała Claire. – Kiedy dotrzecie do Manson, będziecie mieć siebie serdecznie dość.

– Nie pojedziesz z nami? – spytałam.

– Lubię podróże samochodem, ale zamierzam tu zostać i pilnować domowego ogniska. Myślę, że powinniście się lepiej poznać.

Właśnie to mnie martwiło. Claire była z natury serdeczna i jak dotąd znakomicie odgrywała rolę bufora. Myśl o tym, że spędzę z kimś tak dużo czasu, zwłaszcza

z niedawno poznaną osobą, sprawiła, że moja introwertyczna natura poczuła niepokój. Byłam dla Stuarta dawno utraconą siostrą, jednak on wydawał mi się obcym człowiekiem.

– Pamiętasz coś z tego, co się wtedy wydarzyło? – spytałam Stuarta.

– Niewiele.

Zacisnął mocno wargi i miałam niepokojące poczucie, że coś ukrywa. Pierwotnie uznałam go za rodzaj maniaka, zaburzonego człowieka o smutnej historii i skłonnościach do obsesji, ale nie wszystko się do tego sprowadzało. Wydawało się, że do Stuarta Wenta idealnie pasuje określenie c z u b e k g ó r y l o d o w e j.

– Większości rzeczy dowiedziałem się później – rzekł. – Rozmawiałem z rodzicami, czytałem raporty policyjne. Właśnie w ten sposób.

– Byli jacyś podejrzani? – spytałam, nakładając łyżką ryż do swojej miski.

– Ulubionym podejrzanym całego Manson był Travis Eckles. – Wymawiając to nazwisko, Stuart zająknął się i zawahał, po czym ciągnął: – Travis mieszkał na tej samej ulicy i pochodził z rodziny mającej konflikty z prawem. Inni podejrzewali mamę. Uważali, że może wpadła w złość, potrząsnęła Sammy, uderzyła i przypadkiem spowodowała jej śmierć.

– Dlaczego tak myśleli?

– Na początku ludzie zwykle winią rodziców, i chyba nie bez powodu – powiedział Stuart. – Matka czasem się wściekała, tak samo jak każdy, ale nigdy nas nie biła.

– Ciągle mieszka w Manson?

– Umrze w Manson – powiedziała Claire, przewracając oczami.

– Nawet po tym, jak ludzie zaczęli ją oskarżać o zabicie własnego dziecka?

– Mama nigdy nie opuściłaby Kościoła – rzekł Stuart. – Ona... Wychowano mnie jako zielonoświątkowca. Jest bardzo związana z Kościołem Wewnętrznej Światłości. Tata mniej.

– Czym jest Kościół Wewnętrznej Światłości?

Stuart popatrzył na Claire, która uniosła pytająco brew. Pary, które potrafią porozumiewać się telepatycznie w taki sposób, zawsze budzą we mnie lęk i frustrację.

– Nie powiedziałaś jej? – spytała Claire.

Zesztywniał, odwrócił się w moją stronę i spytał:

- Wiesz, na czym polega poskramianie węży?
- Nie.
- Członkowie niektórych wyznań biorą do rąk jadowite węże i uważają, że Bóg ich ochroni.
- Zaczekaj... Więc twoja matka poskramiała węże?
- Nie – odparł Stuart. – Nie poskramiała, tylko poskramia. Rzadko o tym rozmawiamy, ale o ile wiem, w dalszym ciągu należy do Kościoła.
- I wychowałeś się wśród węży?
- I tak, i nie – odparł. – W domu nigdy nie było węży. To wszystko działo się w kaplicy. Mama próbowała nas nawracać, ale ojciec chciał, żebyśmy trzymali się z dala od Kościoła.
- Nie jest religijny?
- Wychował się jako członek Kościoła Wewnętrznej Światłości, jednak z wiekiem się od niego odsunął. Mama zaczęła poskramiać węże pod wpływem jego rodziny, możesz w to wierzyć albo nie.
- Kontakt z węzami nie wydaje się dobry dla dziecka.
- Wzruszył ramionami.
- Moim zdaniem tata uważał, że mama w końcu odzyska rozsądek, a mama myślała to samo o nim.
- To jakaś sztuczka? – spytałam. – To poskramianie węży. Nie biorą węży do rąk, prawda?
- Nie ma w tym żadnej sztuczki. Węże są czasami trochę ospałe – prawdopodobnie głodne – ale nie są odurzone ani pozbawione zębów jadowych. Byłoby to niezgodne z zasadami Kościoła.
- Zdarzają się pogryzienia?
- O tak, stale. Każdy uczestnik nabożeństw ma ślady ugryzień. Zdarzają się też przypadki śmierci.
- Clyde, wuj Stuarda, umarł pokąsany przez węże – dodała Claire.
- Stuart skinął głową.
- Nie był moim prawdziwym wujem, po prostu tak go nazywaliśmy. Zdaje się, że Clyde chwycił całe naręczą grzechotników i przyciskał do piersi. Pewnego wieczoru go

pogryzły. Tutaj, w bark. Nie chciał się leczyć i zmarł po dwóch dniach. To straszna śmierć: jad grzechotnika niszczy nerwy, tkanki, nawet kości.

– Dlaczego nie chciał się leczyć?

– Bo mu na tym nie zależało. Wierzył, że uratuje go Bóg. Ale zdaje się, że tego dnia Bóg był zajęty głodzeniem dzieci w Afryce albo czymś w tym rodzaju.

Mimo woli w mojej wyobraźni pojawiła się mroczna postać z sennych koszmarów.

– Ale dlaczego właśnie węże?

Stuart westchnął – była to reakcja człowieka, który po raz setny słyszy to samo pytanie.

– Bo to wariaci, Kim. I z powodu cytatu z *Dziejów Apostolskich*, rozdział dwudziesty ósmy, wiersze od trzeciego do szóstego: „A kiedy Paweł zgarnął kupę chrustu i nakładał ją na ogień, wypełzła od gorąca żmija i uczepiła się jego ręki. Gdy zaś tubylcy ujrzeli zwisającego gada u jego ręki, mówili między sobą: Człowiek ten jest zapewne mordercą, bo chociaż wyszedł cało z morza, sprawiedliwość boska żyć mu nie pozwoliła. Lecz on strząsnął gada w ogień i nie doznał nic złego; Oni zaś oczekiwali, że spuchnie i zaraz trupem padnie. A gdy długo czekali i widzieli, że nic nadzwyczajnego z nim się nie dzieje, zmienili zdanie i mówili, że jest bogiem” ⁴.

„Co mnie czeka w Manson?” – pomyślałam.

Nazajutrz mieliśmy wyruszyć wczesnym rankiem, więc Stuart poszedł spać zaraz po kolacji. Ja siedziałam z Claire i wypiliśmy kilka kieliszków wina. Nie musiałam się przejmować sennością wywołaną zmianą stref czasowych. Claire była zbyt dobrą towarzyszką, bym mogła zasnąć. Jej ciepło stanowiło idealne uzupełnienie szorstkości Stuarta.

– Mogę cię o coś spytać, Claire? – odezwałam się, gdy wypiałam już dostatecznie dużo wina, by zdobyć się na odwagę. – Co powiedziałby Stuart, gdybym postanowiła pojechać do Manson sama?

– Dlaczego nie chcesz, żeby ci towarzyszył?

– Na pewno rozumiesz, że to wszystko jest przytłaczające. Wolalabym poznawać te sprawy stopniowo.

Claire zastanawiała się przez chwilę.

– Mogę ci coś pokazać?

Wyprowadziła mnie tylnym wejściem na podwórko. Na skraju posesji znajdowała się duża szopa. Claire przekreśliła klucz w zamku i otworzyła drzwi.

– Włącznik światła jest po lewej.

– Co jest w środku?

– Coś, czego mój mąż nie chce ci pokazać – odparła. – Ale myślę, że powinnaś to zobaczyć.

Zaciekawiona i trochę zdenerwowana, weszłam do środka i znalazłam włącznik. Światłówki migotały przez chwilę, po czym oświetliły wnętrze szopy. Nie wyglądała jak szopa, tylko pomieszczenie przydzielone grupie operacyjnej na komendzie policji. Naprzeciwko wejścia wisiał rząd tablic z nazwiskami i informacjami napisanymi różnokolorowymi cienkopisami. Do tablic przyklejono fotografie, każdą opatrzoną nazwiskiem, a ponadto, jak mogłam się domyślać, informacjami o ewentualnym związku z Sammy Went.

Popatrzyłam na twarze od lewej do prawej i zaczęłam czytać: „Deborah Shoslefski, zatrudniona w aptece Wentów, dawniej opiekunka Sammy, brak alibi”; „George Gregson-Rull, skazany w 1997 roku za zabójstwo i prawdopodobnie zgwałcenie Melissy Jennings i Rachel Kirby, obie miały po cztery lata, związek z Sammy nieznanym, brak alibi”; „Ava Eckles, sąsiadka, brak alibi”...

Lista była długa, ale ja przeniosłam wzrok z fotografii na dużą mapę Manson przyklejoną do ściany. Zaznaczono na niej obszary poszukiwań i ścieżki. Jedno miejsce otoczono czerwonym kółkiem i podpisano: „Młyn”.

Byłam wstrząśnięta.

– Dlaczego mi to pokazałaś?

Claire, stojąca w drzwiach, ciasno owinęła się obszernym kardiganem.

– Chciałam ci coś uświadomić, Kim – powiedziała cicho, powoli, starannie wymawiając słowa. – Ty zajmujesz się tym niespełna trzy tygodnie, a Stuart przez całe życie.

Na jedynym oknie w szopie wisiało kilkadziesiąt fotografii Sammy Went. Jak dotychczas widziałam tylko zdjęcie pokazane mi przez Stuarta w Australii. Nagle zobaczyłam ją w różnym wieku, w różnych pozach. Sammy Went jako noworodek, jej

pierwsza Gwiazdka, wakacje nad wodospadem Cumberland, Sammy śpiąca na rękach matki. Wszystkie moje zaginione zdjęcia nagle się odnalazły.

„To ja”, pomyślałam.

Claire uśmiechnęła się smutno i wzięła mnie za rękę. W jej geście było coś oficjalnego; miała duszę matki. Przypomniała mi się Amy.

– Nigdy nie przestał o tobie myśleć – powiedziała. – Nawet w najszcześniejszych chwilach jest w nim smutek, bo powinna być z nim również Sammy. Odnalezienie ciebie to dzieło jego życia. Weź go ze sobą. Będziesz go potrzebować – myślę, że to rozumiesz. Ale on potrzebuje cię bardziej niż ty jego.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

Jack Went myślał o drobiazgach: zużytej szczoteczce Sammy stojącej samotnie na umywalce w łazience, nadjeźdzonej kanapce z marketu PB&J pozostawionej na wysokim krześle przy stole w kuchni, parze maleńkich kaloszy przy drzwiach frontowych.

Wracał do domu po dniu spędzonym na bezowocnym przeszukiwaniu jeziora i otaczających go lasów. Sammy miała spędzić czwartą noc poza domem.

W dalszym ciągu myślał o drobiazgach, gdy na Glendale Street nagle zajechał mu drogę niebieski pikap. Jack o mało nie uderzył w ceglany mur przedszkola.

Zahamował gwałtownie i poczuł przyływ furii. Zrobiło mu się gorąco. Jednak gniew wydawał się lepszy od trwogi, która dręczyła go przez cały dzień. Mógł sobie poradzić z gniewem. Mógł wyjść z auta, wciągnąć do płuc zapach spalonej gumy i skuć mordę kierowcy pikapa. Kiedy wysiadł i ruszył przez ulicę do miejsca, gdzie zatrzymał się pikap, który stał teraz z włączonym silnikiem, zacisnął pięści i szumiało mu w uszach. W jego organizmie kipiała adrenalina.

– Jak jeździsz, do cholery?! – krzyknął. – Chcesz kogoś...

Umilkł, kiedy drzwi wozu się otworzyły i zobaczył kierowcę. Była to niska, przysadzista kobieta w średnim wieku, ubrana w czystą białą bluzkę, z wyrazistym makijażem wokół oczu. Miała niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu; zeskoczyła z siedzenia kierowcy. Wylądowała na ziemi i rozłożyła ręce, by utrzymać równowagę, po czym wydała z siebie bolesny jęk i ruszyła w stronę Jacka. Jej szeroko otwarte, nieruchome oczy przypominały rybie ślepie.

– Bardzo przepraszam. O mój Boże, nic się panu nie stało?!

Jack odetchnął głęboko. Milczał przez chwilę. Musiał się skoncentrować, by stłumić

przyływ pierwotnej wściekłości. Gdyby odezwał się za szybko, mógłby krzyknąć.

– Nic mi nie jest.

– Nie wiem, co się stało. To wynajęty samochód i nie jestem przyzwyczajona do jeżdżenia takimi dużymi wozami. Chyba za mocno nacisnęłam pedał gazu i... Boże, jest pan ranny?! – Mówiła z dziwnym akcentem, brytyjskim albo irlandzkim, jak domyślał się Jack.

Uśmiechnął się blado.

– Cóż, najważniejsze, że nikt nie odniósł obrażeń.

– Dzięki Bogu! Ciągłe wali mi serce. Na pewno nie jest pan ranny? – Umilkła, przyglądając się twarzy Jacka. – Niech pan zaczeka, znam pana!

– Nie sędzę – odparł Jack.

– Widziałam pana w telewizji. To pan. Jest pan ojcem tej dziewczynki, prawda?

Skinął głową i popatrzył na nią z lekkim smutkiem, który teraz wydawał się przećwiczony.

Kobieta cofnęła się o krok. Wyglądała na przerażoną. Zerknęła przez ramię na pikapa, po czym znowu spojrzała na Jacka.

– Cóż, jeśli nie jest pan ranny...

– Nic mi nie jest – powtórzył i ruszył w stronę swojego samochodu. Wsiadł do niego, ostro skręcił i odjechał Glendale Street, pozostawiając niebieskiego pikapa na poboczu. Kobieta spoglądała za nim.

Kiedy Jack wszedł do domu, przytłoczył go ciężar panujących w nim emocji. Nie spał od kilku dni. Miał wrażenie, że jego ciało ulega dezintegracji. Kiedy kroczył holem na parterze, wyobrażał sobie, że po kolei odpadają od niego kawałki ciała – ucho, dwa palce, lewe ramię.

Usłyszał kogoś hałasującego w kuchni i pomyślał: Czy to naprawdę moja żona?

Po zniknięciu Sammy Molly nieustannie płakała i odmawiała modlitwy, co w tej sytuacji było kompletnym absurdem. Gdyby przestała się modlić i płakać, mogłaby przynajmniej nakarmić dzieci, co byłoby znacznie sensowniejsze. Jedzenie jest namacalne i rzeczywiste.

Prawdopodobnie w kuchni hałasuje Emma, szykując swoje słynne kanapki

z opiekany serem. Trzynastoletnia córka zajęła się domem, przejęła obowiązki matki i zaopiekowała się Stu. Dbała, żeby brat był umyty i najedzony, a kiedy zeszłej nocy obudził się z koszmarne snu, to właśnie ona poszła do jego pokoju i położyła się obok niego w łóżku.

Jednak Jack nie zastał w kuchni Molly ani Emmy. Zobaczył kobietę idącą od płyty do podgrzewania potraw do piekarnika ze ścierką do wycierania naczyń na ramieniu. Nawet widok własnego dziewięcioletniego syna w fartuchu z napisem „Pocałuj kucharza” nie sprawiłyby go w takie zdumienie.

– Mama?!

Sandy Went zlizwała coś czerwonego z czubka palca, zamknęła oczy i spokojnie skinęła głową, zadowolona ze smaku.

– Masz trochę czosnku? To znaczy prawdziwego czosnku, a nie tego paskudztwa, które sprzedają w tubkach?

– Co tu robisz, mamó?

– Kolację dla twojej rodziny. – Podeszła do Jacka i uściśnęła go. Trzymał ręce opuszczone wzdłuż ciała. – Rano wpadnę przygotować śniadanie i zająć się dziećmi. Zostawię dla nich lunch przed pójściem do apteki.

Znowu ogarnęła go furia, którą po raz pierwszy poczuł, gdy zajechał mu drogę pikap. Powoli wypełniła całe jego ciało i sprawiła, że zacisnął szczęki.

– Zamknąłem aptekę.

– Nonsens – odpowiedziała. – Myślisz, że jestem za stara, żeby włożyć fartuch?

– Doskonale dajemy sobie radę – odparł Jack. Jego wargi tworzyły wąską linię.

– Och, kochany, wcale nie doskonale. Powinieneś się skupić na poszukiwaniach Sammy, a tymczasem życie musi się toczyć normalnie. Przyszłam pomóc w drobnych, codziennych sprawach, Jackie.

– Nikt cię o to nie prosił.

– Jesteśmy rodziną – rzekła Sandy. – Taka jest prawda. Mylisz się, że nikt mnie nie prosił. Dzwoniła do mnie Molly. Powiedziała, że się nie modlisz.

Gniew sprawił, że mięśnie pleców i szyi Jacka stężały. Jego żona miała bliższe relacje z matką niż on sam. Kiedy odsunął się od Kościoła Wewnętrznej Światłości, Molly mocno się z nim związała, wpadła po same uszy w to bagno.

– Muszę sprawdzić, co robią dzieci.

W salonie Stu oglądał *Robin Hooda* w wersji Disneya. Był to od kilku lat jego ulubiony film, ale w ciągu ostatniej doby stał się niemal obsesją. Chłopiec nieustannie go oglądał, a jakość kasety VHS stale się pogarszała. Jack nie rozumiał, co podoba się Stu w tym filmie, ale domyślał się, że ma to coś wspólnego z tym, że syn zna zakończenie historii.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Kogo tym razem przyniosło? – mruknął Jack. W ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin w domu stale pojawiali się goście z radami, modlitwami i zapiekankami w naczyniach żaroodpornych.

Otworzył drzwi. Na progu stał mężczyzna o trochę znajomej twarzy. Był gruby, trzymał ręce w kieszeniach dżinsów z elastycznym paskiem w talii. Miał siwą, rozwichrzoną kocią bródkę i nosił biały kapelusz z szerokim rondem.

Kiedy umysł Jacka przystosował się do sytuacji – przypominało to wejście do ciemnego pokoju z blasku słońca – powoli rozpoznał gościa. Gdyby był dwadzieścia lat młodszy i czterdzieści kilo chudszy, gdyby zdjął ten groteskowy kapelusz, wyglądałby dokładnie jak...

– Buddy?

– Cześć, Jack!

– Boże, Buddy Burns! Ile to już lat?

– Dwadzieścia albo coś w tym rodzaju – odparł Buddy Burns. – Widziałem cię czasami w mieście, ale nigdy nie miałem odwagi podejść i się przywitać.

– Odwagi?

– Właśnie. – Buddy wyjął ręce z kieszeni spodni i splótł je na wielkim brzuchu. – Zawsze mnie męczyła myśl o tym, jak się rozstaliśmy, Jack. Chciałem się z tobą skontaktować, ale przeszkadzała mi duma. Jednak kiedy usłyszałem o małej Sammy...

– Może wszedłbyś do domu? – spytał Jack. – Masz ochotę na piwo?

Buddy się zachnął.

– Nie, przepraszam, żadnego alkoholu. Może trochę coli?

Jack odjechał z kaplicy Kościoła Wewnętrznej Światłości, wiedząc, że podąża tą trasą

po raz ostatni, i czuł się lżejszy z każdym kilometrem pokonywanym przez starego forda. Wcześniej Buddy Burns był jego najlepszym przyjacielem. W tamtych czasach prawie się nie rozstawali. Chodzili na polowania, na ryby, na wycieczki albo po prostu siedzieli w starym pikapie Buddy'ego i gadali. Rozmawiali całymi godzinami. O Bogu, życiu, śmierci, miłości, wszechświecie, teorii ewolucji.

Kościół nie zakazywał picia alkoholu, ale z pewnością patrzono na to krzywym okiem. Mimo to Buddy zabierał pojemnik z piwem, co dodawało ich przyjaźni posmak młodzieńczego buntu.

Poprzedniego wieczoru rozmawiali ze sobą w samochodzie zaparkowanym nad jeziorem. Całował się z Buddym, i to nie po raz pierwszy. Tym razem pojawiło się coś nowego: kiedy atmosfera stała się gorąca, Jack poprosił Buddy'ego, by wystąpił z Kościoła.

– Możemy razem wyjechać. Ruszymy na południe i zaczniemy wszystko od początku, będziemy czcić Boga we własny sposób.

Buddy nagle ochłódł, nazwał Jacka pedałem i zostawił go nad jeziorem. Jack musiał przejść na piechotę dziesięć kilometrów, by wrócić do miasta.

– Pięcioro dzieci?

– Tak, proszę pana – odpowiedział Buddy, dumnie kiwając głową. – Nie marnuję czasu.

– Z pewnością.

Siedzieli razem na niskiej ławce na podwórku na tyłach domu.

– Molly dobrze się wyraża o twojej żonie – powiedział Jack.

– Lubią się.

Jack wypił łyk coli i spojrzał na dom. W pokoju Sammy paliło się światło. Nie widział Molly, ale był pewny, że tam jest, zwinięta w kłębek wśród zabawek. Płakała, modliła się albo jedno i drugie.

– Jaka ona jest? – spytał Jack. Zaskoczył sam siebie.

– Moja żona?

– Moja. Jaka była przed zniknięciem Sammy? Musiałeś ją widywać w czasie nabożeństw.

Buddy skinął głową z zażenowaną miną. Zdjął kapelusz, obrócił go w dłoniach i włożył z powrotem na głowę.

– Wyciąga rękę do Boga i z tego, co widzę, Bóg wyciąga rękę do niej. To wszystko, na co możemy liczyć.

Chłodny wiatr poruszył liśćmi wzdłuż czarnego ogrodzenia i Jack pomyślał o Sammy. „Czy jest ci zimno, maleńka, gdziekolwiek teraz jesteś?”

– Co chcesz mi powiedzieć, Buddy?

– O co ci chodzi, Jack?

– Nie rozmawialiśmy od dwudziestu lat. Nie wpadłeś dzisiaj tylko po to, by mnie zapewnić, że będziesz się za mnie modlił, choć to doceniam.

Buddy wstał i przestąpił z nogi na nogę jak chłopiec zwlekający z wręczeniem rodzicom świadectwa szkolnego.

– O kurczę, Jack, skoro o tym mówisz, jest coś, co... Cóż, sam nie wiem, jak ci to powiedzieć, i mam nadzieję, że rozumiesz: nikt nie może odkryć, że to wyszło ode mnie...

– O co chodzi, Buddy?

– Szczerze mówiąc, Jack, musisz mi przyrzec, że utrzymasz źródło w tajemnicy. Gdyby moja żona się dowiedziała albo Kościół...

– Buddy Burns! – rozległ się piskliwy głos matki Jacka. Przez podwórko szła Sandy, wycierając dłonie w fartuch. – Gdybym wiedziała, że wpadniesz, przygotowałabym więcej jedzenia.

Buddy zamrugał szybko i Jack dostrzegł coś dziwnego w wyrazie jego twarzy. Z pozoru wydawało się to tylko zaskoczeniem i zażenowaniem, ale nie o to chodziło. Buddy Burns czuł s t r a c h.

– Cześć, Sandy! – odparł, zdejmując drżącą dłonią kapelusz. – Wszystko w porządku. Kiedy wrócę do domu, żona będzie czekać z kolacją na mnie i dziewczęta. Nawiasem mówiąc, muszę już zmykać.

– Chwileczkę, Buddy – przerwał Jack, po czym odwrócił się do matki. – Mogłabyś zostawić nas na chwilę samych, mamó?

Sandy Went spoglądała zmrużonymi oczami na Jacka i Buddy'ego. Po chwili się uśmiechnęła.

– Oczywiście. Ale nie gadajcie za długo, bo kolacja wystygnie.

Jack odczekał, aż matka wejdzie do domu.

– Co chciałeś mi powiedzieć? – spytał w końcu.

Jednak było już za późno. Buddy się spłoszył.

– Innym razem, Jack.

Jack stał na podwórku jeszcze chwilę, obserwując Buddy’ego Burnsa idącego ścieżką przez podwórko i wchodzącego do domu. „Byłem kiedyś zakochany w tym mężczyźnie”, pomyślał.

Zaledwie dziesięć sekund po odejściu Buddy’ego pojawiła się Emma. Miała na prawej dłoni różową lateksową rękawicę do zmywania. Drugą trzymała w lewej.

– Telefon do ciebie, tato.

Jack zerwał się z drewnianej ławki tak szybko, że o mało się nie przewrócił.

– Wiadomości?

Pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się.

– Kto to?

– Nie podał nazwiska. Ale tato... – Urwała, spojrzała w stronę domu i zniżyła głos. – Chyba płakał.

Jack wiedział, że to Travis, nim usłyszał jego głos.

– Wiem, wiem – rzekł Travis. – Oszczędź mi kazań, okej? Nie dzwoniłbym, gdyby nie było to naprawdę ważne.

Emma miała rację: Travis wydawał się roztrzęsiony, mówił łamiącym się, płaczkliwym głosem. Mimo to Jack nie zamierzał oszczędzać mu kazań.

– Co ty sobie właściwie wyobrażasz?! – szepnął do słuchawki. – Masz nie dzwonić do mnie do domu! Koniec kropka. Na dodatek w środku tego wszystkiego...

W drzwiach ukazała się głowa matki. Jack odebrał telefon w sypialni na piętrze, ale najwyraźniej nawet w tym miejscu nie mógł liczyć na chwilę spokoju.

– Wszystko w porządku, kochanie? – spytała.

– Tak, mamo.

Stała przez chwilę na progu ze zdziwioną miną. Później westchnęła teatralnie,

wyszła na korytarz i zamknęła drzwi.

Słyszał w słuchawce rozmowy, śmiechy i muzykę.

– Gdzie jesteś?

– U Cubby – odpowiedział Travis.

Jack wyobraził go sobie w Barze Cubby, stojącego obok odrapanego automatu telefonicznego przy drzwiach toalety, nerwowo ściskającego sznur od słuchawki.

– Szeryf Ellis myśli, że ja to zrobiłem, Jack.

– Co zrobiłeś?

– Porwałem Sammy.

Jack miał przez chwilę mętlik w głowie.

– Co takiego?! Nie, to niemożliwe.

– Tak, Jack. Węszy, zadaje pytania.

– Jezu, Travis, to normalne. Po prostu prowadzi dochodzenie, to wszystko.

– Pytał, gdzie byłem, kiedy Sammy zniknęła.

Jack wziął głęboki oddech.

– I co powiedziałeś?

– Nic. To tylko pogorszyło sytuację.

– Czego chcesz ode mnie, Travis?

Eckles znowu umilkł i Jack przez dłuższy czas myślał, że Travis się rozłączył.

– Niczego od ciebie nie chcę, Jack – powiedział w końcu. – Zadzwoń, żeby cię ostrzec.

– Ostrzec? Przed czym?

– Policjanci mogą ci wkrótce zadać kilka bardzo niewygodnych pytań. Nie chciałem, żeby cię zaskoczyli. – Wypił łyk jakiegoś napoju, piwa, jak domyślał się Jack. – Przykro mi, Jack, ale muszę powiedzieć o nas Ellisowi.

Kiedy Jack miał trzynaście lat, wybrał się z przyjaciółmi na wycieczkę na Paw's Bluff, półkę skalną w kanionie Elkfish wznoszącą się dziesięć metrów nad nieskazitelnie czystą, lodowatą wodą jeziora Merri. Śmiercionośne połączenie hormonów, presji kolegów i kilku łyków brandy podwędzonej z kuchni matki dało Jackowi odwagę, by skoczyć. Sam lot był wspaniały, ale lodowata listopadowa woda przypominała tysiące maleńkich stalowych zębów wgrzyzających się w jego ciało.

Jeszcze gorsza była nagła utrata tchu.

Do tej chwili nie miał podobnych doświadczeń. Groźba Trávisa – a może jego d e c y z j a – sprawiła, że stracił oddech. Rozpaczliwie chwycił powietrze, powtarzając sobie, że powinien się uspokoić, odprężyć, policzyć do dziesięciu. Musi odzyskać panowanie nad własnym ciałem i nad sytuacją.

– To po prostu instynkt samozachowawczy – ciągnął Travis. – Ellis będzie się mnie czepiał, dopóki nie udowodnię, że mam alibi. Pamiętasz, gdzie byłem, kiedy zniknęła twoja córka, prawda, Jack?

Went zamknął oczy, gdy wszystko sobie przypomniał. Travis klęczał, obejmując rękami Jacka, który mocno przygryzał dolną wargę, by nie krzyczeć.

– Dużo wypileś?

– Nie pouczaj mnie, Jack. Nie jesteś moim ojcem.

Went znowu usłyszał otaczające dźwięki. Może to załatwić. Musi to załatwić.

– Zaczekaj na mnie.

Z ulgą spostrzegł, że furgonetka firmy Sprzątanie z Pasją stoi na parkingu przed Barem Cubby, i poczuł jeszcze większą ulgę, gdy zobaczył, że Travis siedzi w szoferce z puszką piwa w ręku.

Wysiadł z samochodu i zapukał w drzwi samochodu. Spodziewał się, że Travis schowa piwo, jednak młody człowiek nie zwracał sobie tym głowy. Dopił puszkę, wyjął następną z pojemnika stojącego na siedzeniu obok, wyciągnął rękę i otworzył drzwi.

Jack wsiadł do szoferki. Na podłodze leżały w nieładzie puste puszki po piwie. Policzył je.

– Cztery?

– Ta jest piąta. – Travis otworzył kolejną puszkę, jakby chciał podkreślić znaczenie swoich słów. Wsunął rękę do pojemnika, który okazał się pusty. – Cholera, ostatnia. Możemy pić na spółkę.

Jack otworzył okno, by wpuścić do szoferki trochę świeżego powietrza.

– Dzięki, nie mam ochoty.

Travis usiadł głębiej w fotelu i oparł jedną dłoń na kierownicy. Zerknął na Bar

Cubby.

– Wolisz się napić w środku?

– Nie, Travis.

– Nie dziwię się. – Obrócił puszkę w dłoni, a następnie zmiądzzył krawędź kciukiem i palcem wskazującym. – Nie wiem, po co przejechałeś taki kawał drogi.

– Powinniśmy pogadać.

– Nie ma o czym gadać. Jest tylko jeden sposób. Jeśli nie zdobędę alibi...

– Nie powinieneś się tym przejmować, Travis.

– A jeśli trafię do Greenwood, co wtedy? Chcesz, żebym skończył jak brat?

Jackowi przyszło do głowy straszliwe pytanie: Jak daleko zamierzam się posunąć, żeby utrzymać ten związek w tajemnicy? Czy u Cubby są kamery monitoringu? Czy ktoś już rozpoznał tę furgonetkę?

– Powiedz coś, na litość boską! – Travis wydawał się zdesperowany, ale Jack spostrzegł coś, co dodało mu otuchy.

Jeszcze nie podjął decyzji, zrozumiał. Chce, żeby mu to wyperswadować.

– Travis, jeśli Ellis oficjalnie postawi ci zarzuty, złożę zeznanie i wszystko wyjaśnię. Nie pozwolę, żeby spotkało cię coś złego, obiecuję.

– Nie jesteś zmęczony ukrywaniem tego wszystkiego, Jack? Nie jesteś zmęczony walką? Nie chcesz ze mną zamieszkać?

– Ile byśmy przetrwali w Manson, jak uważasz?

– Moglibyśmy wyjechać, być razem, ujawnić się, a potem...

– Moja córka zaginęła, Travis.

– Wiem. Kurwa! Mam na myśli to, co możemy zrobić, kiedy się znajdzie.

– Nie chcę opuszczać Manson – powiedział Jack. – Zawsze jasno to mówiłem.

– Tak. Zawsze jasno mówiłeś, czego ode mnie chcesz. – Dopił piwo, zgniótł puszkę i cisnął ją na podłogę furgonetki. – Wolisz przejść do tyłu czy zrobimy to w szoferce?

– Jezu, zamknij się! – Jack się rozejrzał.

– Nie o to ci chodzi? – spytał Travis.

– Zachowujesz się jak dziecko. Idź i powiedz Ellisowi. Zaprzeczę. Jak myślisz, komu uwierzy? Żonatemu aptekarzowi z żoną i trojgiem dzieci czy Travisowi Ecklesowi?

– A komu uwierzy twoja żona?

Jack nagle poczuł ucisk obrączki noszonej na palcu.

Przy wjeździe na parking zatrzymał się autokar. Na jego boku znajdował się duży biały napis: „Pijany Autokar”, a pod spodem mniejszy: „Zapraszamy na nasz sławny objazd barów w Kentucky!”. Z autokaru wyszło kilkunastu hałaśliwych mężczyzn w koszulach. Jack się domyślił, że uczestniczą w przyjęciu kawalerskim i że nie jest to ich pierwszy przystanek. Stanęli przed wejściem do baru.

Travis położył rękę na udzie Jacka, który miał ochotę ją strząsnąć i udusić chłopaka. Poczł przyplływ wściekłości. Zamiast tego pocałował Trávisa, który odwzajemnił pocałunek.

Po chwili zmienili się w plątaninę rąk i nóg. Travis rozpiął dżinsy Jacka, wsunął rękę pod gumkę jego szortów i...

– Hurrgh!

Jack zamarł.

– Co to było?!

Popatrzył w lewo. Jeden z pasażerów autokaru zbliżył się do furgonetki i gwałtownie wymiotował, oparty o czarnego pikapa. Jego kościste nogi dygotały jak kończyny nowo narodzonego źrebaka.

– Hurrgh! – Mężczyzna jęknął, splunął. Obrócił się, wyprostował, zauważył Jacka i Trávisa w szoferce. Uśmiechnął się szeroko i ruszył w ich stronę. – Nie przeszkadzajcie sobie – powiedział. Zatrzymał się na chwilę, otarł dłonią rzygowiny z podbródka i czknał. – Kimże jestem, by przeszkadzać młodym...

Teraz widział ich dokładnie: w szoferce siedziało dwóch mężczyzn, a nie mężczyzna i kobieta. Zastanawiał się przez chwilę i zrobił kwaśną minę.

– Cholerni geje – mruknął i ruszył z powrotem w stronę baru.

Jack chwycił klamkę.

– Nie rób tego! – szepnął Travis. – Przyjechał Pijanym Autokarem. Nie jest z Manson. Nie poznał nas.

Jednak było już za późno. Jack wysiadł z furgonetki i szedł za chudym mężczyzną.

– Hej, zaczekaj, kolego! – zawołał. – To, co powiedziałaś... Coś ci się pomyliło...

Chudy mężczyzna się odwrócił. Miał mętny wzrok. Roześmiał się.

– Hej, stary, skoro lubisz takie rzeczy...
– Nie, chciałem powiedzieć...
– Jack, daj spokój! – Travis również wysiadł z furgonetki. – Ten gość po prostu chce wrócić do baru i się napić, prawda, kolego?

– Mam teraz znowu mnóstwo miejsca – odparł chudy mężczyzna i poklepał się po brzuchu.

Chudego przyjaciela zauważyło kilku uczestników przyjęcia kawalerskiego.

– Wszystko w porządku, Don?! – zawołał jeden z nich. Był wysokim mężczyzną o szerokich barach i beczkowatej piersi.

Don pomachał do nich.

– Wszystko świetnie, jak u cioci, chłopcy. Zaakcentował słowo „cioci”. Odwrócił się w stronę Jacka i spytał: – Kapujesz? Cioci?

Jack zrobił krok w jego stronę. Chudy Don uniósł ręce, udając, że się poddaje.

– Nie chcę się z panem przytulać, kolego – zagruchał. – Mam w domu żonę, która nie byłaby z tego zadowolona.

– Jack, przestań! – Travis podszedł do Wenta i mocno chwycił go za ramię. – Opuść sobie.

Przez parking szli w ich stronę przyjaciele chudego Dona.

„Dobrze”, pomyślał Jack. Ogarnęła go wściekłość. Kiedy wróci do domu zakrwawiony, ze złamanym nosem, będzie musiał wytłumaczyć, co się stało, ale w tej chwili go to nie obchodziło. Teraz chciał się bić. Bić, żeby zapomnieć o bólu, panice, strachu i nienawiści. Bić, żeby zapomnieć o Kościele, Molly, matce, Buddym, Travisie i Sammy.

„Gdzie jesteś, Sammy? Gdzie jesteś, kurwa?! Wracaj do domu, słyszysz! NATYCHMIAST wracaj do domu!”

Odepchnął Travisa, który poleciał do tyłu, machając rękami, by zachować równowagę. Jack myślał przez chwilę, że młody człowiek upadnie, lecz w ostatniej chwili zdołał utrzymać się na nogach.

– Popelniasz błąd, Jack – rzekł Travis wyjątkowo trzeźwym głosem, wręcz imponująco trzeźwym, biorąc pod uwagę, ile piwa wypił w ciągu ostatniej godziny.

Podeszło do nich dwóch uczestników przyjęcia kawalerskiego. Mężczyzna

o beczkowatej piersi poklepał chudego Dona po ramieniu i spytał:

– Co się dzieje?

– Wpadłem w sam środek kłótni kochanków – odparł chudy Don.

– Nie o to chodzi... – Jack zrobił krok w stronę chudego Dona, ale zastąpił mu drogę mężczyzna o beczkowatej piersi. Trzeci jegomość, dość przystojny facet wyglądający na mola książkowego, patrzył na nich rozszerzonymi oczami ze zdziwioną miną.

– Masz jakiś problem? – spytał mężczyzna o beczkowatej piersi.

Jack poczuł, że robi mu się gorąco.

– Żadnego problemu – wtrącił Travis, stając między dwoma mężczyznami. – Nie ma żadnego problemu. Doszło do nieporozumienia, to wszystko.

Mężczyzna o beczkowatej piersi patrzył sekundę na Trávisa, po czym spojrział na Jacka. Pokiwał głową, odwrócił się, by odejść, i mruknął:

– Pedały.

– Co powiedziałeś? – spytał Jack, choć tak naprawdę to nie on wypowiedział te słowa. Padły z jego ust, jego głosem, ale w istocie przemówiło coś innego, mrocznego i wściekłego. Furia.

„Szatan”, pomyślał mimo woli. Mężczyzna o beczkowatej piersi się odwrócił.

– Wracaj do swojego kochasia, bo pożałujesz.

Jack poczuł, że końce jego ust lekko się unoszą. Wyobrażał sobie, że przerażająco się uśmiecha.

– Ostrożnie! – powiedział chudy Don, rubasznie szturchając w bok mężczyznę o beczkowatej piersi. – Wygląda na to, że mu się podobasz. My to nazywamy bójką, a tacy jak on miłością!

Mężczyzna o beczkowatej piersi obejrzał Jacka od stóp do głów, splunął, po czym kilkakrotnie zacisnął pięści.

– Świetnie. Więc to załatwmy. Długo to nie potrwa, cherlaku.

Chudy Don przestępował z nogi na nogę, śmiejąc się jak hiena krążąca wokół miejsca, gdzie lew rozszarpuje antylopę.

Z Baru Cubby wyszło kilku innych uczestników przyjęcia kawalerskiego. Stali wokół autokaru, śmiejąc się i śpiewając. Część patrzyła na Jacka. Nic go to nie obchodziło. Im więcej ludzi, tym lepsza zabawa.

– Jack, proszę! – jęknął Travis.

Went zbliżał się już do mężczyzny o beczkowatej piersi. Obrócił głowę w lewo, a później w prawo. Mężczyzna o beczkowatej piersi również ruszył w stronę Jacka z zaciśniętymi pięściami.

Sześciu lub siedmiu uczestników przyjęcia przeszło przez parking, by wesprzeć mężczyznę o beczkowatej piersi. Jack wiedział, że przegra. Nawet gdyby zdołał zadać beczkowatemu kilka dobrych ciosów, a był do tego zdolny, nie pokona tych wszystkich mężczyzn, pijanych czy trzeźwych.

Nie miało to znaczenia.

Nie tańcz wokół niego, powiedział sobie. Natychmiast wał w mordę.

Zrobił piruet na prawej nodze, uniósł zaciśniętą pięść i...

– Znam cię! – odezwał się trzeci mężczyzna, dość przystojny facet ze zdziwioną miną. – Tak, tak, zaczekajcie. Znam tego gościa.

– Nie, nie znasz – rzekł Jack.

– Tak, znam. Widziałem cię dziś rano w telewizji przy śniadaniu. Tak, znam cię. Znam tego gościa. – Odwrócił się w stronę pozostałych uczestników przyjęcia, którzy przed chwilą się pojawili. – Dziś rano widziałem go w telewizji. Porwano mu córkę czy coś w tym rodzaju. Prawda?

Mężczyzna o beczkowatej piersi zmiękł.

– O czym on gada?

– O niczym – odparł Jack.

– O tak, ja też go widziałem – odezwał się inny, niski grubas z gęstą, brązową brodą, kompletnie łyсы. – Jezu, to jakaś bzdura. Sam mam czworo dzieci i... O Boże!

– Porwana córka? – mruknął z zażenowaniem mężczyzna o beczkowatej piersi. – Posłuchaj, kolego: a może damy spokój?

– Matka małej wie, że tu jesteś? – spytał chudy Don. Jack poczuł, że jego oddech śmierdzi rzygowinami.

Wszyscy patrzyli na Wenta. Wiedział, jak wygląda. Nie, nie, jak wygląda. Wiedział, jak się czuje.

– Nie – rzekł. – Nie wie. I chcę, żeby tak zostało.

Uczestnicy przyjęcia zaczęli rozmawiać między sobą. Niektórzy rozglądali się

w oszołomieniu, inni uśmiechali się głupkowato.

– To nie to, na co wygląda – dodał Jack. Zwracał się do mężczyzny o beczkowatej piersi, który wydawał się przywódcą grupy. – Jak mówił twój kolega, moja córeczka zniknęła i... i... – Odwrócił się w stronę Trávisa. – I myślę, że ten mężczyzna ma z tym coś wspólnego.

Travis oklapł, lecz wcale się nie zdziwił. W głębi duszy spodziewał się, że Jack go zdradzi.

– Pytałem, co o tym wie – dodał Jack.

Mężczyzna o beczkowatej piersi spojrział nad ramieniem Jacka na Trávisa, a później na swoich przyjaciół.

– To prawda? – spytał Trávisa chudy Don.

– Muszę iść – odparł Travis i ruszył w stronę furgonetki.

Zastąpił mu drogę chudy Don.

– Jesteś zbokiem? – rzucił. – Lubisz się dobierać do małych dziewczynek, tak?

– Nie chcę kłopotów – powiedział Travis. Spojrział na Jacka z rozpaczą.

Chudy Don chwycił kombinezon Trávisa i pociągnął go do tyłu. Travis odwrócił się i go odepchnął, a chudy Don przestąpił z nogi na nogę i znowu roześmiał się jak głodna hiena.

Travis zrobił kilka kroków w stronę Jacka. Później jeszcze kilka.

– Co mam zrobić, Jack? Tylko powiedz i natychmiast się przyznam.

Jack zerknął na mężczyznę o beczkowatej piersi, który wydawał się zaskoczony.

Cofnij się, Travis – pomyślał Jack. – Nie zmuszaj mnie do tego.

– Wykorzystałeś mnie w jeden sposób, Jack, więc możesz wykorzystać w drugi. – Mówił prawie szeptem, stojąc niespełna trzydzieści centymetrów od Jacka.

Uczestnicy przyjęcia zbliżyli się, by obejrzeć bójkę.

– Jak zamierzasz to załatwić, kolego? – spytał chudy Don.

Mężczyzna o beczkowatej piersi położył dłoń na ramieniu chudego Dona, by go uspokoić.

– Wyluzuj, Don.

– Dobre pytanie – rzekł Travis. – Jak zamierzasz to załatwić?

– Spadaj – odparł Jack.

– Jak zamierzasz to załatwić, Jack?

– Spadaj!

– Nie możesz mieć wszystkiego. Nie możesz mieć mnie na dwa sposoby. Nie możesz mnie kochać i nienawidzić...

Jack uderzył go pięścią w twarz. Oszołomiony Travis poleciał do tyłu. Jęknął. Miał zakrwawiony nos, prawdopodobnie złamany. Uklęknął na jedno kolano, jakby chciał się oświadczyć Jackowi, otarł dłonią krew i patrzył, jak ścieka między palcami. Dwa zęby były złamane.

– Naprawdę nie przypuszczałem, że to zrobisz – powiedział, chwiejąc się.

Jack znowu go uderzył.

Went wrócił do domu po północy. Nie zawracał sobie głowy włączaniem świateł. Dobrze znał drogę. Wszedł do salonu, usiadł na kanapie i rozpłakał się.

Usłyszał kroki na schodach. W holu pojawiła się Molly, szczupła postać w białej koszuli nocnej. „Jak widmo”, pomyślał.

– Jack?

– Obudziłem cię?

– Nie mogę spać. – Zapaliła światło i jej oczy rozszerzyły się, gdy zobaczyła zakrwawioną kanapę. – Co się stało?

– Wszystko w porządku – powiedział, choć nic nie było w porządku. – To nie moja krew.

– Ma to coś wspólnego z Sammy?

Pokręcił głową.

Mogła wpaść w szał, żądać wyjaśnień i cytować Biblię. Zamiast tego podeszła do męża. Otarła łzy płynące po jego policzkach, usiadła obok niego na poręczy kanapy i ujęła dłońmi jego głowę.

– Popęlniłem błąd, Molly – powiedział. Przytulił się do żony. Jej zapach był naturalny, znajomy. Miała miękką skórę, znacznie bardziej miękką niż Travis. Po raz pierwszy od lat delikatnie pogłaskał ją po włosach.

– Chcesz o tym porozmawiać? – spytała.

– Nie bardzo – odparł.

Molly nie nalegała.

GDZIEŚ W PENSYLVANII

TERAZ

Opuściłam o kilka centymetrów okno od strony miejsca dla pasażera, by do toyoty prius wpadł powiew świeżego powietrza.

– Zacząłem się tym zajmować, kiedy pojawił się internet – powiedział Stuart. – Nie mieliśmy go wtedy w domu, więc korzystałem z komputera w bibliotece szkoły średniej. Szukałem informacji o innych zaginionych dzieciach albo ludziach skazanych za morderstwa dzieci mogących mieć związek ze sprawą twojego zniknięcia.

Pokonaliśmy długi odcinek autostrady. Za dębami białymi i klonami zwyczajnymi rosnącymi przy szosie rozciągały się bezkresne pola, na których gdzieniegdzie widać było samotne farmy. W Ameryce świat wydawał się większy – z pewnością większy niż w moim wygodnym zakątku w Melbourne. Kiedy słońce wspinało się nad horyzontem i oświetlało coraz większy obszar pól, wydawało się, że nas pochłaniają, że zanurzamy się w nie coraz głębiej.

– W tamtych czasach był limit czasu na korzystanie z komputera – ciągnął. – W trakcie półgodzinnego okienka pracowałem w szalonym pośpiechu i drukowałem wszystkie informacje, jakie zdołałem znaleźć. Kiedy kończył się czas, zbierałem stos wydruków, przemycałem do domu w plecaku i modliłem się do Boga, by rodzice nigdy się o tym nie dowiedzieli.

– Naprawdę byłoby to takie straszne? – spytałam. – W tych okolicznościach twoje zachowanie wydaje się normalne.

Wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie wysłaliby mnie do psychologa.

„Całkiem rozsądny pomysł”, pomyślałam.

– Więc prowadzisz śledztwo od szkoły średniej?

– Przez krótki okres w college’u próbowałem o tym wszystkim zapomnieć. Palilem dużo trawki, ale pomogła na krótko. Byłem uzależniony – od śledztwa, nie od trawki. Szczerze mówiąc, ciągle jestem uzależniony. To mnie pochłonęło – pragnienie, przymus, tęsknota, niezależnie od tego, jak to nazwać. Nie da się wcisnąć pasty do zębów z powrotem do tubki. Później poznałem Claire, a ona pomogła mi utrzymać tę obsesję w rozsądnych granicach... najczęściej.

– Chyba byliście zakochani.

– Nigdy bym cię bez niej nie znalazł. – Jeszcze nie widziałam go takiego ożywionego i wzruszonego. Po raz pierwszy poczułam, że doskonale go rozumiem.

„Gdybym straciła Amy, reagowałabym tak samo”, pomyślałam.

– Jak poradziła sobie z tym Emma?

– Urządziła ci pogrzeb.

– Pogrzeb, mnie?! Jak to... Co masz na myśli?

– Tak. Włożyła do drewnianej skrzynki wszystkie twoje stare zabawki i książki, a później zakopała za domem. Zaprosiła całą rodzinę, ale nie poszedłem.

– Dlaczego?

– Za bardzo kojarzyło mi się to z kapitulacją.

Wyobraziłam sobie Emmę Went rozpaczającą po śmierci młodszej siostry. W tym czasie jeździłam rowerem po Oliver Street, oglądałam telewizję w salonie, spacerowałam z Deanem albo byłam czesana przez matkę.

– Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, by nic mi nie powiedzieć? – spytałam. – Nie ze względu na mnie, ale twoją rodzinę? Gdyby potrafili o tym zapomnieć...

– Czytałaś kiedyś *Enocha Ardena*? – przerwał.

– Nie.

– To angielski poemat z dziewiętnastego wieku. Przerabialiśmy go w szkole średniej. Bohaterem jest żeglarz, Enoch Arden, który spędził dziesięć lat na bezludnej wyspie. Kiedy w końcu wraca do rodziny, zatrzymuje się przed domem i zagląda w okno. Widzi, że jego żona znowu wyszła za mąż. Jest szczęśliwa, znalazła sposób, by zapomnieć o przeszłości. Kiedy Enoch to widzi, postanawia nie wstępować do domu, bo wie, że żona jest szczęśliwsza bez niego. Później odchodzi i umiera z żalu.

Drżały mi ręce.

– Pan Baily kazał nam napisać na ten temat wypracowanie – ciągnął. – Musieliśmy wyjaśnić, dlaczego Enoch podjął taką decyzję i, co ważniejsze, wyjaśnić, czy decyzja była słuszna.

– A myślisz, że była słuszna?

Roześmiał się.

– Oczywiście, że nie. Na miejscu Enocha Ardena nie wahałbym się ani chwili. Wyważyłbym drzwi frontowe i pobił nowego męża. Może to znaczy, że jestem egoistą? Co o tym sądzisz?

– O Enochu Ardenie?

– O... o tym wszystkim. Wolałabyś, żebym ci nie powiedział?

– Ciągle się nad tym zastanawiam – odparłam. – Wyobrażam sobie, że w *Matriksie* wybrałabym czerwoną tabletkę, ale szczerze mówiąc, jestem przerażona.

– Czym?

– Tym, jak to wpłynie na moją rodzinę. Amy i Dean to jedyne stałe punkty odniesienia w moim życiu, jedyni ludzie, z którymi mam stałe relacje.

Stuart umilkł. Pochylił się i włączył radio. Uznałam, że oznacza to koniec rozmowy. Nie miałam nic przeciwko temu. Melodyjny warkot silnika i przytłumione dźwięki audycji radiowej z udziałem telefonujących słuchaczy łagodziły mój niepokój.

Jechaliśmy szeroką autostradą biegnącą przez Pensylwanię do Wirginii Zachodniej. Otaczały nas piękne krajobrazy. Okrążaliśmy prowincjonalne miasta, mijaliśmy długie odcinki pól uprawnych i pustkowi, plantacje kukurydzy i tytoniu. Odzywaliśmy się rzadko, ale im więcej czasu spędzaliśmy razem na autostradzie, tym lepiej się czuliśmy, nie zamieniając ani słowa. Miałam wrażenie, że stopniowo odnajdujemy wspólny rytm.

Po długiej podróży, gdy na siedzeniu samochodu pojawił się wyraźny odcisk mojego tyłka, dotarliśmy do Marthy w Wirginii Zachodniej. Miasto wyglądało koszmarnie: odrapane puste domy, zrujnowane betonowe bloki i baraki z blachy falistej. Około ósmej wieczorem zatrzymaliśmy się w Big Wind Motor Inn – czteropiętrowym sześcianie zupełnie niepasującym do otoczenia. Wprowadziliśmy się do swoich pokoi i umówiliśmy się na śniadanie, po którym mieliśmy pojechać na spotkanie z Emmą.

Miałam typowy jednoosobowy pokój. Łóżko było miękkie, ogrzewanie działało.

Spędziłam dużo czasu pod prysznicem; siedziałam na kafelkach, patrząc na swój pępek wypełniający się wodą. Później położyłam się na łóżku i oglądałam telewizję. Zmieniałam kanały, obejrzałam lokalne wiadomości i czułam się jak cudzoziemka w obcym kraju.

Nagle zaćwierkała moja komórka. Dzwonił Dean. Wyciszyłam telewizor i patrzyłam na imię na wyświetlaczu. W mojej wyobraźni pojawił się wyraźny, ostry obraz: Dean patrzący na telefon z ponurą miną, unoszący dłoń do twarzy z oczami pełnymi łez. Westchnęłam i odebrałam połączenie.

– Cześć, Dean!

– Dzięki Bogu! – odparł. – Mam już dość nagrywania się na twojej poczcie.

– Przepraszam, byłam zajęta.

– Gdzie jesteś? Kiedy nie mogłem się z tobą skontaktować, poszedłem do twojego mieszkania. Twoja sąsiadka, gruba kobieta, powiedziała, że ostatnio cię nie widziała. Zadzwoniłem do twojej pracy i twój szef oznajmił, że wzięłaś kilka tygodni urlopu. To prawda?

– Potrzebuję trochę czasu, to wszystko

– Amy szaleje z niepokoju – rzekł Dean. – Rozumiem, że nie odpowiadasz na moje telefony, ale nie ma powodu karać siostry za to, że...

– Co jej powiedziałaś?

– O czym?

– O tej przeklętej Sammy Went.

– Nic nie powiedziałem. Ale możesz być pewna, że pytała.

– Muszę kończyć, Dean.

– Zaczekaj, Kimmy. Rozumiem, że potrzebujesz czasu. Możesz go mieć, ile chcesz. Tylko proszę, nie mów, że planujesz wyjechać do Stanów.

– Nie planuję – odparłam. – Już jestem w Stanach.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Kim, nie jedź do Manson.

– Dlaczego?

– Są rzeczy, o których nie masz pojęcia.

– Na przykład?

- Nie mogę powiedzieć. Obiecałem twojej matce.
- Przekaż Amy, że ją kocham.
- Kim, zaczekaj...

Przerwałam połączenie i wyłączyłam komórkę, a później znalazłam w barku butelkę wina i pogłodziłam telewizor. Jego hałas miał zagłuszyć krzyki w mojej głowie. Telewizor nie pomógł, ale wino tak.

Kilka godzin później zasnąłam, myśląc o swojej rodzinie, starej i nowej.

Nad bramą wjazdową na osiedle przyczep mieszkalnych wisiała drewniana tablica z napisem *Elsewhere Park* z ogromnymi, plastikowymi orłami po obu stronach. Orły miały barwy flagi amerykańskiej.

Stuart jechał powoli przez wielki parking, odnajdując drogę wśród labiryntu uliczek i ślepych zaułków. Kiedy powiedział, że Emma mieszka na polu kempingowym, wyobraziłam sobie zniszczone przyczepy, zachwaszczone trawniki, starych ludzi na bujanych fotelach gapiących się bezmyślnie w przestrzeń, szczekające groźne psy na łańcuchach. Jednak Elsewhere miało w sobie dziwną energię kojarzącą się z letnim obozem skautów.

Gdzieś tam bawiły się dzieci, grały w piłkę albo jeździły na rowerach. Ludzie wyprowadzali psy na spacer. Dwa razy musieliśmy się zatrzymać, by spytać o drogę, i za każdym razem widzieliśmy miłe, przyjazne twarze.

– Musicie jechać tą ulicą, aż zobaczycie jasnoczerwoną przyczepę Fleetwood – powiedział jeden z mężczyzn. Wyglądał przez okno oparty na łokciu i nabijał fajkę jak jeden z bohaterów Tolkiena. – To dom Kate Fenton, ale nie wiadomo, jak to się skończy, gdy wreszcie weźmie rozwód. Tak czy inaczej, kiedy dojedziecie do fleetwooda Kate, powinniście skręcić w lewo, aż zobaczycie biały bungalow. To dom starego Nigela Ryana, który niewątpliwie poczęstuje was wiązką swoich słynnych przekleństw, gdy miniecie jego werandę. Później musicie...

Emma mieszkała w dużym beżowym fleetwoodzie z ciemnoczerwonym pasem pod dachem krytym gontem. Stał na końcu ślepej uliczki; dalej znajdowało się zbcze opadające w stronę płytkiego strumienia. Ogólnie rzecz biorąc, nie było to najgorsze miejsce do wychowywania dzieci. Emma miała trzech nastoletnich synów.

Podjazd był pusty, ale Stuart obrócił samochód i zaparkował go przodem w kierunku, z którego przybyliśmy. Uśmiechnęłam się lekko, przypomniawszy sobie, że sama stosowałam ten manewr.

– Planujesz szybką ucieczkę? – spytałam.

– Z Emmą nigdy nic nie wiadomo – odparł Stuart bez cienia humoru.

Frontowe drzwi przyczepy Emmy były szeroko otwarte, a drzwi z siatki zamknięte. Stuart wszedł przede mną po schodkach i zadzwonił. Po chwili za siatką pojawiła się koścista kobieta; wydawała się szara i niewyraźna.

– Tak? – spytała.

– To ja, Em – rzekł Stuart. – Poznajesz mnie?

– Stu? – Otworzyła jedną ręką drzwi z siatki, a drugą wyjęła z ust papierosa. Rozpromieniła się. – Co tu robisz, do cholery?!

Czterdziestoletnia Emma wyglądała na pięćdziesiąt lat. Jasne, spłowiałe włosy miała związane w luźny kucyk. Jej twarz była opalona i ogorzała. Nosila obszerną koszulkę polo z logo Burger Kinga.

– Byłem w okolicy – rzekł Stuart.

– Gównno prawda. Chodź.

Rzuciła papierosa na ziemię, zgasila go stopą odzianą w skarpetkę i uścisnęła młodszego brata. Cofnęła się i spojrzała na niego, ciągle trzymając dłonie na jego ramionach.

– Minęło dużo czasu, gówniarzu.

Stuart pokręcił głową i obrócił się w moją stronę.

– Właśnie tak mnie nazywała w dzieciństwie. Miłe, prawda?

Emma się uśmiechnęła, ukazując małe, krzywe zęby.

– Kim jest twoja przyjaciółka? Zamierzasz nas przedstawić? Domyślam się, że Claire znalazła się na bocznym torze.

Stuart oblał się rumieńcem.

– Nie, Claire i ja jesteśmy ciągle małżeństwem. To nie jest... to... – Umilkł, szukając właściwych słów.

– Wykrztuś to wreszcie, gówniarzu – powiedziała Emma. Jej uśmiech przybladł, gdy zobaczyła poważną minę brata.

– Em... To Sammy.

Emma się zachnęła.

– Miło mi cię poznać, Sammy. Mieliśmy siostrę o imieniu Sammy. Stu pewnie ci wspominał.

– Nie, Em, to właśnie ta Sammy.

Zapadło ciężkie milczenie. Emma zerknęła na mnie, na Stuarda i znowu na mnie.

– To nie jest zabawne.

– Nie żartuję. To właśnie Sammy. Znalazłem ją. W końcu... w końcu ją znalazłem.

– Pieprz się. – Wypowiedziała te słowa szeptem. – Pieprz się, Stu! – Oczy wypełniły jej się łzami.

Stuart również się rozplakał, co mną wstrząsnęło. Nie podejrzewałam, że jest zdolny okazywać takie emocje publicznie, na oczach ludzi. Łatwo można było go sobie wyobrazić łkającego w poduszkę samotnie w domu albo płaczącego cicho pod prysznicem, ale nie na progu przyczepy na polu kempingowym Elsewhere.

Emma chwyciła mnie za ramiona i przez chwilę myślałam, że mnie uderzy. Wydawała się wściekła, podekscytowana.

– To prawda? Jesteś moją młodszą siostrą?

Stałam i mrugałam.

– Może... prawdopodobnie... – wykrztusiłam. – Nie wiem. Tak.

– A twój akcent?

– Jest australijski.

– Chryste... – Ugięły się pod nią nogi. Osunęła się na werandę i załkała. Uklęklam obok niej i odkryłam, że ja również płaczę.

– Dobrze, już dobrze – szepnęłam, głównie dlatego, że tak należy przemawiać do płaczących ludzi. – Wszystko w porządku.

– Myślałam, że nie żyjesz – wykrztusiła. – Przez te wszystkie lata i... Niech to cholera!

– Cii... – szepnęłam i otoczyłam ją ramionami. Mam wrażenie, że siedzieliśmy przytulone przez godzinę, choć prawdopodobnie minęła minuta albo dwie. W końcu zza drzwi z siatki wysunęła się głowa jednego z synów Emmy, w którego oczach malowała się panika.

– Co się stało, mamó?

Otarła oczy i wstała. Mocno ścisnęła mnie za ramię, jakby bała się mnie puścić.

– Wszystko w porządku, kochany. Nic mi nie jest. Świetnie się czuję.

– Dlaczego wszyscy płaczą? – spytał chłopiec.

Emma się roześmiała.

– Ze szczęścia, Charlie. Teraz chodź przywitać się z ciocią.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

W biurze szeryfa Manson było gorąco jak w piekle. W nocy zepsuł się grzejnik, co nie byłoby wcale takie straszne, gdyby nie fakt, że był ustawiony na maksymalną moc. Nawet przy otwartych oknach biuro przypominało saunę.

Ellis wszedł do biura, zdjął przepocony podkoszulek i otarł piekące, zaspane oczy. W ciągu ostatnich dwóch dni spał w sumie cztery godziny. I był to najmniejszy z jego problemów.

Minęło pięć dni od zniknięcia dziewczynki. Pięć dni poszukiwań, organizacji, snucia hipotez, zbierania informacji i Bóg jeden wie, czego jeszcze. Pięć dni nieustannego przepraszania, że poszukiwania nie dają żadnych efektów.

Z pokoju socjalnego wyszedł Beecher, zastępca szeryfa. Miał ogromne plamy potu pod pachami i czarne worki pod oczami.

– Dzwoniłem do Barry’ego, szeryfie. Ma robotę w Redwater i zajmie się grzejnikiem najwcześniej w południe.

– Wyglądasz jak trup, Beech – powiedział Ellis. – Byłeś w domu?

– Spałem dwie godziny w areszcie. To zabawne, kiedyś cela wydawała mi się koszmarna, ale teraz prycza i poduszka nie wydają się takie złe.

– Racja.

– Mamy kłopot z tym grzejnikiem, prawda? – spytał Beecher.

– Cóż, przypuszczam, że zepsuty grzejnik nie jest naszym największym problemem.

– Normalnie bym się z panem zgodził, szeryfie, gdyby nie konferencja prasowa.

– Och... o cholera! To dzisiaj, prawda?

– Louis uważa, że powinniśmy postawić krzesła na trawniku, żeby reporterzy się

upiekli.

– W porządku – odparł Ellis. – Znajdź mi trochę aspiryny, dobrze, Beech?

– Boli pana głowa, szefie?

– Jeszcze nie. – Ellis był prawie pewien, że do końca dnia rozboli go głowa. Nie z powodu śledztwa, ale konieczności ciągłego lawirowania. Każdy miał problem i spodziewał się, że Ellis go rozwiąże, a każde rozwiązanie tworzyło kolejne problemy.

Doskonałym przykładem była konferencja prasowa. Powinna być prostą, rutynową czynnością, a mogła skończyć się katastrofą z powodu zepsutego grzejnika. A jeśli popsuje się pogoda? Jak przedstawią to media?

„Policja z Manson organizuje konferencję prasową na deszczu”.

Ten cholerny zepsuty grzejnik nie był jedynym problemem. Wczoraj późnym wieczorem zadzwoniła do biura Amelia Turner z „Manson Leader” i poprosiła o „specjalną przysługę”. Chciała zarezerwować na konferencji dwa miejsca w pierwszym rzędzie: jedno dla siebie, a drugie dla swojej szesnastoletniej córki Beth, początkującej fotoreporterki.

Ellis nie miał nic przeciwko specjalnym przysługom, jednak spodziewał się dziennikarzy ze wszystkich sąsiednich okręgów – może nawet zawodników wagi ciężkiej z NBC albo CNN. A jeśli Amelia Turner nie dostanie dwóch miejsc w pierwszym rzędzie? Czy powie kolegom z redakcji, że Ellis nie jest w stanie zarezerwować dwóch krzeseł?

Albo, co gorsza, zacznie paplać o ogłoszeniu Ellisa? „Wysportowany Afroamerykanin wyznający chrześcijańskie wartości i mający dobry zawód”...

Och, do diabła!

Jednak największy problem polegał na tym, że nie miał co powiedzieć dziennikarzom. Nie było żadnych wiadomości ani tropów. Zorganizował konferencję prasową, by zaapelować o pomoc do społeczeństwa, ale dziennikarze będą chcieli się czegoś dowiedzieć. Wyobrażał sobie, że otwiera klatkę z lwami w porze karmienia i że wchodzi do niej z pustymi rękami – jest tylko on sam.

Stały mu przed oczami jutrzejsze nagłówki – nie tylko w „Leaderze”, lecz także w gazetach całego stanu: „Niekompetentny szeryf nic nie wie: „Nieudolne śledztwo utrudnia poszukiwania Sammy”; „Konferencja prasowa na deszczu”.

– Jest coś jeszcze, szefie – powiedział Beecher. – Zeszłego wieczoru dzwoniła Clara Yi z więzienia Greenwood.

– Tak?

– Patrick Eckles wyszedł na wolność.

Słyszał, że Patrick ma szansę na przedterminowe zwolnienie. Pojawiały się zwroty w rodzaju „wzorowy więzień”, „dobre sprawowanie” oraz „postępy w resocjalizacji”, co oznaczało, że zwolnienie jest tylko kwestią czasu.

– Kiedy?

– We środę – odparł Beecher. – Dzień po porwaniu Sammy. Jak pan widzi, Patrick miał szczęście.

Doskonały moment. Pobyt w więzieniu Greenwood zapewniał Patrickowi niepodważalne alibi. Gdyby wyszedł tydzień wcześniej, wszyscy podejrzewaliby Patricka, a nie jego młodszego brata.

– Mam wrażenie, że wczoraj zakuwałem go w kajdanki – zauważył Ellis. – Dość szybko go zwolnili.

– Może odnalazł w więzieniu Boga? – rzekł Beecher.

Ellis prychnął, przeszedł do swojego gabinetu i zauważył, że na telefonie miga lampka: miał siedemnaście wiadomości głosowych. Nalał sobie kawy i usiadł przy biurku, żeby je odsłuchać.

Pierwszą zostawił zastępca szeryfa z Coleman. Policja z Coleman przysłała funkcjonariuszy do pomocy w poszukiwaniach i wypytywała miejscowych o Sammy; przez ułamek sekundy Ellis zastanawiał się, czy nie znaleźli czegoś, co mógłby rzucić głodnym dziennikarzom. Ale zastępca z Coleman nie miał nic nowego. „Ktokolwiek powiedział, że brak wiadomości to dobra wiadomość, może skoczyć z mostu do rzeki”, pomyślał i nacisnął guzik, by odsłuchać następną wiadomość.

Kolejne nagranie zostawiła Doris Wong, plotkarka z sąsiedztwa, która w jakiś sposób zdobyła numer wewnętrzny Ellisa. „Wykonałam za ciebie trochę dobrej roboty, Chester – oznajmiła. – Widziałam Murzyna średniego wzrostu w workowatych spodniach. Szedł moją ulicą i wyglądał cholernie podejrzanie!”

Bip.

Następne dwie wiadomości również zostawiła Doris Wong, za każdym razem

„dodając drobne, lecz z pozoru istotne szczegóły. „Och, zapomniałam powiedzieć, że sprawca nosił bejsbolówkę. Niebieską, z daszkiem skierowanym do przodu. Niektórzy noszą czapki z daszkiem skierowanym do tyłu, ale ten nie”.

Bip.

„To znowu ja, Chester. Minął już kwadrans od mojego ostatniego telefonu. Bez przerwy wyglądam przez okno i zastanawiam się, dlaczego nie przysłałeś samochodu patrolowego, żeby mnie zawiózł na policję. Mogłabym porozmawiać z rysownikiem, bo ciągle dobrze pamiętam tego”...

Bip.

„Ach, witam, dzień dobry! – Kobięcy głos, miły, nieco zdenerwowany. Ellis nie potrafił go rozpoznać. – To dla mnie trochę dziwne, przepraszam. Nazywam się Sue Beady i... eee... Mam około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, w dobry dzień ważę sześćdziesiąt osiem kilogramów, niedługo skończę trzydzieści pięć lat i wcale się z tym nie kryję. Eee... co jeszcze? Przepraszam. Czuję się naprawdę bardzo dziwnie. Zwykle nie robię takich rzeczy”.

Ellis umieścił słuchawkę między ramieniem a policzkiem i znalazł działający długopis. Zanotował nazwisko kobiety oraz dane o jej wzroście i wadze. Nie był pewien, po co to robi, ale śledztwa polegają na zbieraniu szczegółów, a były to niewątpliwie szczegóły.

„Mam jasne, piaskowe włosy i piwne oczy. Do licha, reszta może być niespodzianką. – Roześmiała się. Był to piękny śmiech. – Do licha, nie mam nawet... Opisuję się, a prawdopodobnie nie masz pojęcia, dlaczego dzwonię. Czytałam twoje ogłoszenie w «Leaderze». «Dobry zawód», «wysportowany», «chrześcijańskie wartości». Podoba mi się to”.

Ellis upuścił długopis, chwycił słuchawkę obiema rękami i przycisnął do ucha. Poczł na twarzy falę gorąca.

„Nie chodzę do kościoła w każdą niedzielę – ciągnęła Sue Beady – ale przestrzegam przykazań i staram się jak najrzadziej je łamać. Może nie zawsze przestrzegałam przykazania o czczeniu ojca i matki, ale Bóg nigdy nie miał wątpliwej przyjemności spotkania Franka i Carli Beadych. Na tym zakończę: niech spoczywają w spokoju. Tak czy inaczej, jeśli masz ochotę zaprosić na kolację jasnowłosą kobietę mającą metr

sześćdziesiąt wzrostu i ważącą sześćdziesiąt osiem kilogramów, dlaczego nie miałbyś do mnie zadzwonić? – Podała numer telefonu. – Jeśli tego nie zrobisz, obiecuję, że się nie obrażę. Życzę miłego dnia”.

Bip.

Wiadomości było więcej, lecz wszystkie bez znaczenia. Nawet gdyby okazały się ważne, Ellis nie zwróciłby na nie uwagi. W jego uszach w dalszym ciągu brzmiał miękki, piękny głos Sue Beady.

Konferencja prasowa miała się rozpocząć o dziesiątej rano. Kwadrans po dziewiątej na trawniku przed biurem szeryfa roiło się od dziennikarzy, techników telewizyjnych, kamerzystów, fotoreporterów i mnóstwa innych ludzi, którzy zajmowali się najróżniejszymi rzeczami.

Na parkingu stały wozy ekip telewizyjnych, każdy z własnym skrótem: CNN, NBC, STKV, WKYP, GRMTV. Lista była znacznie dłuższa. Nadjeżdżały kolejne wozy, stawały na trawnikach i chodnikach – nikt nie przestrzegał zasad parkowania. Kolejka ciągnęła się aż do Francis Avenue i znikwała za rogiem.

Na domiar złego pojawiła się połowa mieszkańców miasta. Ellis nie spodziewał się przybycia tylu ludzi, ale ich rozumiał. Mała Sammy Went symbolizowała wszystkie dzieci w Manson, a to, co ją spotkało, cokolwiek to było, symbolizowało z ło. Seryjnych zabójców i drapieżców seksualnych. Ludzi z odległych miast jak Frankfurt, Nowy Jork i Detroit.

Do Manson dotarło z ło.

Ellis stał na schodkach i obserwował nadchodzące wielkie tłumy ludzi. Nagle podszedł do niego zastępca Beecher.

– Nie ma sposobu, żebyśmy znaleźli dla nich wszystkich krzesła, szefie.

– W porządku, Beech. Mogą stać.

Beecher ustawił składane krzesła łukowatymi rzędami. Umieścił nawet niewielkie tabliczki z napisem „ZAREZERWOWANE” na dwóch krzesłach w pierwszym rzędzie dla Amelii Turner i jej córki. Nie było podium, ale ogólnie rzecz biorąc, Beecher nieźle się spisał.

– Dobra robota, Beech – powiedział Ellis.

Beecher pokraśniał jak piwonia.

– Świetnie bym się nadawał do organizacji wesel.

– Zawsze można zmienić zawód – odparł Ellis i nie był to tylko żart.

Tuż przed dziesiątą przybyła rodzina Sammy – Jack i Molly Wentowie, ich nastoletnia córka Emma i dziewięcioletni Stu. Natychmiast otoczyli ich dziennikarze.

Wentowie wydawali się bezbarwni: czarno-białe postacie poruszające się wśród kolorowych przedstawicieli prasy i telewizji. Molly miała wykrzywioną, pomarszczoną twarz, a Jack wyglądał, jakby nie jadł od wielu dni. Poza tym miał...

„Bandaż?! – pomyślał Ellis. – Bandaż na prawej dłoni?!”

Jakby czytając Ellisowi w myślach, Molly wzięła męża pod rękę i zasłoniła jego dłoń.

Szli razem ze smutnymi minami, ale najgorzej wyglądał Stu. Był blady i słał się na nogach: żywe ciało pozbawione duszy.

Ellis powstrzymywał łzy. Jeśli los Sammy symbolizował zło, które może się pojawić w Manson, Stu Went stanowił krzyczący symbol winy i klęski Ellisa. Chłopiec w ciągu kilku dni stracił całe dzieciństwo: wyciekło z niego jak ciepła woda spływająca z wanny do ścieku. Należało mu pomóc. Stuart potrzebował nadziei, podobnie jak wszyscy, a Ellis nie mógł mu jej dać.

Zaczęły mu drżeć ręce, więc wsunął je do kieszeni spodni i znalazł złożoną kwadratową kartkę z notatkami na konferencję. Wyjął ją i rozłożył. Ręcznie napisany tekst zajmował zaledwie pół strony. Pusta przestrzeń poniżej wyglądała jak oskarżenie.

– Pora zaczynać, szefie – powiedział Beecher.

Konferencja prasowa przypominała rozstrzelanie przez pluton egzekucyjny. Ellis nie miał żadnych poszlak ani nie potrafił udzielić żadnych informacji, więc nie przekonał nikogo, że miejscowy szeryf potrafi odnaleźć Sammy Went. Dziennikarze zadali mnóstwo twardych pytań, ale najbardziej zabolalo Ellisa to, które rzuciła Amelia Turner z Manson. Siedziała na zarezerwowanym miejscu w pierwszym rzędzie, uzbrojona w srebrny dyktafon, który trzymała wcelowany w Ellisa, jakby mierzyła do niego z pistoletu, i spytała:

– Jest pan pewien, szeryfie, że potrafi pan rozwiązać tę zagadkę?

Wybąkał niejasną odpowiedź, której nie pamiętał, i spodziewał się, że przeczyta ją w jutrzejszym wydaniu „Leadera”.

Wrócił do biura i padł na krzesło. Czuł się jak stare, zakurzone narzędzie ogrodnicze wiszące w czyjejsz szopie. Zerknął na notes leżący na biurku. Starannie zapisał telefon Sue Beady na górze pustej strony. Nie był to oczywiście odpowiedni moment, by umawiać się na randki, ale miał za sobą kilka mrocznych dni. Potrzebował trochę światła. Wystukał numer spoconymi palcami i odezwała się poczta głosowa Sue.

– Tak, hm, cześć! – powiedziała. – Mówi Chester Ellis. Zadzwoiłaś i zostawiłaś wiadomość, a ja... eee... ją odebrałem i teraz zostawiam własną. – Umilkł i otarł pot z czoła. – W Redwater jest świetna włoska restauracja o nazwie Barracuda. Cóż, zresztą nie wiem, czy naprawdę świetna, ale serwują pyszną pizzę. Gdybyś miała kiedyś chwilę, chętnie bym cię zaprosił, jak proponowałeś. Jeśli chcesz, możesz do mnie zadzwonić. Znasz mój numer w pracy. Albo mogłabyś zadzwonić do domu. Numer to...

Podniosła słuchawkę.

– Jesteś tam, Chester?

– Tak, proszę pani.

– Co byś powiedział na niedzielę?

– Słucham?

– Kolacja w restauracji z pyszną pizzą? – spytała. – Przesadnie chętny?

Ellis zaczerpnął tchu.

– Nie, nie przesadnie.

– Dobrze. Ale jest jeden warunek.

– Jaki?

– Nie nazywaj mnie panią.

Ellis się uśmiechnął.

– Umawiamy się na randkę.

Kilka sekund po zakończeniu rozmowy z Sue do gabinetu wszedł Beecher. On również otarł pot z czoła.

– Chyba coś mamy, szefie.

Ellis zatrzymał samochód patrolowy na północnym krańcu parkingu nad jeziorem, gdzie w dalszym ciągu trwały poszukiwania Sammy. Kilku ochotników gawędziło pod markizą rozpiętą obok przyczepy Kościoła Wewnętrznej Światłości. Kościół angażował się w poszukiwania od chwili zaginięcia Sammy. Mogli być bandą wariatów, ale Ellis z wdzięcznością przyjmował każdą pomoc.

Zaparkowali wóz, wysiedli i ruszyli w stronę Louisa, zastępcy szeryfa.

– Znalazłeś coś, Louis? – spytał Ellis.

– Może, szefie. Jeden z nurków zauważył coś przy Willow's Point. Może to nic, ale pomyślałem, że powinien pan to usłyszeć od niego, a właściwie od niej.

Zaprowadził ich do pochylni do wodowania łodzi, gdzie niska kobieta ładowała do pikapa sprzęt do nurkowania. Na bocznym lusterku pojazdu wisiał gumowy kombinezon, z którego kapłała woda. Od czasu do czasu kobieta łakomie odgryzała kęs kanapki.

– Policjantko Beaumont, to szeryf Ellis i zastępca Beecher – powiedział Louis. – Beaumont to jedna z najlepszych policjantek w Coleman i zna się na nurkowaniu. Pomaga nam przeszukiwać jezioro.

– Kiedy to się skończy, będziemy mieli ogromny dług wdzięczności wobec policji z Coleman.

– Nie ma o czym mówić – odrzekła kobieta. – I nazywajcie mnie Terry.

– Co masz dla nas, Terry?

– Pływałam obok Willow's Point. Jak pewnie się domyślicie, próba znalezienia zwłok w jeziorze Merri to trochę jak szukanie błony dziewiczej w burdelu.

Beecher stłumił śmiech.

– Willow's Point leży daleko od przejezdnych dróg. To niezbyt dobre miejsce do pozbycia się zwłok, chyba że ktoś chciałby je nieść na plecach dziesięć kilometrów.

– Albo miałyby łódź – wtrącił Beecher.

– Tak czy inaczej, jezioro bardzo się zwęża w tym miejscu i w okolicy jest mnóstwo ostrych skał, o które może się zaczepić ciało. Jeśli dziewczynka wpadła do wody i ryby zostawiły coś, co da się znaleźć, uznałam, że Willow's Point jest dobrym miejscem, żeby się rozejrzeć.

– Znalazłaś coś? – spytał Ellis.

– W wodzie nie. Na brzegu, może. O tej porze roku woda jest mętna od szlamu. Widoczność była słaba, więc spędzałam dużo czasu na powierzchni, wycierając maskę. W pewnej chwili zauważyłam mężczyznę obserwującego mnie z brzegu. – Zrzuciła płachtę na sprzęt do nurkowania i przeszła na drugą stronę półciężarówki, żeby przywiązać płachtę. – Nie wyglądał na myśliwego ani turystę, nie miał też wędkę. Mój ponton był jedyną łodzią w polu widzenia, a jak powiedziałam, to miejsce leży wiele kilometrów od przejezdnych dróg. Więc natychmiast uznałam, że to trochę... dziwne. Później pomachał do mnie, jakby chciał porozmawiać.

– Rozmawiałaś z nim?

Terry zatrasnęła tylną klapę pikapa, zablokowała i skinęła głową.

– Podpłynęłam na odległość pięciu albo sześciu metrów od brzegu, ale bardziej się nie zbliżałam. Zwykle nurkuję z partnerem, Dave'em, ale jego żona niedługo ma rodzić trzecie dziecko i nie pozwala mu wychodzić z domu, chyba że po pudełko ciasteczek czekoladowych Ding Dong. Zachowałam bezpieczną odległość. Po prostu na wszelki wypadek, rozumiecie. Ten gość, który pojawił się nie wiadomo skąd na kompletnym odludziu, trochę mnie przestraszył. Kiedy podpłynęłam, spytał, czy należę do grupy poszukującej zaginionej dziewczynki. Potwierdziłam, a on chciał się dowiedzieć, czy coś znaleźliśmy.

Ellis czekał.

– To wszystko?

– Pamiętacie Virginię Schorbus? – spytała Terry.

– Słyszałem już to nazwisko.

– Virginia Schorbus zaginęła w Redwater w... chyba w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym albo drugim roku. Mój kolega pracował nad tą sprawą i mówił, że stale kręcił się w pobliżu pewien gość, zadawał pytania, pomagał w poszukiwaniach. Przygotował nawet klopsiki dla rodziców ofiary. Nikt nie przywiązywał wtedy do tego większego znaczenia, ale dwa miesiące później na podwórku tego faceta znaleziono zakopane zwłoki Virginii.

– Och, pamiętam, to było straszne – powiedział Beecher. – Dlaczego tak się tym wszystkim interesował?

– Może obserwował przebieg śledztwa? – powiedziała Terry. – Albo go to

podniecało, czuł się silny. Tak czy inaczej, przypominałam sobie to wszystko, gdy ten mężczyzna zaczął zadawać pytania z brzegu jeziora. Zawołałam do niego i spytałam, jak się nazywa. Odwrócił się bez słowa i zniknął w lesie. Wydawało się, że się przestraszył.

– Kiedy to było? – spytał Ellis.

– Jakies dwadzieścia, trzydzieści minut temu. Natychmiast tu przyplłynęłam.

– Dobrze mu się przyjrzałaś?

– Nie noszę okularów przy pracy w jeziorze – odpowiedziała. – Moja maska do nurkowania ma optyczne szkła, możecie w to wierzyć albo nie. Ale miał ciemne włosy. Wiek około czterdziestu lat, coś koło tego. Nie jestem pewna.

– Opisałabyś go rysownikowi?

– Mogłabym spróbować – odrzekła.

– Pokażesz na mapie, gdzie go widziałaś?

Beecher rozłożył na masce samochodu Terry mapę Manson. Ellis i Beecher trzymali ją za rogi, żeby nie zawijał jej wiatr, a Terry zaznaczyła miejsce małym czerwonym krzyżykiem.

– Co o tym sądzisz, Beech? – spytał Ellis. – Masz ochotę na wyprawę?

Zanim Beecher zdążył odpowiedzieć, w lesie rozległ się ostry dźwięk gwizdka. Z drzew zerwały się ptaki. Gwizd trwał pięć albo sześć sekund, po czym nastąpiła seria krótkich, ostrych syren.

– Co to znaczy, do licha?! – spytał Beecher.

Ellis spojrział na korony drzew.

– Któryś z poszukiwaczy coś znalazł.

Ellis, Beecher, Louis i grupa ochotników szli szybko przez las, omijając wysokie drzewa. Czuli zapach gnijących roślin, wilgotnej ziemi, stęchlizny i deszczu. Co trzydzieści albo czterdzieści sekund znowu rozległ się gwizd i Ellis zmieniał kierunek marszu.

Okolo czterystu metrów od jeziora spotkali Harry'ego Barra. Był on członkiem Kościoła Wewnętrznej Światłości, pomocnikiem dyspozytora firmy holowniczej Easy-Time i, jak słyszał Ellis, marzył o karierze powieściopisarza. Miał długi, zapleciony kucyk. Na ich widok opuścił gwizdek, który nosił na szyi na sznurku. Policzki

zaczerwieniły mu się od dmuchania.

– Tutaj! – zawołał. Wbił w ziemię małą żółtą chorągiewkę, ale Ellis jeszcze nie widział, co się przy niej znajduje. – Tutaj, koło tego krzaka!

Kiedy znaleźli się sześć metrów od Harry’ego, Ellis kazał Louisowi dopilnować, by ochotnicy się nie zbliżali. Ruszył ostrożnie naprzód z Beecherem. Trawa wokół chorągiewki była wilgotna i zdeptana.

– Obawiam się, że to ślady moich butów, szeryfie.

Ellis uklęknął obok chorągiewki i obejrzał otoczenie. W odległości trzydziestu centymetrów od krzaka kuflika leżała pluszowa małpka. Była mokra, powalana ziemią i błotem.

– Myśli pan, że to małpka Sammy, szeryfie? – spytał Harry.

– Zobaczymy, czy jej rodzina ją rozpozna – odparł Ellis, ale w głębi duszy był pewien, że to zabawka dziewczynki. Musiała należeć do niej. Sammy tu była. Właśnie w tym miejscu.

Ellis wstał, aż zaskrzypiały mu kolana, po czym westchnął i rozejrzał się po okolicy. Otaczały ich stare sosny wirginijskie, częściowo zasłaniające słońce.

– Żadna dwuletnia dziewczynka nie mogła dojść sama tak daleko. Ktoś ją tu przyprowadził. Musiała zgubić zabawkę.

Jedynym logicznym wytłumaczeniem przyprowadzenia małej dziewczynki tak daleko była chęć jej zamordowania. Ellis był pewien, że Beecher, a nawet Harry myślały to samo, ale wszyscy trzej zachowali dość rozsądku, by nie powiedzieć tego na głos. Ktokolwiek zaciągnął tu Sammy, szukał ustronnego miejsca i Ellis zaczął się domyślać, gdzie się ono znajduje.

Ujrzeni przed sobą na tle nieba nierówne zarysy starego młyna. Było to przygnębiające miejsce, pełne rupieci, graffiti i odłamków szkła.

Zbliżali się od strony południowej. Piętnaście metrów od młyna znajdował się niski szary budynek z zabitymi oknami. Nad wejściem wisiał szyld z niewyraźnym białym napisem „CENTRUM TURYSTYCZNE”. Litery C i N dawno zniknęły, pozostały tylko spłowiałe zarysy. Ellis zauważył, że zamek jest wyłamany. W drzwi uderzono czymś ciężkim, kamieniem albo łomem. Ziała w nich poszarpana dziura.

– Może to robota dzieciaków? – zauważył Beecher, ale na jego twarzy pojawił się rumieniec.

– Może – mruknął Ellis. Pchnął lekko drzwi, które otworzyły się z piskiem. Przez zabite okna wpadało do pustego pomieszczenia trochę światła, na podłodze widać było żółte smugi. Wszystkie meble usunięto i pozostały tylko ich białe ślady.

– Co pan o tym sądzi, szefie? – spytał Beecher. Znalazł za drzwiami kilka stosów potłuczonego szkła i ziemi; wydawało się, że ktoś je zmiotł w jedno miejsce. – Dzieciaki zwykle nie sprzątają, prawda?

Ellis wyjął latarkę, by lepiej się przyjrzeć stosowi rzeczy leżących pod ścianą. Zobaczył zielony worek wojskowy, rozłożony śpiwór, nadmuchiwaną poduszkę, lampę gazową i duży, plastikowy bidon do połowy wypełniony wodą.

– Ktoś tu nocował.

– Myśli pan, że mężczyzna znad jeziora?

– Trudno powiedzieć.

Ellis oświetlił latarką worek i przyszła mu do głowy okropna myśl. Można tam wsadzić małą dziewczynkę.

Wsunął latarkę pod pachę i powoli rozpiął suwak, modląc się, by nie zobaczyć w środku martwych oczu nieżywego dziecka. Na szczęście w worku nie było zwłok. Znajdował się w nim wełniany koc, zapalki, kilkanaście puszek tuńczyka i torba na zakupy z brązowego papieru. W torbie były komiksy: *X-men*, *Batman*, *Wonder Woman*.

– Wezwać wsparcie przez radio? – spytał Beecher. – Powiedzieć, że mogliśmy trafić na miejsce przestępstwa?

– Nie – odparł Ellis. – Zostawimy wszystko dokładnie tak, jak było. Może ktoś przyjdzie po te rzeczy. Skontaktuj się z Hermem i Louistem. Powiedz, że chcę, by obserwowali to miejsce.

Beecher połączył się z Hermem i Louistem, by ich poinformować, że są potrzebni w młynie, a tymczasem Ellis poszedł sprawdzić wnętrze budynku. Otworzył drzwi i stanął na progu. Widział stare, zakurzone pasy transmisyjne i wielkie koła. Po chwili dostrzegł ruiny w połowie zawalonego piętra.

Betonową podłogę pokrywały kałuże, walały się na niej potłuczone butelki, zużyte prezerwatywy. Ellis zauważył przesiąknięty wodą magazyn pornograficzny.

Śmierdziało szczynami.

Wspiął się po schodach. Skrzypiały i stękały pod jego ciężarem. Wyobraził sobie, że się zarywają i że spada na parter, po czym zasypuje go gruz i odłamki drewna. Na szczęście zdołał bezpiecznie dotrzeć na pierwsze piętro.

Okno na górze było zasłonięte od zewnątrz gęstwiną dzikiego wina. Wpadało przez nie niewiele światła i na podłodze widać było cienie splątanych łądyg. Na piętrze znajdowały się tylko śmieci.

Schodząc na dół, Ellis zauważył, że jedna ze ścian jest pokryta napisami. Oświetlił latarką setki nagryzmołonych nazwisk: „Stephen Rumbold, Catherine Dixon, Margie Foss, Ellia Fleming, Patricia Carrasco, Jerry Baker, Robert Ammerman, Trinity Hinkle, Karen Garland”...

W drzwiach pojawił się Beecher.

– Już jadą, szefie. Znalazł pan coś?

Ellis oświetlił latarką nazwiska.

– Coś z tego rozumiesz, Beech?

Beecher wszedł do młyna i stanął obok Ellisa pod ścianą. Popatrzył na nazwiska.

– Och, to jedna z miejskich legend, szeryfie.

– Co masz na myśli?

– Ludzie wierzą, że jeśli napisze się na ścianie młyna nazwisko wroga, ten umrze w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Skąd to wiesz?

– Od mojego młodszego brata. Przychodzi tu czasem z kumplami.

– Twój brat ma z tym coś wspólnego? – Ellis oświetlił latarką czasopismo pornograficzne.

Beecher się zaśmiał.

– A niech mnie... – powiedział Ellis. Zbliżył się do ściany. Bolały go stawy i pogorszył mu się słuch, ale w dalszym ciągu miał oczy młodego człowieka. – Popatrz na to, Beech.

– Na co, szefie?

Ellis w milczeniu uniósł latarkę i oświetlił jedno spośród wielu nazwisk: „Sammy Went”.

MARTHA, WIRGINIA ZACHODNIA

TERAZ

Siedzieliśmy razem w saloniku ruchomego domu Emmy wokół imitacji ceglanego kominka, w którym znajdował się gazowy grzejnik. Na wszystkich ścianach wisiały fotografie w ramkach, ale nie zauważyłam na żadnej z nich Sammy Went.

Synowie Emmy – dwunastoletni Charlie, piętnastoletni Harry i osiemnastoletni Jack – stłoczyli się na kanapie naprzeciwko mnie i przyglądali mi się jak publiczność w czasie panelu dyskusyjnego. Byli przystojnymi chłopcami. Emma uważała, że dwaj starsi mogą już pić, więc każdy trzymał puszkę pabsta. Charlie dostał mleko czekoladowe.

– Zbadałem nasze DNA i okazało się, że jesteśmy rodzeństwem – powiedział Stuart. Siedział w fotelu przy oknie. – Czas się zgadza, Kim jest podobna do Sammy na zdjęciach z dzieciństwa, a jej ojczym w zasadzie wszystko potwierdził.

– Co to znaczy „w zasadzie”? – spytała Emma. Siedziała obok mnie, trzymając mnie za rękę i paląc.

– Nie zaprzeczył – odpowiedziałam. – Dean, mój ojczym, poznał moją matkę, gdy miałam dwa lata. Ale później musiała mu się zwierzyć... powiedzieć, że... nie jestem jej biologicznym dzieckiem.

– To ona cię porwała?

– Nie wiemy – odparłam.

– Co powiedziała, gdy ją zapytałaś?

– Nie zapytałam. Nie mogłam. Zmarła przed czterema laty.

Emma zmarszczyła brwi.

– No cóż, cholernie przykra sytuacja.

W gruncie rzeczy nie byłam pewna, czy porozmawiałabym z Carol, nawet gdyby żyła. Współudział Deana złamał mi serce, ale miał on przynajmniej powód, żeby kłamać, chociaż kiepski. Po prostu chronił żonę i chciał dotrzymać słowa. Jednak Carol Leamy świadomie porwała mnie innej rodzinie. Zadanie jej tego pytania wymagałoby ode mnie wszystkich sił, a poradzenie sobie z odpowiedzią mogłoby przekroczyć moje możliwości. Gdyby żyła w chwili, gdy zwrócił się do mnie Stuart, mogłabym nigdy więcej się z nim nie skontaktować.

– Rozmawiałaś z policją? – spytała Emma. – FBI też musi mieć akta sprawy Sammy, nie sądzisz? Jeśli to wszystko prawda, powinni się o tym dowiedzieć.

– Jeszcze się z nikim nie kontaktowaliśmy – odezwał się Stuart.

– Dlaczego?

Popatrzył na mnie.

– Działamy powoli, w tempie, które pasuje Kim. Właśnie, coś mi się przypomniało. Muszę was prosić, chłopcy, żebyście na razie trzymali tę sprawę w sekrecie, okej?

Jack, Harry i Charlie popatrzyli na Stuarta, otwierając usta ze zdumienia. Wyglądali, jakby przećwiczyli razem tę minę.

– To znaczy nie wspominajcie kolegom ze szkoły, nie tweetujcie i tak dalej.

Emma obróciła głowę w moją stronę.

– Zastanawiałaś się nad zorganizowaniem konferencji prasowej? – spytała.

– Konferencji prasowej? Nie.

– Kochanie, nie jestem w stanie nawet sobie wyobrazić, co przeżywasz, i wiem, że ta cholerna sprawa wyrządziła już mnóstwo szkód, ale powinnaś rozumieć, że nie tylko ty masz pytania. Nie myślę jedynie o policji. Wpadł nam w ręce wielki temat, prawdziwy hit. Wszyscy będą chcieli się czegoś dowiedzieć, musisz o tym pamiętać. Jeśli inteligentnie nie zapanujesz nad tą historią, szybko wymknie się spod kontroli.

„Łudzimy się, że nad czymś panujemy”, pomyślałam.

Puściła moją dłoń, spojrzała mi w oczy i znowu wzięła mnie za rękę.

– Nie musisz w tej chwili się nad tym zastanawiać, ale błędem byłoby w ogóle to ignorować. Słyszysz mnie?

– Aha – mruknęłam.

– Co się twoim zdaniem wtedy wydarzyło? – spytała.

Stuart odpowiedział za mnie.

– Porywaczka przechodziła przez miasto, może odwiedziła kogoś w Manson, a potem zauważyła Sammy z rodzicami. Na przykład na placu zabaw na Wilton Street albo w czasie zakupów w Home Foods. Mogła niedawno stracić dziecko albo chorować psychicznie, co spowodowało...

– Pytałam Kim.

Oboje spojrzeli na mnie. Zaszło mi w ustach, a piwo nie pomagało.

– Nie wiem. Zabrzmi to naiwnie, ale myślę, że moja matka nie była zdolna do czegoś takiego.

– Jednak potrafiła kłamać przez całe życie – powiedziała Emma. – Moim zdaniem tak naprawdę wcale nie wiesz, jaka rzeczywiście była. – Odwróciła się w stronę brata. –

Przypomnij mi: czy jacyś świadkowie wspomnieli, że w chwili porwania w pobliżu naszego domu widziano kobietę?

Stuart pokręcił głową.

– Nie podejrzewano żadnych kobiet. Oczywiście z wyjątkiem mamy.

– Często jeździsz do Manson? – spytałam Emmę.

– Och, uciekłam z Manson w wieku dziewiętnastu lat i od tamtej pory byłam tam tylko pięć, może sześć razy. Z Manson się nie wyjeżdża, tylko ucieka. To było... – umilkła i policzyła na palcach dłoni, w której trzymała papierosa – sześć lat po zniknięciu Sammy. Wyjechałam do Cincinnati z Karlem Ashbrookiem, kolegą z Manson. To ojciec Jacka.

W sąsiednim pomieszczeniu pracowała pralka. Kiedy odwirowywała wodę, ściany przyczepy dygotały.

– Moje życie z Karlem się nie ułożyło. Po rozwodzie trochę dryfowałam bez celu. Zapisalam się do college'u, zrezygnowalam ze studiów, poznałam Rona – to mój obecny mąż. Później urodziłam jeszcze dwóch niegrzecznych chłopców. – Wskazała synów siedzących na kanapie. – Reszta jest oczywista.

Przez okno wpadały promienie popołudniowego słońca, oświetlając tysiące drobinek kurzu unoszących się w powietrzu.

– Ron często wyjeżdża – ciągnęła, zapalając następnego papierosa. – Jest kierowcą ciężarówki; raczej nie cierpię jego pracy. Ale to prawdopodobnie klucz do trwałości

naszego związku. Rozstania sprawiają, że ludzie za sobą tęsknią, prawda?

– Pracujesz teraz w Burger Kingu? – spytał Stuart. Nie wyczułam w jego głosie protekcjonalności, jednak Emma musiała ją zauważyć.

– Nie wszyscy mogą być księgowymi. – Wymówiła nazwę zawodu brata kwaśnym tonem, jakby był specjalistą od rakiet kosmicznych, neurochirurgiem albo królem Anglii.

Stuart uniósł dłonie w geście kapitulacji.

– Powiedziałem coś złego?

– Pracuję tylko na porannej zmianie – powiedziała Emma, zwracając się do mnie. – Ron dobrze zarabia jako kierowca, ale gdybym nie pracowała, szybko bym zwariowała, prawda?

Dopiłam piwo. Emma wstała, by przynieść mi następne. Nawet nie spytała, czy mam na nie ochotę. Bardzo mi się to podobało.

Usiadła obok mnie, otworzyła swoją puszkę i uśmiechnęła się.

– Więc co się z tobą działo, do licha? – Wypiła łyk piwa i cicho beknęła. – Gdzie się wychowałeś? Czym się zajmujesz? Jesteś mężatką? Masz dzieci? Wygląda na to, że nie spędziłeś całego życia w lochu karmiona rybimi łbami.

– Ha, nie.

– Opowiedz wszystko, dziewczyno.

Kręciło mi się w głowie po pabście, którego wypiałam półtorej puszki, ale streściłam Emmie przebieg swojego życia do chwili, gdy pojawił się Stuart. Nie zajęło to dużo czasu. Opowiedziałam o dzieciństwie w Australii, o Deanie, Amy.

Kiedy mówiłam o śmierci matki, głęboko westchnęła. Kiedy powiedziałam, że nie jestem mężatką i nie mam dzieci, po prostu wzruszyła ramionami.

– Te rzeczy są i tak przereklamowane.

– Ach, dziękuję, mam – odezwał się z ironicznym uśmiechem Jack, jej najstarszy syn. Emma znowu beknęła, zamiast odpowiedzieć, a synowie wybuchnęli śmiechem.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

– To na pewno pizza – odezwała się Emma. – Sammy... Przepraszam, Kim – mogłabyś zapłacić? Nie miałam dziś okazji iść do bankomatu.

Stuart spojrział z dezaprobatą na Emmę.

– Wszystko w porządku – rzekł. – Ja to zrobię.

Rozmawialiśmy wiele godzin. Usiedliśmy przy stole w kuchni, jedliśmy pizzę i dalej piliśmy piwo. Wkrótce na zewnątrz zapadł zmrok i Elsewhere powoli zaczęło kłaść się spać, jedna przyczepa po drugiej. Chłopcy poszli do komputerów, a Stuart położył się spać w pokoju Jacka, niewątpliwie zmęczony po emocjonalnym wybuchu przy drzwiach frontowych Emmy.

Zostałam sama z Emmą przy kuchennym stole. Pudełka po pizzach były puste i zostało tylko pięć piw na głowę. Z sąsiedniej przyczepy dobiegał głośny heavy metal. Szczekały psy, cykały świerszcze, lekki wiatr grzechotał drzwiami z siatki.

Okazało się, że Emma i ja mamy wiele wspólnego: obie nie znosimy, gdy ludzie głośno wyłamują sobie palce, mamy silną awersję do zapachu brudnych stóp i lubimy powieści Gillian Flynn. W młodości zrobiłyśmy sobie tatuaże, czego teraz żałowałyśmy. Ja miałam sowę z czerwonymi oczami na wewnętrznej stronie prawego ramienia, a ona czerwone serce z imieniem pierwszego męża na prawej piersi.

Kilka razy w ciągu nocy żałowałam, że nie ma z nami Amy. Mój telefon ciągle rejestrował nieodebrane połączenia od niej i od Deana; coraz trudniej było je ignorować.

Kilka minut przed północą Emma powiedziała:

– Tak, jestem już wystarczająco pijana, na pewno.

– Wystarczająco pijana na co?

Wstała, zachwiała się, o mało nie przewróciła się do przodu, po czym w ostatniej chwili odzyskała równowagę.

– Wystarczająco pijana, żeby ci pokazać coś, czego nie mogłam ci pokazać na trzeźwo. Przynajmniej nie na początku naszej... relacji.

Wyjęła spod zlewu dwie latarki, wręczyła mi jedną z nich i w milczeniu zaprowadziła mnie na koniec ślepego zaułka.

– Dokąd idziemy? – spytałam, włączając latarkę i zapinając puchową kurtkę. Powietrze było chłodne i nad polem kempingowym unosiła się lekka mgiełka.

– Nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedziała – odparła. Przeszła przez zardzewiałą barierkę i zaczęła schodzić po trawiastym stoku opadającym w stronę strumienia.

Ruszyłam za nią przy świetle latarki. Szłyśmy wśród perzu sięgającego do kolan

i wkrótce stanęliśmy na brzegu wąskiego potoku.

– Możemy tędy przejść na drugą stronę – powiedziała, gdy dotarliśmy do zdradliwej kładki złożonej z dużych, płaskich kamieni znajdujących się w odległości kilkudziesięciu centymetrów od siebie. – Uważaj na trzeci kamień. Rusza się i jest cholernie śliski. Zaczekaj, aż przejdę, a potem ci poświecę.

Roześmiałam się, podpita i nieco zdziwiona, po czym oświetliłam Emmie drogę. Martwiłam się, że wpadnie do strumienia, ale nic z tych rzeczy, piwo dało jej pijacką pewność siebie, która pozwoliła przejść po kamieniach zręcznie i z determinacją.

Kiedy dotarła bezpiecznie na drugi brzeg, odwróciła się w moją stronę, złączyła stopy, wyciągnęła ręce i złożyła ukłon. Wsunęłam latarkę pod pachę i zaczęłam entuzjastycznie klaskać.

– Dziękuję, dziękuję! – powiedziała i ukłoniła się jeszcze raz. – Teraz twoja kolej.

Oświetliłam latarką kamienie i po kilku sekundach znalazłam się w środku strumienia, drżąc z zachwytu i przerażenia.

– Mam nadzieję, że ta wycieczka się opłaci.

Kiedy nie odpowiedziała, skierowałam latarkę w jej stronę i zobaczyłam, że marszczy brwi. Uniosła dłoń, osłaniając oczy przed światłem.

– Uważaj, oślepiasz mnie.

– Przepraszam – powiedziałam.

– Tędy – rzekła. – Ostrożnie, stok jest stromy.

Wspięliśmy się na brzeg i ruszyliśmy ścieżką porośniętą trawą. Po jednej stronie strumienia znajdowało się osiedle Elsewhere: setki czarnych, kwadratowych przyczep, czasem z zapalonymi światłami. Po drugiej stronie rozciągał się rozległy kompleks przemysłowy: fabryki z wysokimi kominami, z których buchał biały dym. W powietrzu unosił się zapach benzyny.

– Daleko jeszcze? – spytałam. Zimny wiatr trochę mnie otrzeźwił i nie byłam pewna, czy mi się to podoba.

– Nie, już blisko. O tam, widzisz?

Dotarliśmy do młodej wiśni kołyszącej się na wietrze. Obok drzewa stał leżak otoczony pustymi puszkami po piwie i niedopałkami papierosów.

– Co to za miejsce?

– Twój grób, moja dawno zaginiona siostró.

Oświetliłam latarką twarz Emmy, by zobaczyć, czy żartuje, ale nie musiałam tego robić. Wyczułam w jej głosie napięcie. Skierowałam snop światła na wiśnię i zobaczyłam pod nią szklany pojemnik, w którym znajdowała się przemoczona zabawka – pluszowa małpka.

– Czytałam w internecie o żałobie – odezwała się Emma. – Zawsze się tym interesowałam i zastanawiałam się, jak sobie z tym wszystkim poradzić. – Popatrzyła na mrugające światła fabryk. – Znalazłam rady, jak przeżywać żałobę po czyimś zaginięciu. Sugerowano symboliczny pogrzeb: trzeba włożyć rzeczy bliskiej osoby do pudełka albo skrzynki, a potem je zakopać. Właśnie to zrobiłam. Wydawało się to trochę głupie, ale... Sama nie wiem. Myślę, że jakoś mi pomogło.

Uklękłam obok własnego grobu i oświetliłam latarką pluszową małpkę – przesiąkniętą wodą, wiotką, pozbawioną jednego oka. Chętnie bym ją sfotografowała. Kiedy wyciągnęłam rękę i dotknęłam szklanego pojemnika, ogarnął mnie smutek. Gdybym była sama, mogłabym ulec emocjom: szlochałabym na wietrze.

– To jej małpka, prawda? – spytałam. – To znaczy moja, małpka Sammy?

Emma skinęła głową i zapaliła papierosa.

– Zaoszczędziłam trochę pieniędzy i kupiłam ci ją na pierwsze urodziny. Wszędzie ją ze sobą nosiłaś, aż wreszcie... Spędziła ponad rok w magazynie dowodów rzeczowych. Kurwa, przepraszam. Znowu zaczynam. – Płakała. Dopiła piwo, zgmiotła puszkę i rzuciła ją obok poprzednich. Usiadła obok mnie na trawie. – Pamiętasz cokolwiek?

– Raczej nie.

Nie wydawała się zadowolona z mojej odpowiedzi.

– Wolałabym coś pamiętać, Emmo. Ciebie i Stuarta.

– Nie masz na to wpływu.

– Wiem. Ale mam poczucie winy, że żyłam normalnie i zajmowałam się swoimi sprawami, gdy ty i Stuart mnie szukaliście.

– Ja cię nie szukałam – odpowiedziała. – Na początku tak, ale potem urządziłam ci porzeb i czułam tylko żal. Prawie dwadzieścia lat usiłowałam zapomnieć, że w ogóle istniałaś. – Pstryknęła palcami i papieros wzbił się w powietrze, przeleciał nad trawiastym grzbietem i wylądował w strumieniu w dole. Lśnił przez chwilę, po czym

zgaś. – To ja powinnam cię przeprosić. Pogodziłam się z twoim zniknięciem, Sammy. To znaczy Kim. Jakkolwiek się nazywasz. Stuart nigdy się nie pogodził. Kilka razy się o to kłóciliśmy. Mówiłam mu, że tylko udaje, że nie wierzy w twoją śmierć. On twierdził, że jestem złą siostrą. Myślę, że chyba miał rację.

Wsunęła rękę do kieszeni i znalazła klucze. Na kółku znajdował się miniaturowy scyzoryk armii szwajcarskiej. Wsunęła ostrze, otworzyła szklany pojemnik i podała mi pluszową małpkę.

– Powinnaś ją wziąć. Tak naprawdę należy do ciebie.

Wstała i bez słowa ruszyła w stronę strumienia.

Trzej chłopcy ulokowali się w pokoju Harry’ego, a ja zajęłam ten, w którym wcześniej mieszkał Charlie. Byłam zbyt zmęczona, by zauważyć, że łóżko jest za krótkie. Do wezgłowia przymocowano obracającą się nocną lampkę, która wyświetlała na suficie powoli przesuujące się planety i gwiazdy.

Zapadłam w sen, słysząc trajkot podekscytowanej Emmy rozmawiającej przez telefon i trzask kolejnej puszki pabsta, którą otworzyła. W pewnej chwili zauważyłam błysk płomyka zapalniczki. Zasnęłam, tuląc pluszową małpkę. Ścisnęłam ją mocniej, niż byłabym gotowa przyznać.

W nocy znowu przyśnił mi się mężczyzna utkany z cieni.

Obudziłam się, czując pulsowanie za oczami. Przez okno wpadały promienie słońca. Zapomniałam wyłączyć lampkę Charliego; planety i gwiazdy były teraz ledwo widoczne na suficie oświetlonym słońcem poranka.

Wyszłam z łóżka, ubrałam się i zastałam w kuchni Stuarta, który czekał na mnie ze zdenerwowaną miną. Było jeszcze wcześnie, ale wydawało się, że w Elsewhere panuje hałas.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Co się dzieje?

Natychmiast zrozumiałam, że coś jest nie tak. Stuart chodził tam i z powrotem obok okna; od czasu do czasu odchyłał zasłonę i wyglądał na zewnątrz.

– Przepraszam, Kim.

– Za co? Co się stało?

Znowu odchylił zasłonę, skrzywił się na widok tego, co zobaczył przez okno, po czym odwrócił się w moją stronę.

– Zawiadomiła ich. Emma ich zawiadomiła, niech ją diabli!

– Kogo zawiadomiła? – Szłam już do drugiego okna. Odsunęłam żółtą firankę z wystrzępionymi szwami i wyjrzałam na zewnątrz. Na początku zauważyłam barczystego mężczyznę w jasnoniebieskiej kurtce puchowej, który zarzucał na ramię kamerę telewizyjną.

Wyciągnęłam szyję i spostrzegłam dobrze ubraną kobietę po trzydziestce stojącą na końcu podjazdu Emmy. Dygotała z zimna w chłodnym porannym wietrze i desperacko usiłowała wygładzić włosy.

W okolicy było więcej dziennikarzy. Parkowali wozy transmisyjne, przygotowywali sprzęt do nagrywania i rozstawiali statywy kamer.

Na początku pomyślałam, że w ciągu nocy na polu kempingowym musiało się wydarzyć coś dramatycznego. Co przyciągnęło tylu reporterów – może morderstwo? Sekundę później, kiedy odzyskałam zdolność racjonalnego myślenia, pomyślałam o Amy i Deanie, Lisie i Waynie. Przyszło mi do głowy, że panowanie nad własnym życiem to złudzenie.

Nie będę mogła podążać naprzód tempem, które mi pasuje. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Czułam się jak stary sweter, który zaczął się pruć. Ktoś chwycił jedną z nici i uciekł.

„Nie, nie ktoś – pomyślałam. – Emma”.

W tym momencie zauważyłam ją na drodze. Była ubrana w ładną różową koszulę i obcisłe czarne dzinsy. Udzielała wywiadu dziennikarzowi po pięćdziesiątce z uderzającą szopą siwych włosów.

– Zawiadomiła wszystkich – powiedział Stuart, stojący przy drugim oknie. – Wszystkich co do jednego.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

W czasie jazdy do domu po konferencji prasowej w samochodzie nikt się nie odzywał. W fordzie taurusie matki panowało napięcie. Emma patrzyła z tylnego siedzenia na ręce ojca na kierownicy. Zdjął z prawej dłoni bandaż. Miał podrapane, zakrwawione knykcie i domyślała się dlaczego.

Jack jechał powoli. Nigdy nie lubił jeździć szybko – zwłaszcza gdy w samochodzie znajdowały się dzieci – ale dziś wyraźnie unikał dodawania gazu. Nie śpieszył się do domu. Emma również nie miała ochoty tam wracać. Wczoraj późnym wieczorem przyjechały do domu dwie ciotki, kuzynki matki, a trzecia miała przyjechać rano z kuzynem Emmy, Toddem. Anne, Pauline i Tillie. Ojciec nazywał je Narzeczonymi Drakuli. Emma mogłaby przyznać, że ma rację, gdyby nie jeden fakt: wampiry wchodzą do domu tylko wtedy, gdy się je zaprosi.

Za oknem przesuwało się Manson: domy, parki, sklepy, jeziora, wąwozy, rowy, pola, kanały ściekowe.

„Sammy może być wszędzie”, pomyślała Emma. Konferencja prasowa nie dodała jej otuchy. Policja nic nie wiedziała. Emma też nic nie wiedziała – choć zauważyła podrapane knykcie ojca.

– Hej, tato, mógłbyś się zatrzymać? – spytała, pochylając się do przodu.

– Mdli cię, kochanie? – odezwała się Molly.

– Nie, po prostu chciałabym się przejść. Mogę?

Jack spojrział na Molly, a później w lusterko wsteczne.

– Wszystko w porządku, Em?

– Niezupełnie – odrzekła.

– Tak, rozumiem, zadałem dość niemądre pytanie.

Włączył migacz i zjechał na pobocze. Molly obróciła się w fotelu i spojrzała do tyłu.

– Nie włóż się za długo.

– Dobrze.

– Mówię poważnie, Emmo. Wróc do domu przed zmrokiem. Obiecuj.

– Obiecuję.

Stu klepnął siostrę w ramię i spytał:

– Mogę z tobą iść?

– Nie tym razem, kolego – odpowiedziała Emma i wysiadła z samochodu. Kiedy zamknęła drzwi i patrzyła za odjeżdżającymi rodzicami, natychmiast zrobiło jej się lżej na sercu.

Poranne niebo było niebieskie i czyste. Podniszczone trampki Emmy (model Chuck Taylor marki Converse) klaskały na asfalcie. Dotarła do betonowego kanału, a potem szła wzdłuż niego przez czterysta metrów. Czasami zerkała na zarośnięte podwórka na Grattan Street, ale głównie wpatrywała się w ziemię pod stopami.

Miała w kieszeni papierosa, ale nie chciało jej się palić. Zaczęła palić, by dodać do swojego życia jakiś mroczny akcent, ale teraz pojawiło się stanowczo za dużo mroku.

Wdrapała się na nasyp na Lytton Street i ruszyła w stronę domu Shelley Falkner. Nazywała go swoim drugim domem, jednak miała wrażenie, że nie odwiedzała go od lat. W istocie minęły zaledwie dwa tygodnie, lecz działało się to w czasach poprzedzających nadejście mroku. Była wtedy zaledwie czternaście dni młodsza, choć czuła, że minęło czterdzieści lat. Shelley mieszkała w domku z dwoma sypialniami na Elgin Avenue, naprzeciwko stacji benzynowej Canning Gas & Go. Stale żartowała, że w domu Emmy mogłyby się zmieścić cztery takie jak jej – sześć, jeśli uwzględnić powierzchnię podwórka od frontu i od tyłu.

Emma zastukała do drzwi. Otworzyła pani Falkner – „Ile razy mam powtarzać, żebyś nazywała mnie Nicky?” – i przez chwilę patrzyła na nią ze zdumieniem.

– Och, Emma! – Objęła dziewczynę i mocno, po macierzyńsku przytuliła. Pani Falkner była wysoka i szeroka w biodrach, podobnie jak jej córka. – Zawołam Shelley – powiedziała, po czym obróciła głowę w stronę wnętrza mieszkania. – Shelley! SHELLEY!

Shelley weszła do holu, stanęła jak wryta na widok Emmy na werandzie, po czym powoli zbliżyła się do niej drobnymi krokami.

– Em, Jezu! Dobrze się czujesz?

Emma usiłowała skinąć głową i powiedzieć Shelley, że, owszem, dobrze się czuje, lecz zamiast tego wybuchnęła płaczem. Po raz pierwszy po zniknięciu Sammy płakała naprawdę; w tej chwili wreszcie pękła tama.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie... nie przyszłam, żeby ryczeć.

– Zamknij się – odpowiedziała Shelley i objęła przyjaciółkę.

– Modliliśmy się za ciebie i całą twoją rodzinę – rzekła pani Falkner. – Jeśli możemy coś zrobić... Twoja rodzina czegoś potrzebuje? A ty? Sama nie wiem, w jakim świecie żyjemy, jeśli...

– Zajmę się Emmą, mamó – przerwała Shelley.

W sypialni Shelley panował bałagan, jakiego można się spodziewać po trzynastolatce, ale chaos miał w sobie coś przytulnego, kojarzącego się z ptasim gniazdem. Na ścianach wisały koszmarne złe obrazy. Trudno to inaczej określić. Duże płótna olejne przedstawiające gałki oczne, czaszki, konia, który spogląda na kulę ziemską, a po jego długim, białym pysku spływa łza.

Można by przypuszczać, że namalowała je Shelley – miały w sobie coś melancholijnego, kojarzącego się z okresem dojrzewania. Prawda była jeszcze smutniejsza. Namalował je jej ojciec, nieudany malarz, który prowadził teraz rozpaczliwie spokojne życie w Kalifornii, gdzie pracował w agencji turystycznej.

Shelley wiedziała, że obrazy są złe, ale nie powiesiła ich w swoim pokoju, żeby się z nich śmiać. Rodzina to rodzina, na dobre i na złe.

– W tej chwili w szkole jestem praktycznie celebrytką – powiedziała, podciągając kolana pod brodę. – Oczywiście dzięki przyjaźni z tobą, ale dobrze mnie znasz: nie mam nic przeciwko temu.

Siedziały razem na podłodze. Emma rozejrzała się po pokoju i pomyślała o nocach przespanych u przyjaciółki, długich popołudniach spędzonych na gadaniu, nauce, plotkach, seansach spirytystycznych. „Dziecko, które we mnie żyło, umarło”, pomyślała.

– Interesują się plotkami, to wszystko – powiedziała Shelley. W jej głosie zabrzmiało

coś sztywnego. – Potem znowu będą się śmiać i traktować mnie jak idiotkę.

Emma uśmiechnęła się do Shelley.

– Jakie plotki im opowiedziałaś?

– Droga pani, nie opowiadam plotek.

– Tak. Posłuchaj, przepraszam, że do ciebie nie oddzwaniałam. Po prostu...

– Przestań. Po tym, co przeszłaś, co przechodzisz... Jezu, Em, to po prostu...

– Nie płacz – przerwała Emma, zauważając, że za okularami Shelley pojawiły się łzy. – Inaczej ja też się rozbeczę.

– Nie, to tylko alergia. Jestem twarda jak skała.

Emma wyciągnęła rękę, a Shelley ją ujęła.

– Co jeszcze gadają w szkole? – spytała Emma.

Shelley się zawahała i poprawiła palcem wskazującym duże okulary.

– Ach, różne bzdury, Em. Szkoła w Manson jest jak stoisko z hot dogami z odpadów mięsnych.

– Co mówią, Shell?

Przyjaciółka głęboko odetchnęła.

– Że twoja matka złożyła Sammy w ofierze Szatanowi. Mówię ci, odpady mięsne.

Emma nie była zdziwiona, że koledzy ze szkoły obwiniają współwyznawców matki. Członkowie Kościoła Wewnętrznej Światłości byli kompletnymi wariatami, co dodatkowo wyolbrzymiano w plotkach. Ludzie uważali, że piją krew, czczą Szatana i składają w ofierze zwierzęta – oraz najwyraźniej dzieci – na ołtarzu diabła.

„Co wcale nie oznacza, że nie zrobiła tego mama” – rozległ się nieprzyjemny, syczący głos w umyśle Emmy. – „Pamiętasz, jak się rozzłościła na Sammy, kiedy nikogo nie było w domu?” – Emma usiłowała uciszyć głos, ale był bardzo natrętny. – „Po urodzeniu Sammy posmutniała, a rodzina zaczęła się rozpadać. Czy wszystkim nie byłoby łatwiej, gdyby Sammy w ogóle nie przyszła na świat? Myślisz, że matka o tym nie wie?”

Shelley obserwowała przez chwilę przyjaciółkę.

– Są jakieś nowiny?

Emma pokręciła głową. Milczała przez kilka sekund, nim wspomniała o tym, po co przyszła.

- Mam do ciebie prośbę, Shell.
 - Możesz na mnie liczyć.
 - Krążą plotki o Travisie Ecklesie. Słyszałaś coś?
 - Jasne. Ludzie podejrzewają albo twoją matkę, albo Travisa. Dlaczego pytasz?
- Emma wzruszyła ramionami.
- Wczoraj wieczorem zadzwonił do domu.
 - Travis?
 - Odebrałam telefon. Nie przedstawił się i nie powiedział, jak się nazywa, kiedy o to spytałam, ale poznałam go po głosie. Jestem prawie pewna, że płakał.
 - Płakał? Czego chciał?
 - Rozmawiać z ojcem. Nie wiem, co mu powiedział, ale tata natychmiast wyszedł i... Nie możesz nikomu o tym mówić, dobrze?
- Shelley zrobiła znak krzyża na sercu i uniosła dwa palce.
- Słowo skautki.
 - Tata wrócił późno do domu i miał pokrwawione ręce, jakby się bił.
 - Jezu! Co się stało?
 - Nie mam pojęcia. Tata nic nie mówił, a ja nie miałam odwagi zapytać.
 - Myślisz, że to ma coś wspólnego z Sammy?
 - Musi mieć, prawda? Tata na pewno się czegoś dowiedział.
 - Gdyby twój ojciec miał jakieś dowody, natychmiast zajęłaby się tym policja, prawda?
 - Potrzebuję twojej pomocy, żeby się dowiedzieć, o co chodzi – powiedziała Emma.
- Muszę dokądś iść, ale chyba nie powinnam chodzić sama. Pomożesz mi?
 - W każdej chwili, jak zawsze – odparła Shelley. – Co zamierzasz?

Stały przed domem numer dziewięć na Cromdale Street. Patrzyły na rynsztoki wypełnione wodą, drzwi z podartą siatką, zachwaszczony trawnik i tabliczkę z napisem: „ZAKAZ WSTĘPU”.

Shelley włożyła martensy – dobre do kopania w razie potrzeby.

– Jest pani tego pewna, panno Went?

Jednak Emma już rozplątywała stary sznur zamykający furtkę prowadzącą na posesję

Ecklesów. Furtka otworzyła się ze skrzypnięciem i Emma wkroczyła do środka wraz z Shelley. Pomaszerowały przez trawnik, weszły po zbutwiałych schodkach na werandę i zbliżyły się do drzwi frontowych. Emma bez wahania uniosła rękę, by zapukać – w tej chwili nie było już odwrotu – lecz nim zdążyła to zrobić...

– Zabłądziłyście, dziewczęta?

Na werandzie, na wytartej brązowej kanapie siedziała Ava Eckles, paląc papierosa. Wyglądała jak śmierć. Miała bladą skórę, małe, żółtawe oczy i ramiona chude jak szkielet.

Może ciotki Emmy nie są jedynymi wampirami w Manson?

– Och, dzień dobry, pani Eckles.

Ava popatrzyła na Emmę zmrużonymi oczami.

– Znam cię.

– Tak, mieszkam na tej ulicy. Nazywam się Emma Went. A to Shelley.

– Emma Went. – Wydawało się, że to nazwisko budzi w Avie niesmak. – Co robisz po tej stronie płotu, Emmo Went?

– Chciałabym porozmawiać z Travisem – odpowiedziała. – Jest w domu?

Zęby Avy lśniły żółtawo na tle bladych warg.

– Aha.

– Możemy się z nim zobaczyć?

– Po co?

– Chciałybyśmy go o coś spytać.

– Na przykład: „Czy zabiłeś moją siostrzyczkę?”. O coś takiego?

Emma wymieniła spojrzenie z Shelley, która wydawała się niższa niż kiedykolwiek. Zawsze czuła się bezpiecznie w towarzystwie imponująco wysokiej najlepszej przyjaciółki, ale wśród Ecklesów nawet olbrzymi tracili odwagę.

– Nie – odparła Emma. Było to kłamstwo.

– Posłuchaj, nikt nie zasługuje, żeby tracić bliskich, zwłaszcza dziecko. Ale to, że wszyscy gadają, że mój syn miał coś wspólnego z zaginięciem małej Samantha, też nie jest w porządku.

– Sammy – poprawiła Emma. – Moja siostra miała na imię Sammy.

– Gównu mnie obchodzi, jak się nazywała, smarkulo. Jeśli naprawdę przypuszczasz,

że mój syn zaprowadził ją do lasu i rozpruł jej brzuch albo cokolwiek sobie wyobrazasz, myślisz, że powinnaś tu przychodzić? Do jaskini lwa? Uważasz to za dobry pomysł?

Shelley poprawiła okulary i spytała:

– Myśli pani, że właśnie to się stało, pani Eckles?

Ava wzruszyła ramionami.

– To nieważne, co myślą ludzie po tej stronie płotu, prawda?

– Zdawało mi się, że słyszę czyjeś głosy. – Zza drzwi z zardzewiałej drucianej siatki wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna. Miał delikatne, nieco kobiece rysy i krótko ostrzyżone, kruczoczarne włosy. Emma z początku go nie poznała.

– Mamo, znowu straszysz świadków Jehowy?

– Nie jesteśmy świadkami Jehowy – odezwała się Emma. – Nazywam się...

– Wiem, jesteś córką Jacka Wenta. Przepraszam, żartowałem. To chyba kiepski żart. Nazywam się Patrick.

Wyciągnął rękę; jego palce były ciepłe i sztywne. Pachniał świeżością, jakby niedawno się wykapał, i miał na sobie koszulę wsuniętą w obcisłe czarne dzinsy.

– Może chcecie wejść do środka? Zaparzę kawy.

– O tak, wejdźcie do środka – powiedziała Ava Eckles i zaciągnęła się papierosem, wydając mlaszczący dźwięk. – Do jaskini lwa.

Patrick Eckles otworzył drzwi frontowe.

– Musicie wybaczyć mojej matce. Wydaje się groźniejsza, niż jest w rzeczywistości. To nie znaczy, że nie potrafi ugryźć, ale rozumiecie, o co mi chodzi.

Emma i Shelley w milczeniu weszły do domu.

Patrick poprowadził je wąskim, słabo oświetlonym korytarzem, a następnie poprosił, by usiadły przy stole kuchennym. Kiedy Emma go zobaczyła, całkowicie zmieniła zdanie na temat byłych więźniów: okazało się, że wyglądają, mówią i zachowują się zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Przemawiał kulturalnym językiem i nie zauważyła na jego ciele prymitywnie wytatuowanych czaszek.

Koło zlewu stał wysoki stos czystych naczyń, a kuchnia pachniała cytrynowym płynem do zmywania podłóg. Patrick podszedł do jednej z szafek, wyjął trzy kubki do kawy i pokazał je Emmie.

– Chcesz wybrać? – spytał.

Na kubkach znajdowały się nadruki: „Najwspanialszy pracownik na świecie” oraz „Rezygnuję z subskrypcji, bo jestem zmęczony twoimi problemami”. Na trzecim widniał napis: „Po kawie robię kupę”.

Emma uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Zrób mi niespodziankę.

– Ja wezmę ten z kupą – powiedziała Shelley, a Patrick odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Napełnił kubki świeżą kawą, dodał śmietanki i wręczył Emmie ten z napisem „Najwspanialszy pracownik na świecie”.

– A zatem, Patricku, kiedy... – Emma nie potrafiła się zdecydować, czy powiedzieć „wróciłeś do domu”, czy „wyszedłeś na wolność”.

Patrick natychmiast pośpieszył jej na ratunek.

– W środę. Dwa lata przed terminem, co bardzo mnie ucieszyło. Widzicie, dziewczęta, jeśli ktoś mówi „proszę” i „dziękuję”, a poza tym nie próbuje zadźgać kolegi z celi majchrem, więzienie nie jest wcale takie złe.

Emma i Shelley wymieniły nerwowe spojrzenia.

– Kolejny kiepski żart – rzekł Patrick. – Nie odróżniłybyście majchra od łopatki do krojenia sera.

– Jestem tego pewna – odparła Shelley.

– Było mi cholernie przykro, kiedy się dowiedziałem, co się stało z twoją siostrzyczką – powiedział poważnym tonem do Emmy. – Wiem, co czuje człowiek, który tęskni za rodziną. Stale ma wrażenie, że czegoś zapomniał. Są jakieś poszlaki?

Emma wzruszyła ramionami.

– Kilka.

Było to kłamstwo. W czasie konferencji prasowej szeryf Ellis wyraźnie oświadczył, że policja nie natrafiła na żadne tropy, ale Patrick nie musi tego wiedzieć. Oczywiście pewnie i tak się zorientuje, jeśli obejrzy wieczorne wiadomości.

– Nie myślcie, że jestem niegościnnie, ale po co tu właściwie przyszłyście? – spytał.

– Chcemy porozmawiać z Travisem – odparła Shelley. – Jest w domu?

Patrick nagle spowaźniał. Przeszedł przez kuchnię i zamknął drzwi. Później wrócił do stołu i wyszeptał konspiracyjnie:

– Mój młodszy brat nie ma nic wspólnego z tym, co się stało.
– Kto twierdzi, że ma?
– Połowa Manson – odparł Patrick. – Również szeryf. Ale to kwestia nazwiska, a nie dowodów. Jestem pewien, że kiedy rozejdzie się wieść, że wróciłem do miasta, wielu ludzi pomyśli, że to ja miałem z tym coś wspólnego.

Emma powoli piła kawę. Była gorąca. To dobrze. Wyobrażała sobie, że gorąca kawa może być dość skuteczną bronią.

– Dlaczego pan tak uważa?
– Nazywam się Eckles – odpowiedział. – Nawet więcej. Siedziałem w więzieniu.
– Gdzie jest pański brat?
– Na piętrze.
– Możemy z nim porozmawiać? – spytała Emma.
– Odpoczywa. Liże rany.
– Jakie rany?

Oparł łokcie na stole, pochylił się do przodu i spojrzał Emmie prosto w oczy.

– Podbite oko, pękniętą wargę, złamaną szczękę, dwa wybite zęby.
– Zrobił to mój tata?

Patrick odchylił się do tyłu i wypił łyk kawy.

– Dlaczego miałyby to zrobić twój tata?
– Bo odkrył, że Travis miał coś wspólnego ze zniknięciem Sammy.
– Powiedział ci to?
– Nie musiał – odparła Emma. – Z jakiego innego powodu mieliby się bić?
– Z miłości – rzekł Patrick. – Chodziło o miłość, podobnie jak w wielu tego rodzaju bójkach.

MANSON, KENTUCKY

TERAZ

Dotarliśmy do szczytu jednego ze wzgórz i nagle zobaczyliśmy Manson, skupisko budynków pod ołowianym niebem o barwie flegmy. W środku stała imponująca wieża ciśnień z gigantycznym czerwonym napisem. Nie mogłam odczytać słów, ale Stuart znał je na pamięć: „Witajcie w Manson, małym kawałku Nieba”.

Po obu stronach miasta rosły gęste lasy, a dalej wznosiły się zielone grzbiety Appalachów poprzecinane głębokimi dolinami. Wjeżdżając do miasta, minęliśmy gigantyczną tablicę z napisem „Jezus to Król”.

Pobyt w Wirginii Zachodniej pozwolił nam się przygotować na przybycie do Kentucky – dziwnej, kuszącej krainy nieskończonych pustkowi, ogromnych porcji jedzenia, muzyki country i chrześcijańskich audycji radiowych. Wyczuwałam w powietrzu nerwową atmosferę, która zdawała się narastać w miarę zbliżania się do Manson, i nie mogłam się uwolnić od wyobrażenia homara powoli gotującego się w garnku z wodą.

- Jesteśmy na miejscu – rzekł Stuart.
- Wydajesz się zdziwiony.
- Bałem się, że zrezygnujesz z podróży po tym, co się stało u Emmy.
- Zastanawiałam się nad tym. Nie ze względu na siebie, ale na siostrę. Mam na myśli Amy.

Spojrzał na mnie tak, jakby po raz pierwszy przyszło mu do głowy, jak cała ta sprawa może wpłynąć na moją rodzinę. Czy teraz, kiedy to rozumie, robi sobie wyrzuty? Co właściwie czuje? Żal? Odrobinę ciekawości? Przypomniałam sobie naszą rozmowę o *Enochu Ardenie* i uznałam, że prawdopodobnie nie ma do siebie pretensji.

– Dobrze dałaś sobie radę z reporterami – powiedział. – Na pewno nie było to łatwe.
– Nie było – odparłam. – Czuję się tak, jakbym płynęła statkiem po morzu i nagle wypadła za burtę. W pobliżu znajdują się dwie wyspy, ale są w jednakowej odległości i nie ma sensu pływać w miejscu. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Skinął głową.

– Musisz płynąć w jakimś kierunku.

– Właśnie. Muszę płynąć w jakimś kierunku.

Tuż po drugiej po południu wynajęliśmy dwa pokoje w hotelu około dwóch kilometrów od centrum miasta. Manson Comfort Inn był zaskakująco drogi, ale szczylił się pięknymi widokami na dzikie góry.

Kiedy szliśmy z recepcji do swoich pokoi, które znajdowały się na przeciwległych krańcach hotelu, Stuart spytał, czy miałabym coś przeciwko temu, żeby później poszedł sam na spacer.

– Jasne, że nie – odpowiedziałam. – Dokąd się wybierasz?

– Zobaczyć się z mamą. – Pociągnął się niezgrabnie za ucho. – Doszedłem do wniosku, że najpierw powinienem odwiedzić ją sam. Przepraszam, jeśli wydaje ci się to dziwne, ale ponieważ wszystko trafi do telewizji i wkrótce rozpęta się szaleństwo, po prostu... myślę, że nie powinniśmy jej zaskakiwać twoją niespodziewaną wizytą.

Oczywiście nie miałam nic przeciwko temu. W gruncie rzeczy czułam ulgę, że Stuart postanowił iść sam i rozpoznać teren, jeśli można to tak określić. Wydawało się, że popełniliśmy błąd, pojawiając się bez uprzedzenia w domu Emmy. Poza tym chciałam zostać na jakiś czas sama.

Usiadłam na łóżku, wyjęłam komórkę i sprawdziłam pocztę głosową. Miałam szesnaście wiadomości, a ich liczba stale wzrastała. Pierwsza była od producenta telewizyjnego mówiącego rozwlekłym południowym akcentem. Przedstawił się jako Phil Wride z *KLTV Action News* i poprosił, żebym oddzwoniła w celu przedyskutowania możliwości „rekompensaty finansowej za prawo wyłączności”.

„Rekompensata finansowa”, pomyślałam i przypomniałam sobie, że nie zapłaciłam w przyczepie Emmy za pizzę. Czy to dlatego zawiadomiła media?

Następną wiadomość zostawił policjant.

– Dzień dobry, panno Leamy. Mówi detektyw Mark Burkhardt z policji w Manson. Zastanawiam się, czy znalazłaby pani chwilę, by wpaść na pogawędkę do biura szeryfa. Wygląda na to, że wszyscy dziennikarze z WKYP i CNN wiedzą, kim pani jest, więc ja też powinienem się dowiedzieć.

Zostawił numer, pod który powinnam zadzwonić, ale się nie śpieszyłam.

Trzecia wiadomość była od Amy.

– Kim, gdzie jesteś? Musimy...

Odsunęłam telefon od ucha. Media australijskie prawdopodobnie prosiły w tej chwili ją i Deana o komentarz. Może sprawą zainteresowała się również policja? Chciała ode mnie usłyszeć, że wszystko jest okej i że zawsze pozostaniemy siostrami, niezależnie od sytuacji. Nie odbierając jej telefonów, spełniałam jej najgorsze przeczucia. „Gdybyśmy nie były spokrewnione, nigdy nie mieszkaliśmybyśmy razem” – powiedziała do mnie na tyłach swojego domu przed milionem lat.

Nie mogłam. Jeszcze nie. Wyłączyłam komórkę, nie odsłuchując innych wiadomości, i schowałam ją do szuflady szafki stojącej koło łóżka, gdzie spoczęła obok Biblii.

Przejrzałam kanały telewizyjne, szukając ciepłego i miłego sitcomu, lecz w końcu zdecydowałam się na stary odcinek *Antiques Roadshow*. Starszy Brytyjczyk niedawno odkrył, że jego stary wazon jest wart mniej więcej dwa tysiące funtów. Okazywał entuzjazm człowieka podziwiającego dobrze upieczony kartofel.

Piwo przytłumiło gorączkowe myśli, lecz w końcu pojawiła się reklama i na pasku u dołu ekranu z lewej do prawej przebiegł napis zapowiadający *Najnowsze wiadomości WKYP*. Poczulałam dziwny niepokój. Pasek zniknął i pojawił się ubrany w garnitur mężczyzna z poważnym wyrazem twarzy.

– Zapraszamy na najnowsze wiadomości WKYP, mówi Richard Looker – powiedział, po czym zaszeleścił papierami i ułożył je w schludny stos. – Mamy najświeższe informacje na temat ataku nożownika w Lexington, o którym mówiliśmy o siódmej. Jeden dorosły nie żyje, a jeden nastolatek został ranny. Policja nie wyklucza, że przyczyną pożaru w okręgu Clark było podpalenie. Poza tym być może mamy już rozwiązanie zagadki, która prześladowała pewną rodzinę od blisko trzydziestu lat. Łączę się z Beth Turner.

Na ekranie pojawiło się ujęcie kobiety z puszystymi ciemnymi włosami. Widziałam ją wcześniej przed przyczepą Emmy.

– Dziękuję, Richardzie. Niektórzy widzowie mogą pamiętać, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku w Manson zniknęła ze swojego domu dwuletnia Sammy Went i sprawa nigdy nie została wyjaśniona. Aż do dzisiaj, jak się zdaje. Pojawia się coraz więcej dowodów, że w tej chwili Sammy Went to Kimberly Leamy, mieszkanka Melbourne w Australii. Panna Leamy odmówiła komentarza w tej sprawie.

W ciągu ostatnich kilku tygodni przeżyłam sporo surrealistycznych chwil, ale ta była jak dotąd najdziwniejsza. Przynajmniej usłyszałam swoje nazwisko w wiadomościach telewizyjnych i zobaczyłam na ekranie swoją twarz. Wysłałam z przyczepy Emmy i ruszyłam do czekającego samochodu Stuarta, mijając grupkę reporterów.

– Nazywa się pani Sammy Went? – zawołał głos zza kamer.

– Nie... – odpowiedziałam. – Bez komentarza.

Beth Turner wyregulowała obiektyw kamery i rzekła:

– Miejscowa policja nie wydała jeszcze komunikatu, ale siostra Sammy, Emma Went-Finkel, uważa, że wreszcie odnalazła siostrę zaginioną przed wielu laty.

Nagle na ekranie pojawiła się Emma, stojąc gdzieś na terenie Elsewhere w ładnej różowej koszuli i obcisłych ciasnych dżinsach, bez śladu kaca.

– Kłamałabym, gdybym powiedziała, że jestem tego całkowicie pewna – oznajmiła. – Czuję ulgę, zmęczenie, mam mętlik w głowie... – Spojrzała w dół, obok mikrofonu trzymanego obok ust. – To, co się dzieje, przypomina przejażdżkę kolejką górską, ale jestem szczęśliwa z odnalezienia swojej małej siostrzyczki...

Wyłączyłam telewizor i patrzyłam na swoje odbicie na czarnym ekranie. Moja twarz się zmieniła. Różnica była subtelna i na pewno zauważalna tylko dla mnie, jednak istniała. Oczy miałam bardziej zapadnięte, policzki chudsze. Powiedziałam sobie, że to wynik stresu, posiłków spożywanych w barach przy autostradach i braku snu. Ale była to tylko część prawdy. Zmieniam się, przekształcam w Sammy Went zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Czy stanę się zupełnie inną osobą? A może po prostu hybrydą – ani Kim Leamy, ani Sammy Went, tylko czymś pośrednim jak rekonstrukcja przygotowana przez Stuarta?

Stuart milczał w czasie kolacji. Siedział i patrzył przez okno na mrugające światła Manson.

– Co z twoją matką? – spytałam.

– Już wie. Dziś rano dzwonił do niej dziennikarz. Domyślam się, że Emma również. Pytałem, jak się czuje, i spodziewałem się, że krzyknie na mnie i każe mi się do ciebie natychmiast zawieźć.

– Ale tego nie zrobiła.

– Nie, nie zrobiła – odparł Stuart. – Mama czasem bywa chłodna. Nagle zamyka się w sobie. Nie lubi okazywać uczuć.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – powiedziałam z suchym, niepewnym uśmiechem.

– Masz na myśli mnie czy siebie?

– *Touché.*

– Myślę, że to cecha rodzinna. Emma jest oczywiście wyjątkiem. Opowiada publicznie o swoich emocjach, jeśli ktoś chce jej słuchać. Właśnie dla takich ludzi wynaleziono media społecznościowe.

Skinęłam na kelnerkę i zamówiłam drugą kolejkę drinków. Stuart uniósł brwi. Nie powiedział tego na głos, ale wyraźnie uważał, że piję za dużo – i jak na standardy amerykańskie rzeczywiście tak było.

– Dzwoniłem do Claire – rzekł.

– Jak się miewa?

– Martwi się – odparł. – Puścili materiał w CNN i mówi już o tym cały internet. Pytała, jak się czujesz.

– Co powiedziałaś?

– Że cię nie pytałem. Nie podobało jej się to.

Roześmiałam się.

– Dzwonił ojciec – dodał.

– Naprawdę? Co mówił? Myślisz, że przyjedzie do Manson?

– Powiedziałem, że dzwonił, a nie że z nim rozmawiałem. – Stuart westchnął z zażenowaniem. – Zostawił nagrany wiadomość. Zatelefonuję do niego po kolacji. Najpierw muszę wypić jeszcze kilka drinków.

Wskazał swoją szkocką z wodą sodową. Może jednak nie martwi się, że piję?

– Twoja rodzina jest... – Byłam na lekkim rauszu, czułam się pewnie i dziwnie infantylnie, więc dokończyłam swoją myśl: – Twoja rodzina ma przetrącony kręgosłup, prawda?

Skinął głową.

– Zauważyłaś.

– Myślisz, że twoi rodzice ciągle byliby razem, gdyby to się nie wydarzyło?

– Nie – odparł zdecydowanie. – Rodzina Wentów miała przetrącony kręgosłup już przed twoim zniknięciem.

W restauracji panowała cisza. Personel na jakiś czas zniknął i widzieliśmy tylko kilku innych klientów.

– Dawniej wierzyłem, że kiedy cię odnajdę, wszystko się sklei. Myślałem, że nasza rodzina jest niekompletna, że brakuje jednego elementu, i uważałem, że jeśli ten element wróci na swoje miejsce, będziemy znowu żyli normalnie. Ale to nie takie proste, prawda? Emma pobiegła do dziennikarzy, a mama... Cóż, mama to mama.

– Brakujący element – powiedziałam, zastanawiając się nad słowami Stuarta. –

W dziwny, abstrakcyjny sposób zawsze się tak czułam. Zawsze szukałam reszty łamigłówek i myślałam, że kiedy ją odnajdę, wszystko się naprawi. Jesteśmy do siebie bardzo podobni.

– Zauważyłem – rzekł Stuart. – Hej, Kim?

– Tak?

– Jak się czujesz?

Uśmiechnęłam się.

– Możesz powiedzieć Claire, że dobrze.

Obudziłam się w pokoju hotelowym o czwartej nad ranem, czując wilgoć. Pościel była kompletnie mokra i przez chwilę zastanawiałam się w oszołomieniu, czy dach nie zaczął przeciekać. A może nastawiłam termostat na zbyt wysoką temperaturę i spociłam się pod kołdrą? Jednak w pokoju nie było gorąco, a termostat nastawiono na sześćdziesiąt dziewięć stopni Fahrenheita, co z wysiłkiem przeliczyłam w myślach na stopnie Celsjusza. Okazało się, że to mniej więcej dwadzieścia stopni.

Nagle poczułam ostry zapach moczu i wszystko stało się jasne. Po raz pierwszy od dzieciństwa zsiłam się w łóżko.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

Travisa obudziły głosy rozlegające się w domu. Chyba kobiecie, choć nie rozumiał, o czym mówiono. Prawdopodobnie po prostu grał telewizor, jednak postanowił wstać. Wygramolił się z łóżka, wciągnął wczorajsze majtki i poczłapał do lustra wiszącego na drzwiach sypialni.

Mężczyzna w lustrze wyglądał koszmarnie. Jedno oko było kompletnie zapuchnięte. W dziurkach od nosa tkwiły grudki zakrzepłej krwi, a szwy na rozciętej wardze były pokryte kłaczkami watoliny z poduszki i czymś żółtym. Jack nieźle go załatwił, to na pewno. Co najgorsze, doktor Redmond nie mógł zrobić jednej rzeczy. „Musisz iść z tym do dentysty, Travis, i byłby głupcem, gdyby uwierzył, że spadłeś ze schodów, podobnie jak ja, cholera!” Travis miał dwa zęby złamane równo z dziąsłami.

Po wizycie u doktor Redmond postanowił zmienić historyjkę, którą opowiadał. Kiedy do drzwi pukała policja, pobite żony zawsze mówiły, że spadły ze schodów.

„Czy tym właśnie jestem? – zastanawiał się, zdejmując kawałek watoliny z jednego ze szwów. – Pobitą żoną?”

Nie, lepsze wytłumaczenie to napad. Kiedy do drzwi Travisa zapuka szeryf Ellis, powie mu, że kiedy wyszedł z Baru Cubby, zaatakowało go trzech mężczyzn w kominiarkach. Oczywiście wszystko się wyda, jeśli jeden z mężczyzn z Pijanego Autokaru zacznie paplać. Travis byłby bardzo zdziwiony, gdyby któryś z nich tego nie zrobił – mogło to już się stać.

„Jesteś głupcem, jeśli uważasz, że ta sprawa nie wyjdzie na jaw – powiedział swojemu odbiciu. – Pewnie gada już o tym całe miasto i ludzie dochodzą do błędnego wniosku: Jack Went odkrył, że to Travis porwał jego córeczkę i wymierzył mu

sprawiedliwość jako ojciec”.

– Gdyby tylko wiedzieli... – rzekł na głos.

Podszedł do okna sypialni i usłyszał znajomy pisk furtki od frontu. Poczuł nagły przypływ lęku, kiedy zobaczył, kto ją otworzył: Emma Went i jej gruba przyjaciółka Shelley jakaś tam. Wychodziły na ulicę.

Pobiegł do holu i o mało nie wpadł na brata wchodzącego po schodach.

– Zamierzałem z tobą porozmawiać – powiedział Patrick.

– Czego chciała Emma Went?

Patrick zmarszczył brwi.

– Szwy ci się rozłają. Dotykałeś ich?

– Czego chciała, Pat?

– Powinieneś zmienić opatrunek. Chodź.

Patrick zaprowadził brata do łazienki. Travis usiadł na krawędzi wanny, a brat zdjął opatrunek z jego nosa i wyrzucił go do kosza na śmieci. Był czerwony i lepki. Nasączył wacik spirytusem do nacierania i oczyścił twarz Trávisa.

– Boli? – spytał.

– Jak cholera.

– Zrealizowałeś receptę, którą dała ci Redmond?

– Jeszcze nie – odparł Travis.

Patrick z delikatną precyzją umieścił nowy opatrunek na nosie Trávisa.

– Muszę ci powiedzieć, mały, że dziwnie się czuję, widząc cię w takim stanie. W dawnych czasach wyciągnąłbym tego starego sukinsyna z domu i sprzął na kwaśne jabłko.

– Nie jest wcale taki stary – odparł Travis. – A poprzednio źle się to skończyło.

Starszy brat milczał przez chwilę. Travis dziwnie się czuł, widząc go znowu w domu. Bardzo kochał Patricka, a w jego obecności znacznie łatwiej radził sobie z Avą, jednak brat wydawał się inny, jakby widmowy. Zmienił się w więzieniu, choć nie w taki sposób, jak spodziewał się Travis. Nie byłby zdziwiony, gdyby Travis wrócił do domu załamany, gdyby budził się w nocy, dręczony przez koszmary albo czuł lęk na otwartej przestrzeni. Patrick trzymał się prosto, zachowywał się jak dumny człowiek. Przestał palić i prawie nie pił. Czyżby naprawdę zresocjalizował się w więzieniu?

– Nie była to tylko wina Jacka, rozumiesz – rzekł Travis.

– Niech zgadnę: sam o to prosiłeś? – Patrick usiadł obok brata na krawędzi wanny. – Emma chciała wiedzieć, co się stało. Uznała, że bójka miała coś wspólnego z Sammy, podobnie jak reszta Manson.

Nazwanie bójką tego, co wydarzyło się przed Barem Cubby, wydawało się nonsensem. Jack pobił Travisa, który nie stawiał oporu. Dlaczego nie nienawidzi Jacka z tego powodu?

– Co jej powiedziałaś? – spytał. Patrick się zawahał i Travis powtórzył pytanie: – Co jej powiedziałaś, Pat?

– Prawdę. – Proste słowo zabrzmiało jak wybuch granatu.

– Nie masz prawa! – odparł błagalnie Travis. – Dlaczego uważasz, że możesz to zrobić, Pat?! Powiedz, że kłamiesz, powiedz...

– Jesteś podejrzany o porwanie i Jack Went to twoje jedyne alibi. Pora, żebyś przestał go chronić i zaczął myśleć o sobie.

– Myślę o sobie – rzekł Travis. – To zmieni nie tylko życie Jacka, ale także moje. Twoje również. I mamy. O kurwa, wyobrażasz sobie, co powie matka, kiedy się dowie, czym jestem?!

– Nie c z y m jesteś, Travis, tylko k i m jesteś. Możesz mi wierzyć, mama widzi więcej, niż okazuje.

– Nie miałeś prawa. Nie miałeś...

– Nigdy ci nie mówiłem, co się stało tamtej nocy w barze, prawda? Kiedy walnąłem Rogera Alboma kijem bilardowym?

Travis umilkł. Pokręcił głową. Pytał brata kilka razy, ale Patrick zawsze wykręcał się od odpowiedzi i twierdził, że była to tylko głupia bójka w barze.

– Grałem w bilard z kilkoma kumplami – rzekł Patrick. – Roger Albom i dwie dziewczyny postawili trochę forsy przeciwko mnie. Kiedy skończyłem, oddałem mu kij, ale nie chciał go wziąć. Powiedział: „Nie, dziękuję. Cała rodzina może mieć pedalskie geny”.

– Więc to moja wina, że trafiłeś do Greenwood?

– Jasne, że nie – odparł Patrick. – Sam postanowiłem go uderzyć. Szczerze mówiąc, nie chodziło o to, co powiedział Roger. Symbolizował całe gówno, z którym będziesz

miał do czynienia tylko dlatego, kim jesteś. – Wstał z wanny i położył rękę na barku Trávisa. – Wychodzę na jakiś czas, mały. Zobaczmy się później.

– Tak, na razie – rzekł Travis.

Kiedy Patrick wyszedł i Travis usłyszał pisk otwieranej i zamykanej furtki, zaczął się snuć po domu. Był obolały i przygnębiony. Matka zasnęła w salonie z puszką piwa w lewej ręce i pilotem od telewizora w prawej.

„Ma rację, że przesypia cały dzień”, pomyślał Travis. Wracając do łóżka, minął sypialnię Patricka. Drzwi były lekko uchylone. Poszedłby dalej, gdyby czegoś nie zauważył. Otworzył drzwi i wszedł do pokoju, pewny, że na stoliku przy łóżku nie może leżeć to, co zobaczył.

Sypialnia Patricka wyglądała dokładnie tak samo jak w dniu, gdy ją opuścił, wyprowadzony frontowymi drzwiami przez zastępców szeryfa. Nad jednoosobowym łóżkiem wisiał gigantyczny plakat Sex Pistols z jednym naderwanym rogiem. Wokół plakatu umieszczono mniejsze fotografie innych grup wycięte z czasopism – Ramones, Dead Kennedys, Circle Jerks, Black Flag. Na wewnętrznej części drzwi wisiała zardzewiała tablica z napisem „WSTĘP WZBRONIONY”, prawdopodobnie skradziona z jakiegoś placu budowy.

Tylko jedna rzecz była inna – i właśnie ona sprawiła, że Travis wszedł do środka – obecność Biblii.

Przed pójściem do więzienia Patrick szczyił się swoim ateizmem i Travis nic nie wiedział o tym, że coś się zmieniło. Mimo to koło łóżka leżało Pismo Święte.

Podniósł je. Było podniszczone, często otwierane. Na wewnętrznej stronie okładki znajdowała się dedykacja: „Patricku, składam w Twoje ręce dar, który jest stale źródłem nowych darów. Z wyrazami miłości, B”.

– Kim jest B? – spytał na głos i otworzył Biblię w miejscu, gdzie tkwiła gruba koperta. Na stronie podkreślono cytat, wers dziewiętnasty z trzeciego rozdziału Dziejów Apostolskich: „Przeto upamiętajcie się i nawróćcie, aby były zgładzone grzechy wasze”⁵.

Otworzył kopertę. Znajdowało się w niej wiele listów napisanych przez tę samą osobę.

Becky Creech?

Widział Becky zaledwie wczoraj z jej bratem, Dale'em, w czasie poszukiwań Sammy Went. Znała imię Trávisa.

Usiadł na łóżku i rozłożył pierwszy list. Nosił datę 7 października 1987 roku.

Drogi Patricku!

Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że piszę do Ciebie do więzienia. Nie znasz mnie, ale jeśli dobrze policzyłam, jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku, a gdybym nie uczyła się w domu, na pewno spotkalibyśmy się na kilku zajęciach w szkole średniej w Manson (Naprzód, Wojownicy!).

Piszę w imieniu Kościoła Wewnętrznej Światłości. Z zewnątrz Kościół może się wydawać trochę radykalny, a nawet szalony! Ale składa się z dobrych, uczciwych, bogobojnych ludzi, którzy chcą być częścią czegoś większego. Jeśli kiedyś zapragniesz stać się częścią czegoś większego, a nawet jeśli zechcesz porozmawiać, napisz do mnie.

Z wyrazami miłości, Becky Creech

PS Załączam fotografię.

Zajrzał do koperty, ale fotografii nie było. Czy Becky Creech próbowała nawrócić Patricka? I czy, co gorsza, jej się udało?

Znalazł następny list, tym razem noszący datę 3 listopada 1987.

Drogi Patricku!

Bardzo się ucieszyłam, że odpisałeś, i dziękuję za komplement – to miło, że fotografia Ci się podobała. Może też wysłałbyś mi zdjęcie?

Spróbuję odpowiedzieć na kilka Twoich pytań.

Tak, bierzemy do rąk jadowite węże. Nie, nie jemy ich serc ani nie pijemy krwi. Nie, nie czcimy w sekrecie Szatana (strasznie się śmieję, że ktoś może tak myśleć). Tak, węże czasem nas gryzą.

Kiedy Bóg każe nam brać do rąk węże, możemy zostać pokąsani z dwóch powodów. Po pierwsze, aby Bóg ocalił nas przed cierpieniem. Po drugie, aby mógł zabrać nas do Nieba. Można umrzeć wskutek ugryzienia węża, raka, wypadku samochodowego albo ze starości. Jakkolwiek to następuje, wierzymy, że każdy musi umrzeć i że po śmierci wracamy do Boga.

„Wróci się proch do ziemi, tak jak nim był, duch zaś wróci do Boga, który go dał” ⁶.

Zawsze lubiłam te słowa.

Teraz mam do Ciebie kilka pytań: Czy urodziłeś się w Manson? Czym się zajmowałeś po ukończeniu szkoły średniej do teraz? (Nie pomijaj żadnych szczegółów!). Jak jest w więzieniu?

Ostatnie pytanie chyba jest bardzo ważne, więc może podzieliłbyś odpowiedź na dwie części? W pierwszej mógłbyś opisać warunki, jedzenie, celę, innych więźniów, rzeczy, którymi się zajmujesz w wolnych chwilach – czy rzeczywiście robicie tablice rejestracyjne, czy to tylko legenda?

Część druga mogłaby być poświęcona temu, jak się czujesz. Wiem, co czuje człowiek, który znalazł się w pułapce. Mury, które mnie otaczają, nie są z betonu i nie śpię w celi z kratami w oknach. Moje mury składają się z poczucia winy. Wow, brzmi to bardzo dramatycznie, prawda?

Chciałabym, żebyś wiedział, że Cię nie osądzam, Patricku, i nigdy nie będę osądzać. Jesteś tam, bo zgrzeszyłeś, a grzech jest rzeczą ludzką. Stanie się zielonoświątkowcem oznacza, że człowiek bardzo często słyszy, jak bardzo jest niegodny miłości Boga, ale dopiero niedawno zaczęłam rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Gdyby w naszych sercach nie było grzechu, czy wiara miałaby jakiś sens? Czczenie Boga byłoby wtedy zbyt proste, prawda?

Pastor zajmujący się młodzieżą (zabawny i dowcipny Dave Flenderson) powiedział mi kiedyś, że moralność wymaga ofiar. Właśnie do tego wszystko się sprowadza. Rozumiesz, mogłabym chcieć krzyknąć na Erin Taylor, że w zeszłym tygodniu na parkingu Home Foods nazwała mnie „pieprzoną zieloniacką suką”, a Ty mogłeś chcieć walnąć tego człowieka kijem bilardowym. Nie ma w tym nic dziwnego. Chęć robienia takich rzeczy jest normalna, ale zdobywamy miłość Boga, jeśli ich nie robimy.

Z wyrazami miłości, Becky

Travis przejrzał plik kartek i znalazł list noszący datę 3 marca 1988 roku.

Drogi Patricku!

Chcę Ci opowiedzieć o Klementynie. To dwuletni grzechotnik pospolity. Przy odrobinie szczęścia grzechotnik może żyć na wolności nawet dziesięć lat, ale w naszym Kościele dwulatek to już praktycznie staruszek. Zwykle węże przeżywają dziesięć

miesiący. Stres sprawia, że często umierają jeszcze wcześniej.

Klementyna jest nerwową staruszką i od czasu do czasu gryzła członków Kościoła. Ale NIGDY nie ugryzła w rękę osoby, która ją karmiła. Aż do czasu, kiedy to zrobiła. Ugryzła mnie.

Muszę zrobić dygresję.

Kaplica naszego Kościoła znajduje się w środku ogromnej, prywatnej posiadłości na przedmieściach Manson. Wokół rozciągają się lasy; kaplica stoi na dużej polanie i prowadzi do niej ogólnodostępna droga. Okoliczne lasy są ogromne – gęste, głębokie i ciemne. Gdybyś spojrział na posiadłość z lotu ptaka, zobaczyłbyś czterdzieści hektarów zieleni i niewiele więcej.

Nabożeństwa Kościoła Wewnętrznej Światłości odbywają się wieczorami trzy razy w tygodniu – we wtorki, piątki i niedziele. W pierwszą niedzielę każdego miesiąca muszę zostać po nabożeństwie i nakarmić węże, które mieszkają w budynku na granicy lasu. To jeden z moich obowiązków.

Tak, skończyłam dwadzieścia sześć lat i ciągle mam obowiązki.

Budynek węży to nie zwykła szopa, tylko niewielki betonowy schron bez okien z bardzo niskim drewnianym sufitem (za każdym razem uderzam się w głowę!). W środku jest zawsze gorąco z powodu brzęczących lamp nagrzewających pomieszczenie.

Obok terrariów trzymamy myszy w plastikowych pojemnikach z pokrywkami, w których znajdują się niewielkie otwory. Musisz wiedzieć, że myszy są żywe. Kiedy Kościołem zarządzał mój ojciec, kupowaliśmy je zamrożone, więc węże ich nie zabijały. Ale gdy „interes rodzinny” przejął mój brat Dale (teraz wielebny pastor Creech, choć ciągle nie mogę się do tego przyzwyczaić), zaczął hodować myszy, by zaoszczędzić trochę pieniędzy. Mówi, że nie powinniśmy nadawać im imion.

Karmienie węży jest łatwe. Trzeba unieść pokrywę terrarium, wrzucić do środka mysz i umieścić pokrywę na miejscu. I tak w kółko. Kiedy zostałam ugryziona, o czymś myślałam – mówiłam do siebie albo nuciłam. Byłam zdekoncentrowana. Podeszłam do terrarium Klementyny i ciach! Ugryzła mnie w dłoń. Mocno. Głęboko, w skórę między kciukiem a palcem wskazującym. Miałam wrażenie, że na mnie czekała.

Ręka dość mocno krwawiła, ale na plebanii jest apteczka i kilka ampułek surowicy

przeciwjadowej (lepiej zachowaj to dla siebie: ludzie poskramiający węże nie chcą, by ktoś wiedział, że przechowujemy surowicę, bo, do licha, nie powinniśmy jej potrzebować, skoro czuwa nad nami Bóg, prawda?). Jak się okazało, nie potrzebowałam surowicy. Nie wiem, czy znasz się na węzach, ale istnieje tak zwane suche ugryzienie (wąż nie wydziela wtedy jadu), i właśnie tak ugryzła mnie Klementyna. Suche ugryzienia są bolesne, i to bardzo, ale niegroźne.

Teraz moja opowieść robi się trochę zwariowana, ale musisz jej wysłuchać. Kiedy Klementyna zaatakowała mnie w swoim terrarium, przypomniała mi o Tobie. Wydawało się to metaforą (przepraszam za to mądre słowo). Ukąszenie oznaczało to, co wydarzyło się w Barze Cubby. Skóra między kciukiem a palcem wskazującym symbolizowała głowę Rogera Alboma. Terrarium Klementyny symbolizowało więzienie, a jej życie Twój wyrok. Do licha, nawet jej płaski, szeroki pysk przypominał mi Twoją twarz (nie obraż się, uważam, że Klementyna jest trochę podobna do lisa!).

Nagle nie byłam w stanie znieść myśli, że żyje w zamknięciu. Wsadziłam ją do jutowego worka, wyszłam z szopy i zaniostałam do lasu. Nie chciałam jej wypuszczać zbyt blisko kaplicy. Wiedziałam, że kiedy Dale zauważy jej zniknięcie, pójdzie jej szukać (i szukał, ale bez skutku).

Zaniostałam ją w głąb lasu i znalazłam spokojne miejsce, gdzie słońce świeciło przez korony ambrowców. Położyłam worek na ziemi, otworzyłam go i cofnęłam się o krok. Oczywiście mogłam sama wyjąć Klementynę z worka, ale chciałam, by to ona dokonała wyboru.

Wydawało się, że nie ma ochoty odejść. Kilka razy wystawiła głowę (wyobrażasz sobie, jak musi wyglądać ogromny amerykański las po dwóch latach życia w szklanym terrarium?!), lecz za każdym razem się cofała.

Czekałam. Prawie godzinę później, gdy zachodziło słońce i robiło się zimno, kiedy moja matka wyglądała przez okno kuchni i zastanawiała się, dlaczego jeszcze nie wróciłam do domu, Klementyna się poruszyła. Wyszła do połowy z worka. Przez chwilę wygrzewała się w zachodzącym słońcu i przysięgłabym, że się uśmiechnęła.

Później wypęzła z worka i zniknęła w krzakach. Nie odwróciła się, by na mnie popatrzeć. Obserwowałam ją przez chwilę, a później ruszyłam w stronę kaplicy. Nagle zauważyłam, że płaczę. W tej chwili też płaczę.

Klementyna nie jest węzłem przyzwyczajonym do życia na wolności, ale jestem pewna, że da sobie radę. Muszę Ci powiedzieć, Patricku, że czułam się naprawdę dobrze, zwracając jej wolność. Klementyna zaatakowała świat, który ją uwięził. Sama może wybrać, jakie życie chce prowadzić, ale modlę się, by jej serce było pełne przebaczenia. Modlę się tak samo za Ciebie, Patricku.

Z wyrazami miłości, B.

Travis z fascynacją przeglądał listy. Czy jego brat został zielonakiem? Czy zacznie brać do rąk węże, pić trucizny i czymkolwiek jeszcze się zajmują w swojej cholernej kaplicy?

Wyjął inny list z dolnej części pliku. Nosił datę 1 lutego 1989 roku.

Najdroższy Patricku!

Piszę krótko, żeby Ci powiedzieć, jaka jestem podekscytowana/zdenerwowana/uszczęśliwiona/przerażona naszym „specjalnym widzeniem”. Spędziliśmy czterdzieści minut sam na sam, wymagało to wielu starań, tak naprawdę nie wierzyłam, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

Nie mogę obiecać, że okażę się wspaniałą kochanką, ale chcę powiedzieć, że jestem gotowa, kochany. Mogę powiedzieć, że moja miłość do Ciebie jest głęboka, prawdziwa, bolesna i całkowita. Jestem gotowa, żebyś mnie poznał. Całą.

Z wyrazami miłości i oczekiwania, B.

Był jeszcze jeden list, ostatni, z datą 10 grudnia 1989 roku.

Mówiłeś, że będzie łatwiej, Patricku, ale z każdym dniem jest coraz gorzej. Czasem modlę się o śmierć. Potem przypominam sobie, że jesteś moim prawdziwym światłem. Światłem mojego serca i światłem na końcu tunelu. Ale nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Wróć do domu, Patricku. Wróć do domu i zabierz mnie stąd. Wróć do domu i uratuj mnie przed nimi.

Z głęboką miłością, B.

Travis kilkakrotnie przejrzał listy, ale nie znalazł odpowiedzi na liczne pytania, jakie przychodziły mu do głowy. Co właściwie się wydarzyło między tym listem a poprzednim? Becky Creech chciała, żeby Patrick ją uratował, ale przed kim? Co ich

tak naprawdę łączyło?

Eckles i Creech? Prawie śmiechu warte.

Jedyną wskazówką – jeśli można to tak nazwać – był odnośnik do fragmentu Ewangelii pośpiesznie napisany piórem na dole ostatniego listu: „Ewangelia świętego Mateusza, XXIV, 29pp34”.

Travis wziął egzemplarz Biblii leżący na stoliku przy łóżku Patricka. Przewertował ją, aż odnalazł właściwy fragment. Był on podkreślony. Przeczytał go trzy razy. Wydawał się dziwny i niepokojący: „Słońce się zaćmi i księżyc nie zajaśnieje swoim blaskiem, i gwiazdy spadać będą z nieba, i moce niebieskie będą poruszone” [7](#).

MANSON, KENTUCKY

TERAZ

Obudziłam się przed świtem. Śniło mi się drzewo owocowe rzucające długi cień na niedawno skoszony trawnik. Wiedziałam, że stoję na podwórku na tyłach domu Sammy Went, choć we śnie nic tego nie sugerowało. Gdzieś w dali ćwierkały ptaki i przez chwilę czułam się bezpieczna.

Poprzedniej nocy prawie nie zmrużyłam oka, więc byłam zaspana i zdezorientowana. O trzeciej nad ranem uprałam pościel w wannie i powiesiłam na drzwiach tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać”. Jeszcze nigdy tak bardzo mi na tym nie zależało. Położyłam się na twardej, nowoczesnej kanapie i zwinęłam w ciasny kłębek. Byłam zawstydzona. Zasypiałam i co chwila się budziłam. Po przebudzeniu za każdym razem sprawdzałam kanapę i za każdym razem z ulgą stwierdzałam, że jest sucha.

Naprawdę zsikałam się w łóżko. Czy za dużo wypiałam w czasie kolacji, czy to coś głębszego?

W wieku trzynastu lat ukryłam przed matką, że po raz pierwszy mam okres: nie dlatego że byłam zażenowana albo zawstydzona – choć jestem pewna, że częściowo tak było. Martwiłam się, że ją zasmucę. Nie chciałam, by myślała, że staję się kobietą, bo sama się tego obawiałam. Teraz bałam się, że stanę się znowu dzieckiem.

Ubrałam się i wyszłam z filiżanką kawy rozpuszczalnej na balkon, gdzie popijałam ją powoli, patrząc na lasy. Były ogromne, gęste.

Jasne zbiorniki wodne działają na mnie uspokajająco, ale zalesione obszary wywołują przeciwny efekt. Lasy wydają się mroczne i pełne potworów, potężne, dzikie, brutalne, pierwotne. Poczulałam nagłą ochotę, aby je... sfotografować?

Spakowałam swojego starego canona SLR głównie pod wpływem impulsu, nie

spodziewając się, że go użyję. Jednak wyjęłam go w tej chwili z plecaka, włączyłam i zrobiłam zdjęcie dzikim lasom. Pasma górskie widziane przez celownik aparatu wydawało się mniej groźne.

Czy po zniknięciu Sammy Molly Went spędziła dni, miesiące, lata w lasach, które teraz fotografuję, i zastanawiała się, czy córka się po nich nie błąka? Oczywiście Sammy nie leżała w lesie, opuchnięta, rozkładająca się, z ciemnymi siniakami na szyi, uduszona przez z ł e g o m ę ż c z y z n ę. Zamiast tego wywieziono ją do Australii, gdzie dobrze się nią opiekowano, kochano ją, karmiono, ubierano, posyłano do szkoły i zapewniono jej setki innych rzeczy.

Robienie zdjęć sprawiło mi przyjemność. Canon filtrował rzeczywistość i w jakiś sposób pozwalał nad nią zapanować. Zastanawiałam się, czy właśnie to pociąga mnie w fotografii. Z aparatem wiszącym na szyi byłam gotowa stawić czoło Manson.

Obeszłam miasto, cały czas widząc wieżę ciśnień. Zatrzymywałam się od czasu do czasu i robiłam zdjęcia. Długi betonowy kanał biegnący pod autostradą, którym płynęła brudna, spieniona woda. P s t r y k. Martwa wrona na poboczu drogi. P s t r y k. Przejeżdżający motor z wysoką kierownicą prowadzony przez grubą, przeszło sześćdziesięcioletnią kobietę. P s t r y k.

Może było to naiwne, ale spodziewałam się, że po przybyciu do Manson coś mi się przypomni: drzewo, rzeka, róg ulicy albo wzgórze wydobędą na powierzchnię wyparte wspomnienie i nagle znajdę się w świecie dwuletniej dziewczynki. Jednak w Manson nic nie było takie proste. Nie poczułam dziwnej nostalgii ani niepokojącego przekonania, że, owszem, spotkałam swoje przeznaczenie.

Może te wspomnienia – tylko częściowo uformowane w pamięci dwuletniej dziewczynki – tkwiły zbyt głęboko, by do nich dotrzeć? Może nigdy nie da się naprawić nici, o której mówił Stuart? Sammy znajdowała się gdzieś w głębinach mojej pamięci, obwiązana w tali czerwoną nicią; ciągnęła ją w mroku, ale nic za każdym razem okazywała się luźna.

A może winne jest Manson? Wydawało się oczywiste, że w ciągu ostatnich dwudziestu ośmiu lat miasto bardzo się zmieniło. Było w tym coś smutnego. Czas podążał naprzód, mogłam dotrzymać mu kroku lub zostać z tyłu, ale nie potrafiłam

cofnąć się w przeszłość. Życie, które prowadziłam jako Sammy Went, urodzona i wychowana w Manson, po prostu nie istniało.

„Co spodziewałaś się zobaczyć?” – pytałam samą siebie.

Spędziłam następną godzinę, bez celu krążąc ulicami i robiąc zdjęcia. Zaczęłam w ruchliwym centrum, a później coraz bardziej się od niego oddalałam i dotarłam do okolic, gdzie domy były w większej odległości od siebie, a trawniki szersze.

Znalazłam się na Cromdale Street przez przypadek. Byłoby miło wyobrazić sobie, że zaprowadziło mnie tam zrzęcenie opatrności – że niewidzialna dłoń popychała mnie we właściwym kierunku. Jednak prawdopodobnie był to tylko przypadek. Pamiętałam nazwę tej ulicy z jednego z artykułów na temat Sammy Went. Wiedziałam, że porwano ją z jednego z domów przy Cromdale Street, ale nie miałam pojęcia z którego. Chodziłam tam i z powrotem ulicą, szukając w pamięci jakiegoś obrazu – jeśli nie obrazu, to przynajmniej uczucia. Zgodziłabym się nawet na p r z e c z u c i e. Jednak nic się nie pojawiło.

Moją uwagę zwrócił dom numer dziewięć. W trakcie trzeciej przechadzki ulicą zatrzymałam się przed nim i spojrzałam nad starą drucianą siatką. Było to jedyne miejsce na Cromdale Street, które nie zmieniło się w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Zrujnowany dom był w połowie zabity deskami; oddzielał go od ulicy ogród zarośnięty splątanymi chwastami. Domy po obu stronach były starannie utrzymane i dość nowoczesne, lecz budynek numer dziewięć wyglądał jak ponure straszdyło z przeszłości.

Oczyściłam skrzynkę pocztową z błota i kurzu, po czym zobaczyłam nazwisko *Eckles*. Już zamierzałam pstryknąć zdjęcie, gdy zauważyłam starą kobietę. Siedziała na schodku werandy, tak nieruchoma, że wtopiła się w otoczenie. Miała suchą, żółtawą skórę, przypominała manekina wypłowiałego na słońcu. Patrzyła na mnie. Poczulałam na plecach ciarki. Opuściłam aparat i poszłam dalej.

Kiedy wróciłam do centrum miasta, zatrzymałam się na drugą kawę i przejrzałam zdjęcia zrobione wcześniej. Kawiarnię niedawno otwarto i musiałam poczekać, aż barmanka zapali światła. W końcu podeszła do lady, by mnie obsłużyć. Na mój widok zastygła, mrugnęła kilka razy za parą dużych okularów. W końcu się uśmiechnęła.

– Przepraszam – powiedziała. – Czym mogę pani służyć?

Menu zawierało mnóstwo potraw i napojów. Byłam przytłoczona.

– Mogłabym dostać po prostu czarną kawę?

– Jasne – odparła kobieta. Przyglądała mi się przez kilka sekund, po czym zajęła się parzeniem kawy. Była wysoka, w wieku czterdziestu kilku lat, lekko przygarbiona jak ktoś, kto zmagał się przez całe życie ze swoim wzrostem. Nie byłam tak wysoka jak ona, choć wyższa od większości kobiet, więc mniej więcej wiedziałam, co czuje.

– Tak?

– Widziałam panią w telewizji – odezwała się. – Ale pamiętam panią z dawnych czasów. Sprzed zniknięcia. Byłam przyjaciółką Emmy. Jak się miewa?

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze. Przykryłam plastikowym wieczkiem kubek z kawą, żeby jak najszybciej wyjść z kawiarni. – Ile jestem winna?

– To na koszt firmy – odparła. – Witaj w domu, Sammy!

C z y j e s t e m w d o m u ? C z y m a m n a i m i ę S a m m y ?

Poszłam poboczem autostrady w stronę hotelu, popijając kawę. Było ciągle wcześniej, więc na drodze panował niewielki ruch. Canon kołysał się w prawo i w lewo w czasie marszu; wydawał się teraz dziwnie ciężki.

Dotarłam do starej, zniszczonej drewnianej tablicy z napisem „Młyn i centrum turystyczne, 400 metrów”. Szłam do miasta tą samą trasą, ale jakoś jej nie zauważyłam. Pod napisem znajdowała się strzałka wskazująca polną drogę skręcającą w las. Obok rosły wysokie drzewa, prawie ją zasłaniając. Widziałam tylko wąską przesiekę porośniętą trawą sięgającą do kolan.

Za żadne skarby nie potrafiłabym wytłumaczyć, dlaczego skręciłam w tę drogę. Może mimo wszystko kierowała mną czyjaś niewidzialna ręka?

W głębi lasu droga stała się nieco szersza, ale imponujące drzewa rosnące po obu stronach tłumiły odgłosy samochodów jadących autostradą i czułam się odcięta od świata. Powietrze pachniało wilgotną ziemią i sosnowymi igłami; lekki wiatr szumiący wśród gałęzi sprawił, że poczułam się nieswojo.

Uważam się za osobę lubiącą ruch na świeżym powietrzu. Nie jestem Bearem Gryllsem, ale w młodości często wybierałam się na wycieczki, pływałam, podróżowałam. Jednak Australia wydawała się teraz bardzo daleka. W Australii rośnie busz, żółty, a nie zielony jak lasy. Mogą w nim żyć niebezpieczne zwierzęta, jednak ma

w sobie coś znajomego. Nie byłam w buszu, tylko w lesie. Lasy to niebezpieczne miejsca z bajek, gdzie rodzice porzucają dzieci, a później łapią je czarownice.

„Dean się mylił, gdy mówił, że przeszłość jest jak ocean”, pomyślałam. Bardziej przypomina ciemny las pełen potworów.

Im głębiej zapuszczałam się w las, tym bardziej czułam się przytłoczona, ale nie zawróciłam.

Dotarłam do imponującego, starego wiaduktu. Było jasne, że został zaprojektowany, by wytrzymać ciężar samochodów, ale sądząc po graffiti i odrapanych ścianach, było to dawno temu. Deski ugięły się i trzeszczały pod moimi nogami.

Minęłam wiadukt, pokonałam jeszcze dwadzieścia metrów i dotarłam do...

Pustej polany.

Jeśli w tym miejscu znajdował się kiedyś młyn, dawno zniknął. Miałam pod stopami nagą ziemię, widziałam tylko duży, czarny kwadrat. Kiedy stanęłam na środku, dźwięki lasu przycichły. Od lat nic tu nie rosło. Miałam wrażenie, że obserwują mnie duchy.

„To złe miejsce”, pomyślałam. Chwyciłam aparat i zrobiłam kilka zdjęć. Naga ziemia. P s t r yk. Przewrócone drzewa. P s t r yk. Niesamowite światło między gałęziami w górze. P s t r yk.

Coś się zmieniło.

Znikło poczucie panowania nad sytuacją, jakie miałam w czasie fotografowania gór. Filtr zniknął i w tej chwili otoczenie oglądane przez celownik aparatu wydawało się równie groźne jak w rzeczywistości.

Wyłączyłam aparat i ruszyłam szybko w stronę wiaduktu.

„Przyjechałam pokonać Manson, a to ono mnie pokonało”, pomyślałam.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

Emma długo trzymała głowę pod wodą w wannie, usiłując nie słuchać odgłosów otaczającego świata. Zachodziło słońce i biała, matowa szyba w oknie łazienki stała się szara. Kończył się kolejny dzień.

W ciągu dnia nietrudno było sobie wyobrazić, że Sammy po prostu gdzieś się bawi – może buja się na huśtawce w Atlas Park albo grzebie w piasku nad jeziorem. Jednak po zapadnięciu zmroku jej nieobecność bardziej rzucała się w oczy. Dzieci w jej wieku nie wychodziły wieczorami z domów. Kąpały się, oglądały filmy rysunkowe i kładły się spać.

Emma wyszła z wanny, wytarła się i włożyła za duży szlafrok frotté należący do matki. Mocno związała pasek, bo zauważyła, że kuzyn Todd kilka razy gapił się na jej piersi po przyjeździe do Manson.

Narzeczone Drakuli oglądały w salonie albumy z fotografiami.

– Chodź i usiądź z nami, Emmo – powiedziała najmłodsza ciotka, Tillie. – Wspominamy dawne czasy.

– Może później – odparła Emma. – Gdzie reszta rodziny?

– Twój brat gra z Toddem w gry wideo w suterenie – odparła Pauline, najstarsza ciotka. – Twoja matka odpoczywa, a ojciec jest nieobecny bez usprawiedliwienia.

– Tata nie jest nieobecny bez usprawiedliwienia. Szuka Sammy.

Ciotki zerknęły na siebie. Niewątpliwie miały własne przypuszczenia, dlaczego Jack wrócił późno do domu z pokrwawionymi rękami, ale nie znały nawet połowy prawdy. Wpadłyby w przerażenie, gdyby się dowiedziały, że Jack i Travis Eckles to...

„Co? – pomyślała Emma. – Kochankowie?”

Kiedy wyszła z pokoju, Pauline zawołała:

– Nie tup na schodach. Pozwól mamie odpocząć.

Sypialnia rodziców była cicha i pusta, ale drzwi do pokoju Sammy pozostawały zamknięte. Emma zauważyła światło w szparze na dole. Zastukała.

– Czego? – odezwała się za drzwiami Molly.

– To ja, mamó. Mogę wejść?

– Ach, oczywiście.

Sypialnia Sammy nie zmieniała się po jej zniknięciu, choć była czystsza. Duża skrzynka wypełniona pluszakami w pastelowych różach i fioletach. Oprawione fotografie rodzinne wydawały się mieć teraz większe znaczenie. Molly zdjęła jedną z nich ze ściany i obracała w dłoniach.

– Przepraszam, że na ciebie warknęłam – powiedziała. – Myślałam, że to jedna z moich sióstr.

– Spałaś?

– Raczej się ukrywałam.

– Mogę przez chwilę ukrywać się razem z tobą?

Molly uśmiechnęła się smutno. Jej skóra była pokryta plamami i wysuszona. Przesunęła się na łóżku, by zrobić miejsce dla Emmy.

– Pachnie tu chemią.

– Oczyszczałam dywany – odparła Molly. – Chcę, żeby wszystko było w idealnym stanie, gdy Sammy wróci do domu. Postąpiłam tak samo, kiedy byłam z tobą w ciąży, wiesz? Oczyszczałam cały dom.

Emma spojrzała na fotografię w rękach matki. Zrobił ją ojciec. Przedstawiała Molly i dzieci piekące s'morsy ⁸ przy kominku w domu nad wodospadem Cumberland. Molly trzymała na rękach Sammy; dziewczynka radośnie ssała palce, nie patrząc w obiektyw.

– Pamiętasz tę wycieczkę? – spytała Molly. – Było to zaledwie przed rokiem, a mam wrażenie, że minął milion lat. Byliśmy wszyscy tacy szczęśliwi.

Emma dobrze pamiętała wycieczkę, ale nie budziła ona szczęśliwych wspomnień. Sammy ząbkowała i marudziła, co sprawiało, że matka była nieznośnie zdenerwowana. Tuż przed zrobieniem zdjęcia spacerowała po pokoju, dziko podrzucała Sammy i mówiła rzeczy w rodzaju: „Czego chcesz?”, „Nie mogę ci pomóc” albo „Weź ją ode

mnie, Jack, doprowadza mnie do szaleń”. Fotografia przedstawiała chwilę, ale nie historię.

Emma zastanawiała się, czy matka nie wspomina przykrych momentów, czy zupełnie wyparła je z pamięci.

Molly dotknęła twarzy Sammy na zdjęciu i uśmiechnęła się.

– Pamiętasz czternasty werset dziewiętnastego rozdziału Ewangelii świętego Mateusza?

– Przypomnij mi – poprosiła Emma.

– Jezus powiedział: „Zostawcie dzieci w spokoju i nie zabraniajcie im przychodzić do mnie; albowiem do takich należy Królestwo Niebieskie”⁹

Molly przycisnęła fotografię do piersi.

– Myślisz, że Sammy jest w niebie? – spytała Emma.

Matka spoglądała na nią dłuższy czas, lecz się nie odezwała. Oparła głowę na kolanach córki i zamknęła oczy. Poruszyła się na chwilę tylko wtedy, gdy Emma pogłaskała ją po włosach. Emma chciała powiedzieć matce, czego się dowiedziała o Travisie, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

Przez następną godzinę siedziały nieruchomo na łóżku. Milczały. Od urodzenia Sammy nigdy nie spędziły razem tak dużo czasu. Mogłyby siedzieć jeszcze długo, gdyby do pokoju nie wpadła Tillie.

– Molly, telefon do ciebie! – zawołała, dysząc po biegu po schodach. – To szeryf. Chyba ma jakieś wiadomości!

Szeryf Ellis stał w zatęchłym, brązowym holu biura. Miał pod pachami wielkie kręgi potu i ciemne worki pod oczami. Ostatnio w Manson wszyscy wydawali się zmęczeni.

– Molly, Emma, witajcie! – powiedział. – Dzięki, że przyjechałyście. Gdzie jest Jack?

– Nie mogłam go znaleźć – odparła Molly. – O co chodzi, szeryfie?

– Chodźcie za mną.

Zaprowadził Emmę i Molly do sali konferencyjnej. W rogu dużego pomieszczenia bulgotał ekspres do kawy. Na suficie brzęczała świetlówka. Na długim stole stało kartonowe pudełko z napisem „DOWODY RZECZOWE”.

– Usiądźcie – powiedział Ellis. Stał, a Emma i Molly zajęły miejsca w twardej plastikowych fotelikach. – Jak wiecie, nadzoruję poszukiwania w lasach. Jeden z ochotników coś znalazł. Chcemy spytać, czy to własność Sammy.

Otworzył pudełko z dowodami rzeczowymi i wyjął niewielką plastikową torbę. W środku znajdowała się pluszowa małpka Sammy, brudna i zabłocona. Emma dopiero po chwili zrozumiała, co widzi. Kupiła siostrze tę zabawkę na pierwsze urodziny, a Sammy nigdy się z nią nie rozstawała. Jej obecność bez Sammy wydawała się absurdalna.

Przez głowę przebiegła jej okropna, straszliwie dziecinna myśl: Sammy jest teraz naprawdę samotna.

Emma spodziewała się, że matka wybuchnie płaczem albo, co gorsza, padnie na podłogę i zacznie się modlić. Jednak tak się nie stało. Molly wzięła torbę i patrzyła na małpkę z kamiennym wyrazem twarzy.

– Jest brudna. Muszę ją oczyścić. To niebezpieczne dla dziecka.

– Mamo...

– Należy do pani córki? – spytał Ellis.

– Tak, to małpka Sammy – odpowiedziała Emma.

Sięgnął po zabawkę. Molly trzymała ją przez chwilę, a potem pozwoliła ją zabrać. Obserwowała małpkę, gdy wkładał ją z powrotem do pudełka na dowody rzeczowe.

– Dopilnuję, żeby jak najszybciej ją pani zwrócono, Molly. Ma pani moje słowo.

– Co to znaczy? – spytała Molly. – Jest tam, w lesie? Sammy jest w lesie?

– To nie wszystko – powiedział Ellis. – Zabawkę znaleziono niedaleko starego młyna. Przeszukaliśmy to miejsce i znaleźliśmy dowody, że ktoś tam nocował.

– Nocował?!

W pamięci Emmy pojawiło się mgliste wspomnienie przywodzące na myśl brzydki zapach. Jeszcze się nie skryształizowało, ale miało coś wspólnego z młynem. Wiedziała, że była tam w dniu zniknięcia Sammy, jednak połączenie szoku i psylocybiny sprawiło, że niewiele pamiętała.

– Uważamy, że porywacz trzymał tam Sammy przez noc, może dłużej.

– Dlaczego?

– Cóż, nie wiemy. Młyn stoi na uboczu. Nikt tam nie zagląda. Mógł ją tam zabrać,

żeby mieć czas na przygotowanie listu z żądaniem okupu.

– Nie musi pan owijać w bawełnę, szeryfie – powiedziała Molly. – Gdyby ktoś chciał żądać okupu, już by to zrobił. Jeśli zabrał Sammy w ustronne miejsce, gdzie nikt się nie pojawia, to z zupełnie innego powodu.

Emma się wzdrygnęła. Jak dotychczas udawało jej się nie myśleć o pewnych scenariuszach. Można to nazywać zaprzeczeniem i ślełą nadzieją, jednak święcie wierzyła, że ktokolwiek porwał Sammy – a p r z e c i e ż j ą p o r w a ł , n i e p o s z ł a s a m a d o l a s u i n i e z a b ł ą d z i ł a – musi o nią dbać. Zachowywała się dziecinne i głupio. Co się zdarzyło w dniu, gdy poszła z Shelley do młyna?

M a g i c z n e g r z y b y... m r ó w k i g m a c h ó w k i...

– Tak czy inaczej, nie informujemy o tym mediów – rzekł Ellis i odchrząknął z zażenowaniem. – Mamy nadzieję, że ludzie, którzy nocowali w młynie, wrócą po swoje rzeczy i będziemy mogli ich przesłuchać.

– Ktokolwiek porwał Sammy, jest już daleko stąd – powiedziała Molly. – Sammy jest razem z nim albo...

– Mamo, przestań!

– Dowiedzieliście się czegoś? – spytała Molly. – Macie jakieś tropy? Podejrzanych? Cokolwiek?

– Mamy podejrzanego – odparł. – Jeden z nurków zauważył dziwnego mężczyznę koło Willow's Point.

– Jakiego mężczyznę? – spytała Molly.

Ellis podszedł do stołu w rogu sali, na którym leżały stosy meldunków, teczek, fotografii, notatników i bloczków z karteczkami samoprzylepnymi. Jeśli bałagan na biurku oznacza bałagan w głowie, niech Bóg ma w swojej opiece Sammy. Znalazł portret pamięciowy, a później położył go na blacie przed Molly i Emmą. Mężczyzna widoczny na rysunku przypominał co najmniej stu mieszkańców Manson. Nie był gruby ani chudy, nie miał blizn ani tatuaży. Jego policzki pokrywał kilkudniowy zarost, mógł nosić krótką brodę, jego ciemne oczy wydawały się puste.

„Czy te oczy były ostatnimi, w które patrzyła moja siostra?” – zastanawiała się Emma.

– Kto to? – spytała Molly.

– Nie wiemy, ale się dowiemy. Wysłaliśmy kopię tego portretu pamięciowego do każdego posterunku policji aż do Redwater. Ciągłe jest nadzieja, Molly. Ale to nie wszystko.

Molly przesunęła palcami po włosach i wydała z siebie dźwięk będący czymś pośrednim między westchnieniem a jękiem.

– Co takiego?

– Zabrzmi to trochę głupio – ciągnął Ellis. – Istnieje miejska legenda związana z młynem. Nie jestem pewien, czy ją znacie. Legenda głosi, że jeśli ktoś napisze czyjeś nazwisko na jednej ze ścian, ta osoba umrze w ciągu następnej doby.

Brzydko pachnące wspomnienie zaczęło się krystalizować i Emma natychmiast zrozumiała, co za chwilę powie Ellis. C z a r n y m a z a k p o r u s z a j ą c y s i ę n a ś c i a n i e . I m i ę , i m i ę S a m m y . S z e r o k o o t w a r t e o c z y p r z e r a ż o n e j S h e l l e y . P o s t a ć w o k n i e .

– Ktoś napisał na ścianie imię Sammy – powiedział Ellis.

– Co takiego?! – zdumiała się Molly. – Imię Sammy?! To śmieszne.

Ellis sięgnął do pudełka z dowodami rzeczowymi, wyjął fotografię wykonaną polaroidem i położył ją na stole, żeby ją obejrzały. Przedstawiało imię Sammy napisane przez Emmę na pomazanej ścianie młyna. Emma poczuła mdłości. Co się z nią dzieje?

– To tylko miejska legenda – powiedziała. – Nie ma w tym ani krzty prawdy. Ludzie piszący te nazwiska tak naprawdę nie chcą, żeby ktoś umarł. To tylko głupia dziecięca zabawa.

– Moim zdaniem to chyba czyjś chory żart – rzekła Molly. – Ktoś napisał imię Sammy, gdy zniknęła. Prawdopodobnie nastolatki.

– Mnie również przyszło to do głowy – powiedział Ellis. – Ale ponieważ ktoś tam nocował i znaleźliśmy w pobliżu zabawkę pani córki, musimy to traktować poważnie. Przychodzi wam do głowy, kto mógł to napisać?

– Sammy skończyła dwa lata – odparła Molly. – Nie ma wielu wrogów.

– Poznajecie charakter pisma?

Molly wzięła fotografię, przyglądała jej się przez chwilę, po czym pokręciła głową i rzekła:

– Nie.

W drodze powrotnej do samochodu Molly ogryzała paznokcie. Emma jeszcze nigdy nie widziała, by matka ogryzała paznokcie. Wsiadły do taurusa, lecz Molly nie uruchomiła silnika.

– Po prostu powiedz, dlaczego to zrobiłaś, Emmo.

– Co takiego?

– Powiedz mi, dlaczego to zrobiłaś, i nigdy więcej o tym nie mówmy.

– Mamo, ja nie...

– Myślisz, że nie potrafię poznać pisma własnej córki?

Emma nagle poczuła lodowaty chłód.

– To miał być żart.

– Proszę, nie okłamuj mnie, Emmo. Nie w tej sprawie. Okłamuj mnie, kiedy chcesz, ale nie teraz.

– Byłam na haju – odpowiedziała. – W dniu zniknięcia Sammy poszłam z Shelley na wagary i jadłyśmy w lesie magiczne grzyby.

– Jezu... – Po raz pierwszy od lat Emma słyszała, jak matka wypowiada imię Boga nadaremno.

– Byłam na haju i kręciło mi się w głowie. Właśnie dlatego napisałam imię Sammy. Przepraszam.

Nie była to cała prawda, czyż nie? Kiedy ludzie są na haju, obżerają się chrupkami, oglądają głupie filmy i mówią na przykład: „Jeśli wypijesz wypicie, czemu nie zjesz zjedzenia?”. Nie chcą, żeby ich siostry nigdy się nie urodziły, i na pewno nie życzą im śmierci.

– Powiesz policji?

– Nie.

– Powiesz tacie?

– Wyjaśnij mi, dlaczego nie miałabym tego robić.

Emma się rozplakała.

– Bo złamałoby mu to serce.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się zachowałaś, Emmo – powiedziała Molly. – Co ci dolega? Co się z tobą dzieje?

– A c o t o b i e dolega, mamó? Co się z t o bą dzieje?

– Nie chodzi o mnie.

– Ależ chodzi, to trwa od dawna. Nie wiem, czy masz depresję, czy to kryzys wieku średniego, nie wiem, kiedy wszyscy po cichu zgodziliśmy się nie zwracać na to uwagi, ale się zmieniłaś.

– Nigdy nie szanowałaś mojej wiary.

– To nie ma nic wspólnego z Kościołem Wewnętrznej Światłości, mamó. Chodzi o Sammy. Zmieniłaś się, kiedy się urodziła. Poszłaś do szpitala rodzić, a wróciłaś do domu jako inna kobieta.

Emma czekała, aż matka wpadnie we wściekłość, zacznie cytować Pismo Święte. Spodziewała się awantury, ale do awantury nie doszło. Zamiast tego Molly uruchomiła silnik, włączyła radio i bez słowa pojechała do domu.

MANSON, KENTUCKY

TERAZ

Kiedy wróciłam ze spaceru, Stuart jadł śniadanie w restauracji hotelowej. Czułam się pokonana. Otworzył szeroko oczy na mój widok – prawie nie spałam poprzedniej nocy i musiałam wyglądać strasznie – ale postanowił nie komentować mojego wyglądu i byłam mu za to wdzięczna. Zamiast tego zawołał kelnerkę i zamówił dla mnie kawę.

– Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie babka – powiedział, nie marnując czasu na konwencjonalne zwroty w rodzaju „Dzień dobry” albo „Jak ci się spało?” – Chce cię poznać.

– Okej – odparłam.

– Późnym wieczorem telefonowała również mama – rzekł nieśmiało. – Masz ochotę zobaczyć się z nią dziś sam na sam?

– Nie chcesz przyjść?

– Woli spotkać się z tobą w cztery oczy.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Mogła rozmawiać z Emmą. Trochę się pokłóciliśmy przez telefon. Na początku ona powiedziała mi, że obsesyjnie chcę wszystko kontrolować, a na końcu ja kazałem jej się pieprzyć. – Potarł zaspane oczy. – Miła rodzinna pogawędka, jak się domyślam.

Kiedy kelnerka przyniosła moją kawę, unikałam jej wzroku. Miałam wrażenie, że cały personel hotelu wie o wilgotnym prześcieradle wiszącym w łazience mojego pokoju.

– Zjesz coś? – spytał.

– Nie jestem głodna. Nie czuję się najlepiej.

Tak naprawdę miałam mdłości. „Wkrótce poznam swoją matkę”. Wyobrażałam sobie różne scenariusze. Scenariusz A polegał na łzawym spotkaniu, gdy Molly rzuci mi się na szyję i zawoła: „Moja córeczka wreszcie wróciła do domu!”. W scenariuszu B popatrzy na mnie, uzna, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego, i zatrzaśnie mi drzwi przed nosem.

– Czy na waszym podwórku rosło drzewo owocowe? – spytałam. – W tylnej części podwórka, pod płotem. Może cytryna?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Hm, tak, rosło. Boże, od lat nie myślałem o tej cytrynie. – Uśmiechnął się. – Tata i ja sikaliśmy na nią. Mówił, że owoce są potem większe. Pamiętasz to drzewo?

– Po prostu miałam wczoraj w nocy dziwny sen. Pamiętasz, co mówiłeś w Australii o teorii upływu czasu w zapomnieniu?

Skinął głową.

– Czy istnieje jakiś sposób dotarcia do tych zaginionych wspomnień? Nawet kiedy nic się zerwie?

– Nie wiem, Kim.

Znowu wyobraziłam sobie Sammy Went, dziecko znikąd w głębi mojego umysłu. Siedziała z kolanami pod brodą na cmentarzysku martwych wspomnień. Otaczały ją rzeczy, które mogły kiedyś być ważne, ale dawno uległy zapomnieniu. Szarpała czerwoną nić opasującą ją w talii, pogodzona z myślą, że koniec nici jest luźny.

Stuart otarł usta serwetką, choć prawie nie tknął jedzenia.

– Hej, Kim, czuję, że powinienem cię ostrzec. Mama potrafi być trochę... nerwowa. Czasem zachowuje się nieprzyjemnie i...

Im dłużej mówił, tym bardziej się jąkał. Kojarzył się z bezradnym szczeniakiem, który drapie w drzwi, by wejść do domu przed burzą. Wyciągnęłam rękę nad stołem i dotknęłam jego dłoni – gest, który zupełnie do mnie nie pasuje.

– Co chcesz powiedzieć, Stuart?

Westchnął z ulgą albo rezygnacją: nie potrafiłam się zorientować. Później zeszywniał, położył ręce na stole i elegancko je splótł. Znow zachowywał się jak spokojny, podobny do robota mężczyzna, którego poznałam w Australii.

– Po prostu nie chcę, żeby cię spłoszyła.

Nie chciał mnie stracić. Już raz mnie odnalazł i nie chciał szukać znowu.

Poczułam dziwne *déjà vu*. Prowadziłam już wcześniej tę rozmowę, albo bardzo podobną, ale nie ze Stuartem. Działo się to w domu Amy, gdy paliliśmy razem jointa.

„Nie stracisz mnie”, chciałam powiedzieć Stuartowi, ale wydało mi się bardzo ważne, by najpierw powiedzieć o tym Amy. Wstałam tak szybko, że zakręciło mi się w głowie, jednak na jakiś czas opuściło mnie zdenerwowanie.

– Przepraszam, muszę zatelefonować.

Kiedy dotarłam do wind, zerknęłam za siebie. Stuart siedział przy stoliku, przy którym go zostawiłam, i wpatrywał się w talerz. Wyglądał, jakby zobaczył ducha, i znowu odniosłam wrażenie, że coś ukrywa.

– Kim?

– Cześć, Amy – powiedziałam.

Siedziałam na skraju łóżka hotelowego bez pościeli z komórką mocno przyciśniętą do policzka.

– Próbowaliśmy się z tobą skontaktować. Telefonują do nas dziennikarze. Nie tylko z Australii, również z Ameryki. Policja federalna zadaje miliony pytań i...

– Nie rozmawiałam z tobą – przerwałam. – Nie rozmawiałam z wami. A powinnam to zrobić.

– Masz cholerną rację, że powinnaś! – odparła. Rozpłakała się i ja też się rozpłakałam. Nie płakałam w taki sposób od śmierci matki.

– Czy możesz mi po prostu przebaczyć i znowu być moją przyjaciółką?

– Dobrze – odpowiedziałam.

Po policzku spływały mi łzy i próbowałam mówić spokojnym głosem.

– Mam do ciebie prośbę.

– Tak?

– To wielka prośba – rzekłam. – Amy, przyjedziesz tutaj, do Stanów? Wiem, że to trudne dla Wayne’a i Lisy, ale po prostu... myślę, że nie poradzę sobie bez ciebie.

Pociągnęła nosem, niewątpliwie również próbując nie płakać.

– Właśnie jedziemy na lotnisko, Kim.

– Co takiego?!

– Siedzę w samochodzie z tatą. Postanowiliśmy przyjechać, czy tego chcesz, czy nie.

– Kocham cię, Amy. Deana też.

Ogarnęła mnie trwoga, nagłe, abstrakcyjne uczucie, że nigdy więcej nie zobaczę swojej rodziny.

Dawno temu czytałam artykuł o jasnowidzeniu. Sugerował, że kiedy dochodzi do tragedii, w czasoprzestrzeni rozchodzą się fale energii jak w nieruchomym stawie, do którego wrzucono kamień. Artykuł sugerował, że niektórzy ludzie umieją wyczuć te fale na długo przed samym wydarzeniem. Gdybym w to wierzyła, bardziej bym się martwiła. Jednak nie wierzyłam, więc stłumiłam lęk, pożegnałam się z Amy i poszłam na parking spotkać się ze Stuartem.

Molly Went miała mieszkanie w dzielnicy o nazwie Old Point. Kiedy jechaliśmy samochodem, Stuart wyjaśnił, że matka nigdy nie chciała opuścić starego domu – tego, w którym się wychował i z którego zniknęła Sammy – jednak ojciec nalegał.

– Przypuszczam, że chciał zerwać z przeszłością – powiedział. – Pod względem rozumowym się z nim zgadzam. Niezależnie od tego, czy żyłaś, czy nie, zawsze byłaś w jakiś sposób obecna w tamtym domu. Jednak w głębi serca nigdy im nie wybaczyłem, że go sprzedali.

– Odwiedzasz go niekiedy? – spytałam, przypominając sobie swój spacer Cromdale Street.

– Od czasu do czasu. Obecni właściciele przebudowali podjazd, powiększyli dom, posadzili nowe drzewa i wycięli stare. Stary dom w gruncie rzeczy przestał istnieć.

Zastanawiałam się, czy nie traktuje mnie w podobny sposób. Z biologicznego punktu widzenia byłam jego siostrą, ale ja również uległam kompletnej przebudowie. Zmieniłam się, może nie do poznania.

– Po sprzedaży dość długo śnił mi się ten sam sen. Sammy wraca do domu, ale nikt jej nie wita. Dom jest pusty jak pieczara. Spakowaliśmy rzeczy i wyprowadziliśmy się.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

Dzielnica Old Point okazała się jedną, pokrytą dziurami ulicą z kilkoma światłami ulicznymi wiszącymi nad jezdnią. Wokół było pusto, więc światła wydawały się niepotrzebne. Mijaliśmy wąskie witryny sklepów, stare domy, składnicę odpadów za ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym.

Stuart zatrzymał się przed zwykłym, ładnym blokiem mieszkalnym. Po jednej stronie znajdował się sklep spożywczy i sklep z alkoholem, a po drugiej kaplica metodystów. Wskazał niewielki balkon na pierwszym piętrze.

– To okna mamy. Widzisz, ma własny ogródek.

Na balkonie stało mnóstwo roślin doniczkowych, a do ściany przymocowano hałaśliwe dzwoneczki poruszane przez wiatr i figurę Chrystusa. Był to balkon osoby, która przeprowadziła się do bloku z wolno stojącego domu, ale nie pozbyła się swoich rzeczy. W pobliżu druty telefoniczne zaplątał się czerwony balonik i kołysał się na wietrze niczym zakotwiczona łódź niesiona łagodnym prądem.

– Jej mieszkanie ma numer 2a – powiedział Stuart. – Na domofonie jest nazwisko M. Hiller.

– Hiller?

– To panińskie nazwisko matki.

– Och, rozumiem.

Niewiele wiedziałam o kobiecie, która mnie urodziła, pielęgnowała i kochała – prawdopodobnie – przez pierwsze dwa lata mojego życia.

– Chcesz, żebym czekał przed domem? – spytał Stuart. – Mogę nie wyłączyć silnika. Tak na wszelki wypadek.

Miał to być żart, ale nie wydał mi się zabawny.

– Spotkamy się w hotelu.

– No cóż, powodzenia.

Pochylił się w moją stronę i uścisnął mnie, co mnie zdumiało. Był to naprawdę uścisk, choć sztywny, niezgrabny i krótki.

Stałam przed budynkiem i czekałam, aż samochód dojedzie do końca ulicy i zniknie za rogiem. Później weszłam po schodach, by poznać swoją matkę.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

Tuż po dwunastej w południe samochód policyjny szeryfa pędził autostradą na sygnale. Ellis prowadził, Beecher siedział obok, spoglądając na szosę. Dziewięć minut wcześniej zastępca szeryfa Louis przekazał przez radio najnowsze informacje. Mężczyzna opisany przez Terry Beaumont wrócił do młyna.

- Jak się czujesz, Beech? – spytał Ellis.
- Świetnie. Doskonale. Trochę się denerwuję.
- Pamiętasz, jak się tym posługiwać? – Wskazał pistolet Beechera.
- Już dawno nie byłem na strzelnicy, ale pamiętam, którą stroną celować do sprawcy – odparł zastępca.

„Boże, niech to się wreszcie skończy”, pomyślał Ellis. Ale nawet jeśli nie miało się skończyć, czuł ulgę, że opuścił biuro i robi coś konkretnego.

Wyłączył syrenę, zjechał na pobocze i zatrzymał się obok tablicy z wypłowiałym napisem „*Młyn i centrum turystyczne, 400 metrów*”. Drogę blokowały powalone drzewa i gałęzie naniesione przez powódź. Będą musieli pokonać ostatni odcinek na piechotę.

Ellis i Beecher spokojnie i szybko wysiedli z samochodu, wzięli z tylnego siedzenia kamizelki kuloodporne i włożyli. Kamizelka Beechera była za duża. Jego chude ramiona dyndały wzdłuż ciała i wydawał się młodszy niż kiedykolwiek.

Ruszyli szybko drogą, ale w pobliżu młyna skręcili w las.

Zastępcy Herm i Louis ukryli się w ambonie myśliwskiej około sześćdziesięciu metrów od młyna. Wszyscy przyznawali, że powrót mężczyzny jest mało prawdopodobny, zwłaszcza po publikacji portretu pamięciowego w mediach, jednak Ellis uważał, że gdyby sam zostawił gdzieś mnóstwo dowodów rzeczowych, a potem

zobaczył swoją twarz w telewizji, mógłby być na tyle przestraszony, by wrócić na miejsce przestępstwa.

„Mogę mieć rację”, pomyślał.

– Wyglądacie jak prawdziwi gliniarze – powiedział Herm, gdy Ellis i Beecher dotarli do stanowiska myśliwskiego.

– Jak sytuacja, chłopcy? – spytał Ellis.

– Ciągłe tam jest, szeryfie – odparł Louis, opuszczając lornetkę.

– I pasuje do portretu?

– Białe, ciemne, krótko ostrzyżone włosy, czterdzieści kilka lat. Ma na sobie niebieskie dżinsy i wojskową kurtkę. Nie mogliśmy się dobrze przyjrzeć jego twarzy, ale jest w tej chwili w młynie.

– W Młynie? Nie w centrum turystycznym?

– Nie. Jeśli przyszedł po swoje rzeczy, wygląda na to, że się nie śpieszy.

– Mógł was zauważyć? – spytał Beecher.

– Mało prawdopodobne. Jesteśmy daleko, dobrze zamaskowani. Poza tym wiatr wieje w naszą stronę, więc pierdzenie Louisa nie powinno nas zdradzić.

– To nie moja wina – rzekł Louis. – Diane zaczęła dodawać do jedzenia przypraw. Mają przyspieszać trawienie.

– Śmierdzi, jakby coś ci wlało do tyłka i zdechło – zauważył Herm.

– Ćśś! – szepnął Ellis, wziął lornetkę Herma i skierował w stronę lasu. Wyregulował ostrość, aż zobaczył młyn, który wyglądał jak starożytna świątynia otoczona drzewami i krzewami. Zrujnowany młyn i centrum turystyczne znajdujące się za nim wydawały się zupełnie spokojne. – Widzieliście dziewczynkę?

– Gdybyśmy widzieli, od razu byśmy powiedzieli, szeryfie – odparł Herm. – Co robimy?

– Beech, Herm, idziecie ze mną. Wejdziemy po cichu. Louis, ty zostaniesz na miejscu.

– Och, z powodu pierdzenia?

– Na wypadek gdyby nas minął – odparł Ellis i oddał zastępcy lornetkę. Wyjął z kabury czterdziestkępiątkę, a Beecher zrobił to samo.

Herm przywiózł strzelbę gładkolufową. Wprowadził nabój do komory i uśmiechnął

się.

– Broń gotowa do strzału!

Ellis uniósł brew.

– Przepraszam, zawsze chciałem mieć okazję powiedzieć coś takiego.

W powietrzu wyczuwało się nerwową energię. Podwładni Ellisa byli podekscytowani: kto mógłby ich winić? Właśnie tak wyobrażali sobie pracę w policji, nim do niej wstąpili. Skradali się w stronę wilgotnego, zatechłego pustego budynku, by schwytać naprawdę złego człowieka. Tropili przestępcę.

W innych okolicznościach Ellis również byłby podekscytowany – albo zdenerwowany lub pełen lęku. Ale w tej chwili po prostu czuł zmęczenie, to wszystko. Zasób jego emocji się wyczerpał i chciał tylko, żeby wszystko się skończyło. Marzył o powrocie do papierkowej roboty, łapania kierowców przekraczających prędkość i konfiskowania niewielkich ilości narkotyków.

– Wejdziemy cicho i ostrożnie – powiedział. – Jeśli ten gość porwał Sammy, musi nas do niej zaprowadzić.

Louis splunął.

– Jeśli nas gdzieś zaprowadzi, to co najwyżej do jej zwłok.

– Nie wiemy, czy dziewczynka nie żyje – odparł Ellis. – Strzelajcie tylko w ostateczności, rozumiecie?

– W porządku, szefie – rzekł Beecher.

– Ale nie ryzykujcie, chłopcy.

Ellis ruszył w stronę młyna, ale Beecher go zatrzymał.

– Sekundkę, szeryfie. To zabrzmia cholernie sentymentalnie, ale czy ma pan coś przeciwko temu, żebyśmy najpierw odmówili modlitwę?

Ellis mimo woli się uśmiechnął.

– To na pewno nie zaszkodzi, Beech.

Czterej policjanci pochylili głowy, a Beecher zaczął się modlić:

– Powierzamy Panu misję, która teraz nas czeka. Gdy będziemy przechodzili przez wody, bądź z nami, a gdy przez rzeki, niechaj nas nie zaleją; gdy pójdziemy przez ogień, nie spłonemy... [10](#)

Ellis odmówił własną modlitwę – nie do Boga, ale do Sammy Went, gdziekolwiek

była. „Proszę, nie pozwól, żeby któryś z nas zginął w tym młynie, chociaż sama mogłaś tam zginąć”, pomyślał.

Jak można się było spodziewać, Sammy nie odpowiedziała.

– Amen – rzekli mężczyźni.

Tuż przed pierwszą po południu szeryf Ellis zbliżył się do młyna z zastępcami Beecherem i Hermem. Frontowe drzwi były lekko uchylone. Herm, najwyższy z całej trójki, otworzył je do środka, po czym szybko odstąpił na bok, by Ellis i Beecher mogli wejść. Ellis z początku widział tylko cienie, ale wkrótce dostrzegł połamane drewniane belki i żelazne słupy.

Mężczyźni powoli stąpali nad potłuczonymi butelkami i pustymi puszkami. Nie zauważyli niczego podejrzanego, ale było prawie pewne, że nieznajomy musiał usłyszeć, jak wchodzi. Ellis spodziewał się, że mężczyzna rzuci się do ucieczki i natychmiast zdradzi swoją pozycję. Zamiast tego gdzieś się ukrył. Sugerowało to, że zachował spokój, co przeraziło Ellisa.

Kiedy szeryf wszedł głębiej, szybko zerknął na ścianę pokrytą nazwiskami. Widział ich setki w słabym świetle, ale przeczytał tylko jedno: „Sammy Went”.

Dotarli do stóp schodów. Ellis skinął w stronę zastępców, by dalej przeszukiwali parter. Zamierzał sprawdzić piętro. Beecher zerknął na niego z nerwowym wyrazem twarzy, po czym ruszył w głąb młyna.

Ellis wspiął się po schodach. Na piętrze panował mrok.

Zajrzał za dużą, starą beczkę ze stali i zauważył tylko szczurze odchody. Wspiął się na niską kładkę. W dawnych czasach pracownicy młyna dosypywali z niej zboże do maszyn. Obecnie w każdej chwili groziła zawaleniem, podobnie jak schody, którymi wszedł na górę.

Chociaż kładka znajdowała się zaledwie metr nad podłogą, widział z niej dobrze wnętrze budynku. Nie zauważył nikogo, ale w środku było wiele ciemnych kątów i zakamarków, gdzie mógł się ktoś ukryć.

Ellis minął rząd okien o szybach pokrytych żółtawym brudem i zerknął na zewnątrz. W dole, za gęstwiną dzikiego wina, dostrzegł zastępcę Louisa, który trzymał w rękach strzelbę i wpatrywał się w młyn.

Obszedł piętro i upewnił się, że nikt się tam nie ukrył. Czy mężczyzna zdołał uciec,

czy znajduje się na parterze?

Nagle instynktownie poczuł, że powinien odnaleźć Beechera, który może potrzebować pomocy.

Ruszył z powrotem w stronę schodów. W połowie drogi zauważył na zakurzonej podłodze ślady butów. Był pewny, że wcześniej tędy nie szedł. Włączył latarkę, by je obejrzeć.

„Są świeże – pomyślał. – Bardzo...”

Za jego plecami rozległ się tupot. Odwrócił się i ujrzał mężczyznę pędzącego w jego stronę. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć jego twarz, i Ellis zdążył tylko krzyknąć: „Stać!”, nim mężczyzna się z nim zderzył.

Ellis przewrócił się do tyłu i ciężko runął na podłogę. Wylądował w czymś mokrym. Chciał zacisnąć palce na kolbie czterdziestkapiątki, ale nagle spostrzegł, że nie trzyma broni. Schował ją do kabury, gdy wyjmował latarkę.

„Ten błąd może cię kosztować życie, stary”, pomyślał. Napastnik siedział na nim i mocno ścisnął mu rękami szyję. Ellis próbował uderzyć napastnika latarką, lecz ten wytrącił mu ją z dłoni. Potoczyła się po podłodze i oświetliła spód kładki.

– Zostaw nas w spokoju – wystękał z wysiłkiem mężczyzna. – Dlaczego nie zostawisz nas w...

Ellis próbował odepchnąć głowę mężczyzny, ale był zbyt powolny, zbyt słaby i zbyt zmęczony. Umrze w tym młynie. Umrze w kałuży szczyń z czterdziestkapiątką tkwiącą w cholernej kaburze.

Tracił przytomność – c z y t a k z a c z y n a s i ę ś m i e r ć? – a mężczyzna pochylił się do przodu i przez chwilę słabe światło wpadające przez brudne szyby oświetliło jego oczy. Ellis nie dostrzegł w nich zła. Nie dostrzegł nawet szaleństwa. Zauważył coś, co umiał rozpoznać: strach.

Później przestał widzieć. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, odgłosy szamotaniny stały się odległe. Słyszał tylko własne rżenie i sapanie mężczyzny. Tupot stóp na podłodze. Trzy strzały.

S t r z a ł y!

Mężczyzna rozluźnił uchwyt i Ellis mógł znowu oddychać. Ciało napastnika zwiotczało i osunęło się na bok. Ellis oparł się na łokciach i rozejrzał się, mrugając

i ciężko dysząc. Na szczycie schodów stał zastępca Beecher. W dalszym ciągu trzymał w dłoni uniesiony pistolet.

– Wszystko w porządku, szefie? – spytał cichym, drżącym głosem.

Ellisowi dzwoniło w uszach i prawie nic nie słyszał. Próbował odpowiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Usiłował wstać, ale ugięły się pod nim kolana.

Beecher podszedł, objął Ellisa ramieniem i postawił go na nogi.

– Jest pan ranny, szeryfie?

– Nie wiem – odparł Ellis. – Chyba... chyba nie.

Beecher wyciągnął spod kładki latarkę Ellisa i oświetlił twarz mężczyzny.

MANSON, KENTUCKY

TERAZ

Patrzyłam na domofon. Jeszcze nigdy nie byłam tak zdenerwowana przed naciśnięciem guzika. Krótka – ale na serio – zastanawiałam się, czy nie czmychnąć, po czym zebrałam się na odwagę i zadzwoniłam do mieszkania Molly.

W płaskim, okrągłym głośniku rozległy się trzaski, a później usłyszałam jej głos. Był lekki i wesoły, znowu niezgodny z moimi oczekiwaniami. Nie mówiła jak ktoś obcy, nie była zbyt poufała. Wypowiedziała wyraźnym, pewnym siebie głosem tylko trzy słowa:

– Wejdz na górę.

Rozległo się brzęczenie i szcęknięcie zamka frontowych drzwi budynku. Otworzyłam je, ruszyłam wąskim korytarzem, wsiadłam do windy i pojechałam na pierwsze piętro. Wpatrywałam się w swoje stopy, zmuszając je do ruchu.

Kiedy zbliżałam się do mieszkania Molly, wyszedł z niego barczysty mężczyzna. Miał przeszło sześćdziesiąt pięć lat, ale wyglądał jak Herkules: mógłby wyrwać z ziemi drzewo z korzeniami. Na mój widok na jego twarzy pojawił się czarujący uśmiech.

– Na moje życie... – odezwał się, zamykając drzwi. – Molly powiedziała, że jedzie pani na górę. Nazywam się Dale Creech.

Wyciągnął rękę, a ja ją uścisnęłam.

– Miło mi pana poznać – odparłam – Mam na imię Kim.

– Mówisz z pięknym akcentem – rzekł. – Jak ci się podoba Manson? Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak się czujesz, przyjeżdżając tu po tylu latach.

– Coś w rodzaju emocjonalnej kolejki górskiej – powiedziałam. – To i tak za słabe określenie.

Zerknął do tyłu na drzwi mieszkania Molly. Uśmiech Creecha przybladł, na jego twarzy pojawił się lekko zatroskany wyraz.

– Wiem, że dopiero się poznaliśmy, ale czy mógłbym ci udzielić przyjacielskiej rady?

– Okej.

– Molly przeżywa ciężkie chwile. Zмага się ze sobą, czasem wydaje się, że mogłaby wybuchnąć jak... Daj jej trochę czasu, to wszystko, co chcę powiedzieć. Okaż jej cierpliwość.

Creech był dziś drugą osobą, która ostrzegała mnie przed Molly. Nie uśmierzyło to mojego niepokoju.

– No cóż, miło mi było pana poznać – powiedziałam.

Znowu wymieniliśmy uścisk dłoni. Uśmiechnął się i ruszył w stronę schodów. Oczekałam, aż zniknie, po czym w końcu zapukałam do drzwi.

Otworzyła je stara kobieta o łagodnej, smutnej twarzy. Miała ciasno związane siwe włosy, a jej twarz pokrywały głębokie zmarszczki.

Skończyła sześćdziesiąt lat – policzyłam szybko w myślach – jednak wyglądała znacznie starzej. Najbardziej zaszokowała mnie jej tusza. Rzeczywiście, widziałam fotografie Molly sprzed trzydziestu lat, ale na wszystkich była szczupła – może trochę krągła, lecz na pewno nie gruba. Kobieta, która otworzyła drzwi, wyglądała jak beczka. Gdyby nie twarz, a zwłaszcza oczy, które poznałam z fotografii, pomyślałabym, że pomyliłam drzwi.

– Witaj, Kim – powiedziała. Jej głos był równie miły i sympatyczny jak w głośniku domofonu. – Nazywam się Molly. Miło mi cię poznać.

Ujęła moją dłoń i mocno uściśnęła. Nie oczekiwałam, że przytuli mnie z płaczem, jak zrobiła to Emma, ale czy ta kobieta nie szukała mnie od dwudziestu ośmiu lat? Czy mnie nie opłakiwała? Uścisk jej dłoni wydawał się rozpaczliwie oficjalny.

– Wejdz – powiedziała.

W mieszkaniu Molly, mniejszym niż moje w Australii, stało zbyt wiele mebli. Trzy kanapy, dwa fotele, długi stół jadalny, kredensy i szafy na książki. Na podłodze leżało kilka dywanów, każdy o nieco innym wzorze, więc miałam wrażenie, że stąпам po obrazie z książki *Magiczne oko*. Przypomniało mi się mieszkanie Georgii Evvie

w Australii. Nawiasem mówiąc, Molly również przypominała Georgię.

Dla kontrastu białe ściany mieszkania były nagie, wisiał na nich tylko niewielki drewniany krucyfiks.

– Masz ładny ogród na balkonie – powiedziałam. Z wnętrza mieszkania przypominał dżunglę.

– Mhm, to moja duma i radość. Ty też masz rękę do roślin?

– Nie. – Przypomniałam sobie feerię kolorów w ogrodzie z czasów mojego dzieciństwa – zielen, róż, czerwien, a przede wszystkim fioletowe jasnoty pod oknem mojej sypialni – i o mało nie dodałam: „Jednak moja matka była wspaniałą ogrodniczką, aż trudno w to uwierzyć”. Na szczęście ugryzłam się w język.

– Jak ci się podoba nasze małe miasto? – spytała Molly swobodnym, konwersacyjnym tonem.

– Jest ładne. Naprawdę amerykańskie, choć tak naprawdę nie wiem, co to właściwie znaczy.

Oficjalny ton Molly trochę wytrącił mnie z równowagi. Czułam się, jakbym stąpała po kruchym lodzie. Milczaliśmy dłuższą chwilę.

Nie poprosiła, żebym usiadła, więc stałam w miejscu, niezręcznie przestępując z nogi na nogę. Kiedy w przyległej kuchni zagwizdał czajnik stojący na płycie kuchennej i poszła zaparzyć herbatę, skorzystałam z okazji i zajęłam miejsce na jednej z trzech dużych kanap.

Wróciła z imbrykiem herbaty miętowej o mocnym, świeżym zapachu. Napełniła dwie filiżanki.

– Słyszałam, że poznałaś moją córkę – powiedziała.

– Tak, Emmę. Jest cudowna.

– Stu mówił, że mogłaby zachować się lepiej. Podobno od razu zawiadomiła dziennikarzy.

– Nic nie szkodzi. To znaczy cała ta sprawa... Każdy reaguje inaczej. Ja najpierw zaprzeczałam, a potem wolałam trzymać to w tajemnicy. Emma zareagowała odwrotnie. Mam w Australii młodszą siostrę. Gdyby mi ją odebrano... Boże, sama nie wiem, co bym zrobiła.

– Słowa świadczą o naszej miłości do Boga i o tym, kim jesteśmy.

– Słucham?

– Kiedy wypowiadasz imię Pańskie nadaremno, obrażasz Boga.

– Och, przepraszam – odpowiedziałam. – To chyba jakieś stare przyzwyczajenie.

Wzruszyła ramionami i wypila łyk herbaty.

– Rozmawiałaś z moim byłym mężem?

– Zdaje się, że kontaktował się z nim Stuart.

Molly spojrzała na mnie z krzywym, złośliwym uśmiechem.

– Jack to gej, rozumiesz.

Stężałam, jak to się czasem zdarza, gdy jeden ze starszych krewnych mówi coś rasistowskiego albo homofobicznego.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– To po prostu jeszcze jeden as, którego Stu trzyma w rękawie, jak przypuszczam.

To, że Jack Went jest gejem, było dla mnie nowością, ale jeszcze bardziej zaskoczyła mnie pogarda w głosie Molly. Zastanawiałam się, czy jest zła jako opuszczona żona, czy razi to jej przekonania religijne.

– „Mężczyzna, który obcuje cieleśnie z mężczyzną tak jak z kobietą, popełnia obrzydliwość; obaj poniosą śmierć; krew ich spadnie na nich” ¹¹ – ciągnęła, jakby czytała w moich myślach. – Wiem, że nie jest to poprawne politycznie, ale słucham głosu Boga, to wszystko.

Kiedy myślałam o Molly, nie wyobrażałam sobie matki z serialu *The Brady Bunch*, ale nie stawała mi przed oczami również matka z *Carrie*. Zaczynała mi świtać niewygodna prawda: nie lubię tej kobiety.

Wpatrywała się w filiżankę jak medium wróżące z fusów. Mogła w niej widzieć przeszłość albo przyszłość, ale ani jedno, ani drugie nie robiło na niej wrażenia.

– Posłuchaj, moja droga. Nie wiem, czy będzie to dla ciebie dobra, czy zła wiadomość. Nie wiem, czego tu szukasz, i nie wiem, co tu pozostawiłaś. Sammy od dawna nie żyje i powinniśmy pozwolić jej spoczywać w spokoju.

– Nie rozumiem.

– Nie jesteś moją córką.

Nie odpowiedziałam.

– Ze wstydem przyznaję, że Jack nie jest jedynym grzesznikiem w rodzinie –

ciągnęła. – Próbowałam prowadzić swoje dzieci ku światłu, ale Jack poprowadził je w mrok. Śmierć Sammy zmusiła je do dokonania wyboru: czy pozwolić, aby Boża Światłość pozwoliła im się wznieść nad doczesnością, czy utonąć w rozpacz. Jack wybrał zboczenie i, jak na pewno zauważyłaś, Emma ma problemy z alkoholem. Stu prawie nie pije i, o ile wiem, nie jest pedałem, ale też ma w sobie Szatana.

Odchyliła się do tyłu i postawiła filiżankę na wielkim brzuchu. Przez balkon wpadały poranne promienie słońca i rzucały na jej twarz długie cienie. Uśmiechnęła się do mnie. Przez chwilę kojarzyła mi się z czarownicą z *Jasia i Małgosi*. Nagle wyobraziłam sobie, jak Molly Went z domu Hiller miesza w kotle czarodziejski wywar i wrzuca do niego oko traszki.

– Stu kłamie – ciągnęła. – To grzech. Wobec świata i wobec siebie. Ma w sobie pasję. Jeśli chce, potrafi być czarujący. Umie przekonywać, kiedy mu na tym zależy, i właśnie dlatego chciałam, żebyśmy porozmawiały dziś same. Uwikłał cię w p a j ę c z y n ę k ł a m s t w i przykro mi z tego powodu.

– Proszę posłuchać, wiem, że to trudne – odpowiedziałam. – Na początku reagowałam dokładnie tak samo, ale... Zrozum, ja... – Słowa stały się ciężkie, przypominały obce kształty w moich ustach. Wypowiadałam je i właściwie nic nie znaczyły. – Chodzi o to, że...

– Lepiej milczeć i uchodzić za głupca, moja droga, niż mówić i wyjaśnić wszystkie wątpliwości.

Znowu uśmiechnęła się do mnie jak czarownica.

Nie lubiłam tej kobiety, naprawdę. Carol Leamy, nawet jeśli porywała dzieci, miała serce pełne światła i miłości. Serce Molly wydawało się mroczne. Czy to moje zniknięcie sprawiło, że pojawiła się w nim ciemność? Czy pozostawiłam w nim otwartą ranę, która ropiała i zmieniała się... w to coś?

– Twój syn zbadał moje DNA...

– Mój syn rozpaczliwie chciał wierzyć, że jego siostra ciągle żyje, i zniżył się do fałszerstwa.

– Widziałam wyniki testu. Prawdopodobieństwo wynosiło dziewięćdziesiąt osiem i cztery dziesiąte procent. Rozumiem, że to wypierasz, ale...

– Ach, wyparcie to tylko komunał. Byłam pewna, że nie jesteś moją córką, zanim

przestąpiłaś próg tego domu. Wiesz dlaczego?

„Bo Sammy Went pochowano dawno temu”, pomyślałam, lecz się nie odezwałam. Ogarnęła mnie złość i zaczęły mi drżeć ręce. Gdybym mówiła dalej, mogłabym wybuchnąć płaczem, a kobieta taka jak Molly uznałaby to za objaw słabości. Nie chciałam dać jej tej satysfakcji. Nie chciałam mieć z nią nic wspólnego.

– Wiesz coś o węzach, moja droga?

– Niewiele.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że wydalają bobki?

Zacisnęłam wargi.

– Tak, oczywiście.

– I do tego mnóstwo – powiedziała. – Moja wiara sprawia, że mam kontakt z węzami i ich bobkami. Pastor naszego Kościoła każe nam zbierać bobki węży do małych plastikowych torebek. Domyślasz się dlaczego?

– Zupełnie nie.

– Do pastora przychodzą ludzie, którzy mieli kłopoty z gryzoniami i wypróbowali już wszystko: pułapki, trucizny, koty. Pastor daje im torebkę węzowych bobków, by wysypali je w miejscu, gdzie widzieli mysz albo szczura. I nagle gryzonie znikają. Kiedy mysz poczuje słodkawy, mdlący odór węzowych bobków, myśli, że w pobliżu jest drapieżnik i ucieka. Zabawne jest to, że większość myszy nigdy nie widziała węża, ale instynkt im podpowiada, że zapach węzowych bobków jest niebezpieczny.

Zaczęłam się zastanawiać, czy nie rozmawiam z wariatką.

– Skąd to wiedzą, jak myślisz? – spytała.

– Dzięki instynktowi – odrzekłam.

Molly dotknęła swojego nosa.

– Instynktowi. Pan zaszczepił instynkt w Adamie, który przekazał go ludziom. Instynkt to cząstka Boga, jaką w sobie nosimy. Wiem, że nie jesteś moją córką z tego samego powodu, który sprawia, że szczury wiedzą, że należy unikać zapachu węzowych bobków, rozumiesz?

– Tak, rozumiem.

Uśmiechnęła się.

– Nie jesteś mimo wszystko taka głupia, prawda, moja droga?

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

Jack wracał do domu ze sklepu spożywczego. Pojechał na południe Rennie Street, skręcił w lewo w Barkley Street, w prawo w Cromdale Street, po czym znalazł się przed domem Ecklesa.

Dłuższy czas obserwował okno na piętrze w nadziei, że zobaczy Trávisa, ale było puste. Zatrzymał samochód na parkingu, ruszył przez trawnik i zapukał do frontowych drzwi. Travis wyszedł do niego na werandę, przyjął jego przeprosiny – „należą mu się, Jackie, wiesz o tym, chłopcze” – i stwierdził, że wszystko wraca do normalności. Przynajmniej takiej normalności, jaka panowała poprzednio.

Ale była to inna rzeczywistość. W obecnej ten chłopiec nigdy mu nie przebaczy. Molly nigdy nie będzie go kochać, Buddy Burns jest stary, a Sammy odeszła.

O d e s z ła. Słowo to wgrzyło się w umysł Jacka i nie chciało zniknąć. „Zaginiona”, „porwana”, „uprowadzona” przynajmniej sugerowały możliwość szczęśliwego zakończenia. Były to złe słowa, ale nie ostateczne. O d e s z ła brzmiało wstrętne. Oznaczało, że Sammy nigdy nie wróci.

Kiedy Jack wszedł do kuchni, by zostawić zakupy, Narzeczone Drakuli rozmawiały ze sobą ściszymi głosami. Umilkły na jego widok i miał dojmujące wrażenie, że mówiły o nim.

„No, gadajcie – pomyślał. – Paście się wstrętnymi plotkami, które usłyszałyście w Manson. Paście się, aż was zemdli”.

Siostry Molly nie tylko kochały plotki – pochłaniały je, jakby zależało od tego ich życie. W Arlington w Wirginii przelotny romans sąsiada albo uzależnienie przyjaciółki od środków przeciwbólowych mogłyby zostać uznane za ciekawy temat. To, że siostra

wstąpiła do zielonoświątkowców i zajęła się poskramianiem węży, dostarczyło tematu na długie miesiące. Ale w tej chwili grały w ekstraklasie.

Nienawidził ich i było to łatwe. Terroryzowały Molly i wyrobiły w niej kompleks niższości, co po latach złamało jej psychikę i przygotowało do nawrócenia religijnego. Nie należało o wszystko ich obwiniać, jednak w tej chwili czuł, że są winne.

Ciszę przerwała Pauline.

– Masz ważniejsze zmartwienia niż robienie zakupów – powiedziała. – Zrób listę i zajmie się tym Todd.

Jack lubił robić zakupy. Była to jedyna rzecz, którą mógł samodzielnie wykonać od początku do końca.

– Widziałyście Molly?

– Jest w ogrodzie ze Stu – odparła Tillie. Była wstrętną babą, ale najłatwiejszą do zniesienia wśród Narzeczonych Drakuli. – Masz ochotę na kawę? Wygląda na to, że dobrze by ci zrobiła.

Pokręcił głową.

– Zjadłbyś na kolację klopsiki? – spytała Anne. Była grzeczniejsza od pozostałych siostr, ale miała w sobie cichą wściekłość i pogardę środkowego dziecka.

– Nie jestem głodny, ale dziękuję.

– Nałożę ci na talerz – powiedziała Anne, zerkając na siostry.

Syn Pauline, Todd, siedział w bawialni i oglądał powtórkę serialu *Roseanne*. Pauline zmusiła go do przyjazdu z Wirginii, bo bała się wsiąść do samolotu i nie miała ochoty w samotności prowadzić auta. Jack współczuł chłopcu. Po przyjeździe powiedział zaledwie kilka słów, jego bagaże stały w dalszym ciągu nierozpakowane w pokoju gościnnym na piętrze, przygotowane do szybkiej ucieczki. Kto może go winić? W domu panowała ponura atmosfera i wydawało się, że mają przed sobą wiele mrocznych dni.

„Martwych”, pomyślał ze smutkiem Jack.

Znalazł Molly siedzącą na niskiej drewnianej ławce na podwórku na tyłach domu. Patrzyła na Stu bawiącego się w starej czerwonej piaskownicy, do której nie wchodził od czasu, gdy miał cztery albo pięć lat. Wydawało się, że cofa się w rozwoju. Jack obawiał się, że zacznie gaworzyć jak dziecko albo znowu się moczyć. Nie zachowywał się normalnie, ale sytuacja nie była normalna.

Kiedy Sammy wróci do domu – j e ś l i w r ó c i – trzeba będzie wiele naprawić, bo teraz Wentowie pływają w miejscu.

Usiadł na ławce obok Molly.

– Jakieś wiadomości?

– Nie – odparła. – A ty coś wiesz?

– Nic.

Stu powoli, metodycznie kopał w rogu piaskownicy, jakby odsłaniał skamieniałe kości dinozaura. Jack patrzył na niego, myśląc o pluszowej małpce w lesie, nieznanym mężczyźnie zauważonym w okolicy, imieniu Sammy napisanym na ścianie młyna, o wszystkich pytaniach bez odpowiedzi. Doprowadzały go do furii.

– Dzwoniła twoja matka – powiedziała Molly. – Otworzyła aptekę. Uważa, że powinieneś wylać asystentkę.

– Debbie? – Uśmiechnął się blado. – Jeśli popracuje trochę z matką, prawdopodobnie sama odejdzie.

– Mówiła, że Travis Eckles przyszedł zrealizować receptę. Podobno wygląda koszmarnie. Podbite oczy, pęknięta warga... To ty mu to zrobiłeś, prawda, Jack? –

Delikatnie wzięła go za rękę. – Słyszałam o nim plotki. Zdobywamy miłość Boga, opierając się grzechowi.

Nie odpowiedział. Siedzieli zaledwie kilkanaście centymetrów od siebie, jednak dzieląca ich przestrzeń wydawała się nie do pokonania.

Oczywiście żona zasługuje na to, by znać prawdę, i to od dawna. Ale teraz nie pora o tym mówić. Poza tym od czego miałyby w ogóle zacząć?

– Pamiętasz Boże Narodzenie w... Boże, musiał być siedemdziesiąty piąty albo szósty rok, przed narodzinami Emmy – powiedziała. – Nocowaliśmy w domu moich rodziców na niewygodnej składanej kanapie z metalowym prętem w środku. Pamiętasz?

– Pamiętają moje plecy.

– Moje siostry jak zwykle doprowadzały mnie do szału i tak bardzo mnie... zdenerwowały, że nie mogłam zasnąć. Musiałam stale się wiercić, bo o drugiej albo trzeciej nad ranem obudziłeś mnie i spytałeś, co się dzieje. Zaczęłam się wściekać na Tillie, Pauline i Anne, a może na wszystkie trzy; w końcu oznajmiłam, że chciałabym wstać i odjechać. Spędzić Boże Narodzenie z tobą. Tylko we dwoje. Pamiętasz, co

powiedziałeś?

Uśmiechnął się.

– Powiedziałem: „Okej”.

Molly uścisnęła dłoń męża.

– I tak zrobiliśmy. Wyślizgnęliśmy się z domu, spakowaliśmy rzeczy i odjechaliśmy, nie zostawiając nawet listu. Jechaliśmy pół nocy i w końcu wylądowaliśmy w tym brudnym motelu.

– Pod Błękitnym Delfinem.

– Pamiętasz nazwę?

– Doskonale pamiętam tamten wczesny okres – odparł. – Dni, gdy byliśmy naprawdę razem.

Popatrzyła na niego ze smutkiem. Miała podobny wyraz twarzy co Travis w piątek wieczorem, nim Jack uderzył go pięścią w twarz. Zaczynał czuć, że cały świat wie coś, o czym on sam nie ma pojęcia.

– Zagubiliśmy się, prawda? – powiedziała. Oparła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy. Jej gest go rozbroił; gdyby przestał się kontrolować, mógłby się rozpłakać. – Co, do licha, się z nami stało?

„Ty znalazłaś Kościół, a ja Trávisa”, pomyślał. Te odkrycia nas obudziły.

– Molly, muszę ci coś powiedzieć... – zaczął.

– Gdzie jest Stu?! – Oderwała głowę od ramienia Jacka i zerwała się z ławki. – Stu zniknął! Stu! Stu!

Piaskownica była pusta. Widzieli tylko małą plastikową łopatkę i kopczyk piasku.

– Zamknęłam oczy tylko na pół minuty. Ja... Stu! STU!

– Uspokój się, Molly. Musi być...

Ale biegła już pędem w stronę piaskownicy. Jej bosc stopy kłapały na betonowej ścieżce prowadzącej na podwórko.

– STU!

Po kilku sekundach chłopiec wyszedł zza pnia dużego drzewa cytryny rosnącego w ogrodzie. Zapinał rozporek.

– Tu jestem, mamó.

Upadła na kolana i chwyciła go za ramiona.

– Dokąd poszedłeś?! Gdzie się schowałeś?! Nie rób tego, Stu! Nie chowaj się przede mną, słyszysz?!

– Podlewałem cytrynę – odparł. – Owoce rosną wtedy szybciej, prawda, tato?

Stu zachichotał i Jack obawiał się przez chwilę, że Molly go uderzy. Zamiast tego mocno go przytuliła.

– Nie rób tego mamie. Przestraszyłeś mnie.

– Przepraszam. – On też się rozplakał.

– No już, już... – powiedziała. – Spokojnie...

Jack patrzył, jak żona przez długi czas obejmuje syna pod cytryną. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Jack wszedł do domu i zajrzał do holu. W drzwiach frontowych stał szeryf Ellis. Spoglądały na niego łakomie Narzeczone Drakuli.

Posadził Ellisa w fotelu przy oknie i zamknął drzwi salonu. Molly i Emma zajęły miejsca na kanapie naprzeciwko szeryfa. Przed rozpoczęciem rozmowy do pokoju weszła Tillie z czterema szklankami mrożonej herbaty, stała chwilę, po czym z ociąganiem wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– O co chodzi, szeryfie? – spytała Molly. – Są jakieś wiadomości?

Odchrząknął i zerknął na Emmę, która zbladła.

– Może to zbyt przykra sprawa dla młodych uszu.

– Może zostać – powiedział Jack. Później zwrócił się do córki: – Jeśli chcesz.

Emma skinęła głową. Jack usiadł obok i objął ją ramieniem.

– Doszło dziś do incydentu – rzekł Ellis, wypiwszy łyk mrożonej herbaty. – Chciałem, żeby państwo dowiedzieli się o nim ode mnie. Mężczyzna z naszego portretu pamięciowego wrócił do młyna. Moi zastępcy dokładnie obserwowali to miejsce.

– Była z nim Sammy? – spytała Molly. Wyprostowała się niespokojnie.

Ellis pokręcił głową.

– Niestety nie. Zbliżyliśmy się do niego i doszło do... szamotaniny.

– Szamotaniny?

– Zaatakował mnie – wyjaśnił szeryf. – Kiedy wchodziłem, mogli państwo zauważyć, że kuleję. To dlatego, że uderzył mnie kilka razy, nim zdołaliśmy go... opanować.

– Co mówi? To on? Czy to on porwał Sammy?

– Nie mogliśmy go przesłuchać – powiedział Ellis. Spojrzał na Emmę, Molly, Jacka, a później na swoje stopy. – Został zastrzelony w czasie walki.

Molly jęknęła.

– Kto to był? – spytał Jack. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. – Może zostawił Sammy u przyjaciela albo krewnego? – Czuł wściekłość. Jeśli tajemniczy mężczyzna naprawdę porwał Sammy, po jego śmierci nie było żadnych szans na jej odnalezienie. Łatwo byłoby wyładować złość na Ellisie, oskarżyć go o schrzanienie śledztwa. Jack poczułby się lepiej. Ale nie byłoby to sprawiedliwe. Starszy mężczyzna w spłowiałym brązowym mundurze starał się z całych sił. Nikt w Manson nie był przygotowany na to, co się stało.

– W tej chwili usiłujemy potwierdzić jego tożsamość – powiedział Ellis. – Kiedy telewizja opublikowała portret pamięciowy, otrzymaliśmy dużo informacji. Jedną z nich przekazała pielęgniarka psychiatryczna z Redwater. Uważa, że może to być jeden z pacjentów ambulatoryjnych. Weteran wojenny John Regler.

– Uważa?! – spytał Jack. – To on czy nie?

– Zwróciliśmy się do jednostki wojskowej i spodziewamy się rano faksu z fotografią i danymi Reglera. Instynkt mi podpowiada, że to on. Pielęgniarka chciała się z nim skontaktować, bo nie pojawił się w poradni i zaczęła się o niego martwić. Wygląda na to, że Regler był nieźle popaprany.

– Popaprany?

– Cierpiał na zespół stresu pourazowego. Poza tym chorował na schizofrenię.

– Jezu! – powiedział Jack.

Emma wybuchła płaczem. Jack i Molly podeszli do niej.

– Czy to z powodu imienia? – spytała, łkając. – Czy przeczytał imię Sammy na ścianie młyna? Dlatego to zrobił?! Jeśli był szalony, mógł przeczytać imię i...

– Oczywiście, że nie – przerwała Molly. W napięciu spojrzała na Emmę nieprzenikniętym wzrokiem.

– Nie – odezwał się Ellis – Jeśli to był naprawdę John Regler, mamy powody przypuszczać, że nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Sammy.

– Co takiego?! – Jack był wstrząśnięty.

– Dokładnie sprawdzamy dokumentację szpitalną, ale uważamy, że trzeciego kwietnia, w dniu zniknięcia Sammy, John Regler uczestniczył w zajęciach grupy wsparcia.

Emma westchnęła z ulgą i przytuliła się do Jacka, który mocno ją objął.

– Przykro mi, że nie są to lepsze wiadomości – powiedział Ellis. Postawił na stoliku do kawy szklanę mrożonej herbaty i wstał. Kiedy wchodził do domu, Jack nie zauważył, że szeryf kuleje, lecz spostrzegł to teraz. – Jack, miałbyś coś przeciwko temu, by mnie odprowadzić?

– Musimy porozmawiać o Travisie Ecklesie – powiedział Ellis, gdy dotarli do samochodu patrolowego, dostatecznie daleko od domu, by nawet Narzeczone Drakuli nic nie usłyszały.

Jack poczuł mieszaninę gniewu, strachu i wstydu. Czy Travis mimo wszystko rozmawiał z Ellisem? Co mu powiedział?

– W piątek wieczorem został pobity na parkingu przed Barem Cubby przez trzech zamaskowanych mężczyzn niewiadomej rasy.

Jack milczał.

– Napad w Manson. Wierzysz w to?

– Miasto się zmienia – odparł Jack.

– Ale jest jeszcze coś: niejaki Joe Holt opowiedział policji z Coleman o bójce na tym samym parkingu, której był świadkiem tego samego wieczoru. Stwierdził, to cytat: „Ojciec zaginionej dziewczynki stłukł na kwaśne jabłko chłopaka, który ją porwał”.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Posłuchaj, Jack. Masz poranione knykcie, ale przyjmę za dobrą monetę każde twoje wyjaśnienie. Travis nie złożył oficjalnej skargi, a Jo Holt wypił tamtego wieczoru sporo whisky. Chcę tylko, żebyś mi pomógł.

– Jak?

– Powiedz mi, co wiesz. Jesteś inteligentnym facetem. Jednym z najinteligentniejszych, jakich znam. Trudno mi uwierzyć, że pobiliś chłopaka na podstawie plotek, a tylko one wiążą Trávisa ze zniknięciem Sammy. Czy wiesz coś, czego ja nie wiem?

- Już powiedziałem: nie mam pojęcia, o czym gadał ten Holt.
- Ellis wydawał się urażony i przez chwilę Jack głęboko mu współczuł.
- W porządku, Jack.

Went poszedł do sypialni, wstrząśnięty i zdesperowany, i zamknął za sobą drzwi. Na skraju nocnego stolika Molly wisiała jej torebka. Chwycił ją, odwrócił do góry nogami i wysypał zawartość na łóżko. Portmonetka, trochę drobnych, podpaska, kieszonkowa Biblia i...

„Bingo”, pomyślał, gdy zauważył notes z telefonami. Otworzył go na literze B i znalazł numer Buddy’ego Burnsa. Podniósł słuchawkę telefonu stojącego przy łóżku i wykręcił numer.

Po drugim sygnale usłyszał głos małej dziewczynki:

- Halo, słucham?
 - Dzień dobry. Czy tata jest w domu?
 - Tak, proszę pana. Wolno spytać, kto mówi? – spytała słodkim głosem.
- Wyobraził sobie typowe dziecko zielonoświątkowców: ładną dziewczynkę w sweterku z długimi rękawami i spódnicy sięgającej prawie do ziemi, z włosami splecionymi w warkoczyki i czystymi, ładnymi paznokciami.

– Jack Went.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Jest pan mężem Molly.
 - To prawda – odpowiedział. – Znasz Molly?
 - Tak, proszę pana, z Kościoła. Czy Sammy wróciła już do domu?
- To zaboląo.
- Nie, jeszcze nie.
 - Wszyscy się modlimy, żeby szybko wróciła do domu. Modlimy się, żeby nie była to kara Boga, niechaj będzie pochwalone Jego imię.
 - Kara? Za co?
 - Za to, że Molly dzieli łóżko z niedowiarkiem.

„To biedne dziecko nie ma żadnych szans”, pomyślał ze smutkiem Jack. Chciał ostro jej odpowiedzieć – tak naprawdę miał ochotę uderzyć ją w twarz – lecz zamiast tego

rzekł:

– Pobiegnij i zawołaj tatę, dobrze?

Spełniła prośbę. Cisza w słuchawce nie trwała dłużej niż trzydzieści sekund, jednak w tym czasie Jack oglądał mroczną otchłań. A jeśli dziewczynka ma rację? A jeśli Bóg – Bóg, który był częścią jego dzieciństwa i w którego szczerze wierzył do czasu, gdy stał się nastolatkiem – postanowił go ukarać? Nie za utratę wiary, ale z powodu tego, co Jack robił z Travisem Ecklesem, Buddym Burnsem oraz kilkoma anonimowymi mężczyznami z Coleman i okręgu Harlan?

Czy Bóg nie zabił pierworodnych Egipcjan, bo faraon był uparty? Czy nie zabił syna Dawida, by go ukarać za cudzołóstwo z Batszebą? Czy nie wysłał niedźwiedzi, by rozszarpały dzieci naśmiewające się z proroka Elizeusza?

„Księga Nahuma, rozdział pierwszy, werset trzeci”, pomyślał Jack. „Pan jest cierpliwy i pełen łaski, lecz na pewno sprawi, że winny nie ujdzie bezkarnie. Jego droga w burzy i wichrze, a chmura jest prochem pod jego nogami” [12](#).

W słuchawce rozległ się głos Buddy’ego.

– Jack?

– Cześć, Buddy. Przepraszam, że dzwonię tak nagle.

– Nie, nie, wszystko w porządku. Miło cię słyszeć. Jakieś wiadomości o Sammy?

– Jak dotąd żadnych – odparł Jack. – Posłuchaj, Buddy, któregoś dnia przechodziłeś koło mojego domu i chciałeś mi coś powiedzieć, pamiętasz?

Buddy umilkł i Jack wyobraził go sobie stojącego przy telefonie. Może obracał w dłoniach kapelusz, może mrugał nerwowo jak przed ich pocałunkami – jednak Jackowi stanął przed oczami nie obecny Buddy, tylko ten z dawnych czasów. Szczupły, z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi i mocnymi, opiekuńczymi ramionami. Nie był przystojny, ale dobrze wyglądał: miał w sobie coś delikatnego, a zarazem męskiego.

– Tak, Jack, pamiętam.

– Co chciałeś mi powiedzieć? Wydawało mi się, że coś ważnego. Wyczułem, że nie chciałeś nic mówić przy mojej matce.

Buddy odetchnął głęboko i zwrócił się do córki, która prawdopodobnie kręciła się gdzieś w pobliżu:

– Hej, kochanie, mogłabyś iść na chwilę do swojej sypialni na piętrze, dobrze? Nie

patrz tak na mnie. No już, biegnij... Ciągle tam jesteś, Jack?

– Jestem.

– Wolałbym nie rozmawiać o tym przez telefon.

– Mógłbyś się ze mną spotkać?

– Nie wiem, Jack.

– Proszę.

– Gdzie?

– W dawnym miejscu?

Buddy milczał, może przerażony falą wspomnień. Jack zastanawiał się, czy budzą w nim niesmak, czy go podniecają.

– Mogę przyjechać za godzinę – rzekł w końcu Buddy.

Kiedy Buddy dotarł swoim fordem bronco na parking nad jeziorem, zapadał już zmrok. Jack siedział w jedynym wozie stojącym na parkingu, ale Buddy zatrzymał się na drugim końcu, w odległości dziesięciu metrów. Jack patrzył, jak wysiada i idzie w jego stronę, kołysząc się jak kaczką. Buddy włożył na głowę swój przeklęty kapelusz, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił.

– Właściwie rzuciłem palenie ponad dziesięć lat temu, ale po drodze kupiłem paczkę na stacji Gas & Go – powiedział.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać, Buddy.

Buddy zaciągnął się głęboko i popatrzył na jezioro.

Poszli do niskiego kamiennego murku i usiedli obok siebie, odwróceny plecami do jeziora. Od strony wody wiał chłodny wiatr niosący lekki zapach ryb i śmieci. Był to ten sam parking, na którym Jack spotykał się z Travisem, by uprawiać seks, ten sam parking, gdzie przed wielu laty namawiał Buddy'ego, żeby wyjechał z nim z Manson.

– Kiedy ostatnio się tu spotkaliśmy, kazałeś mi dokonać wyboru – powiedział Buddy. Mówił poważnym, nostalgicznym tonem, jakby stali na peronie kolejowym i żegnali się na zawsze. – Kazałeś mi wybrać między Kościołem a... cóż, tobą.

– Nie tak to zapamiętałem, Buddy.

– Tak właśnie było, Jack. – Załamał mu się głos i na chwilę pojawił się dawny Buddy Burns, którego Jack kiedyś kochał.

„Możemy razem wyjechać – powiedział Jack. – Ruszymy na południe i zaczniemy wszystko od początku, będziemy czcić Boga we własny sposób”.

Tamtego wieczoru, zanim Jack wrócił sam do miasta, co wymagało przejścia dziesięciu kilometrów na piechotę, popatrzył na jezioro i pomyślał, że miałby ochotę popłynąć na środek i utonąć.

– Nie uważałem tego za ultimatum – rzekł.

– Ale wiedziałeś, co to znaczy. Obaj wiedzieliśmy. To, co robiliśmy... co zrobiliśmy...

– Co masz na myśli?

– Było wbrew woli Boga.

„Pan na pewno sprawi, że winny nie ujdzie bezkarnie”, pomyślał Jack.

– Nie chcę się z tobą sprzeczać, Buddy. Nie mam siły.

– Chcę powiedzieć, że wtedy wybrałem Kościół Wewnętrznej Światłości i podtrzymuję tę decyzję, na dobre i na złe. To, że tu przyjechałem, to, co ci chcę powiedzieć... może wszystko zniszczyć. Wszystko, na czym zbudowałem swoje życie.

– O czym ty mówisz, Buddy?

– Tym razem wybieram c i e b i e. – Zaciągnął się głęboko dymem, zgasił papierosa na murku i wsunął niedopałek do kieszeni na piersi. – Nadchodzą mroczne dni, zapamiętaj moje słowa.

– Mówisz o Sammy, prawda? – Jackowi płonęła twarz, niecierpliwił się. Buddy przeciągał rozmowę, a Jacka ogarniał coraz większy niepokój. Burczało mu w brzuchu ze zdenerwowania.

– To się zdarzyło po ostatnim nabożeństwie uzdrawiającym – zaczął Buddy. – Wiem, że już dawno nie byłeś na nabożeństwie, ale na pewno pamiętasz, jak wyglądają nabożeństwa uzdrawiające.

– Wszyscy skaczą – powiedział Jack.

Kościół Wewnętrznej Światłości organizował nabożeństwa uzdrawiające cztery razy do roku. Gromadziły się na nich tłumy wiernych, którzy modlili się o wyleczenie chorób – raka, rozedmy płuc, stwardnienia rozsianego, demencji, depresji i wszelkich innych dolegliwości. Pastor, za czasów Jacka Roy Creech, chodził między ławkami i prosił Boga, by wskazał, kogo uleczyć. Trzymał w rękach kilka grzechotników, mówił

obcymi językami, czasem kładł dłoń na czole jednego z wiernych i rozkazywał Szatanowi opuścić jego ciało.

Niekiedy siła sugestii sprawiała, że parkinsonik wstawał z wózka inwalidzkiego, a ślepy starzec cierpiący na zaćmę oznajmiał, że znowu widzi. Jednak sugestia nie działała w przypadku raka ani wrodzonych chorób krwi i wad genetycznych. Bóg postanawiał, że ludzie cierpiący na te choroby mają pozostać chorzy.

– Kolejka ludzi czekających na uzdrowienie ciągnęła się aż na parking – powiedział Buddy. – Była tam też twoja żona, Molly.

– Molly? Kiedy?

– Kilka miesięcy temu. Chyba pod koniec marca.

– Była chora? Nic nie rozumiem. – Jack podejrzewał, że Molly mogłaby prosić Boga o uzdrowienie, zamiast zwrócić się do męża – nawiasem mówiąc, cholernie dobrego aptekarza – ale nie przypominał sobie, by chorowała, nie licząc okazjonalnych przeziębień.

– Najpierw Creech podszedł do kilku wiernych – ciągnął Buddy. – Shermana Harcourta chorego na cukrzycę, Helen Mitchel, której syn wyjechał do San Francisco i uzależnił się od heroiny. Później podszedł do Molly.

– Powiedziała, że co jej dolega? – spytał Jack. – Wiem, że w czasie Bożego Narodzenia kilka razy miała migrenę, ale...

– Nie chodziło o migrenę.

Jacka ogarnęło dziwne uczucie. Chciał, żeby Buddy szybko skończył opowieść, ale pragnął również, by się zamknął i nic więcej nie mówił. Intuicja podpowiadała mu, że wolałby nic nie wiedzieć.

Słońce skryło się za horyzontem i twarz Buddy'ego znajdowała się w półmroku.

– Wielebny Creech spytał twoją żonę, z czego Bóg ma ją uleczyć. Odpowiedziała, że wstąpił w nią Szatan.

– Dlaczego tak uważała?

– Czowała jego wpływ, Jack. Czowała, jak ją szarpie, szepce do ucha. Mówiła, że musiał w nią wstąpić Szatan, bo jak inaczej wytłumaczyć to, co czuje do swojej córeczki?

– Sammy?! Miała na myśli Sammy?!

Buddy skinął głową.

– Molly jej nie kochała, Jack. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, Jack, ale stanęła przed Creechem, wiernymi i samym Panem Bogiem, a potem się do tego przyznała.

Jack myślał o słowach Buddy'ego i przypomniał sobie, że po narodzinach Sammy rzeczywiście zauważył w Molly jakąś zmianę. Ale czy wszystko nie zaczęło się psuć wcześniej?

– Wstydziła się – ciągnął Buddy. – Bardzo się wstydziła. Padła na kolana i błagała, by Creech jej pomógł, błagała, by natychmiast rozpoczął egzorcyzmy. Rozpaczliwie pragnęła kochać Sammy. Chcę to powiedzieć wyraźnie, Jack. Może nie potrafiła jej kochać, ale chciała...

– Jezu Chryste! – odezwał się Jack. Buddy się zachnął. – Szatan nie ma z tym nic wspólnego. Dlaczego nie poszła do lekarza?! Dlaczego nie porozmawiała ze mną?!

Po chwili przypomniał sobie, jak siedział obok Molly przy łóżku szpitalnym, trzymając na rękach nowo narodzoną Sammy. Molly mówiła... co? Coś o tym, że nie czuje się dobrze, że tym razem jest inaczej niż po narodzinach Emmy i Stu... o tym, że... „Powiedziała ci – pomyślał. – A przynajmniej próbowała. I co zrobiłeś? Uciszyłeś ją, oświadczyłeś, że to prawdopodobnie ta przeklęta petydyna”.

– Co powiedział Creech? – spytał Jack, wyobrażając sobie, jak pastor kładzie Biblię na czole Molly i wzywa Chrystusa, by wypędził z niej Szatana.

– Wtedy nic – odparł Buddy. – Minał ją i zajął się artretyzmem Dolly Base. Ale później, po zakończeniu nabożeństwa, kiedy kilka osób zostało, żeby pozamiatać, słyszałem, jak rozmawiał z Molly.

Umilkł. Zdjął kapelusz i obracał go w dłoniach. Jack miał ochotę cisnąć ten przeklęty kapelusz do jeziora.

– O czym rozmawiali?

– Gdyby ktoś się dowiedział, że ci o tym mówiłem...

– Och, na litość boską, Buddy!

– Zwróciliby się przeciwko mnie, zapamiętaj moje słowa.

– Co powiedział Creech? – Zdenerwowanie Jacka zmieniło się w furję, podobną do tej, którą czuł wieczorem przed Barem Cubby.

– Powiedział, że w Molly nie wstąpił Szatan... – zaczął Buddy.

- Cóż, to dobrze, prawda?
- Pozwól mi skończyć. Creech powiedział, że to, co Molly uważa za podszepty Szatana, to w gruncie rzeczy jej intuicja.
- Intuicja? Nie rozumiem.
- Powiedział, że Szatan nie wstąpił w Molly, ale prawdopodobnie w Sammy.

MANSON, KENTUCKY

TERAZ

Wyszłam z mieszkania Molly i ruszyłam w stronę hotelu. Spuściłam głowę, mój umysł przypominał szklankę przepełnioną wodą. Po spotkaniu ze Stuartem w Australii, po rozmowie z Deanem o mojej matce, po wizycie u Emmy, po przybyciu do Manson szklanka coraz bardziej wypełniała się wodą i nie miałam jeszcze okazji jej opróżnić. Po poznaniu Molly miałam wrażenie, że lada chwila pęknie.

Znajdowałam się zaledwie pięć metrów od domu Molly, gdy zobaczyłam nadjeżdżający samochód. Kierowca zatrąbił, zwolnił, otworzył okno się i ukazała się w nim jego szeroko uśmiechnięta twarz. Zbliżał się do pięćdziesiątki, miał gęstą, rudą brodę i nosił kolorową koszulę. Zatrzymał auto.

- Dzień dobry pani!
 - Witam.
 - Nazywa się pani Kimberly Leamy, prawda?
 - Kim – odpowiedziałam ostrożnie.
 - Detektyw Mark Burkhart – przedstawił się. Wyjął odznakę i pokazał mi ją. – Mogę postawić pani kawę, Kim?
 - Jak pan mnie znalazł?
 - No cóż, jestem policjantem, a Manson to nie Nowy Jork.
- Widziałam, że nie mam większego wyboru, więc wsiadłam do samochodu.
- Odetchnęła pani świeżym powietrzem? – spytał, gdy jechaliśmy przez miasto.
 - I to kilka razy – odpowiedziałam. I zawsze coś wciągało mnie pod powierzchnię, pomyślałam.
 - Wspinaliśmy się tam jako dzieci – rzekł, wskazując wieżę ciśnień widoczną na tle

nieba. – Było to zabronione, cała zabawa polegała na oczekiwaniu na zachód słońca i wypatrywaniu policji. W tamtych czasach nie musieliśmy oczywiście się zмагаć z tymi brzydkimi ogrodzeniami. – Wskazał cztery rzędy zwojów drutu kolczastego otaczające każdą z nóg wieży. – Postawili zapory w osiemdziesiątym szóstym roku, kiedy Daryl Wixey spadł z drabiny z połowy wysokości wieży. Złamał sobie kręgosłup w dwóch miejscach. Prawdopodobnie by zginął, gdyby nie upadł na plecy, a udało mu się to tylko dlatego, że wcześniej wypił butelkę wódki.

Burkhart przejechał Main Street i skręcił na parking policyjny przed biurem szeryfa.

– Upadek Daryla z wieży był chyba największym wydarzeniem w Manson, gdy dorastałem. To znaczy aż do zniknięcia Sammy Went.

Kawa w biurze szeryfa Manson była zdumiewająco pyszna. Spodziewałam się czarnej, cuchnącej lury z automatu, ale Burkhart przygotował dwie kawy cappuccino z gigantycznego srebrnego ekspresu. Nie brakowało również śmietanki.

Siedzieliśmy w pokoju socjalnym biura. Miałam za plecami rząd automatów z kanapkami, a Burkhart tablicę ogłoszeń, na której nie wisały listy gończe, jak można było oczekiwać, tylko ulotki fast foodów, kalendarz ze zdjęciami z *Gry o tron* oraz plakat motywacyjny, na którym znajdował się napis: „Nie zrób głupstwa, które będzie miało trwałe skutki, gdy jesteś chwilowo zdenerwowany”, wydrukowany literami w różnych odcieniach czerwieni i granatu.

Burkhart wyjął z kieszeni na piersi niewielki dyktafon i postawił go między nami na stole.

– Ma pani coś przeciwko temu?

– W porządku.

Nacisnął czerwony guzik i dyktafon wydał cichy pisk.

– Gotowe.

Zacząłam od początku. Siedząc przed dyktafonem, opowiedziałam detektywowi o Carol Leamy, Deanie, siostrze i dzieciństwie. Nie było w tym żadnych ukrytych tropów ani tajemnic, ale Burkhart zdawał się nie przejmować. Parzył na mnie w milczeniu, cierpliwie; odzywał się tylko po to, by zachęcić mnie do mówienia albo posłać zastępcę po coś do jedzenia.

Kiedy opowiadałam o swojej rodzinie w Australii, poczułam tęsknotę za matką. Nie

mogłam się doczekać, aż zobaczę Amy i Deana, jednak tak naprawdę chciałabym spędzić pięć minut z Carol Leamy. Związane z nią wspomnienia stawały się coraz bardziej podejrzane. Czy nieustannie oglądała się za siebie, gdy chodziłam z nią w dzieciństwie po sprawunki przed Bożym Narodzeniem? Czy w czasie całodziennych wycieczek na plażę rozglądała się za policją? Kiedy zmieniła kolor włosów na blond, czy kierowała nią próżność, czy chęć zmiany wyglądu?

– I co teraz? – spytałam, doszedłszy do końca opowieści.

– Przesłucham Jacka Wenta, Stuarta, Emmę, Molly, wszystkich. Również pani siostrę i ojczyma. Poprosimy o to policję w Australii.

– Może się to okazać niepotrzebne. Przylatują do Stanów.

– Jeszcze lepiej – rzekł Burkhart. – Nasz cel to ustalenie chronologii wydarzeń, poczynając od pani zniknięcia. Będziemy chcieli przeprowadzić własne badania DNA. Na pewno pani rozumie.

– Oczywiście.

– Poprosimy lokalne stacje telewizyjne o opublikowanie kilku zdjęć Carol Leamy i zobaczymy, czy ktoś ją rozpozna z dawnych czasów... – Odchylił się do tyłu i pogładził po brodzie. – Jaka właściwie była?

– Nie wydawała się porywaczką, jeśli o to pan pyta.

– Myśli pani, że ktoś jej pomagał?

Nie odpowiedziałam.

W niewielkim pomieszczeniu rozlegał się cichy warkot automatów z kanapkami i na chwilę znalazłam się znowu w swoim mieszkaniu w Australii: słyszałam cichy warkot lodówki i szum ładowarki laptopa na biurku w rogu pokoju. Dom wydawał się odległy w czasie i przestrzeni; zastanawiałam się, czy kiedykolwiek tam wrócę. Było to dziwne, abstrakcyjne uczucie, podobne do tego, którego doświadczyłam podczas ostatniej rozmowy z Amy. Nawet więcej niż nieprzyjemne uczucie – bardziej przypominało pewność.

– Proszę mówić – rzekł Burkhart. – Każdy ma jakąś teorię. Pani na pewno też.

– Słyszał pan kiedyś o dzieciach Hicksa? – spytałam.

Pokręcił przecząco głową.

– W latach sześćdziesiątych lekarz o nazwisku Hicks – mieszkający, zdaje się,

w Ohio – kupował dzieci od ubogich matek i sprzedawał parom, które z różnych powodów nie mogły mieć własnych dzieci. Fałszował nawet akty urodzenia.

– Czarny rynek adopcyjny – odparł z niedowierzaniem. – Więc przypuszcza pani, że porywacz sprzedał panią Carol Leamy, która wychowała panią w Australii?

Wzruszyłam ramionami.

– Teoria równie dobra jak każda inna – powiedziałam.

Była to również jedyna teoria, która oczyszczała z winy Carol, przynajmniej częściowo. Kupienie niechcianego dziecka wydaje się bardziej wybaczone niż porwanie dziecka kochanego przez rodziców.

– A pan? – spytałam Burkharda. – Powiedział pan, że każdy ma jakąś teorię na temat tego, co się wydarzyło tamtego dnia. Jaka jest pańska?

Zmarszczył brwi i zaczął lekko bębnić palcami w blat stołu.

– Po prostu wykonuję swoją robotę.

– Pamięta pan okres, kiedy to się wydarzyło?

– O tak – odpowiedział. – Po osiągnięciu pełnoletności przeprowadziłem się do Coleman, ale wychowałem się w Manson. W chwili zniknięcia Sammy miałem siedemnaście lat. Ciągle mieszkalem z rodzicami w dzielnicy Old Commons. Wszyscy kogoś podejrzewali i każdy wydawał się podejrzany.

– Na przykład kto?

– Cóż, na przykład Molly. Prawdopodobnie również Jack. W takich sprawach wszyscy podejrzewają rodziców. Wspominano o Travisie Ecklesie, który pochodził z rodziny mającej konflikty z prawem i mieszkał w pobliżu. I Dale’u Creechu, pastora Kościoła Wewnętrznej Światłości.

– Dale’u Creechu? Niedawno go poznałam. Wydawał się... miły.

Burkhard się roześmiał.

– Miły i dziwny. Jak wszyscy zielonoświątkowcy. Trzeba być naprawdę dziwnym człowiekiem, żeby brać do rąk jadowite węże i spodziewać się, że Bóg nas ochroni, prawda?

Pomyślałam o Molly.

– Była to tylko plotka. Jedna z wielu. Ludzie z góry zakładają, że duchowni są zainteresowani małymi dziećmi. – Dopił kawę, wstał i wrzucił kilka drobniaków do

jednego z automatów. – Ma pani na coś ochotę?

– Nie, dziękuję – odparłam. – Policjanci przesłuchali Creecha?

– W gruncie rzeczy przesłuchali wszystkich mieszkańców miasta. Dokładnie przestudiowałem stare akta. Creech miał alibi potwierdzone przez tuzin członków Kościoła. To zresztą niewiele znaczy. Członkowie Kościoła Wewnętrznej Światłości trzymają się razem, to wyjątkowo hermetyczne środowisko. Trudniej się tam wcisnąć niż do kacznej dupy, przepraszam za wyrażenie.

Wystukał kod, wyjął z automatu tabliczkę czekolady i wrócił do stołu. Powoli, precyzyjnie zdjął opakowanie, jakby dokonywał sekcji zwłok.

– Na czym właściwie skończyliśmy?

– Dale Creech? – spytał Stuart.

Znajdowaliśmy się trzydzieści kilometrów od Manson i jechaliśmy wąską drogą gruntową biegnącą przez gęsty las, by odwiedzić babkę Stuarta. Wyjaśnił, że Sandy Went mieszka na cholernym zadupiu.

– Dobrze go znałeś? – Musiałam podnieść głos, bo samochód hałaśliwie podskakiwał na wybojach.

– Mama go znała – odparł. – Przez jakiś czas interesowałem się pastorem. Jest dziwny, to oczywiste, ale miał solidne alibi i żadnych motywów.

– Czy któryś z członków Kościoła zgodzi się z nami o nim porozmawiać?

– Wątpię. Kościół Wewnętrznej Światłości to...

– Trudniej się tam wcisnąć niż do kacznej dupy?

Roześmiał się.

– Zamierzałem powiedzieć, że to bardzo hermetyczne środowisko, ale kacza dupa pasuje. Gdyby ktoś coś wiedział, prawdopodobnie zachowałby to dla siebie. Nikt nie występuje przeciwko Kościołowi, żeby nie znaleźć się poza społecznością.

– A twoja babka?

Stuart w milczeniu wzruszył ramionami.

– Jaka jest?

– Zupełnie nie przypomina mamy, jeśli to cię niepokoi – odparł.

– Molly wcale nie była taka okropna – skłamałam.

– Nie, jest okropna. Ma przetrącony kręgosłup. Powinna wyjechać z Manson jak reszta rodziny, ale zamiast tego została i kisi się we własnym sosie. Poczucie winy, smutek, oskarżenia. Ale teraz w końcu dojdzie do siebie: po prostu dajmy jej trochę czasu.

Nie wydawało się to takie proste. Straciłam jedną matkę, a później dowiedziałam się, że mam drugą. Chyba w głębi duszy miałam nadzieję, że Molly wypełni pustkę pozostawioną w moim życiu przez Carol – że w jakiś sposób ją zastąpi. Teraz wydawało się to straszliwie głupie.

Sandy Went mieszkała w dużym, starym wiejskim domu na końcu długiego podjazdu. Stuart zaparkował samochód przodem w stronę drogi (standardowa pozycja umożliwiająca natychmiastową ucieczkę) i poszliśmy do drzwi frontowych. Ostrzegł mnie, że babka nie jest już tak zdrowa jak dawniej i że muszę mówić naprawdę głośno, by mnie usłyszała, ale twierdził, że w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat Sandy ma całkowicie jasny umysł.

Wyszła nam na spotkanie szczupła kobieta. Przyjrzała mi się podejrzliwie zmrużonymi oczami i powiedziała:

– No cóż, rzeczywiście wyglądasz jak Went, na pewno.

Stuart się roześmiał.

– To Kali, opiekunka babci. Mieszka z nią i jest potworną jędzą.

Uścisnęli się, a kobieta pocałowała go w oba policzki. Później popatrzyła na mnie.

– Herbaty, kawy, whisky?

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam.

Kali wprowadziła nas do domu i wskazała wielki, nienagannie czysty hol.

– Sandy jest po drugiej stronie, na werandzie od strony podwórka.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami na taras z widokiem na obszerny ogród. Na starej ławce bujanej siedziała szczupła staruszka. Miała oczy pokryte jasnoszarym bielmem. Musiała usłyszeć nasze kroki, bo lekko przekręciła głowę.

– Stu?

– Cześć, babciu!

Wyciągnęła rękę i odnalazła dłoń wnuka.

– Dawno mnie nie odwiedzałeś, chłopcze. Jest tutaj?

– Babciu, to Kim – powiedział, kiwając ręką, żebym się zbliżyła.

Sandy ujęła moją dłoń, a kiedy uściśnęłam jej rękę, przyciągnęła mnie do siebie.

– To dla mnie wielka przyjemność, Kim. Powiedz, jak wygląda mój ogród. Moje oczy do niczego się nie nadają.

– Och, jest ładny. Naprawdę piękny.

– Nie obraż się, kochanie, ale chciałabym usłyszeć coś więcej niż „ładny i piękny”.

Popatrzyłam na ogród i zastanawiałam się przez chwilę.

– Cóż, jasnoty wydają się trochę obwisłe, ale nie wyglądają smutno. Są mokre, pokryte kroplami rosy. Wydają się szczęśliwe.

Sandy Went uśmiechnęła się i uniosła podbródek. Włosy miała związane w luźny kucyk, a twarz pokrytą zmarszczkami. Pociągnęła nosem.

– A żurawki?

– Które to?

– O tej porze roku powinny mieć delikatne, różowe kwiatki. Prawdopodobnie rosną na stoku na tyłach ogrodu.

Wskazała miejsce, gdzie w skrzynce zbitej ze starych desek rosły olśniewające różowe kwiaty.

– O tak – powiedziałam. – Wyglądają, jakby całkiem rozkwitły. Obok siedzi mały, czarno-brązowy ptaszek i dziobie ziemię, szukając robaków.

Znowu się uśmiechnęła, wyciągnęła rękę i odnalazła moją dłoń. Uściśnęła ją raz jeszcze, ale tym razem jej nie puściła. Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu na ławce na werandzie, trzymając się za ręce i słuchając szumu łagodnego wiatru w ogrodzie, poruszającego żurawki. Czarno-brązowy ptak wzbił się w powietrze.

Stuart oparł się o barierkę werandy i obserwował nas z lekkim uśmiechem.

– Stuart mówił, że odwiedziłaś Molly.

– Tak – odpowiedziałam.

– Domyślam się, że nie przyjęła cię z otwartymi ramionami.

– Nie. Niezupełnie. Nie wierzy, że jestem... Uważa, że jej córka od dawna nie żyje.

– Trzeba powiedzieć na jej obronę, że wszyscy tak sądziliśmy. Łatwiej było przyjąć, że Sammy odeszła. Pewnie brzmi to okropnie ponuro, ale to prawda. Dawniej nawet się modliłam o śmierć Sammy, przyznając to ze wstydem. Jeśli nie żyje, jej cierpienie się

skończyło. Przebywa z Bogiem, a to znacznie lepsze, niż tkwić w podziemnym lochu, znosić tortury albo być zmuszaną do ohydnych rzeczy.

Stuart się zachnął.

– Nie widziałam innych możliwości – ciągnęła Sandy, trzymając mnie mocno za rękę. – Tortury albo śmierć, a śmierć wydawała się lepsza. Nigdy nie przypuszczałam, że ktoś mógł się nią zaopiekować, dać jej dobre życie. Czy miałś dobre życie, Kim?

– Tak, Sandy – odpowiedziałam. – Bardzo dobre.

Obróciła się w moją stronę. Musiała mnie widzieć jako szary kontur.

– Molly dojdzie do siebie albo nie. Może zaszła już za daleko.

– Kiedy ostatnio cię odwiedziła, babciu? – spytał Stuart.

Puściła moją rękę, znalazła chusteczkę w kieszeni kardiganu i otarła oczy.

– Nie widziałam twojej matki prawie cztery lata.

– Nie spotykasz jej w kaplicy? – spytałam.

Pokręciła głową.

– Cóż, obecnie prawie z nikim się nie widuję. Opuściłam Kościół w dziewięćdziesiątym czwartym roku. Wewnętrzna Światłość ciągle jest mi droga, ale z upływem lat liczba wiernych się zmniejszyła. W dawnych czasach w Manson roiło się od zielonoświątkowców, a w tej chwili podobno nie ma nawet tuzina wiernych.

– Dlaczego?

Sandy nagle ochłodziła.

– Odeszłam z wielu powodów – powiedziała. – Kościół widział moje najlepsze i najgorsze cechy. Chciałam, żeby tak zostało.

Stuart spojrział na nas ze zdziwieniem. Wydawało się, że każdy członek rodziny Wentów ma jakiś sekret.

– Ale Kościół Wewnętrznej Światłości ciągle istnieje? – spytałam.

– Na razie – odparła Sandy. – Domyślam się, że zniknie dopiero do śmierci pastora Creecha.

– Poznałam wczoraj Dale’a Creecha – powiedziałam. – Był bardzo miły, ale trochę...

– Spięty?

– Właśnie – odparłam. – Rozumiem, dlaczego jest dobrym kaznodzieją.

– Amen – rzekła. – Gdyby Dale przemawiał do sali wypełnionej ludźmi, byłabyś pewna, że mówi tylko do ciebie. Każda inna osoba siedząca w sali myślałaby to samo. Zawsze miał w sobie pasję, nawet jako dziecko.

– Niektórzy ludzie uważali, że miał coś wspólnego z porwaniem.

– Jacy ludzie?

– Po prostu... ludzie – powiedziałam.

Sandy zmarszczyła brwi.

– Jak pewnie zauważyłaś, jestem już dość stara, Kim. Nie zostało mi wiele czasu, więc kiedy ktoś krąży wokół tematu, zamiast jasno powiedzieć, o co mu chodzi, łatwo się denerwuję. Stu może to potwierdzić.

Stuart westchnął i zadał pytanie, którego unikałam:

– Myślisz, że Creech mógł mieć coś wspólnego ze zniknięciem Sammy?

Lekceważąco machnęła ręką, jakby odpędzała komara.

– Dale to uczciwy, bogobojny człowiek. Może się martwi, może jest trochę samotny, ale nigdy nie skrzywdziłby dziecka. Nie jest katolikiem.

– Dlaczego się martwi? – spytałam.

– Nikt nie jest doskonały, Kim. Sztuka polega na tym, by mieć na koncie więcej dobrego niż złego.

– Pastor Creech zrobił coś złego?

Sandy usiadła wygodniej na ławce.

– Jest uparta, prawda? Ma wiele cech ojca.

Stuart zmarszczył brwi.

– Zło Dale'a polegało na tym, że za bardzo się troszczył o bliskich. Ma siostrę, Becky, jakieś sześć... nie, siedem lat młodszą. W dzieciństwie byli nierozłączni. Ludzie czasem mówią, że bliźniaki łączy niemal paranormalny związek. Uszczypnie się jedno, a drugie to czuje, prawda? Właśnie tak było z nimi.

Znowu otarła oczy chusteczką. Wcześniej sądziłam, że Sandy łatwo się wzrusza, lecz teraz zauważyłam, że łzawienie to skutek uboczny zaćmy.

– Mimo to Dale i Becky wyrosli na zupełnie innych ludzi. Dale był charyzmatyczny i miał w sobie pasję – przypuszczam, że Becky również, jednak coś w jej zachowaniu zawsze sugerowało, że udaje. Traktował ją surowo, choć nie musiał, ale zachowywał się

w ten sposób tylko dlatego, że się o nią troszczył.

– Co to znaczy?

– Becky miała w sobie coś buntowniczego. Słuchała własnych instynktów. Dale uznał, że siostra ma kłopoty, i, jak w starym kawale, rzeczywiście wpadła w kłopoty. Odgrywała rolę wyznaczoną przez brata i robiła to dobrze. Nosiła trochę krótsze spódnice, coraz bardziej obcisłe bluzki. Dale był młody. Chciał postępować zgodnie z zasadami wiary. Ale kiedy naciska się za mocno, czasami skutek może być zupełnie odwrotny.

– Właśnie o to chodziło? Dale naciskał za mocno?

– Posłuchaj, ciągle mam dobre relacje z Bogiem, cholernie dobre, ale problem z fundamentalistycznymi zielonoświątkowcami polega na tym, że jeśli nie jest się jednym z nas, jest się jednym z nich. Straconą duszą. I przez jakiś czas Dale właśnie tak traktował siostrę.

– Odeszła z Kościoła?

– Oficjalnie nie, ale przez jakiś czas jej nie widywaliśmy. Ludzie gadali. Wiadomo, że plotki są czasem wyolbrzymione, ale niektórzy członkowie Kościoła mówili, że się z kimś przespała.

– Z kim?

Wzruszyła ramionami.

– Można tylko zgadywać.

Czarno-brązowy ptak wrócił, zaćwierkał i zaczął grzebać w ziemi kilka metrów od miejsca, gdzie siedzieliśmy. Po niebie płynęły pierzaste obłoki. W dali szczekał pies. W domu, w ekspresie głośno bulgotała kawa.

– Co się z nią stało? – spytałam.

Sandy się uśmiechnęła.

– Dale sprawił, że znowu ujrzała światło. Może człowiek, który zrobił jej dziecko, gdzieś wyjechał, a może nigdy nie urodziła dziecka, tylko gdzieś po drodze sięgnęła dna? Była gotowa wyjść z ciemności i brat wskazał jej drogę. Przypomniał jej o planie Boga i wkrótce znowu zaczęła nosić długą spódnicę. Zrobiła to, czego oczekiwał brat: stała się wierną służką Boga. Modliła się, poskramiała węże i nosiła ślady ugryzienia jak order.

– Została pokąsana?

– O tak, większość członków Kościoła miała ślady ugryzień. Ludzie mają błędne wyobrażenie na temat poskramiania węży. Myślą, że to sztuczka, że węże są czymś odurzone. Ale gryzą, i to mocno.

– Stuart trochę mi o tym opowiadał.

– Założę się, że mówił o swoim wuju, Clydzie – odparła z uśmiechem. – Pogryzło go kilka grzechotników i umarł szczęśliwy. Ukąszenie to dotyk Boga, a przeżycie to zbawienie. Należałam do Kościoła przez sześćdziesiąt trzy lata i ani razu nie zostałam ugryziona. Ale Becky tak, tu, w rękę.

Wskazała skórę między kciukiem a palcem wskazującym. Nagle zupełnie oklapłam.

– Na lewej dłoni? – spytałam głośno. – Blizna była na lewej dłoni? Jesteś pewna?

– Prawie całkowicie – odpowiedziała. – Dobrze się czujesz? Chyba powiał zimny wiatr.

Przypomniałam sobie popołudnie w garażu Amy, gdy grzebałam w pudłach, przeglądając swój stary projekt fotograficzny: *Blizny: fizyczne i emocjonalne*. Pamiętałam ślad na małym palcu swojej nogi. Bliznę na udzie Amy, oparzenie na dłoni matki.

O p a r z e n i e n a d ł o n i m a t k i .

Była to niewielka, gruzłowata blizna u podstawy kciuka. Często dotykała blizny palcami prawej ręki, naciskała ją i gładziła, zwłaszcza gdy głęboko się nad czymś zastanawiała. Twierdziła, że blizna pochodzi z czasów, kiedy była nastolatką – usiłowała naprawić zepsuty wentylator w sypialni, nie wyłączywszy go z kontaktu, i doszło do zwarcia. Blizna była wypukła, nierówna i przypominała hantel – na obu końcach znajdowały się zaokrąglone ślady. Jak po ugryzieniu węża.

– Becky Creech ciągle mieszka w Manson? – spytałam.

– Nie – odpowiedziała. – Wyprowadziła się dawno temu.

– Kiedy? Dokąd pojechała?

– Nie pamiętam. Może do Missisipi. Nie jestem pewna. Musisz spytać jej brata. Dlaczego cię to interesuje?

Nie odpowiedziałam. Zerwałam się z miejsca i pobiegłam do samochodu.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

Tuż po siódmej wieczorem Emma zjadła kolację z bratem, ciotkami i kuzynem. Usiłowała nie myśleć o Travisie i ojcu, o tym, że matka czasem strasznie złościła się na Sammy, o mężczyźnie zastrzelonym w młynie i o młodszej siostrze zaginionej w lasach albo nieżywej.

N i e ż y w e j. Słowo to jeszcze nigdy nie wydawało się równie ostateczne, złowrogie.

Pomyślała o imieniu Sammy napisanym na ścianie młyna. Szeryf powiedział, że weteran wojenny raczej nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Sammy, jednak stale wyobrażała go sobie odczytującego na głos imię siostry. W jej wyobraźni przypominał policyjny portret pamięciowy, miał tylko większe cienie wokół oczu – był podobny do potwora. Jego twarz wydawała się pozbawiona emocji i wyrazistych cech. Stanowiła ciemny ekran, na który Emma mogła rzutować swoje najgłębsze lęki: wyobrazać go sobie jako szalonego mordercę dzieci, zwariowanego psychopata, zboczeńca seksualnego albo ich dzikie połączenie.

– Słyszałaś, co powiedziałam, Emmo?

Uniosła oczy znad talerza. Patrzyły na nią trzy ciotki. Todd, kuzyn Emmy, siedział obok Stuarta i wpatrywał się w milczeniu w stojące przed nim jedzenie.

– Słucham?

– Pytałam o szkołę – odezwała się ciocia Tillie. Wypiła z wysokiej szklanki łyk bezalkoholowego cydru. – Nie powinnaś mieć zaległości. Rozmawiałaś z nauczycielami? Może mogliby ci zadać jakąś pracę do domu?

– Kłopoty w szkole to najmniejsze z naszych zmartwień, ciociu Tillie –

odpowiedziała Emma.

– Nie musisz warczeć na ciotkę – rzekła Pauline. – Próbuje tylko pomóc.

– Wszyscy próbujemy pomóc – wtrąciła Anne, trzecia część trójgłowego potwora siedzącego przy stole. – Pamiętaj o tym. To, że przeżywasz piekło, nie oznacza, że musisz postępować jak Szatan. Szczerze mówiąc, twój ojciec również mógłby wziąć sobie do serca tę radę.

Emma miała ochotę rzucić talerzem w ścianę – a jeszcze lepiej w jedną z ciotek. Chciała odejść od stołu, a może nawet nalać sobie szklaneczkę szkockiej. Wiedziała, gdzie ojciec trzyma whisky: stała w tylnej części spiżarni, za pojemnikiem na chleb.

Narzeczone Drakuli dalej gadały, a Emma popatrzyła nad stołem na Stu, który pochwycił jej spojrzenie.

– Tak, Em?

– Gdzie jest krzeselko Sammy?

Rozejrzała się. Stu miał rację. Wysokie krzeselko Sammy zniknęło, co rzucało się w oczy.

– Właśnie, gdzie ono jest?

– Postawiłam je w holu – wyjaśniła Anne. – Musiałam zrobić trochę miejsca, żebyśmy się zmieścili przy stole.

– Ale gdzie usiądzie Sammy? – spytał Stu.

– O co ci chodzi, Stewey?

Nie znosił, gdy nazywano go Stewey.

– Gdzie usiądzie Sammy, jak wróci do domu?

– Będziemy się tym martwić w odpowiednim czasie, prawda? – odparła Tillie cichym, protekcjonalnym tonem.

Stu popatrzył nad stołem na Emmę. Chciała mu powiedzieć, że Sammy wkrótce wróci, ale mogło to być kłamstwo. W tej chwili mogła zrobić tylko jedno.

– Stu ma rację – rzekła i wstała.

– Dokąd idziesz? – spytała Anne.

– Przynieść to cholerne krzeselko Sammy.

– Wystawię je znowu do holu – powiedziała Tillie. – Musisz być silna, Emmo. Nie powinnaś się zachowywać jak dziecko. Należy się skupić na osobach przebywających

w domu, a nie na nieobecnych.

– Boże, jesteście śmieszne – odparła Emma. Wyszła z kuchni, znalazła wysokie, czerwono-niebieskie krzesło i wciągnęła je z powrotem. Tylne nogi piszczały na deskach podłogi.

– Usiądź i skończ posiłek, Emmo. Nie zmuszaj mnie, żebym się na ciebie poskarżyła twojej matce. Nie chcę powiększać jej...

Nagle otworzyły się z trzaskiem drzwi frontowe. Na werandzie stała wysoka postać i Emma myślała przez chwilę, że to mężczyzna z policyjnego portretu pamięciowego, który zmartwychwstał i przyszedł wymordować rodzinę. Ale kiedy przybysz wszedł do oświetlonego holu, zobaczyła, że to jej ojciec.

– Gdzie jest twoja matka? – spytał chłodno. Zataczał się, a na jego zaczerwienionej twarzy malowała się wściekłość. Wpadł jak huragan do holu. – Gdzie ona jest? Molly! MOLLY!

– Tato, co się stało?! Ma to coś wspólnego z Sammy?

Jack ruszył po schodach, ignorując Emmę.

– Jesteś tam, Molly?!

Anne, Pauline i Tillie jednocześnie wystawiły głowy z kuchni. Wyglądało to jak groteskowa scena w sitcomie.

– MOLLY?!

Emma ruszyła schodami za ojcem.

– Nie ma jej w domu, tato.

Obrócił się na pięcie. Mocno zaciskał pięści.

– Gdzie jest?

– Powiedz mi, co się dzieje.

– Jezu, Em, powiedz mi, gdzie jest twoja pieprzona matka!

Rzadko bywał taki wściekły, i nigdy na Emmę. Zwykle zdarzało się to w czasie jazdy samochodem, gdy ktoś zajechał mu drogę – momentalne wybuchy gniewu, które znikwały równie szybko, jak się pojawiały; zwykle szybko za nie przeproszał. Ale tym razem zachowywał się inaczej. Nie był w stanie normalnie myśleć. Powinien pamiętać, gdzie co tydzień jest o tej porze matka.

– W kaplicy.

Odepchnął Emmę i zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie. Patrzyła, jak zmierza do wyjścia, i poczuła mdlącą trwogę, od której ścisnęło jej się gardło.

Jack dotarł do drzwi frontowych i nagle stanął jak wryty. Odetchnął głęboko i odwrócił się.

– Przepraszam, Em. Nie chciałem krzyczeć. Nie gniewam się na ciebie. To... to nie o ciebie chodzi.

Zeszła po schodach i dotknęła nadgarstka ojca.

– Co się stało?

– Muszę po prostu porozmawiać z twoją matką.

– Weź mnie ze sobą – poprosiła. – Wytłumaczysz mi wszystko po drodze.

– Emmo...

– Weź mnie ze sobą.

– Twój brat...

– Zajmą się nim ciotki. Jesteś wściekły, tato. Nie chcę, żebyś zrobił coś, czego będziesz żałował.

– Nie.

– Wiem o Travisie.

Jack zamarł. Przez chwilę wydawało się, że osunie się na ziemię i wybuchnie płaczem.

– Co się dzieje, Jack? – dobiegł z kuchni piskliwy głos Tillie.

– Na litość boską, Tillie, pilnuj swojego zasranego nosa! – Odwrócił się w stronę Emmy. – Weź płaszcz.

Przez jakiś czas nie rozmawiali. Cisza panująca w samochodzie była taka, że kiedy zatrzymali się na światłach między Otter Street a Herbert Avenue, Emma słyszała zgrzytanie zębów ojca. W końcu Jack spojrzał ponuro na autostradę ciągnącą się z przodu i spytał:

– Jak się dowiedziałaś?

– Powiedział mi jego brat – odparła.

– Patrick? Dlaczego?

– Kochasz Trávisa, tato?

- Kiedy miałem dwanaście lat, byłem... – powiedział powoli, łamiącym się głosem.
- Nie zmieniaj tematu. Zadałam ci pytanie.
- Staram się na nie odpowiedzieć, Em. Kiedy miałem dwanaście lat, wyciągnięto mnie z łóżka w środku nocy. Czterech mężczyzn wślizgnęło się do domu, weszło po schodach do mojej sypialni. Mieli na twarzach czarne kominiarki. Jeden zatkał mi usta, a trzech wyniosło mnie na ulicę i wsadziło do białej nieoznakowanej furgonetki.
- Jezu, ja... Co takiego? Dlaczego nic nam nie powiedziałaś?
- Myślałem o swoich rodzicach, tym, jacy będą zdruzgotani, gdy po prostu zniknę. Kiedy znalazłem się w furgonetce, jeden z mężczyzn puścił mnie na chwilę. Może chciał zasunąć drzwi albo stracił na chwilę czujność. Pamiętam tylko, że wykorzystałem ten ułamek sekundy i uciekłem. Wyskoczyłem z furgonetki i znalazłem się na trawniku. Wrzeszczałem na całe gardło. Kiedy przebiegłem połowę trawnika, zobaczyłem swoją matkę. Twoją babcie. Stał za nią mój ojciec. Pomyślałem: „Jestem uratowany, dzięki Bogu”. Ale oni... oni po prostu tam stali. – W jego głosie zabrzmiała wściekłość, głęboka, bolesna. – Krzyknąłem do nich: „Mamo, tato, ratujcie, chcą mnie porwać źli ludzie!”. Ani drgnęli. Wpatrywali się we mnie. Niczego... niczego nie rozumiałem. Nie byłem w stanie. Kiedy się zbliżyłem, kiedy prawie dobiegłem do frontowych drzwi, zamknęli je. Zatrzasnęli mi je przed nosem i usłyszałem zgrzyt klucza w zamku. Nie mogłem wejść do domu.
- Nic nie rozumiem – powiedziała Emma. Rozpaczliwie usiłowała nie płakać. – Dlaczego ci nie pomogli?
- Bo sami zorganizowali to porwanie, Em. Mężczyźni należeli do Kościoła Wewnętrznej Światłości. Nigdy się nie dowiedziałem, kto to był – właśnie o to chodziło. To dlatego nosili maski.
- Co to znaczy, że babcia i dziadek zorganizowali porwanie? – spytała Emma. – Musiałeś się pomylić, tato.
- Postanowili mnie przeprogramować, Em. Tak to nazywali. Matka jakoś się zorientowała, że jestem... inny, że zamiast dziewcząt lubię... chłopców. Domyśliła się i uznała, że wstąpił we mnie Szatan.
- O kurwa, tato.
- Mężczyźni zaciągnęli mnie z powrotem do furgonetki, wywieźli na starą farmę

w Coleman i przeprogramowali.

– Co to znaczy?

– Odprawili egzorcyzmy.

Emma zeszywniała.

– Co to znaczy?

– Nieważne.

– Co ci zrobili?

– Nie powinnaś tego wiedzieć, Em.

– Chcę, tato. Proszę. Wytrzymam.

Mocno zacisnął ręce na kierownicy.

– Na farmie czekali inni mężczyźni. Zabrali mnie do pokoju. Przywiązali do starego, poplamionego łóżka z materacem na sprężynach, bez pościeli. Przycisnęli mi do czoła Biblię i czytali ją na zmianę. Wywrzaskiwali wersety. Kiedy jeden się zmęczył i stracił oddech, zastępował go drugi. Trwało to godzinami. Później wsadzili mnie do głębokiej wanny wypełnionej po brzegi wodą święconą. Trzymali mnie pod powierzchnią. Dziesięć sekund, trzydzieści, minutę. Raz po raz.

– Mój Boże... – wykrztusiła Emma. Z całych sił powstrzymywała łzy.

Wsadzili mnie na noc do piwnicy. Zabrali mi ubranie, buty i wpuścili grzechotnika. Trwało to trzy dni.

– Bardzo mi przykro, tato.

– Wychowywałem się w mieście takim jak Manson, obserwowany przez ich Boga... i nie miałem żadnych szans, Em. Naprawdę kocham Travisa. Kocham go, ale nienawidzę tej części siebie, która go kocha.

Dojechali do bocznej drogi odchodzącej od szosy. Na skrzyżowaniu stała tablica z napisem: „Droga do Światłości”. Na końcu znajdowała się kaplica Kościoła Wewnętrznej Światłości, niski betonowy budynek przykryty płaskim dachem z blachy falistej. Nie było wieży ani witraży. Jedyнным znakiem świadczącym, że to kaplica, był niewielki krzyż ręcznie namalowany nad wejściem.

Zatrzymali się na parkingu, na którym stały samochody, pikapy i motocykle. Z wnętrza kaplicy dobiegała głośna, rytmiczna muzyka.

– Zaczekaj w samochodzie – powiedział Jack.

– Nie, tato.

– Tam są węże. Węże, może skorpiony – i, co gorsza, tłum ludzi pełnych Ducha Świętego. Zaraz wyjdę. Po prostu zamierzam znaleźć matkę i zabrać ją do domu. To wszystko.

– Czego się o niej dowiedziałeś? – spytała Emma.

Nie odpowiedział na pytanie. Bez słowa wysiadł z samochodu i wszedł do kaplicy. Emma czekała niespełna minutę, a później ruszyła za nim.

W kaplicy Kościoła Wewnętrznej Światłości zgromadziło się blisko stu wiernych. W budynku wrzały emocje. Matka nazwałaby to Duchem Świętym, a ojciec masową histerią.

Na stoliku przy wejściu stała duża drewniana puszka na datki. Na boku znajdował się wyrzeźbiony napis: „Duszę oddajcie Bogu, a to, na co was stać, Kościołowi Wewnętrznej Światłości”. Z otworu w pokrywie wystawały banknoty.

Na końcu pomieszczenia stał sześciuosobowy zespół muzyczny grający szybką muzykę bluegrass. Wszyscy jego członkowie byli ubrani na biało i nie nosili butów. Nad ich głowami wisiał transparent z napisem: „Bosonodzy Prorocy”.

Z miejsca przed muzykami usunięto kilka ławek, by stworzyć przestrzeń dla tańczących. Emma zobaczyła Billy’ego Wayne’a, którego prawie co rano widywała na przesiece przeciwpożarowej, gdzie wyprowadzał na spacer dużego pudła; tańczył boso wokół mokasyna miedziogłowca. Podwinął do kolan białe bawełniane spodnie i śmiał się jak wariat. Od czasu do czasu wąż leniwie atakował Billy’ego, który śmiał się wtedy jeszcze głośniej. Trzymał ręce mocno przyciśnięte do ciała i kręcił się w kółko.

Przerażona Emma się cofnęła. Nie znosiła węży. Kilka lat wcześniej, gdy miała dziesięć albo jedenaście lat, Kościół zaczął ją interesować i spytała matkę, jak to jest, gdy trzyma się w rękach węża.

– Ich skóra jest sztywna i twarda – odpowiedziała Molly. – Na początku trochę się denerwujesz, jakbyś siedziała w kolejce górskiej wspinającej się na szczyt pętli. Potem robi ci się gorąco, masz wrażenie, że owiał cię ciepły oddech Boga. Czujesz, że żyjesz. Czujesz, że jesteś blisko Boga, tak blisko, że mogłabyś wyciągnąć rękę i Go dotknąć. Tak przynajmniej ja się czuję.

Znalazłszy się w świetle matki, przeciskając się przez tłum w poszukiwaniu ojca, Emma czuła przerażenie.

Rozpoznała wiele osób – z apteki, gdzie latem pracowała przy kasie, z Gwiazdek w domu babci, z ulic Manson – jednak wielu nigdy wcześniej nie widziała. Miała wrażenie, że to koszmarny sen: wszystko wydawało się znajome, a jednak kompletnie obce.

Patsy Halcomb, regularnie przychodząca do apteki Wentów, trzymała nad głową grzechotnika diamentowego długości stu dwudziestu centymetrów i dziko nim potrząsała. Na końcu kaplicy potężny mężczyzna z elegancką rudą szpicbródką rozlewał do szklanek mlecznobiały płyn; zachowywał się jak doświadczony barman. Opróżnił pierwszą szklankę i skrzywił się, czując smak napoju. Pierwsi w kolejce byli mężczyzna i kobieta. Wypili truciznę duszkiem jak marynarze rum. Później podeszło dwóch mężczyzn. Pierwszy krzyknął po wypiciu płynu; drugi natychmiast padł na kolana i zaczął się krztusić.

W kaplicy było zbyt wielu ludzi i panował zbyt wielki hałas.

Tęgi mężczyzna – Emma pomyślała, że nazywa się Hershel jakoś tam – mówił obcymi językami. Z jego ust wydobywał się bełkot. „*Dutchie no no highbalmo, chu chu mana. Jezus Jego imię, Jezus Jego imię!*”

Koło Emmy przeszła szybko Suzie Litterback, którą Emma spotykała w Home Foods; ścisnęła w rękach grzechotnika.

Emma przepchnęła się do przodu. Zauważyła w tłumie ojca i przyśpieszyła kroku, lecz nagle ktoś chwycił ją za rękę. Był to gruby mężczyzna w białej płóciennym koszuli i białym kapeluszu. Nie znała jego nazwiska, ale przyszedł do ich domu kilka dni wcześniej. Przyjmowała, że to przyjaciel ojca, ale kiedy zobaczyła go w kaplicy, zaczęła w to wątpić.

– Emma? – spytał. – Twoja matka wie, że tu jesteś?

Bez słowa wyrwała rękę i przecisnęła się przez tłum, aż dotarła do miejsca, gdzie wierni tańczyli wśród węży.

Niespełna dwa metry od niej ktoś rzucił na ziemię grzechotnika i z najwyższym trudem stłumiła okrzyk. Zresztą i tak nikt by jej nie usłyszał: zespół muzyczny grał zbyt głośno, zbyt natrętnie.

Rozejrzała się, szukając wzrokiem ojca, również matki, ale ich nie dostrzegła. Nie miało to znaczenia. Po chwili Jack zwrócił na siebie uwagę wszystkich wiernych.

– Creech! – Jego krzyk odbił się echem od ścian kaplicy.

Emma najpierw zauważyła pastora Dale’a Creecha. Stał przy długim szklanym terrarium, w tej chwili pustym. Był ubrany w skórzaną marynarkę, która miała w sobie coś dziwnie niedbałego, a zarazem buntowniczego. Później spostrzegła ojca. Przeszedł od lewej strony przez miejsce, gdzie tańczono wśród węży, zacisnął pięść i mocno uderzył Creecha w szczękę.

Kaznodzieja poleciał do tyłu i upadł. Po chwili wstał i uklęknął. Uniósł rękę do twarzy i wybałuszył oczy.

Jack stał nad pastorem. Miał nabrzmiałe żyły na skroniach.

– Co z nią zrobiłeś, przeklęty fanatyku?!

Ludzie zgromadzeni w kaplicy jęknęli. Bosonodzy Prorocy nagle przestali grać. Zapadła cisza.

– Jack? – spytał Creech, masując dłonią szczękę. – To miejsce kultu. Widzę, że jesteś rozgniewany z jakiegoś powodu. Możemy porozmawiać o tym na zewnątrz?

– Coś poszło nie tak w czasie przeprogramowania, tak?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, zapewniam cię.

– Za mocno przycisnąłeś Biblię do jej małej główki, aż pękła?

Otaczał ich tłum krzyczących, trajkocących ludzi. Nie mieli żadnych szans w starciu z setką wiernych. Emma chciała powstrzymać ojca, chwycić go za rękę i wyciągnąć na zewnątrz. Nie mogła się poruszyć. Była sparaliżowana – nie strachem, lecz wściekłością.

Jeśli ojciec mówi prawdę, jeśli ten człowiek i jego Kościół mają coś wspólnego ze zniknięciem Sammy...

„To znaczy, że mama też w tym uczestniczyła”, pomyślała.

Creechowi udało się wstać.

– Proszę, Jack, to nie ma żadnego sensu.

– Trzymałeś jej głowę w święconej wodzie kilka sekund za długo? Kiedy zamknąłeś ją z gołymi nogami w ciemnej piwnicy pełnej węży, ona...

– Nie osądzajcie go! – przerwał podniesionym głosem Creech, zwracając się do

wiernych. Otaczali ich kołem i wydawali się coraz bardziej podekscytowani. – Ten człowiek przeżywa ciężkie chwile. Jego oskarżenia są bezpodstawne i skierowane przeciwko niewłaściwym osobom, jednak powinniśmy zrozumieć, co czuje, jaki ból...

Jack znowu go zaatakował. Mocno uderzył Creecha pięścią w twarz. Pastor wytrzymał cios, uniósł dłoń, by uciszyć tłum, i splunął krwią na podłogę z twardych desek. Emma miała wrażenie, że słyszy dźwięk złamanego zęba padającego na drewno.

– Nie osądzajcie go – powtórzył Creech. Po jego podbródku spływała strużka krwi. – Albowiem nie wie...

Ojciec znowu chciał zaatakować pastora, jednak wcześniej uderzył go od tyłu mężczyzna w białym kapeluszu. Po chwili Jack leżał na brzuchu z twarzą przyciśniętą do podłogi. Szamotał się i wyrywał, próbował się obrócić na plecy. Ale przyciskało go do ziemi kolano grubego mężczyzny.

– Zejdź ze mnie, Buddy! – krzyknął Jack.

– Tak nie wolno, Jack.

– Zabił ją, Buddy! Zabił moją córkę! Puść mnie! Puść!

– Zejdź z mojego taty! – wrzasnęła Emma. Paraliż nagle minął. Błyskawicznie wyskoczyła z tłumy, krzycząc dziko, a później skoczyła na plecy grubego mężczyzny w kapeluszu. Otoczyła mu szyję chudymi ramionami. Mężczyzna – Buddy – puścił Jacka, po czym przyklęknął na jedno kolano.

Jack z trudem wstał.

– Emmo, zaczekaj, przestań!

Jednak Emma nie mogła się uspokoić. Mocno zacisnęła ramiona wokół szyi Buddy'ego i otoczyła nogami jego wielki brzuch. Wierni rzucili się na nią, szarpali ją, aż wreszcie zdołali ją odciągnąć. Wierzgała i wrzeszczała.

Znowu krzyknęła, poczuła przypływ wściekłości, falę gorąca przenikającą ciało.

Szarpała się z zielonoświątkowcami, uderzała ich łokciami i rękami, próbując się wyrwać – aż nagle przewróciła się do tyłu. Z trzaskiem upadła na podłogę i zauważyła grzechotnika. Znajdował się w odległości niespełna metra. W panice zwinął się i grzechotał.

– O kurwa, Jezu...

– Dosyć!

Matka Emmy przedarła się przez ścianę ludzi. Miała rozszerzone nozdrza, spoglądała na Jacka i Emmę.

– Co się dzieje?! Co tu robicie? Jak śmiecie przychodzić do mojego Kościoła i...

– Och, na litość boską, mamó, to nie Kościół! – krzyknęła Emma. Tak naprawdę to nie ona wypowiadała te słowa, tylko jej wściekłość. S z a t a n. – To sekta! Należysz do sekty, mamó! Rozejrzyj się! Należysz do sekty! Wszyscy należycie do sekty! WSZYSCY NALEŻYCIE DO SEKTY!

Molly gwałtownie odwróciła się w stronę Jacka.

– Zabierz ją stąd, Jack! Zabierz... – Molly urwała. Zobaczyła, że Jack szlocha.

Emma również znieruchomiała. Natychmiast opuściła ją wściekłość. Ojciec wydał się nagle bardzo mały, bardzo bezbronny.

– Co ty tu robisz, Jack? – spytała Molly z twarzą zaczerwienioną z zażenowania.

– Po prostu mi powiedz... – poprosił. – Po prostu powiedz, co się stało...

– Co mam powiedzieć?

– Powiedz, czy nie żyje. Powiedz, czy Sammy nie żyje...

Na zewnątrz było spokojniej. Creech stał z dwoma mężczyznami na straży przy drzwiach kaplicy. Emma usiadła z ojcem przy jednym ze stołów piknikowych. Jack był ponury i milczący. Molly stała obok, wsparłszy się pod boki.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. W sosnach wirginijskich szumiały powiewy wiatru przypominające szepty. Niosły delikatną woń zgnilizny, która kojarzyła się Emmie ze śmiercią. Odwróciła się i szybko pociągnęła nosem.

Jack masował prawą rękę, którą stale uderzał w ciągu ostatnich kilku dni. Obliznął wargi i odezwał się cicho:

– Nie możesz wierzyć, że w naszą córkę wstąpił Szatan.

– Kościół jej nie porwał, Jack – odparła Molly. Potarła się po policzku i przesunęła palcami po włosach. W mdłym świetle księżyca wydawała się jednocześnie stara i młoda. – Za długo pozostajesz z dala od Światłości.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że chciałam jej tylko pomóc. Uleczyć ją. Ale najpierw porwał ją ktoś inny. Przekonałbyś się... Uleczyłabym ją i znowu wszyscy bylibyśmy szczęśliwi.

Przekonałbyś się.

– To moja wina – powiedział. – Za długo byłem na ciebie wściekły, Molly. Za to, że się zmieniłaś. Za to, że wolisz tę kaplicę. To moja wina. Nigdy nie dowiedziałabyś się o istnieniu Kościoła, gdybyś mnie nie poznała, a nawet gdybyś o nim usłyszała, nigdy byś się nie nawróciła.

Nie krzyczeli na siebie. Emmie nie wydawało się to nawet sprzeczką. Mówili cichymi, spokojnymi głosami.

„To koniec ich małżeństwa – pomyślała Emma. – Opuściła ich wola walki. Moja rodzina się rozpadła”.

– Pokazałeś mi Światłość, Jack – powiedziała Molly głosem cichym jak szum wiatru. – To mój prawdziwy dom, ludzie, którzy mnie wspierają. Zawdzięczam to właśnie tobie. Kościół Wewnętrznej Światłości to moja rodzina.

– To my jesteśmy twoją rodziną, mamó – rzekła Emma.

– Przykro mi, Emmo – odparła Molly. – Nie powinnaś tu przyjeżdżać.

– Dlaczego poszłaś do Creecha? – spytał Jack. – Dlaczego nie przyszłaś do mnie?

– Bo nie chciałeś słuchać.

– Creech to...

– Dale pomógł mi w najbardziej mrocznych chwilach.

– Manipulował tobą.

– Proszę, nie pouczaj mnie – odpowiedziała. – Każdy dźwiga swój krzyż.

Emma chciała się odezwać, ale zaschło jej w ustach. Popatrzyła w niebo. Wszechświat wydawał się jakby mniejszy.

– Koniec z nami – powiedział Jack. – Gdybyśmy byli w tej chwili sami, mógłbym cię zabić, Molly. Nie obchodziłoby mnie, czy oni by to widzieli. – Skinął ręką w stronę Creecha i dwóch strażników, którzy ich obserwowali. – Ale nie chcę, żeby to zobaczyła nasza córka.

– Wracaj do domu, Jack – dobiegł głos z kaplicy. Po trawie szła ku nim drobna kobieta. Była to Sandy, babka Emmy. Emma zastanawiała się, czy nie podbiec i jej nie uderzyć. Mogłaby to zrobić, gdyby nagle nie poczuła się cholernie zmęczona.

Jack wstał.

– Powiniennem bardziej o ciebie walczyć, Molly, ale to oni cię zdobyli. Posunęłaś się

za daleko.

– Do widzenia, Jack – powiedziała.

– Do widzenia, Molly. – Odwrócił się w stronę Emmy. – Pora wracać do domu.

MANSON, KENTUCKY

TERAZ

Kiedy chodziłam tam i z powrotem po pokoju hotelowym Stuarta, nagle przyłapałam się na tym, że obgryzam paznokcie – przed przyjazdem do Manson nigdy tego nie robiłam.

– Becky Creech i Carol Leamy to ta sama osoba. Brzmi to rozsądnie. Wszystko się zgadza.

– Pojedziemy jutro do domu Dale’a Creecha i pokażemy mu fotografię Carol – powiedziałam.

– Nie śpiesz się za bardzo, Kim. To nie gra w koszykówkę.

Siedział po turecku na łóżku z twarzą oświetloną białą poświatą laptopa.

– To na pewno ona – powiedziałam. Chodziłam, chodziłam, chodziłam. – W internecie nie ma fotografii Becky Creech. Dziwne, prawda?

– Niekoniecznie. Mogła wyjść za męża i zmienić nazwisko na długo przed powstaniem internetu.

– A co z blizną?

– Ludzie miewają blizny, Kim.

– W tym samym miejscu? To zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Nie twierdę, że się z tobą nie zgadzam. Mówię tylko, że należy ostrożnie wyciągać wnioski. Przekonałem się na własnej skórze, że nie należy za szybko się ekscytować. Wiesz, ile razy myślałem, że znalazłem Sammy, nim spotkałem ciebie?

Znów przyłapałam się na obgryzaniu paznokci i zmusiłam się, żeby tego nie robić. Przyniosłam piwo z barku Stuarta i podeszłam do szklanych, rozsuwanych drzwi na balkon. Manson było pogrążone w zupełnej ciemności, co mnie zaskoczyło. Zaledwie dziesięć minut wcześniej wyglądałam przez to samo okno i widziałam dzikie, brutalne

Appalachy. Kiedy spojrzałam teraz, widziałam tylko własne odbicie w szybie.

– Poza tym nie widzę żadnego motywu – rzekł Stuart. – Po co Becky Creech miałyby cię porywać, jechać do Australii, przyjmować fałszywe nazwisko i wychowywać cię jako swoją córkę?

Musiałam przyznać mu rację. Mama była z natury rozsądna i praktyczna; zupełnie nie wydawała się szalona. Ale czy naprawdę dobrze ją znałam? Utrzymanie takiego sekretu aż do śmierci wymaga wyjątkowej siły charakteru.

– Może miała jakieś ważne powody? – zasugerowałam.

– Na przykład?

– Nie wiem.

– Chciała cię uratować przed naszą matką?

– Tego nie powiedziałam.

– Próbujesz wymyślać scenariusze, które usprawiedliwiłyby działania Carol – odparł. – Świetnie, rozumiem. Ale to, że usiłujesz z niej robić bohaterkę, nie oznacza, że nasza matka to czarny charakter. – Zatrzasnął pokrywę laptopa.

Siedziałam na skraju łóżka i popijałam piwo.

– Przepraszam. Widziałam Molly raz w życiu. Przynajmniej pamiętam tylko ten jeden raz. Wydawała się po prostu taka...

– Kompletnie zwariowana?

– Smutna.

Stuart spojrzał na moje piwo.

– Możesz mi dać butelkę?

Spełniłam prośbę. Pociągnął łyk i wyprostował nogi.

– Spróbuj zrozumieć, Kim, mama kiedyś była inna. Pełna energii, dowcipna, cierpliwa, dobra i piękna. W którymś momencie Kościół Wewnętrznej Światłości wzbogacił jej życie, zanim przejął nad nim kontrolę.

– Wszystko się zmieniło po moim zniknięciu?

– Tak naprawdę wszystko się zmieniło po twoim urodzeniu. Posłuchaj, nie jestem zupełnie pewien, ale wydaje mi się, że mama cierpiała na depresję poporodową. Wtedy nie wiedziałem, co to takiego, bo byłem dzieckiem, i nigdy jej u niej nie zdiagnozowano, ale nawet dziewięcioletek rozumiał, że coś jest nie w porządku.

Milczał przez chwilę i wypił łyk piwa. Kiedy znowu się odezwał, wydawało się, że mówi do siebie.

– Tata też musiał to widzieć. Jestem prawie pewny, że to lekceważył albo, co gorsza, złościł się na mamę. Gdyby próbował z nią porozmawiać, pomóc jej, wszystko mogłoby się ułożyć inaczej. Mogłem dorastać z małą siostrzyczką.

– Stuart, depresja poporodowa to okropna choroba, ale jej istota sprowadza się do zaburzeń nastroju. Jestem pewna, że mogłaby jej pomóc terapia, leki antydepresyjne albo bardziej wrażliwy mąż, ale nie powstrzymałoby to kogoś od wejścia do domu i porwania mnie...

Odwróciłam się w jego stronę i zobaczyłam, że płacze.

– Stuart, co się stało?!

Otarł oczy wnętrzem dłoni. Opuścił nogi, usiadł na łóżku i wypił resztę piwa dwoma dużymi łykami.

– Nikt nie wszedł do domu – rzekł cicho.

– Co takiego?

– Nigdy nikomu o tym nie wspominałem, Kim – powiedział. Odetchnął głęboko i zamrugał, by strząsnąć łzy z powiek. – Nawet Claire.

– O czym ty mówisz, Stuart? Co to znaczy, że nikt nie wszedł do domu?

– We wtorek trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, w dniu, gdy zniknęłaś, zostałem w domu, bo byłem przeziębiony. Tak naprawdę mógłbym iść do szkoły, ale wykorzystałem chorobę, żeby mieć wolny dzień. Uwielbiałem siedzieć w domu, kiedy Emma była w szkole, a tata w aptece. Miałem mamę tylko dla siebie.

Wychowałam się z siostrą, więc doskonale rozumiałam, co ma na myśli.

– Oczywiście musiałem się nią dzielić z tobą, ale to mi nie przeszkadzało. Kochałem cię, mówię szczerze. Nie pamiętasz tego, ale byłem twoim idolem. Chodziłaś za mną z pokoju do pokoju i prawie zawsze potrafiłem cię powstrzymać...

– Od czego?

– Od przeszkadzania mamie. Byłaś nieznośna. Mam na myśli to, że marudziłaś. Potrzebowałaś opieki. A od czasu do czasu miewałaś złe dni, podobnie jak wszystkie małe dzieci.

– Był to właśnie jeden z takich dni?

Odwrócił się ode mnie, zdarł etykietę z butelki po piwie i przesunął palcem po jej krawędzi.

– Tamtego dnia byłaś nieznośna. Zmęczona albo w złym humorze, a ja jak zwykle próbowałem pomóc. Ale mama była u kresu wytrzymałości. Czasem się na ciebie wściekała. A kiedy wściekała się na ciebie, traktowała mnie chłodno. Zniosła cię na piętro i zamknęła w sypialni. Nie lubiłaś, gdy drzwi do sypialni były zamknięte. Mama położyła się do łóżka, ale nie przestawałaś płakać. Nie chciałem, żebyś ją obudziła.

Odstawił pustą butelkę.

– Mama kazała mi cię zostawić w spokoju, żebyś się wypłakała, ale wrzeszczałaś jak opętana, Sammy... Więc zakradłem się do twojego pokoju. Próbowałem cię uspokoić. Była wiosna, pojawiły się młode ptaki. Przed oknem twojej sypialni rósł duży ambrowiec i było na nim ptasie gniazdo. Kardynałów szkarłatnych. Uwielbiałaś je.

W moim umyśle pojawił się obraz małego czerwonego ptaka. Czy przypomniałam sobie wygląd kardynała szkarłatnego, czy tamten dzień?

– Otworzyłam okno, żebyśmy lepiej słyszeli ich śpiew, ale chciałaś podejść bliżej. Więc ja... – Urwał i westchnął. Jego dolna warga drżała. – Więc wyprowadziłem cię przed dom, na podwórko od frontu, do ambrowca. Chciałaś popatrzeć na gniazdo przez lornetkę taty. Nazywałaś ją „długimi okularami”. Ale lornetka znajdowała się w domu.

Nie był w stanie na mnie patrzeć, a gdyby nawet spojrzął, wątpię, czy coś by zobaczył z powodu łez, które spływały mu po policzkach i zbierały się na brodzie.

– Zostawiłem cię tylko na pięć minut, Kim, przysięgam na Boga. Pięć cholernych minut. A kiedy wróciłem...

– Zniknęłam – dokończyłam. – Dlaczego nikomu nie powiedziałaś?

– Bo miałem dziewięć lat, byłem przerażony, nie chciałem mieć kłopotów, a poza tym... w głębi duszy czułem także ulgę.

Ostatnie słowo przerwało tamę. Opuścił głowę na kolana i szlochał jak skrzywdzone dziecko. Od dwudziestu ośmiu lat miał wyrzuty sumienia. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak ropiała w nim ta rana.

– Bardzo mi przykro, Sammy – powiedział, próbując złapać oddech. Z jego nosa kapał śluz. Osunął się na podłogę i ukrył twarz w dłoniach. Znowu wyglądał jak dziewięciolatek.

– Wszystko w porządku – wybąkałam, ale słowa zmieniły się w moich ustach w bełkot. Usiadłam obok Stuarta i położyłam mu dłoń na ramieniu. Zachnął się, po chwili zadygotał. Objęłam go i mocno przytuliłam.

– Nic się nie stało, Stu. Już po wszystkim. Byłeś po prostu dzieckiem, byłeś...

– Nie mów tak – przerwał. Odsunął się ode mnie i szybko wstał. – Właśnie, że się stało, Kim. Na pewno nic nie jest w porządku.

– To dawne czasy, Stuart – rzekłam.

– Przestań!

– Miałeś dziewięć lat.

– Milcz.

– Stuart...

– Nie waż się, Kim – powiedział. – Nie waż się mnie rozgrzeszać!

– Posłuchaj...

– Nie o to mi chodzi. Nie chcę twojego przebaczenia i go nie przyjmę.

Wszedł do łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi. Pomyślałam o ludziach, których zraniło moje zniknięcie, którym zniszczyło życie, o wylanych łzach, wszystko z powodu jednej osoby. Carol Leamy. B e c k y C r e e h.

Klucz do toyoty prius Stuarta leżał w posrebrzanej misie na toalecie koło drzwi. Chwyciłam go i wyszłam.

Kaplica Kościoła Wewnętrznej Światłości znajdowała się na przedmieściach Manson i nie było łatwo ją odnaleźć na mapie, a jeszcze trudniej w rzeczywistości i po ciemku. GPS w moim telefonie wyświetlał niebieski punkt w środku czarnego pola. W czasie piętnastominutowej jazdy nie spotkałam na drodze innego samochodu.

Dotarłam do drogi gruntowej bez nazwy. Na skrzyżowaniu stała tablica z ręcznie namalowanym napisem „Droga do Światłości”. Skręciłam i przejechałam osiemset metrów. Korony drzew tworzyły łuk wznoszący się nad drogą i zasłaniający niebo. Nawet w środku dnia droga do Światłości biegła w mroku.

Kiedy toyota wjechała na dużą polanę, wewnątrz samochodu zalał blask księżyca i miałam niesamowite wrażenie, że znam to miejsce. W środku polany stała kaplica – duży, niski budynek z czerwonym krucyfiksem namalowanym nad wejściem. Około

trzydziestu metrów od kaplicy znajdował się drugi budynek bez okien. W środku paliło się światło.

Zatrzymałam wóz na błotnistym parkingu z przodem samochodu zwróconym w stronę drogi dojazdowej i wysiadłam. Na parkingu stał tylko jeden inny pojazd: smukły czarny motocykl Yamaha. Jego silnik był w dalszym ciągu ciepły i wydawał ciche dźwięki.

– Dobry wieczór, niespodziewany gościu! – Dale Creech musiał usłyszeć mój przyjazd. Wyszedł z mniejszego budynku i szedł po trawie w moją stronę, trzymając w ręku węża.

Instynktownie cofnęłam się o krok i o mało nie przewróciłam motocykla Creecha. Zakołysał się, lecz odzyskał równowagę.

Pastor się roześmiał.

– Och, nie przejmuj się Anną. To grzechotnik, ale ma duszę małego kotka. Chcesz ją potrzymać?

Wyciągnął w moją stronę węża jak starszy brat straszący siostrę pajakiem. Wąż wił się leniwie w jego ręku. Był gruby i krótki, pokryty jasnobrązowymi trójkątami, które wydawały się szare w świetle księżyca. Nie widziałam jego głowy – znajdowała się za kciukiem Creecha – ale dostrzegłam grzechotkę, która na szczęście była nieruchoma.

– Nie – odpowiedziałam.

Pogłaskał Annę wolną ręką i rzekł:

– Miło znowu cię widzieć, Kim. A może nazywasz się teraz Sammy?

– Ciągle Kim – odparłam.

Zrobił krok do przodu, a ja znowu się cofnęłam, spoglądając na grzechotnika w jego ręku.

– Położę Annę spać, a potem zaparzę ci kawy. – Wskazał kaplicę. – Wejdź do środka, zaraz tam przyjdę.

Ruszył w mroku w stronę mniejszego budynku, gdzie, jak się domyśliłam, trzymano węża. Jego stopy pozostawiały płytkie wgłębienia w trawie. Był bosy.

Kaplicę oświetlały jasnożółte świetlówki. Spodziewałam się ujrzeć mroczne miejsce kultu, w którym płoną świece rzucające długie cienie, ale kaplica przypominała raczej

dom kultury: była surowa, czysta i nowoczesna. Pod ścianą stało w stosach około stu plastikowych krzeseł. Kiedyś wykorzystywano je wszystkie, ale teraz, jeśli wierzyć Sandy Went, Kościół Wewnętrznej Światłości miał zaledwie kilku wiernych.

W przedniej części kaplicy nie stała ambona, tylko długie szklane terrarium wysypane czerwonym piaskiem. Na szczęście w środku nie było węży. Oparłam dłoń na krawędzi i usiłowałam sobie wyobrazić, jak można się czuć w czasie tańca wśród jadowitych węży ku chwale Boga.

Za moimi plecami otworzyły się drzwi. Odwróciłam się, spodziewając się, że zobaczę wielbnego Creecha, lecz zamiast tego ujrzałam mężczyznę utkanego z cieni. Przed drzwiami kaplicy stała postać z moich koszmarów, z długimi, wąskimi rękami wiszącymi wzdłuż ciała.

Poczułam ucisk w piersi.

Mężczyzna utkany z cieni stanął w świetle i zmienił się w Dale'a Creecha, bosego, ubranego w zakurzone džinsy, z parującym szklanym imbrykiem do kawy w ręku. Nagle zdałam sobie sprawę, że nikt nie wie, że tu jestem, nawet Stuart.

Creech się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko kawie bez kofeiny?

Usiedliśmy przy stole w rogu kaplicy. Creech napełnił kawą dwie filiżanki. W kaplicy budynku panowała nienaturalna cisza, jakby pastor uciszył świerszcze i wiatr.

– Czemu zawdzięczam twoją miłą wizytę? – spytał.

– Chciałam pana prosić, żeby pan zerknął na pewną fotografię.

Wyjęłam z portfela zdjęcie paszportowe Carol Leamy. Zrobiono je w ośnieżonym krajobrazie mniej więcej w 2007 roku, w okresie przed wykryciem raka. Carol się uśmiechała, miała na głowie czerwoną wełnianą czapkę. Była ubrana w ciężką, nieforemną puchową kurtkę, ale wydawała się szczęśliwa i pełna energii. Prawdziwa mama.

Kiedy wręczałam Creechowi fotografię, miałam wrażenie, że za chwilę ostatni fragment łamigłówki znajdzie się na swoim miejscu. Lada chwila rozpozna w Carol swoją siostrę, Becky, i wydarzy się cud: nastąpi ostatni obrót kostki Rubika. Zastanawiałam się, czy właśnie tak czuł się Stuart, gdy otworzył szarą kopertę i pokazał

mi zdjęcie Sammy Went.

– Poznaje ją pan? – spytałam.

Creech spojrział na fotografię. Obserwowałam jego reakcję, ale z niczym się nie zdradził.

– Nie, nie znam tej kobiety. Przykro mi.

– Jest pan pewien?

Popatrzył jeszcze raz.

– Całkowicie. Z pani miny wynika, że nie jest to odpowiedź, której pani oczekiwała.

– Mógłby pan spojrzeć jeszcze raz?

– Patrzyłem już dwa razy.

– Niech pan popatrzy po raz trzeci.

Spojrział jeszcze raz na fotografię i pokręcił głową.

– Nigdy w życiu jej nie widziałem. – W jego głosie nie było cienia wahania. Oddał zdjęcie i patrzył mi w oczy. Nie odwracał wzroku. Jeśli kłamał, musiał przekonać nawet samego siebie. – Przepraszam, że nie mogłem pomóc. Ma to jakiś związek z porwaniem?

– Ciągle widuje pan swoją siostrę, pastorze?

Żachnął się. Ledwo zauważalnie, a jednak.

– Siostrę?

– Becky – odpowiedziałam.

– Skąd wiesz o Becky?

– Często ją pan widuje?

– Nie.

– Kiedy ostatnio pan z nią rozmawiał?

– Dlaczego pytasz o moją siostrę?

– Ciągle mieszka w Manson? – spytałam. – Słyszałam, że wyjechała.

– Gdzie to słyszałaś?

– To prawda?

Wypił łyk kawy, splótł i rozplótł dłonie. Uspokoił się. Kiedy znowu się odezwał, mówił lekkim, śpiewnym tonem, którym przemawiał przed mieszkaniem Molly.

– Becky jest daleko stąd.

– Gdzie? – spytałam.

– Pamiętasz coś? – odparował. – Pamiętasz, co się wydarzyło?

– Niewiele – odpowiedziałam.

– Pamiętasz, że tu byłaś?

– Ja...

– Pamiętasz tamten dzień? – Creech nagle wstał. Nawet bez butów był wysoki, miał szeroką pierś, mocne ramiona. – Jesteś religijna, Sammy?

Ogarnął mnie strach, poczułam na plecach gęsią skórkę.

– Nie. I nazywam się Kim.

– Wierzysz w Szatana?

– Nie.

Dolał sobie kawy.

– Kto żyje i nie zdaje sobie sprawy, że odpowiada przed Bogiem za swoje czyny, dryfuje bez celu po mrocznym oceanie pełnym potworów.

„Im głębiej wchodzisz, tym ciemniejsza staje się woda”, szepnął w mojej głowie Dean.

– Moim sterem jest Bóg, Sammy – powiedział Creech. – To, czy w Niego wierzysz, czy nie, niczego nie zmienia. Bóg jest rzeczywisty, podobnie jak Szatan. Czuję w tym pokoju obecność Boga, ale także obecność Szatana. Widziałem, że przybiera różne postacie, i podejrzewam, że ty także.

Okrążył stół i zdmuchnął parę ze swojej filiżanki.

– Widziałaś kiedyś Szatana, Sammy?

– Nazywam się Kim.

– Czulaś jego obecność?

– Nie.

– Ach, wątpię, czy to prawda. Jeśli znasz kogoś, kto za dużo pije, kto nie chce zmarnować ani kropli alkoholu, wtedy czujesz obecność Szatana.

Zaschło mi w ustach.

– Jeśli znasz ludzi, którzy czytają horoskopy albo *Harry’ego Pottera*, próbują rozmawiać z duchami za pomocą ouija, popierają aborcję, uprawiają seks przedmałżeński, grają w gry komputerowe, lubią satanistyczne horrory, uprawiają seks

z osobami tej samej płci jak twój ojciec... Jeśli znasz takich ludzi, Sammy, czułaś obecność Szatana.

Creech otworzył szeroko oczy i zobaczyłam w nich panikę – panikę i wściekłość.

– Wiem, dlaczego tu przyjechałaś, Sammy.

– Niech pan zaczeka...

Spóźniłam się. Creech płynnym ruchem zacisnął dłoń na imbryku i uderzył mnie mocno w skroń.

REDWATER, KENTUCKY

TERAZ

Ellis przyjechał do Redwater o wpół do siódmej, na pół godziny przed randką. Zaparkował samochód – prywatnego ciemnożółtego datsuna – naprzeciwko włoskiej restauracji Barracuda i czekał.

Miał mnóstwo powodów, by odwołać randkę z Sue Beady, jasnowłosą kobietą, która odpowiedziała na jego ogłoszenie, i podejrzewał, że kilku zastępców szeryfa żałuje, że tego nie zrobił. Pozostawił w Manson okropny bałagan, ale uporządkuje wszystko jutro. Dziś pójdzie na randkę z Sue Beady, zje pyszną pizzę, a później odwiezie Sue do domu. Pocałuje ją na dobranoc – w usta, jeśli pozwoli – i wróci do Manson.

Miał ochotę wyrwać się na kilka godzin z miasta. Redwater było siódmym co do wielkości miastem w stanie Kentucky, położonym pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Manson. Ellis dobrze je znał. Mieszkała tu kiedyś jego ciotka Ida, siedziała na werandzie na rozklekotanym fotelu bujanym i patrzyła na toczące się życie. Teraz spoczywała na cmentarzu w Redwater.

Miasto zmieniło się od czasów, gdy odwiedzał je co miesiąc jako chłopiec.

Było wtedy w rozkwicie, ale po zamknięciu tartaku w 1966 roku przeżyło poważny kryzys ekonomiczny. Później, w siedemdziesiątym drugim, rząd wykupił dwie dzielnice i wysiedlił mieszkańców. Ciocia Ida zdołała zachować dom, ale wielu jej przyjaciół nie miało tyle szczęścia.

Wykupione domy zamierzano wyburzyć, a ziemię włączyć do parku narodowego otaczającego Redwater, co Ellis zawsze uważał za rozsądny pomysł. Jednak biurokracja spowodowała, że plany te pozostawały w zawieszeniu aż do 1986 roku, kiedy z niezupełnie jasnych powodów rząd zwrócił ziemię miastu. Obecnie tamta część

Redwater była w większości niezamieszкана; pojawiali się tam tylko włóczędzy i narkomani.

„Postęp”, pomyślał Ellis i zerknął na zegarek. Minęło osiem minut.

Ustawił lusterko wsteczne, by przyrzeć się swojemu odbiciu. Widok był jak zwykle rozczarowujący, ale prezentował się najlepiej, jak to możliwe. Przynajmniej ładnie pachniał, bo spryskał się wodą toaletową Aquatic Mist, wyciągniętą z policyjnego magazynu rzeczy znalezionych.

Znowu spojrzął na zegarek. Minęła zaledwie minuta, więc wysiadł z samochodu i wybrał się na przechadzkę ruchliwą ulicą. Słyszał, jak trzeszcza mu stawy nóg. Ciało Ellisa czuło się zmęczone – bo naprawdę było zmęczone – jednak umysł miał dziwnie jasny i bystry.

„Czy powinienem za to podziękować Sue Beady? – zastanawiał się. – A może Johnowi Reglerowi?” Archiwa wojskowe potwierdziły tożsamość weterana, a dokumentacja szpitalna zapewniła mu alibi, co oznaczało, że zastrzelony mężczyzna leży na metalowym stole w podziemiach Szpitala Miłosierdzia w Manson bez żadnego sensownego powodu.

„Zostaw nas w spokoju!” – wrzasnął, atakując szeryfa. W tamtej chwili Ellis był pewien, że napastnik ma na myśli siebie i Sammy. Teraz wydawało się bardziej prawdopodobne, że mówił o głosach w swojej głowie – a może do nich?

Próbując zabić czas i zapomnieć o Manson, Ellis wszedł do niewielkiego sklepu wielobranżowego. Pamiętał, że na początku nazywał się on Sklepik Osiedlowy Gerry’ego, ale wielokrotnie zmieniał właścicieli, więc teraz nosił po prostu nazwę Sklepik Osiedlowy.

Kasjerka stojąca za ladą gapiła się w niewielki, czarno-biały telewizor. W wiadomościach mówiono o Sammy Went. Na ekranie pojawił się portret pamięciowy sporządzony przez Terry’ego Baumonta. Informacje o Johnie Reglerze i okolicznościach jego śmierci nie dotarły jeszcze do mediów. Ellis będzie musiał zwołać następną konferencję prasową. Na myśl o tym ogarniały go mdłości.

Spacerował po sklepie i jego uwagę zwróciły kolorowe kwiaty wystawione na sprzedaż. Zastanawiał się, czy przyniesienie kwiatów na pierwszą randkę nie byłoby przesadą. Pod plakatem z napisem „Wybrane wczorajsze róże z rabatem 50%” stał

wysoki, chudy klient z krótko ostrzyżonymi włosami i kilkudniowym zarostem. Miał na sobie tani garnitur, ale wyglądał nieźle. Trzymał pod pachą koszyk i spoglądał na stoisko z cukierkami. Wydawało się, że nie może się zdecydować, czy wybrać żelki, czy batoniki. Spoglądał na nie niepewnie, po czym wziął opakowanie każdego.

Z początku Ellis nie rozumiał, dlaczego obserwuje tego mężczyznę. Patrzył na niego machinalnie. Czasem reagował w taki sposób: instynktownie zwracał uwagę na pewne rzeczy i dopiero później rozumiał, co go zainteresowało. Nagle doznał olśnienia.

T o P a t r i c k E c k l e s.

Ostatni raz widział Patricka w sądzie, gdy ogłoszono wyrok. Zastanawiał się przez chwilę, czy do niego nie podejść, ale zawahał się, kiedy Patrick przeszedł do stoiska z zabawkami. Pod półką z lalkami i plastikowymi figurkami stała duża skrzynia wypełniona po brzegi pluszakami.

„Cukierki i pluszak”, pomyślał Ellis. Trochę dziwne zakupy jak na byłego więźnia. Ale, do licha, każdy może robić to, na co ma ochotę. Może uzależnił się od cukierków w Greenwood i potrzebuje pluszaka, by przypominał mu o dzieciństwie?

Jednak musiało się za tym kryć coś więcej. Ellis wiedział o tym. Nie, nie tylko wiedział; c z uł.

Patrick wyjął ze skrzyni jasnozielonego pluszowego żółwia, uśmiechnął się, a następnie ruszył w stronę lady. Ellis ukrył się w stoisku z mrożonkami, by Eckles go nie zauważył. Spojrzał na zegarek. Była za kwadrans ósma. Do randki zostało piętnaście minut, więc postanowił śledzić Patricka.

Eckles wsiadł do bordowego kombi AMC Eagle, model z 1985 roku. Ellis wślizgnął się do swojego datsuna i jechał za nim w bezpiecznej odległości. Patrick ruszył na zachód, nie w stronę Manson, jak spodziewał się Ellis. Zmierzał w stronę opuszczonej części Redwater, gdzie wzdłuż ulic stały sklepy zabite deskami, zrujnowane domy i odrapane budynki. Gdzieś widać było spalony samochód stojący w połowie na chodniku, w połowie na jezdni. Na ulicach walały się przewrócone pojemniki na śmieci. Nawierzchnia jezdni była pełna dziur.

Ellis doszedł do wniosku, że Patrick prawdopodobnie jedzie kupić narkotyki. Nie zamierzał go aresztować z tego powodu: nie chciał tracić randki z Sue Beady, a poza tym nie miał ochoty na udział w formalnościach, które musiałyby potem nastąpić. Przed

zniknięciem Sammy aresztowanie byłego więźnia pod zarzutem posiadania narkotyków byłoby powodem do dumy. W tej chwili nie chciał zawracać sobie głowy takimi drobnostkami.

Mimo to może sprawdzić, gdzie dojdzie do transakcji; później przekaże tę informację policjantom z Redwater. Wtedy będzie to ich problem.

Patrick zaparkował samochód w ciemnej uliczce przed starym blokiem mieszkalnym z rzędami wybitych okien. Ellis zatrzymał się przy krawężniku i siedział w wozie. Obserwował, jak Patrick wyjmuje sprawunki z tylnego siedzenia kombi, a następnie idzie z nimi w stronę bloku.

Była to kraina śmierci. Latarnie uliczne nie działały, w budynku z pewnością nikt nie mieszkał, jednak Patrick zachowywał się swobodnie jak człowiek wracający do domu po pracy.

Ellis zerknął na zegarek: była punkt ósma. Gdyby się pośpieszył, mógłby dotrzeć do restauracji za dziesięć minut. Późno, ale nie za późno. Zanotował adres bloku mieszkalnego.

„Masz to, co chciałeś zdobyć – pomyślał. – Dama nie powinna czekać, to niegrzeczne, nie sądzisz?”

Mimo to wyłączył silnik, wysiadł z samochodu i ruszył w stronę bloku.

Kiedy szedł chodnikiem i zbliżył się do wejścia do budynku, pod stopami chrzęściły mu kawałki potłuczonego szkła. Drzwi frontowe były roztrzaskane. Ellis musiał unieść i odstawić na bok lewe skrzydło, by wślizgnąć się do środka.

Wszedł do ciemnego holu pokrytego odłamkami szkła; na podłodze leżało około dziesięciu zużytych strzykawek. Na końcu korytarza pod drzwiami jednego z mieszkań widać było światło. Wydawało się zbyt mocne jak na świecę. Ellis domyślił się, że ktoś rozpałił ogień, może w zardzewiałej metalowej beczce po oleju napędowym; w filmach wokół takich beczek stoją włóczędzy.

„Świetnie”, pomyślał. Masz adres domu, gdzie odbywa się handel narkotykami, a teraz również numer mieszkania. Jeśli zaraz stąd odejdziesz, trochę się spóźnisz, ale nic się nie stanie: to teraz modne.

Westchnął i ruszył korytarzem.

Kiedy zbliżył się do drzwi mieszkania, usłyszał trzask ognia i cichą rozmowę. Głos

kobiety. Może Patrick umówił się z dziwką? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej logiczne się to wydawało. Patrick odsiedział zaledwie trzy lata, ale jest tylko człowiekiem. Ellis nie wiedział, czy w Redwater istnieje prostytutka, jednak w takim dużym mieście wydawało się to prawdopodobne. Poza tym tam, gdzie są narkotyki i bieda, zawsze pojawiają się również dziwki.

Nagle usłyszał trzeci głos. Głos dziecka. Tak, znowu się pojawił: senny głos dziewczynki.

Ellis wpadł przez drzwi do mieszkania, nim zrozumiał, co właściwie robi. Migotliwe płomienie oświetlały pokój dziwnym światłem: stara kanapa, wojskowe łóżko polowe, ogień w starej beczce po oleju napędowym – właśnie tak to sobie wyobrażał.

Później zobaczył Patricka klęczącego na podłodze. Patrzył na niego z przerażonym wyrazem twarzy. Trzymał na rękach dziecko, pulchną dwuletnią dziewczynkę z gęstymi czarnymi włosami i oczami lśniącymi żółtawo w świetle ognia.

– Nie – odezwał się Patrick.

– Sammy. – Ellis odruchowo sięgnął po czterdziestkępiątkę, ale nie miał jej przy sobie. Zostawił piolet w domu. Zabieranie broni na randkę gwarantuje, że nie będzie następnej randki. – Sammy Went...

Patrick szybko wstał i mocno przycisnął Sammy do piersi. Rozplakał się.

– Proszę, zaczekaj...

Ellis nie chciał czekać.

– Wszystko skończone, Patrick.

– Nie, zaczekaj, to przecież...

Dopiero wtedy Ellis zdał sobie sprawę, że Patrick nie mówi do niego, ale do kogoś stojącego z tyłu, po lewej stronie. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył drobną kobietę z ciemnymi włosami; trzymała w rękach strzelbę myśliwską.

– Becky, zaczekaj... – Patrick ruszył w jej stronę. Jedną ręką mocno trzymał Sammy, a drugą wyciągnął w stronę strzelby.

Ellis nie słyszał strzału i nie czuł bólu. Żył, a potem po prostu przestał żyć.

Chester bardzo się spodobał Sue Beady. Rozmawiali tylko raz, dość krótko, ale wydawał się sympatyczny i uczciwy. Mógłby się nawet okazać kimś, z kim mogłaby

spędzić resztę życia, choć nie powiedziała mu tego na pierwszej randce. Doskonale rozumiała, że nie należy szarżować.

Siedziała przy oknie restauracji i patrzyła na samochody przejeżdżające ulicą. Podszedł do niej kelner i zamówił lampkę białego wina. Kiedy je przyniósł, szybko opróżniła kieliszek i zamówiła następny.

Czekała długo. Dłużej niż powinna. Czekala, aż wreszcie zatłoczona restauracja opustoszała, a personel rozpoczął wieczorny rytuał sprzątnięcia. W końcu kelnerka obróciła tabliczkę na drzwiach, zmieniając „OTWARTE” na „ZAMKNIĘTE”.

Sue wstała, zebrała swoje rzeczy i zapłaciła rachunek, zawstydzona i przygnębiona. Szkoda. Cholerna szkoda. Chester wydawał się taki sympatyczny...

MANSON, KENTUCKY

TERAZ

Powoli odzyskałam przytomność, patrząc na migające światła na suficie. Nie mogłam się zorientować, ile czasu minęło. Bardzo bolała mnie głowa. Miałam rozpaloną, spoconą twarz, nie czułam prawego ucha i widziałam wszystko jak przez mgłę, jakbym próbowała wyjrzeć przez okno pokryte strugami deszczu.

Moja komórka zniknęła i byłam bosa.

Usiłowałam poruszyć głowę, ale nie mogłam. Wsparłam się na łokciu, jednak natychmiast opadłam na posadzkę. Oddychałam głęboko i usiłowałam się zorientować, gdzie jestem. Znajdowałam się w niskim pomieszczeniu bez okien, nienaturalnie ciepłym.

Wróciły mgliste, poszarpane wspomnienia. Imbryk do kawy. Mężczyzna utkany z cieni.

W polu widzenia pojawiał się od czasu do czasu pastor Creech, który krążył po budynku.

Powoli odzyskiwałam zdolność widzenia. Zobaczyłam ściany, przy których stały rzędy niewielkich szklanych pojemników. „Węże”, pomyślałam.

Po mojej lewej stronie coś brzęczało. Mogła to być lampa grzewcza.

Creech przeszedł nade mną, stawiając brudne stopy po obu stronach mojej głowy. Trzymał w ręku plastikowe wiadro. Z boku znajdował się kawałek taśmy samoprzylepnej z nagryzmołonym napisem. Skupiłam z wysiłkiem wzrok i po chwili odczytałam słowo „kolacja”.

Oderwałam oczy od wiadra i popatrzyłam na brudne dżinsy Creecha. Usiłowałam powiedzieć „proszę”, ale z moich ust wydobył się tylko bełkotliwy dźwięk. Pl o se.

Creech bez słowa zdjął pokrywę z wiadra i obrócił je do góry nogami. Wyleciało z niego kilkanaście drobnych zwierząt, które wylądowały na mojej piersi i twarzy. Myszy. Jedna pisnęła ze strachu i przebiegła mi nad lewym okiem, pozostawiając na moim czole lepkie ślady krwi.

Próbowałam otrzeć krew, ale nie miałam siły. Ledwo zdołałam unieść rękę.

Większość myszy się rozbiegła, jednak część pozostała na swoich miejscach. Jedna wpełzła mi pod T-shirt i przywarła do mojego brzucha.

– Nie... – wykrztusiłam.

Creech nie zwracał na mnie uwagi. Podszedł do jednego ze szklanych pojemników, zdjął wieko i wyjął grubego grzechotnika metrowej długości. Cisnął go do tyłu z obrzydliwą pewnością siebie. Wąż wylądował gdzieś obok moich stóp. Usłyszałam, jak pełźnie po posadzce.

Gorące powietrze miało słodką, mdlącą woń.

Creech podszedł do następnego pojemnika i zdjął pokrywę. Wyjął kolejnego węża. Ten nie miał grzechotki, ale wydawał się wyjątkowo dziwny; zauważyłam niebieskie pasy biegnące wzdłuż jego ciała. Wił się szybko w dłoniach Creecha, wydawał się agresywny. Creech rzucił go na nogawkę moich dzinsów. Poczułam ciężar gada i ogarnęły mnie mdłości.

Stopniowo odzyskiwałam przytomność i poczułam strach. Głęboki, brutalny, pierwotny lęk, jakiego jeszcze nigdy nie doznawałam. Creech chodził od pojemnika do pojemnika, wyjmował węże i rzucał je na posadzkę. W większości grzechotniki, ale były też inne gatunki, których nie poznawałam. Jeden był zupełnie czarny i miał małe żółte ślepia. Wylądował na posadzce, a później szybko wpełzł na moje prawe ramię i znieruchomiał.

Po chwili usłyszałam grzechot. Grzechotniki wydawały ostrzegawczy dźwięk, podekscytowane obecnością myszy, moim strachem albo szaleństwem Creecha – może wszystkim jednocześnie. Barak wypełnił się przerażającymi odgłosami.

Moje ręce leżały luźno obok ciała. Mogłabym nimi poruszyć, ale za bardzo się bałam. Kątem oka widziałam wijące się długie, ciemne kształty.

Kiedy wszystkie szklane pojemniki były puste, Creech wrócił. Oparł brudną bosą stopę na mojej piersi i nacisnął, tak że prawie nie mogłam oddychać. Po chwili namysłu

wziął czarnego węża siedzącego na mojej nodze i trzymał go nad moją głową. Na początku wąż wił się wściekle w jego ręku, ale kiedy Creech wbił mu kciuk i palec wskazujący w podstawę czaszki, gad znieruchomiał.

Pastor spojrzał mi w oczy i powiedział:

– Jak napisał w Piśmie Świętym święty Piotr: „Przeciwnik wasz, diabeł, chodzi wokoło jak lew ryczący, szukając, kogo by pochłonać” [13](#).

Nie mówił do mnie, tylko p r z e m n i e. W jego oczach lśniło szaleństwo.

– Tę dziewczynę nawiedził i opętał Szatan, ale teraz wygnają go węże.

Położył węża na kroku moich dzinsów. Zwierzę poruszyło się, trąciło łbem mój brzuch, po czym zwinęło się w kłębek.

– „Nowymi językami mówić będą [14](#) – rzekł głębokim, pustym głosem. – Węże brać będą, a choćby coś trującego wypili, nie zaszkodzi im” [15](#). Amen. „Na chorych ręce kłaść będą, a ci wyzdrowieją” [16](#). Amen.

Odsunął ręką grubego, jasnobrązowego węża i uklęknął obok mnie.

– Czujesz Go w tej szopie, Sammy? Bóg nadchodzi. Czujesz Światłość?

Spojrzał na świetlówki na suficie. Mignęły jeden raz.

– Jest tutaj. Czujesz Go, Sammy?

Gruby stary grzechotnik leniwie zaatakował kolano Creecha, który uderzył go wierzchem dłoni. Hałaśliwy grzechot stał się jeszcze głośniejszy i odbijał się echem od niskiego sufitu.

Zaschło mi w gardle i miałam zaciśnięte wargi, ale byłam w stanie odpowiedzieć.

– Nie... – wykrztusiłam. – P r o s z ę...

– Chcę usłyszeć, jak to mówisz, Sammy – rzekł Creech. – Chcę usłyszeć, jak mówisz „amen”.

– Proszę... Nikomu nie powiem.

Ujął palcami mój podbródek i ścisnął.

– Wyjdiesz z tego budynku, jeśli taka będzie wola Boga. Jestem tylko Jego narzędziem. Teraz chcę usłyszeć, jak mówisz „amen”.

– Ja...

Uderzył mnie w czoło. Znowu poczułam ból pulsujący w czaszce.

– Nie wyjdę stąd, dopóki nie usłyszę, jak mówisz „amen”, i ty też nie wyjdiesz.

– Amen.

– Głośniej.

– Amen.

Creech szeroko się uśmiechnął. Ruszył niedbale w stronę drzwi szopy, omijając węże, jakby były kałużami w czasie niedzielnego spaceru w deszczowy dzień.

Z mojego rękawa zeskoczyło kosmate zwierzątko i uciekło.

Creech otworzył drzwi i wyszedł. Do szopy wpadł powiew chłodnego powietrza, na chwilę rozpraszając chorą, nienaturalną wilgoć. Widziałam nad jego ramieniem nocne niebo i bardzo pragnęłam wyjść.

– Niechaj zawsze odnajduje cię Światłość – powiedział Creech. – I ty zawsze odnajduj Światłość.

Wyciągnął rękę, wyłączył lampy i zamknął za sobą drzwi. „Umrę w tej szopie”, pomyślałam, nim otoczyła mnie ciemność.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

Travis stał w biurze firmy Miller i Wspólnicy. Spoglądał na Manson. Ulice były puste. Zepsuta lampa na Womack Street zapalała się i gasła. Billboard na rogu Streng Street i Collins Street reklamował nowy bar z burgerami. Przedstawiał ogromne kobiece wargi zaciśnięte na burgerze. Było tylko kwestią czasu, nim ktoś namaluje na nim sprejem penisa.

„Muszę wyjechać z Manson”, pomyślał Travis.

Miller i Wspólnicy zajmowali całe najwyższe piętro trzykondygnacyjnego budynku Manson Business Park. Miało tam swoje siedziby wiele średniej wielkości firm, na przykład kancelaria adwokacka Brown oraz firmy budujące baseny, instalujące klimatyzację i drzwi antywłamaniowe.

Travis lubił przebywać w tym budynku po zmroku. Zabawnie było wyobrazić sobie, jak wygląda w ciągu dnia, gdy roi się w nim od ludzi. Biuro składało się z dużych sal; nie podzielono ich przepierzeniami na stanowiska pracy i stały w nich długie białe stoły. Ściany, pomalowane na pastelowoniebieski kolor, wyglądały dziwnie uspokajająco. Oczywiście tego wieczoru nie mogły uspokoić Trávisa. Lekarstwa zapisane przez doktor Redmond przestały działać i pulsował mu w głowie ból.

Znalazł w kieszeni obszernego kombinezonu buteleczkę ze środkiem przeciwbólowym, wsunął do ust dwie tabletki, przełknął na sucho i potarł skronie.

Na końcu sali, za szklaną ścianą znajdował się duży gabinet. Travis wyobrażał sobie, że może stać za nią wsparty pod boki szef, który obserwuje pracę podległych księgowych. Czując się jak złodziej, wszedł do gabinetu, by odkurzyć podłogę. Wycie odkurzacza SuckDuck sprawiło, że przez czaszkę przebiegły mu fale bólu, ale nie mógł

brać następnych zwolnień chorobowych, a małe plastikowe kosze na śmieci same się nie opróżnią.

Kiedy ból stał się nieznośny, wyłączył odkurzacz, zdjął plecak i usiadł w głębokim, skórzanym fotelu szefa. Przebywanie poza godzinami pracy w takich miejscach – biurach, szkołach, we wrotkarni prowadzonej przez dalekiego kuzyna w Arlington – zawsze budziło w nim szczególną melancholię. Powinny być pełne ludzi, a kiedy ci rozeszli się do domów, wydawały się dziwnie puste.

Głośny klakson na zewnątrz znów wywołał nieznośny ból w głowie. Przełknął na sucho dwie następne tabletki przeciwbólowe, wstał i zmusił się do powrotu do pracy. Im szybciej skończy z wykładzinami dywanowymi, tym szybciej zabierze się do kuchni, łazienki, mebli... Westchnął i usiadł głębiej w fotelu.

Znowu rozległ się klakson. Dobiegał z parkingu. Travis podszedł do okna i spojrzał w dół. Pod dużą białą tablicą z napisem „Manson Business Park” stał Jack Went. Wsiadł z samochodu i spoglądał do góry. Kiedy zauważył w oknie Trávisa, wsunął dłoń do auta i zatrąbił po raz trzeci.

– Czego chcesz, Jack, do cholery? – powiedział Travis do szyby. Po chwili skupił wzrok na swoim odbiciu. Wyglądał koszmarnie. Bandaże były przesiąknięte krwią.

Kolejny klakson. Jack machał ręką, wskazując drzwi do budynku. Travis z ociąganiem zostawił w gabinecie plecak i odkurzacz, po czym zszedł na dół, by porozmawiać z przyjacielem.

Kiedy opuścił windę i znalazł się w holu, Jack opierał się o furgonetkę firmy sprzątającej. Travis podszedł do drzwi frontowych i wyszedł do niego. Jack zachnął się na widok zakrwawionych bandaży na twarzy przyjaciela.

– Boli? – spytał.

– Tylko kiedy nie śpię – odparł Travis. – Mam za sobą długi dzień, Jack. Czego chcesz?

– Porozmawiać. Przeprzić. Tak naprawdę prosić cię o wybaczenie.

Travis dotknął grzbietu złamanego nosa. Ból miał w sobie coś chorobliwie uzależniającego; przypominało to drapanie strupa albo dotykanie językiem wrzodu w ustach.

– Nic nie usprawiedliwia tego, co zrobiłem – ciągnął Jack. – Dokonałem wielu

niewłaściwych wyborów, Travis. Mogę tylko powiedzieć, że jest mi przykro. Przykro mi z powodu wszystkiego.

– To nie wystarczy, Jack.

– Ale to przynajmniej jakiś początek, prawda?

Travis spoglądał dłuższą chwilę na Jacka. Wydawał się starszy.

– Chcesz wejść na górę?

– Nie dzisiaj – odparł Jack. – Kiedy masz następną przerwę? Wybrałbyś się ze mną na burgera albo coś w tym rodzaju? Po prostu żeby pogadać.

– Nie martwisz się, że ktoś nas zobaczy?

– Już nie, Travis.

Tego wieczoru Travis wrócił do domu po jedenastej i ze zdziwieniem zauważył, że matka nie śpi. Póležała na zakurzonej kanapie na werandzie, otoczona puszkami po piwie i niedopałkami. Zajęła miejsce z dala od lampy, by móc obserwować z cienia Cromdale Street, ale metr od niej trzaskał elektryczny odstraszacz owadów, za każdym razem oświetlając pomarszczoną, starą twarz.

– Cześć, mamó – powiedział Travis.

– Co nowego, kochany?

– Co robisz?

– Zajmuję się swoimi sprawami, Travis – odpowiedziała i beknęła. – Poza tym czekam na deszcz.

Usiadł na schodkach prowadzących na werandę i popatrzył na niebo. W dali zbierały się chmury burzowe.

Znalazł w kieszeniach obszernego kombinezonu roboczego jeszcze dwie tabletki przeciwbólowe, a następnie banknot dolarowy. Wręczył go matce. W zamian dała mu piwo, którym popił lekarstwo.

– Patrick jest w domu? – spytał.

– Jeszcze nie.

– Dzwonił?

– Nie.

Ostatnio Travis często myślał o Patricku. Myślał również o Jacku i Sammy, ale

głównie o Patricku. Zaczął rozumieć związek Patricka z Becky Creech i w końcu nawet zrozumiał jego relację z Kościołem Wewnętrznej Światłości. Każdy wybiera własną drogę, a jeśli droga Patricka jest pełna węży i nabożnych zielonoświątkowców, czy Travis ma prawo to oceniać? Doskonale rozumiał, co oznacza zakochać się w niewłaściwej osobie.

Ava wypła łyk piwa. Błysnął odstraszacz owadów i Travis przez chwilę widział troskę na jej twarzy. Później na werandzie znów zapadła ciemność. Ava beknęła w mroku.

Siedział w ciszy obok matki, patrząc na Cromdale Street, w dalszym ciągu myśląc o Patricku, Jacku i Sammy. Czekał na deszcz.

MANSON, KENTUCKY

TERAZ

Zupełna ciemność. Nie było nawet cieniutkiej smugi światła pod drzwiami. Całkowity, kompletny mrok. A w mroku węże. Słyszałam ich ruchy w kątach pomieszczenia, na betonowej posadzce i wokół moich stóp. Czułam ciężar czarnego węża, który przeczołgał się z mojego brzucha między piersi i znieruchomiał.

Leżałam nieruchomo na plecach, skamieniała ze zgrozy, ale wiedziałam, że jeśli się poruszę, mogę zostać ugryziona.

Usłyszałam grzechot i krótki, ostry pisk umierającej myszy. Powietrze było gorące. Czoło pokrywały mi kropelki potu, czułam wilgoć pod pachami i na plecach.

Coś dotknęło mojej dłoni. Instynktownie poruszyłam ręką i z ulgą poczułam, że to futro, nie łuski.

Wąż na mojej piersi zaczął pełznąć w stronę szyi. Musnął językiem mój podbródek. Jeśli miałam się poruszyć, musiałam to zrobić natychmiast.

Oparłam rękę na betonowej posadzce, trzy razy głęboko odetchnęłam, a potem szybko przewróciłam się na bok. W mojej głowie eksplodował ból.

Wąż spadł ze mnie i wylądował obok z gniewnym sykiem. Szybko wstałam i cofnęłam się w ciemności, dysząc z przerażenia. Dotknęłam piętą krótkiego, grubego ciała przypominającego kielbasę. Gad odpełznął, szorując po betonie.

„Gdzie są te przeklęte drzwi?!” – pomyślałam. Kiedy przewróciłam się na bok, straciłam orientację i teraz przeklinałam się z tego powodu.

– Ratunku! – zawołałam. Głośny okrzyk sprawił, że za moimi oczami znowu eksplodował ból. – Stuart! Ratunku! Pomocy!

Nie mogłam liczyć na pomoc.

Do nogawki moich dzinsów wpełzła mysz. Gramoliła się do góry. Uderzyłam ją ręką i wypadła na beton. Między moimi stopami przesunął się długi, wąski kształt. Kopnęłam go i poleciał w mrok.

Wokół syczały i grzechotały węże.

Ruszyłam po omacku w ciemności i moja lewa stopa dotknęła ciasno zwiniętego grzechotnika. Był suchy i ciepły. Zagrzechotał tak blisko, że poczułam palcami nóg wibracje. Stałam w całkowitym bezruchu, obawiając się, że może mnie zaatakować, jeśli go kopnę albo się poruszę. Mogłabym pobiec do przodu, ale nie wiedziałam, w którą stronę. Nawet gdybym zdołała przeskoczyć węża u swoich stóp, posadzka rojąca się od gadów przypominała pole minowe.

Wokół pełzały w mroku ciemne, koszmarne kształty. Słyszałam ciche szuranie łusek na betonie.

„Rusz się – pomyślałam. – Musisz się na coś zdecydować”.

Nagle coś uderzyło mnie mocno w prawą nogę i zaczęło się szamotać. Wrzasnęłam i usłyszałam dziesięciokrotnie spotęgowane echo swojego krzyku.

Wąż w dalszym ciągu miotał się dziko przy mojej łydce. Wyciągnęłam rękę w jego stronę, zacisnęłam na nim palce. Usiłowałam go odrzucić, ale wczepił się we mnie. Zrozumiałam, że próbował mnie ugryźć i wbił kły w nogawkę dzinsów.

Grzechotnik miotał się coraz gwałtowniej, ogarnięty paniką. Tym razem szarpnęłam mocniej i zdołałam go oderwać. Wyciągnęłam rękę jak najdalej i rozluźniłam palce.

Nie byłam dostatecznie szybka. Błyskawicznie obrócił się w powietrzu i wbił zęby w wierzch mojej prawej dłoni.

„Ugryzł mnie!” – pomyślałam i poczułam przeszywający ból, jakby na mojej ręce zacisnął się stalowy potrzask na niedźwiedzie.

Wąż upadł ciężko na posadzkę i na szczęście odpełznął.

Wsunęłam zranioną dłoń pod pachę i krzyknęłam z bólu i strachu. Ból stopniowo narastał, przesunął się w stronę przedramienia.

Przypomniałam sobie to, co powiedział Stuart o swoim wuju Clydzie. „To straszna śmierć – mówił. – Jad grzechotnika niszczy nerwy, tkanki, nawet kości”.

Zrobiłam na oślep kolejny krok i moja stopa delikatnie dotknęła innego węża. Wbił zęby w moją bosą stopę. Kolejne ugryzienie. Znowu przeszywający ból.

Upadłam na kolana i zwymiotowałam. Smród moich rzygowin wypełniających barak sprawił, że zwymiotowałam jeszcze raz.

Zaczęły mi puchnąć ręce. Oddychałam z coraz większym trudem. Czułam intensywny ból. Mąciło mi się w głowie i wkrótce myśli stały się poplątane, odległe.

Usiłowałam wstać, lecz ugięły się pode mną kolana. Chwyciłam skraj terrarium, by utrzymać równowagę i strąciłam je na posadzkę. Roztrzaskało się z hukiem. W tej chwili szłam po potłuczonym szkłe, które kaleczyło moje bose stopy, ale prawie tego nie czułam. Prawie nic nie czułam. Przestałam zwracać uwagę na wilgoć, zapach myszy i rzygowin, nie słyszałam szurania węży poruszających się wokół moich stóp, nie czułam nawet strachu.

Wyciągnęłam rękę w ciemności w nadziei, że odnajdę klamkę drzwi. Nie spodziewałam się niczego znaleźć, ale znalazłam... nic.

Chociaż nie widziałam w mroku jej koloru, wiedziałam, że jest czerwona, podobnie jak nic, którą wyobrażałam sobie obwiązaną wokół talii Sammy Went w głębinach mojego umysłu. Była miękka, podobna do jedwabiu. Kiedy zacisnęłam na niej palce, usłyszałam głos: „To nie jest prawdziwa nic, jesteś w szoku albo masz halucynacje wskutek straszliwego bólu”.

Zignorowałam głos i podążyłam w ciemności za nicią. Chwytałam ją na przemian prawą i lewą ręką, stapałam po potłuczonym szkłe wśród pełzających węży. W końcu dotarłam do drzwi. Były zamknięte, ale po kilku mocnych uderzeniach udało mi się je otworzyć.

Wyszłam na zimne powietrze i padłam na wilgotną trawę.

Przewróciłam się na plecy i zobaczyłam niezliczone gwiazdy. Na sekundę wróciłam do epoki przed śmiercią matki – t o j u ż n i e t w o j a m a t k a – gdy siedziałam na niewielkim balkonie przed jej pokojem w hospicjum i patrzyłam w niebo. Oszołomiona morfiną, mówiła, że niebo to ogromna czarna płachta z setkami, tysiącami, milionami maleńkich dziurek, przez które wpada światło z zaświatów. Prawie nie zwracałam na nią uwagi. Gwiazdy w ogóle mnie nie obchodziły. Jak mogłabym się nimi interesować? Carol umierała.

Ale w tej chwili niebo wydawało mi się właśnie takie.

W oddali, za drzewami, pojawiły się migające czerwono-niebieskie światła wozu

policyjnego. Padały na ścianę kaplicy. Usłyszałam za sobą kroki.

– Jest tutaj! – zawołał ktoś. – Tu!

Ktoś do mnie podszedł.

– Jezu, pokąsały ją węże!

Wziął mnie na ręce silny mężczyzna, gładził po włosach, wiele razy powtarzał, że wszystko będzie dobrze. Pogotowie już jedzie. Trzymaj się. Po prostu się trzymaj.

– Stuart... – szepnęłam. – Znalazłeś mnie.

– Masz cholerną rację, że cię znalazłem – odparł. – Ale nie jestem Stuartem.

– A kim?

Zamrugłam, próbując coś zobaczyć przez krew zalewającą mi oczy. Popatrzyłam na twarz mężczyzny. Był to Jack Went.

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

Becky Creech siedziała w kombi Patricka na miejscu obok kierowcy. Skręcili w las i pojechali długą drogą prowadzącą do kaplicy.

– To zły pomysł – powiedział Patrick. – Powinniśmy już być poza granicą Kentucky.

– Nie dotrzemy daleko bez pieniędzy, kochany – odparła Becky. Położyła dłoń na kolanie Ecklesa. Wydawało się, że trochę go to uspokaja. – Zobaczysz po lewej stronie pustą przestrzeń. To dawna przesieka przeciwpożarowa. Jest w tej chwili zarośnięta krzakami, ale możecie tam poczekać.

– Pozwól mi iść ze sobą.

– Nie wiesz, gdzie mój brat trzyma puszkę z datkami. Szybko to załatwię.

Obróciła głowę w prawo i w lewo; rozległo się przy tym chrupanie kręgów szyjnych. Spędzili poprzednią noc w samochodzie i teraz Becky miała zeszywniałe mięśnie. Popatrzyła na tylne siedzenie, krzywiąc się z bólu. Sammy spała. Między drzewami rosnącymi obok drogi gruntowej wstało słońce i oświetliło twarz dziewczynki. Miała zamknięte oczy, ale poruszała nimi pod powiekami. Musiała o czymś śnić. Trzymała kciuk w ustach, połowę twarzy zasłaniał wełniany koc. Obok leżał nowiutki wypchany żółwik.

Bardzo płakała, kiedy Patrick zabrał małąkę, ale podrzucenie jej w lesie było dobrym pomysłem. Przygotowali wiele dobrych planów, jednak żaden z nich nie miał w tej chwili znaczenia. Gdy na drogę padły pierwsze promienie słońca, Becky przypomniała sobie wydarzenia poprzedniej nocy. Naciśnięcie spustu. Strzał. Szeryf zgiął się wpół, a później upadł na podłogę pokrytą popękanaą terakotą w pustym mieszkaniu, które na krótko stało się ich domem.

„Nie zastanawiaj się nad tym – pomyślała. – Będziesz miała mnóstwo czasu na pokutę, kiedy to wszystko się skończy. Może Bóg nigdy ci nie przebaczy, ale robisz to dla tej dziewczynki”.

Patrick skręcił w starą przesiekę przeciwpożarową. Od lat nie wycinano w niej krzaków, była prawie niewidoczna. Patrick i Sammy będą tu bezpieczni, prawda? Becky próbowała nie okazywać niepokoju.

– Teraz pójdę na piechotę – powiedziała. – To nie potrwa długo.

– A jeśli spotkasz brata?

– Nie spotkam – odparła. – Nie ma nawet szóstej rano. Odprawiał wczoraj niedzielne nabożeństwo, więc nie wstanie przed południem, możesz mi wierzyć.

Wziął ją za rękę, a potem pocałował.

– Kocham cię – rzekł. Jednak jego oczy mówiły coś innego. Mówiły: „Niech cię diabli, Becky”. Widziała w nich ten sam wyraz wcześniej, w dniu, gdy wrócił z więzienia.

„Niech cię diabli, Becky”.

Zamierzała wyjechać z Patrickiem po jego zwolnieniu. Oszczędzała pieniądze, a Patrick powinien szybko znaleźć pracę, jeśli nie będzie zbyt wybredny. Kiedy tylko zbiorą dość gotówki, wyjadą, znajdą spokojną miejscowość z dala od Manson i Kościoła, gdzie będą mogli nadrobić stracony czas, po prostu żyć. Było to dobre marzenie, słodkie i proste. Becky myślała o nim w czasie najdłuższych, najmroczniejszych nocy, gdy Patrick przebywał w Greenwood.

Po powrocie do domu zastał w mieście chaos. Zaginęła mała dziewczynka, a jego brat wydawał się głównym podejrzanym. Później odwiedził małe mieszkanie wynajęte przez Becky w dzielnicy Old Commons i zobaczył zaginioną dziewczynkę śpiącą w zapasowej sypialni.

Mógł ją wtedy rzucić.

– Daj mi po prostu pięć minut – powiedziała. Była wstrząśnięta i wytrącona z równowagi; miała zamęt w głowie i nie mogła ustać. – Pięć minut, żebym wszystko wytłumaczyła, a potem możesz powiedzieć policjantom, mojemu bratu albo komu chcesz.

Wpadł na krótko w typowo męską wściekłość, a Becky nie mogła go winić. Ale

kiedy dziewczynka się poruszyła, a Becky ją uspokoiła, wyraził zgodę.

– Pięć minut, a potem wychodzę.

Becky wykorzystała te pięć minut, by jak najlepiej przedstawić swoje argumenty. Odkryła, że Sammy Went ma zostać przeprogramowana, jak zielonoświątkowcy nazywają egzorcyzmy. Decyzję podjęli jej brat Dale i Molly, matka Sammy. Becky nie wiedziała, kiedy i gdzie ma się odbyć przeprogramowanie, ale zdawała sobie sprawę, że będzie brutalne, bolesne i może doprowadzić do śmierci dziecka.

Patrick słuchał.

Opowiedziała mu o wydarzeniach we Floyd w Wirginii w listopadzie 1973 roku, gdy czteroletnia Jocelyn Rice została uduszona przez członków Kościoła w trakcie nieudanych egzorcyzmów.

W marcu 1978 roku kaznodzieja ewangelikalny Neil Haleck uznał, że Szatan nawiedza na przemian dwoje dzieci jednej z kobiet należących do Kościoła. Pierwsze dziecko miało trzy lata, drugie rok. Kiedy trzylatek zaczął stawiać opór, Haleck oświadczył, że jest Szatanem, i wbił mu sztylet w serce.

W lipcu 1980 roku gdzieś w Luizjanie matka wyrwała język i wnętrzności dwuletniemu synowi w trakcie egzorcyzmów przeprowadzanych we własnym domu.

W styczniu 1984 roku...

– Przestań – przerwał. Zrozumiał, o co chodzi.

– Chciałam tylko wyperswadować to Molly – rzekła Becky. – Chciałam jej powiedzieć to, co ci przed chwilą mówiłam, opisać, co sama przeżyłam i ile mnie to kosztowało... Ile to kosztowało nas. Ale kiedy pojawiłam się na ich ulicy, zobaczyłam tę biedną, słodką małą dziewczynkę na podwórku, zupełnie samą... Dla nich była śmieciem, którego trzeba się pozbyć, ale dla mnie, dla nas, mogła być darem Boga.

– Becky...

– Nie mogłam jej tam zostawić, Patricku. Zanim zrozumiałam, co robię, wsadziłam ją do samochodu i przywiozłam tutaj.

W ten sposób prosty plan stał się skomplikowany. Postanowili przez dłuższy czas ukrywać się w Redwater, aż sprawa przycichnie. Zamierzali opiekować się Sammy na zmianę; oboje powinni pojawiać się w mieście. Becky miała uczestniczyć w poszukiwaniach dziewczynki, a Patrick szukać pracy w Coleman. W odpowiednim

czasie wymkną się nocą, pewni, że nikt nie będzie ich szukał.

Zmieniło się to poprzedniego wieczoru, po zastrzeleniu szeryfa.

Becky otworzyła tylne drzwi kombi. Odsunęła kwadratowy dywan zasłaniający zapasową oponę i wyjęła strzelbę myśliwską ojca.

„Po prostu na wszelki wypadek”.

Delikatnie zamknęła drzwi. Nie chciała obudzić Sammy. Później podeszła do okna od strony kierowcy i jeszcze raz pocałowała Patricka.

– Jeśli coś się stanie... – powiedziała.

– Nie idź tam.

– Jeśli coś się stanie, zaopiekuj się Sammy, dobrze?

– Becky...

– Przyrzeknij, Patricku – rzekła. – Już dawno temu straciłam Światłość, ale odnalazłam ją znowu w tobie i tej małej dziewczynce. Jeśli coś się stanie, jedź przed siebie. Spraw, by to światło nie zgasło. Nie oglądaj się za siebie.

Zerknął na tylne siedzenie, a później spojrzał na Becky.

– Przyrzekam.

– Niedługo wrócę – powiedziała.

Kiedy szła polną drogą w stronę kaplicy, wokół szumiały drzewa smagane zimnym wiatrem i zmarzły jej bose stopy. Popatrzyła na nie i przypomniała sobie, że ma na sobie dzinsy z obciętymi nogawkami. Już dawno nie opuszczała domu w innym stroju niż spódnica do kostek i jeszcze nigdy nie weszła do kaplicy z gołymi nogami.

Po wszystkim, co się wydarzyło, nigdy nie wróci do Manson. Będzie tęsknić za wieloma rzeczami, ale nie za Kościołem. Już nie. Kiedy myślała teraz o Kościele Wewnętrznej Światłości, wyobrażała sobie to, co się wydarzyło w starym, zapuszczonym wiejskim domu w Coleman.

Dotarła do końca polany i nagle się zatrzymała, czując się dziwnie nieswojo. Parking był pusty i nic nie sugerowało, że nie jest sama. Wcześniej przebywała w tym miejscu miliony razy, ale teraz coś wydawało się inne.

Nad Appalachami wzeszło słońce. Góry, oświetlone jasnymi promieniami, wyglądały jak gigantyczne, znieruchomiłe fale. Ściana lasu, stanowiąca naturalną barierę między terenem należącym do Kościoła a światem zewnętrznym, wydawała się

dziś gęstsza, przypominała kilometrowe ogrodzenie otaczające więzienie w Greenwood. Na tle drzew widać było stary ogród wspólnoty i kurnik – od dzieciństwa Becky nikt nie korzystał z ogrodu ani nie hodował kur. Barak z węzami wyglądał jak nawiedzony, a kaplica miała w sobie coś groźnego.

W końcu szybko ruszyła w stronę kaplicy. Przy każdym kroku uderzała ją w lewe udo kolba strzelby wiszącej na ramieniu. Trzymała oburącz skórzany pasek, zadowolona, że wzięła ze sobą broń.

Drzwi kaplicy miały zamek, ale nigdy z niego nie korzystano. Otworzyła je i weszła do budynku. Poczowała intensywną woń trocin, węzowych bobków i potu, ale woń nie wydała jej się nieprzyjemna. Był to zapach Kościoła, zapach dzieciństwa.

W środku panował mrok, jednak nie włączyła światła. Szła przez kaplicę z rękami wyciągniętymi przed siebie, dobrze pamiętając rozkład pomieszczenia. Uważała, by się nie potknąć i nie skrzywić karku albo nie zrzucić na ziemię szklanego terrarium.

Za drzwiami na tyłach kaplicy znajdował się wąski korytarzyk prowadzący do niewielkiego schowka z warcząca lodówką ze szklanymi drzwiami, w której Dale przechowywał surowicę. Drzwi do schowka były zamknięte, ale Becky wiedziała, gdzie brat trzyma klucz. Uklękła na jedno kolano, wymacała luźną listwę podłogową obok drzwi schowka i wyjęła ją. Klucz znajdował się w płytkim wgłębieniu.

Otworzyła drzwi, a następnie wspięła się na palcach, by dosięgnąć najwyższej półki. Odsunęła stare wiadro i wyjęła ukrytą za nim puszkę na datki. Na jej ścianie wyrzeźbiono napis: „Duszę oddajcie Bogu, a to, na co was stać, Kościołowi Wewnętrznej Światłości”. Była pełna pieniędzy.

Gdyby rok wcześniej ktoś powiedział Becky, że zakradnie się do kaplicy, by opróżnić puszkę na datki, tylko by się roześmiała. A jednak właśnie to robiła. Ostatnio jej relacje z Bogiem stały się wyjątkowo skomplikowane – zwłaszcza po tym, co się stało zeszłej nocy. Kradzież pieniędzy nie wydawała się już wielkim grzechem.

Pokrywę puszek zmykała mała srebrna kłódka. Postawiła puszkę między nogami, chwyciła strzelbę, wcelowała kolbę w kłódkę i...

Zamarła, słysząc miarowy warkot silnika. Nasłuchiwała. Hałas narastał, zbliżał się. Był to motocykl. Motocykl Dale'a. Kiedy pojazd wjechał na polanę, Becky uderzyła kolbą strzelby w kłódkę, która rozpadła się na kawałki.

Odłożyła strzelbę i szybko uklękła. Wpychała garście monet i banknotów do starego opakowania próżniowego, który znalazła w schowku między pojemnikami ze środkami do czyszczenia. Kiedy worek się wypełnił, zawiązała go, a później wcisnęła resztę gotówki do kieszeni dzinsów z uciętymi nogawkami.

Silnik warczał przez chwilę przed kaplicą, po czym umilkł.

Becky starała się robić wszystko błyskawicznie, ale miała wrażenie, że ręce nie chcą jej słuchać. Postawiła puszkę z datkami na najwyższej półce, zamknęła składzik, a później umieściła klucz w kryjówce za listwą podłogową. Jedną ręką chwyciła worek, drugą strzelbę i ruszyła korytarzem w drogę powrotną.

Za późno. W drzwiach kaplicy stał Dale. Włączył światło; Becky zobaczyła, że ma posiniaczoną twarz i zakrwawione wargi.

Zachnęła się.

– Dale, o rety, co się stało z twoją twarzą?!

– Wczorajsze nabożeństwo miało dość burzliwy przebieg – odparł, dotykając ogromnego siniaka pod prawym okiem. – Jak się tu dostałaś?

– Trochę autostopem, trochę na piechotę.

– Drugie, ważniejsze pytanie. Co tu robisz ze strzelbą taty?

Popatrzył na broń, a później na wypchane opakowanie próżniowe wiszące na ramieniu siostry. Nigdy się z tego nie wyłga.

– Co się dzieje, Becky?

– Odsuń się, Dale – powiedziała, robiąc krok do przodu.

On również zrobił krok do przodu. Przekrzywił głowę i dziwnie się uśmiechnął. Brakowało mu jednego zęba. Kiedy zapalił światło, zauważyła słabo widoczną plamę krwi w miejscu, gdzie w tej chwili stał. Rzeczywiście, nabożeństwo musiało mieć burzliwy przebieg.

– Czy to prawda, co mówią o Kościołach? – spytała Becky. – Jeśli poproszę o azyl, będą musieli mi go udzielić w imię Boga?

– Przed kim szukasz azylu?

– Zgadnij, Dale – odpowiedziała.

– Co zrobiłaś, Becky? Ma to coś wspólnego z Sammy Went?

Skierowała ku niemu lufę strzelby. Natychmiast przestał się uśmiechać. Zesztywniał,

uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Nie rób czegoś, czego mogłabyś później żałować – powiedział.

– To w tej chwili bez znaczenia – szepnęła Becky. – Porwałam ją. Porwałam Sammy Went.

– Dlaczego?

– Żeby ją przed tobą uratować – rzuciła. Wsunęła pod pachę worek z pieniędzmi i położyła palec na spuście strzelby. – Żeby ją ocalić przed jej matką i twoim przeklętym Kościołem.

– Becky...

– Wiem, co zamierzasz zrobić, wielbny pastorze – ciągnęła Becky. – Wiem, jak wyglądają egzorcyzmy. Zamierzasz zrobić temu dziecku to, co zrobiłeś mnie!

– Gdzie ona jest? – spytał Dale. Mówił głębokim głosem, w którym brzmiała dziwna pewność siebie.

– To by ją zabiło, Dale. Naprawdę jesteś takim fanatykiem, że tego nie rozumiesz? Zabiłbyś to dziecko, jak zabiłeś moje.

– Nie ponoszę winy za to, co cię spotkało.

– Czego się spodziewałeś? Co mogło się stać z moim dzieckiem, gdy wykrzykiwałeś do mnie wersety biblijne, wpychałeś mnie pod wodę, zamykałeś mnie w piwnicy z...

– Próbowałem cię uratować.

– Uratować przed czym, kretynie?

– Przed Szatanem!

Uniosła strzelbę, przyłożyła kolbę do barku i wycelowała w szyję brata.

– Powiedz mi, Dale: uważasz, że ci się udało? Myślisz, że to, przed czym mnie uratowałeś, jest gorsze od utraty nienarodzonego dziecka?

Oblizwał wargi.

– Dziecko by przeżyło, gdyby taka była wola Boga – odpowiedział. – Nie zabiłem twojego dziecka, Becky. Zrobił to Bóg. Wyrwał je z twojego łona, bo było nieczyste. Powstało z grzechu, z nasienia kryminalisty. Jeszcze gorzej, niewiernego. Nie powinnaś była rozkładać przed nim nóg! – Z jego ust bryzgnęły kropelki śliny.

– Możesz winić Boga – powiedziała Becky. – Możesz się również popisywać swoimi frazesami, ale doskonale wiedziałeś, co robisz. Chciałeś uniknąć skandalu. Chciałeś

chronić swoją reputację, reputację Kościoła, chciałeś...

– Chciałem chronić ciebie.

Dotknęła palcem spustu strzelby.

– Myślisz, że ci się udało? Myślisz, że egzorcyzmy zakończyły się powodzeniem?

A może ciągle uważasz, że wstąpił we mnie Szatan?

– Nie jest za późno, Becky – odparł. – Zbłądziłaś, to wszystko. Wróć. Wróć do Światłości.

– Zabiłam szeryfa – rzekła.

– Co takiego?!

– Dla mnie wszystko skończone, Dale. A jeśli skończone dla mnie, to skończone i dla nas. Nie przyjechałam cię zabić. Nie powinieneś tu być, a jednak jesteś. Może to wola Boga.

Dale połączył czubki palców, pochylił głowę i szepnął:

– „Oto dałem wam moc, abyście deptali po węzach i skorpionach” [17](#).

– Modlisz się?

– „I po wszelkiej potędze nieprzyjacielskiej” [18](#).

– Naprawdę się modlisz?

– „A nic wam nie zaszkodzi” [19](#).

Nacisnęła spust. Przez chwilę słyszała tylko głośnie dzwonienie w uszach.

Czekała, by brat upadł. Popatrzyła na jego ciało, ale stał tam, gdzie poprzednio. Przez idealnie okrągły otwór po pocisku wpadało do kaplicy światło. Spudłowała.

Dale wrzasnął i rzucił się na nią.

Becky w panice uniosła strzelbę, by znowu nacisnąć spust, ale nie była wystarczająco szybka. Brat dobiegł do niej, chwycił lufę i wyrwał jej strzelbę, raniąc się w rękę. Krzyknął z bólu i się skrzywił. Wymierzył siostrze policzek. Upadła na plecy, krzycząc i machając rękami. Usiadł na niej i znowu ją uderzył.

Jeszcze raz. Jeszcze raz.

Becky drapała go paznokciami, wyrwała mu kawałek skóry z podbródka. Jej twarz zaląła ciepła krew, nie czuła bólu. Ogarnął ją szal, który dodawał jej sił. Szarpała się, ale Bóg dał mu nad nią całkowitą władzę.

Ciemniało jej w oczach, gdy nagle usłyszała głośny warkot kombi Patricka

wjeżdżającego na parking obok kaplicy.

MANSON, KENTUCKY

TERAZ

Przewieziono mnie karetką do Szpitala Miłosierdzia w Manson, gdzie lekarze wstrzyknęli mi dziewiętnaście ampułek surowicy. Gdybym przybyła godzinę później, musieliby amputować mi rękę. Bez pomocy medycznej czekałaby mnie powolna, bolesna śmierć. Opatrzono mi oparzenia drugiego stopnia w okolicy lewego ucha, gdzie uderzył mnie Creech, a także zadrapania na twarzy. Zaszyto głębokie rany na stopach.

Otrzymywałam duże dawki środków przeciwbólowych, więc przez następne dwa dni trwałam w półśnie, odzyskując przytomność tylko od czasu do czasu. Nie pamiętam zbyt wiele. Przypominam sobie, że obficie się śliniłam; pielęgniarka powiedziała, że to normalne po ugryzieniu przez grzechotnika. Pamiętam Deana. Musiał przybyć z Amy drugiego dnia. Budziłam się i widziałam go obok swojego łóżka. Gładził mnie po głowie albo siedział przy oknie i czytał gazetę.

Kiedy obudziłam się rankiem trzeciego dnia, Dean zniknął. Zastąpili go Stuart i Amy. Kiedy Stuart zobaczył, że odzyskałam przytomność, wstał z fotela przy oknie. Amy siedziała w nogach mojego łóżka. Światy Kim Leamy i Sammy Went oficjalnie się zderzyły.

- Boli cię? – spytała Amy.
- Dają mi morfinę, więc prawie nic nie czuję.
- To znaczy, że mogę cię przytulić?
- Pod warunkiem że delikatnie.

Usiadła obok mnie na łóżku. Niezgrabnie mnie uścisnęła. Nie miało to znaczenia. Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa.

- Widziałaś się z moim bratem? – spytałam.

– Tak, poznaliśmy się – odparła Amy.

Stuart oblał się rumieńcem. Podeszedł do łóżka, ujął moją zdrową rękę – druga była zabandażowana – i uśmiechnął się.

– Po raz pierwszy nazwałaś mnie bratem.

– Jak mnie znaleźliście?

– Niedługo po twoim wyjściu pojawił się ojciec – powiedział. – Kiedy nie mogliśmy cię odszukać i okazało się, że toyota zniknęła, domyśliliśmy się, że jesteś w kaplicy. Nie powinnaś jeździć tam sama, Kim.

– Wiem – odrzekłam. – Przepraszam.

– Ja też przepraszam. Za wszystko. Claire wkrótce tu będzie.

– Dobrze.

Rozległo się pukanie do drzwi. Detektyw Burkhart przyniósł bukiet z kwiaciarni na parterze.

– Może pani ze mną porozmawiać?

– Zostawimy was na chwilę – powiedziała Amy, wstając z łóżka.

– Nie odchodźcie za daleko.

Stuart uściskał mi rękę i wyszedł z Amy z pokoju. Kiedy zostałam sama z Burkhartem, postawił kwiaty na stoliku, przyniósł do łóżka plastikowe krzesło i usiadł na nim.

– Jak ból?

– Dają mi mnóstwo środków przeciwbólowych – odpowiedziałam. – Czuję się trochę oszołomiona.

– Oszołomiona, tak? – Uśmiechnął się i podrapał po głowie. – Jeszcze nie złapaliśmy Creecha.

O mało się nie rozpłakałam. Creech uciekł, prawdopodobnie natychmiast po zamknięciu mnie z węzami. Rozsądek podpowiadał, że znajduje się tysiąc kilometrów od Manson, ale serce szeptało, że jest znacznie bliżej.

– Co się właściwie wydarzyło, Kim? – spytał Burkhart. – Stuart mówił, że pojechała pani spytać Creecha o jego siostrę.

Skinęłam głowę, usiadłam prosto i otarłam usta. W dalszym ciągu się śliniłam. Burkhart podał mi kubek wody i wypiałam niewielki łyk.

– Myślę, że Carol Leamy i Becky Creech to ta sama osoba. Kiedy spytałam Creecha o Becky, po prostu... wpadł w szal. Dawno temu w kaplicy coś się wydarzyło, coś mającego związek z jego siostrą, i przypuszczam, że byłam tego świadkiem jako dziecko.

Burkhart zrobił zaciekawioną minę; wydawało się, że nad czymś się zastanawia. Później sięgnął do kieszeni i wyjął kwadratowy kawałek papieru złożony na pół.

– W tej chwili przeszukujemy dom Creecha. Jesteśmy w połowie rewizji. Znalazłem coś, co może panią zainteresować. – Rozłożył arkusz papieru i wręczył mi go do góry nogami. – To fotografia Becky Creech. Proszę na nią spojrzeć. Czy to kobieta, która panią wychowała?

Odwróciłam arkusz, spojrzałam na zdjęcie Becky Creech i natychmiast zalałam się łzami. Poczułam ból w ręce. Nacisnęłam guzik, by pielęgniarka znowu podała mi morfinę, choć już wcześniej przyjąłam maksymalną dawkę.

– Sandy się pomyliła – powiedziałam. – Blizna jest na drugiej ręce.

– Słucham?

Złożyłam fotografię, oddałam ją Burkhartowi i powiedziałam:

– To nie Becky Creech.

Następnie odwiedził mnie Jack Went. Był wysokim, łysawym mężczyzną ze szpakowatymi włosami. Uśmiechał się ciepło i ze smutkiem.

– Nie wiem, jak cię nazywać. Sammy czy Kim?

– Chyba zacznę używać obu imion – odpowiedziałam. – Po jakimś czasie się przyzwyczaję.

– Mnie zajmie trochę czasu przyzwyczajenie się do twojego akcentu.

Usiadł obok mnie na łóżku. Było jasne, że jesteśmy spokrewnieni. Widziałam w jego twarzy własną twarz, mieliśmy te same oczy. Jak Molly mogła tego nie zauważyć?

– Nigdy nie powinienem przestać cię szukać – rzekł Jack. – Przede wszystkim nigdy nie powinienem pozwolić ci odejść. Miałem obowiązek cię chronić. Bardzo mi przykro, Sammy.

– Miałam jak dotąd dobre życie – odpowiedziałam. – Jeśli to ma jakieś znaczenie.

Nie wycierał łez. W drzwiach pojawił się mężczyzna. Był dobrze ubrany, miał około

pięćdziesięciu lat. Złożył dłonie pod brodą i uśmiechał się szeroko. Jack zaprosił go gestem do środka.

– To Travis, mój mąż – powiedział.

Travis podszedł powoli do łóżka.

– To naprawdę ty, Sammy?

– Tak – odrzekłam. – To naprawdę ja.

Gdy jeden ojciec stał nad moim łóżkiem, drugi stanął na progu. Dean trzymał balonik z napisem „Zdrowiej szybko!”, który unosił się nad nim jak boja. Zatrzymał się na widok Jacka i Travisa przy moim łóżku. Na początku wydawał się wstrząśnięty, lecz po chwili na jego twarzy pojawił się spokój. Najpierw spojrzał na Jacka, a później na jego męża.

– Witaj, Travis! – powiedział.

Travis miał taką minę, jakby zobaczył ducha.

– Patrick...?

MANSON, KENTUCKY

WTEDY

Patrick Eckles bardzo powoli zdał sobie sprawę z sytuacji, jakby nadmiar szybko docierających do niego bodźców blokował działanie mózgu. Na zakrwawionej podłodze leżała strzelba myśliwska. Obok niej zauważył stare, rozdarte opakowanie próżniowe, z którego wylewały się banknoty jak wnętrzności w filmie o zombie.

Później zobaczył Dale'a Creecha. Spodziewał się tego, bo słyszał ryk yamaha pastora na drodze prowadzącej do kaplicy. Kiedy w lesie rozległ się strzał, Patrick przypuszczał, że zastanie Creecha martwego. W gruncie rzeczy nie miał pojęcia, co zobaczy, gdy przeszedł przez otwarte drzwi frontowe kaplicy, jednak z pewnością nie spodziewał się, że ujrzy Creecha w takim stanie – z zaczerwienionymi policzkami, zakrwawionego, płaczącego. Pastor szybko zdjął rękę z szyi Becky i rzucił się w stronę strzelby.

Patrick się nie poruszył. Patrzył na kobietę, którą kochał. Była nieruchoma. Zbyt nieruchoma. Leżała na podłodze kaplicy jak szmaciana lalka, z lewym ramieniem wygiętym pod nienaturalnym kątem. Miała zakrwawioną twarz, jej serce także było nieruchome.

„Nie żyje”, pomyślał, gdy Creech sięgnął po strzelbę myśliwską. O mało nie potknął się o stopę Becky. Uniósł lufę w stronę Ecklesa. Nikt nigdy nie celował do Patricka z broni palnej. Wielu ludzi bardzo by to zdziwiło. Ale teraz prawie nie zwracał na to uwagi. **B e c k y n i e ż y j e . T o s i ę n a p r a w d ę d z i e j e .**

– Nie – szepnął.

Creech coś mówił – krzyczał. Jednak jego słowa wydawały się Patrickowi dalekie i obce. Świat wydawał się daleki i obcy. Mógłby na zawsze pozostać w transie, gdyby

nie pisk. Był wysoki jak gwizd pociągu, przesywał jego mózg.

Becky nie żyje. Jesteś tutaj. To się dzieje. Ten człowiek celuje do ciebie ze strzelby i prawdopodobnie naciśnie spust.

Pisk stał się jeszcze ostrzejszy i zmienił się w płacz dziecka. Sammy. Stała w drzwiach kaplicy i łkała tak głośno, że z nosa tryskały jej kropelki śluzu. Patrick spojrział na dziewczynkę, później na ciało Becky, na Creecha i strzelbę. Creech również popatrzył na Patricka, na swoją siostrę i dziewczynkę krzyczącą w drzwiach.

Becky nagle się odezwała – nie w rzeczywistości, ale w pamięci Patricka. „Jeśli coś się stanie, zaopiekuj się Sammy, dobrze?”

Dziewczynka w dalszym ciągu płakała. Wyciągnęła rękę w stronę Patricka, poruszając drobnymi palcami.

„Przyrzeknij mi, Patricku... Spraw, by to światło nie zgasło. Nie oglądaj się za siebie”.

Obrócił się w stronę Sammy i lekko wziął ją na rękę. Wtuliła twarz w jego bark, przez chwilę gwałtownie dygotała, a później zaczęła się uspokajać.

Patrick popatrzył na Creecha.

Pastor opuścił lufę strzelby i wskazał drzwi.

– Odejdź.

„Nie oglądaj się za siebie”, powiedziała Becky. Nie obejrzał się.

Jechał cały dzień, spoglądając co pół minuty w lusterko wsteczne, by się upewnić, że Sammy ciągle jest na tylnym siedzeniu, jakby mogła w jakiś sposób zniknąć, gdy pędził autostradą z prędkością stu kilometrów na godzinę. Puste miejsce dla pasażera wywoływało lży, więc starał się na nie nie patrzeć.

Zatrzymał się na parkingu około sześciu kilometrów przed granicą stanu. Znalazł pod siedzeniem kierowcy starą śmierzącą bejsbolówkę, wsunął ją na głowę i opuścił daszek. Obok dużej betonowej stacji benzynowej stało kilka ciężarówek zaparkowanych pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Stacja była pokryta łuszczącą się niebieską farbą i graffiti. Nad drzwiami wisiał spłowiwały baner z napisem: „Przystanek Boba. Benzyna! Pączki! Hot dogi! Woda sodowa!”.

Kiedy zatankował benzynę i kupił kanapki na podróż, jego portfel stał się zdumiewająco lekki. Pomyślał o worku gotówki na podłodze kaplicy i przez chwilę chciało mu się wyć. Wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę i znalazł automat telefoniczny na tyłach stacji.

- Tak? – odpowiedziała matka po dziesiątym dzwonku.
- To ja, mamó – rzekł Patrick. – Jest tam gdzieś Travis?
- Nie.
- Wiesz, kiedy wróci?
- Nie – odpowiedziała. – To wszystko?
- Tak. Nie. Mam kłopoty, mamó.

Obok przejechała ciężarówka otoczona chmurą spalin.

- Gdzie jesteś? – spytała Ava.
- Nieważne. Potrzebuję pomocy.
- Ile?
- Ile możesz pożyczyć?
- Nie pożyczaj, dobry zwyczaj.
- Mamó, proszę.

Patrick usłyszał w słuchawce odgłos zapalanej zapalki i wilgotny mlask towarzyszący zapalaniu papierosa.

- Powiedz, ile i gdzie mam przetelegrafować – powiedziała.

Rozplakał się z ulgi. Spojrzał na parking i zauważył Sammy na tylnym siedzeniu kombi.

- Dziękuję.
- Aha – mruknęła Ava. – Chcesz, żebym coś przekazała twojemu bratu?
- Nie – odparł Patrick. – Po prostu miej na niego oko.

W poniedziałek dziewiątego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, sześć dni po tym, jak Becky Creech porwała Sammy Went, Patrick Eckles przekroczył granicę stanu Kentucky. Miał nadzieję, że ostatni raz w życiu. Jechał z Sammy cały dzień i całą noc; zatrzymywali się tylko, by zatankować paliwo i coś zjeść. Spali na tylnym siedzeniu kombi albo w tanich motelach przyjmujących wyłącznie gotówkę.

W jednym z hoteli był basen. Patrick kupił Sammy w miejscowym markecie parę zbyt obszernych żółtych spodenek kąpielowych, wziął ją na barana i poszedł na głęboką wodę.

Sammy długo miała mętlik w głowie. Czasami była smutna i Patrick zastanawiał się, co pamięta, a co zdążyła zapomnieć. Ale kiedy samochód pokonywał kolejne kilometry, zaczęła akceptować nową rzeczywistość i przywiązała się do Patricka, podobnie jak on do niej. Czuł wypełniające ją światło, podobnie jak Becky Creech, i tylko to się liczyło.

Kupował gazety na każdym przystanku. Zwłoki szeryfa Ellisa znaleziono w slumsach Redwater, tam gdzie Patrick i Becky je zostawili. Na początku pojawiły się plotki na temat związku jego śmierci z porwaniem Sammy, a później, że mógł zostać zabity w czasie wizyty u prostytutki, które często odwiedzały tę część miasta. Jednak mijały tygodnie i nie pojawiały się żadne nowe tropy; notatki prasowe o tajemniczym morderstwie stawały się coraz krótsze i znajdowały się na coraz dalszych stronach gazet, a później całkowicie zniknęły.

W gazetach nie zamieszczono żadnych informacji o śmierci Becky. Patrick przyjął, że jej brat ukrył morderstwo i prawdopodobnie pochował jej ciało w lasach otaczających kaplicę. Miał nadzieję, że Creech potraktował ją dobrze, że odmówił modlitwę przy jej grobie, nim zasypał go ziemią. Miał również nadzieję, że Creech nie wspomniał nikomu o spotkaniu w kaplicy i że nigdy tego nie zrobi. Wszystkich by to zniszczyło, jednak nikt nie mógł przewidzieć, do czego może być zdolny człowiek taki jak pastor.

Osiem miesięcy później Patrick kupił Sammy fałszywy paszport i wyjechali razem do Australii. Zmienił nazwisko na Dean Leamy. Nowe nazwisko nie miało żadnego szczególnego znaczenia: wymyślił je pod wpływem impulsu. Ważne, że przestał być Patrickiem Ecklesem.

Znalazł pracę w Melbourne i szybko przystosował się do życia w Australii. Dużo czasu zajęło mu pozbycie się amerykańskiego akcentu, więc w początkowym okresie rzadko się odzywał. Jednak przemiana w Deana okazała się łatwiejsza, niż się spodziewał: przypominała wejście do wanny pełnej ciepłej wody albo wciągnięcie pary dzinsów.

Nigdy nie planował nowego związku i z pewnością nie przypuszczał, że się zakocha.

Ale jak przekonał się w Manson, jego plany często kończyły się fiaskiem. W Deanie zakochała się kobieta o imieniu Carol i jeszcze bardziej pokochała Sammy.

Sammy nosiła wtedy imię Kim.

Carol przez jakiś czas uważała Kim za córkę Deana, ale chociaż kłamstwa Deana brzmiały przekonująco, szybko dostrzegła sprzeczności w jego opowieściach. Miał niekiedy wrażenie, że Carol to żywy wykrywacz kłamstw.

W końcu powiedział jej prawdę. Carol w końcu się z nią pogodziła. Oboje uznali, że Kim nie powinna jej nigdy poznać. Aby nadać kłamstwu pozory prawdopodobieństwa i zamaskować związek z Sammy Went, Carol udawała biologiczną matkę Kim.

Mijały lata.

Carol urodziła Deanowi córkę, Amy. Kim miała młodszą siostrę, którą mogła się opiekować. Wychowały się w przekonaniu, że są siostrami przyrodnimi. Przeszłość stała się głębokim, mrocznym oceanem pełnym rekinów i potworów.

Carol zachorowała. Przegrała walkę z rakiem. Stuart Went nawiązał kontakt z Kim, teraz dorosłą kobietą. Spotkał się z nią w Northampton Community College, gdzie przez trzy wieczory w tygodniu prowadziła warsztaty z fotografii artystycznej.

GDZIEŚ NAD OCEANEM ATLANTYCKIM

TERAZ

Boeing 787 leciał na wysokości dwunastu tysięcy metrów nad poziomem morza, między światem Sammy a moim, był w połowie drogi między Manson a Melbourne, między przeszłością a terażniejszością.

Światła w kabinie przygaszono i większość pasażerów spała. Wyglądałam przez okno, popijając whisky z colą. Było zbyt ciemno, by cokolwiek widzieć.

Kiedyś leciałam na tej trasie z Deanem. W czasach, gdy on był Patrickiem, a ja Sammy. Patrick nie wyruszy znowu w tę podróż, przynajmniej nieprędko.

Ostatnio rozmawiałam z nim w Szpitalu Miłosierdzia w Manson, gdy otworzył drzwi do świata Patricka Ecklesa i zaprosił mnie do środka. Później siedziałam w milczeniu, pełna gniewu, a w mojej głowie wirowały pytania. Uratował mnie czy porwał? Czy prosi o przebaczenie, czy domaga się wdzięczności? Czy jest Deanem, czy Patrickiem?

W końcu zdołałam wykrztusić tylko jedno zdanie:

– Żałuję, że nie ma tu mamy.

– Tak, ja też – odparł Dean.

Nagle na parapecie usiadł mały czerwony ptak. Wydawał się zdenerwowany. Myślę, że był to kardynał szkarłatny.

Deana oficjalnie oskarżono o porwanie i współdziałanie w morderstwie; w chwili popełnienia tych przestępstw nazywał się Patrick Eckles. Nie wyznaczono jeszcze terminu rozprawy, ale wiedziałam, że wrócę, by w niej uczestniczyć. Jaki mam wybór? Jest członkiem mojej rodziny.

Musi upłynąć wiele czasu, nim zdołam wybaczyć Deanowi – jeśli to kiedykolwiek

nastąpi – i wiele czasu, nim zdołam sprawić, by Sammy Went i Kim Leamy stały się jedną osobą. Ale trzeba płynąć w jakimś kierunku, prawda?

Ostatniego wieczoru w Manson odebrałam dwa telefony. Pierwszy od detektywa Burkarta. Czarującym, rozwlekłym południowym akcentem oznajmił, że Dale’a Creecha aresztowała policja stanowa na przystanku dla ciężarówek w pobliżu granicy Kentucky. Przyznał się do zamordowania Becky Creech i zeznał, że zakopał jej ciało w lasach otaczających kaplicę Kościoła Wewnętrznej Światłości.

Mężczyzna utkany z cieni w końcu zniknął.

Drugą osobą, która do mnie zadzwoniła, była Molly Went. Dostała mój numer od Stuarta. Nie zamierzała przeproszać, zapewniać o czymkolwiek, łkać ani robić niczego równie dramatycznego. Zatelefonowała, żeby pogadać. Spytała, ile potrwa lot; nie wyobrażała sobie, by mogła tak długo siedzieć w samolocie. Była ciekawa, jaka jest Australia, czy nasze węże są tak jadowite, jak wszyscy mówią, i czy po ulicach skaczą kangury. Pod koniec rozmowy podała mi numer swojego telefonu i powiedziała, że jeśli kiedykolwiek będę miała ochotę zadzwonić, mogę śmiało to zrobić.

– Pomyślę o tym – odparłam. I rzeczywiście pomyślę.

Boeing 787 zniżał się nad Melbourne, a ja popatrzyłam na miasto. Było płaskie i szare, znajome, a jednak trochę inne.

„Melbourne się nie zmieniło – pomyślałam. – Ale ja tak.

Na lotnisku czekali na mnie Amy, Wayne i Lisa. Najpierw zauważyła mnie siostrzenica. Zawołała mnie po imieniu i pobiegła w moją stronę. Chwyciłam ją pod pachy, uniosłam i mocno przytuliłam. Amy otoczyła nas ramionami. Wayne obserwował nas z szacunkiem z pewnej odległości. Zaproponował, że weźmie moją torbę, ale kiedy przestałam przytulać Amy i Lisę, jego również uścisnęłam.

Wiele miało się wydarzyć, musiałam wiele przemyśleć, ale w tej chwili się nad tym nie zastanawiałam. Myślałam o Sammy Went, dziecku znikąd w mrokach mojej pamięci. Widziałam czerwoną nić owiniętą wokół jej talii. Widziałam, jak Sammy ją ciągnie, spodziewając się, że nić okaże się luźna, jednak tym razem się napięła. Wstała i ruszyła za nią, obejmując ją na przemian prawą i lewą dłońią. Wyszła z ciemności na światło.

Od autora

Pisanie to samotne zajęcie i właśnie dlatego je lubię. Pracuję cztery metry od swojego łóżka i metr od swojego psa, co oznacza, że przynajmniej część decyzji podjętych przez lata musiała być słuszna. Ale teraz, kiedy książka już się ukazała, muszę rozmawiać z ludźmi.

Niniejsze uwagi to podziękowanie i początek rozmowy z Tobą, Drogi Czytelniku. Jeśli masz ochotę podzielić się ze mną refleksjami albo po prostu się przywitać, napisz do mnie. Możesz się ze mną skontaktować za pośrednictwem mojej strony internetowej (christian-white.com) albo znaleźć mnie w mediach społecznościowych. Obiecuję częściej korzystać z Twittera. Kiedy przeczytasz te słowa, przy odrobinie szczęścia będę miał więcej niż sześciu obserwujących.

Skoro trzymasz w ręku moją powieść, chciałbym opowiedzieć o tym, co mnie zainspirowało do jej napisania i jak powstała. Nie masz obowiązku czytać tych wyjaśnień, ale jeśli zwykle siedzisz w kinie do chwili, gdy skończą się napisy końcowe i zapali się światło, jeśli lubisz znać kulisy wydarzeń albo jesteś osobą podobną do mojej żony, która czuje się zobowiązana do przeczytania każdej książki od deski do deski, zostań ze mną. Przepraszam za ten przydługi wstęp – postaram się streszczać.

Opisałem tę historię przede wszystkim po to, by ją wyrzucić ze swojego umysłu. Każdy, kto wpadł na jakiś pomysł (podejrzewam, że jest wielu takich ludzi), wie, że potrzeba jego przeniesienia na papier, ekran, płótno albo nadania mu jakiegokolwiek innej formy może się stać nieodparta. Można to porównać do uczucia, gdy nie potrafimy się powstrzymać, by nie podrapać swędzącego miejsca, nie napiąć mięśnia, nie zerwać strupa.

Kiedy przystąpiłem do pracy, nie miałem pojęcia, jak napisać powieść. Próbowałem już wcześniej i poniosłem fiasko; nie chciałem ponieść następnego. Dlatego, jak często się zdarza w trudnych chwilach, zwróciłem się o pomoc do Stephen'a Kinga. Jeśli kiedykolwiek postanowisz napisać powieść, rzuć wszystko, czym się w tej chwili

zajmujesz, a następnie kup, pożycz albo ukradnij egzemplarz *Jak pisać*. Częściowo są to wspomnienia, a częściowo poradnik zawierający przejrzyste wskazówki, jak przekształcić błyskotliwy pomysł w maszynopis. Mogę powiedzieć na podstawie osobistego doświadczenia, że wskazówki są dobre. Trzymasz w rękach dowód.

Kiedy przyszedł mi do głowy główny pomysł *Dziecka znikąd* – co by się stało, gdybyś odkrył, że zostałeś uprowadzony w dzieciństwie, a ludzie, których uważałeś za rodziców, to porywacze? – wiedziałem, że to dobry temat na książkę, jednak wydawał się na tyle banalny, by wzbudzić we mnie ostrożność. Opowiedziano już milion historii o porwaniach, więc ta musiała być inna. Potrzebowałem czegoś szczególnego. Potrzebowałem... Kentucky.

Kiedy byłem nastolatkiem, moja rodzina wybrała się w podróż samochodową po Stanach Zjednoczonych – trochę jak Griswoldowie w filmie *W krzywym zwierciadle: Wakacje*. Wyruszyliśmy z Wilkes-Barre w Pensylwanii (gdzie w owym czasie mieszkała moja siostra), po czym pojechaliśmy na Florydę i z powrotem. Po drodze zatrzymaliśmy się w Kentucky, gdzie bardzo dobrze zapamiętałem dwa wydarzenia. Po pierwsze: mój ojciec był bardzo podekscytowany, kiedy jeden z miejscowych powiedział: „Wreszcie wróciliście”. Po drugie: Jaskinia Mamucia.

Nazwa doskonale do niej pasuje: Jaskinia Mamucia to ogromny system podziemnych korytarzy i gigantycznych komór. Zatrzymaliśmy się tam na jedno popołudnie i zwiedziliśmy jaskinię. Było to oszałamiające przeżycie – tylko pomniki przyrody potrafią zapierać dech w piersiach w taki sposób.

Szliśmy pod prastarymi stalaktytami trasą oświetloną małymi żółtymi lampkami. Kiedy dotarliśmy do ogromnej komory, przewodnik kazał nam stanąć i wyłączyć światła. Nigdy, ani wcześniej, ani później, nie widziałem niczego porównywalnego z otaczającą nas ciemnością. Była ciężka, całkowita, wręcz namacalna. Trzymałem dłoń kilka centymetrów od twarzy i nie dostrzegałem swoich palców. Mrok miał w sobie coś mistycznego, pierwotnego, potężnego i uniwersalnego.

Przewodnik włączył światła, ale ja długo pamiętałem tę ciemność, która pozostała w moim umyśle niczym dziwny rodzaj traumy. Pisząc *Dziecko znikąd*, starałem się jakoś odtworzyć to uczucie i właśnie dlatego większość fabuły rozgrywa się w Kentucky. Kiedy opisuję ciemne miejsce w pamięci Kim Leamy, gdzie wędruje mała

Sammy Went, opisuję jedną z komór Jaskini Mamuciej po zgaszeniu świateł.

Cóż, to wszystko, co chciałem powiedzieć. Z głębi serca dziękuję, że przeczytałeś moją książkę. To dla mnie ogromnie ważne, naprawdę. Nie pamiętam, czy gdzieś to czytałem, czy sam wymyśliłem, ale relacja między autorem a czytelnikiem to coś w rodzaju świętego przymierza. Czytelnik poświęca autorowi kilkanaście godzin życia, a w zamian za to autor daje mu historię wartą – miejmy nadzieję – czasu spędzonego na lekturze. Niekiedy czytelnik czuje, że został oszukany, ale z mojego doświadczenia wynika, że na ogół transakcja się opłaca. Na przestrzeni lat przeczytałem mnóstwo książek i rzadko zawodziłem się na autorach, którym poświęcałem czas. Teraz, gdy jestem drugą stroną paktu, chcę, żebyś wiedział, że biorę to wszystko poważnie.

Mam szczerą nadzieję, że *Dziecko znikąd* Ci się podobało, a jeśli czujesz się oszukany, wierzę, że dasz mi następną szansę. To dopiero początek.

Podziękowania

Czytając poradnik Stephena Kinga, można uznać, że pisanie powieści jest dość proste, ale to trudna sztuka, która wymaga wsparcia wielu niezwykłych ludzi. Jeśli się nad tym zastanowić, wsparcie nie jest właściwym słowem. Należałoby raczej mówić o miłości. Przydaje się również cierpliwość. Mając to wszystko w pamięci, przedstawiam niepełną listę niezwykłych osób, które pomogły mi stworzyć tę książkę.

Dziękuję całemu zespołowi Wydawnictwa Affirm Press. Cóż mogę powiedzieć? Wasza pasja jest zaraźliwa i kocham Was wszystkich. Składam szczególne podziękowania Martinowi Hughesowi i Ruby Ashby-Orr, którzy nauczyli mnie, jak być lepszym pisarzem, a także Keiranowi Rogersowi, Grace Breen i Emily Asenden, którzy sprawili, że wydaję się lepszym pisarzem.

Dziękuję swoim wydawcom zagranicznym – udzielili mi ogromnego wsparcia i przekazali bezcenne uwagi. Mam nadzieję, że spotkamy się w świecie rzeczywistym i postawię Wam drinka. Szczególne podziękowania dla Julii Wisdom z wydawnictwa Harper Collins, która zaproponowała tytuł książki.

Dziękuję swoim agentkom z RGM Artists, Jennifer Naughton i Candice Thom, które zawsze mnie wspierały.

Wheeler Centre i nagroda literacka Victorian Premier's Literary Award dla nieopublikowanych rękopisów – bez Was ta książka w dalszym ciągu byłaby tylko dokumentem Worda w moim komputerze.

Dziękuję swoim rodzicom, Ivanowi i Keerze White'om. Nauczyliscie mnie, jak odnaleźć własną drogę, a następnie nią kroczyć. Tato, zawsze pokazywałeś mi dział filmowy w gazecie w czasie naszych sekretnych śniadań w McDonalddie. Mamo, w trakcie naszych długich spacerów nauczyłaś mnie opowiadać historie. Połączenie tych dwu rzeczy sprawiło, że zostałem pisarzem.

Dziękuję swojemu rodzeństwu: Niki (najsilniejszej kobiecie, jaką znam), Peterowi (wiedzącemu wszystko o życiu), Jamiemu (który doprowadza mnie do szału,

a jednocześnie rozśmiesza), a także ich partnerom, którzy są w stanie z nimi wytrzymać.

Dziękuję wszystkim członkom rodziny DeRoche'ów, a zwłaszcza Torre, która zainspirowała mnie swoim sukcesem pisarskim, i Chrisowi – nigdy nie słyszałem równie wspaniałego śmiechu.

Dziękuję swoim najbliższym przyjaciołom, Jonowi i Sophie Asquithom, którzy nieustannie imponują mi swoimi zdolnościami twórczymi; Chrisowi Dignumowi, najzabawniejszemu człowiekowi, jakiego znam, który kiedyś rzuci wszystkich na kolana, jeśli wreszcie ruszy tyłek i coś napisze; Angie Sperling-Bruch, mojej najstarszej przyjaciółce w dalszym ciągu winnej mi dziewięćdziesiąt dolarów; i, oczywiście, Wielkiemu Dazowi.

Dziękuję swojej charcicy, Issy, która nigdy nie przeczyta tej książki (ona też jest leniwa), ale na zawsze pozostanie moją cudowną, kosmatą córką. Kiedy patrzę Ci w oczy, za każdym razem słyszę piosenkę Cata Stevensa *I Love My Dog*. Myśleliśmy, że Cię ratujemy, a tymczasem było odwrotnie.

W końcu dziękuję swojej żonie, Summer DeRoche, najlepszej przyjaciółce i pierwszej czytelniczce. Wszystkie osoby, które wymieniłem, pomogły stworzyć tę powieść, ale nigdy nie powstałaby bez ciebie, Sum. Zmieniłaś inteligentne, ciekawe streszczenie w pełnokrwisty maszynopis, a co najważniejsze, wspierałaś mnie swoją wiarą. Podziwiam Twój humor, czerpię inspirację z Twoich zdolności twórczych i zazdroszczę Ci pięknych filmów, które kręcisz. Dziękuję za to, że jesteś sobą i że mnie wybrałaś.

1. Ewangelia św. Łukasza, VI, 44. Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z: Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Nowy przekład z języków hebrajskiego i greckiego opracowany przez Komisję Przekładu Pisma Świętego, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1985 (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
2. Ewangelia św. Łukasza, VI, 45. [\[wróć\]](#)
3. Druga Księga Mojżeszowa, XX, 7. [\[wróć\]](#)
4. Dzieje Apostolskie, XXVIII, 3–6. [\[wróć\]](#)
5. Dzieje Apostolskie, III, 19. [\[wróć\]](#)
6. Księga Kaznodziei Salomona, XX, 7. [\[wróć\]](#)
7. Ewangelia św. Mateusza, XXIV, 29. [\[wróć\]](#)
8. S'more - tradycyjny smakołyk zapiekany na ogniu, pochodzący ze Stanów Zjednoczonych i Kanady. Składa się z pianki marshmallow, kostki czekolady oraz krakersów typu graham jako zewnętrzne warstwy (przyp. red.). [\[wróć\]](#)
9. Ewangelia św. Mateusza, XIX, 14. [\[wróć\]](#)
10. Parafraza fragmentów Księgi Przypowieści Salomona (XVI, 3) oraz Księgi Izajasza (XL, 2). [\[wróć\]](#)
11. Trzecia Księga Mojżeszowa, XX, 13. [\[wróć\]](#)
12. Księga Nahuma, I, 3. [\[wróć\]](#)
13. Pierwszy list św. Piotra, V, 8. [\[wróć\]](#)
14. Ewangelia św. Marka, XVI, 17. [\[wróć\]](#)
15. Ewangelia św. Marka, XVI, 18. [\[wróć\]](#)
16. Ewangelia św. Marka, XVI, 18. [\[wróć\]](#)
17. Ewangelia św. Łukasza, X, 19. [\[wróć\]](#)
18. Ewangelia św. Łukasza, X, 19. [\[wróć\]](#)
19. Ewangelia św. Łukasza, X, 19. [↵](#)